

753.640  DANUTA MOSTWIN 7

OLIVIA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1965

OLIVIA

«BIBLIOTEKA KULTURY»

TOM CXV

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)**

DANUTA MOSTWIN

OLIVIA

*„...I am left on this lonely island to die
No one to hear the sound of my voice”.*

(Pieśń Indianki z legendy o Dziewczynie
z Plemiona Algonkin)

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1965

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECE „KULTURY”

Ameryko, Ameryko, 1961.



II 739.686



STASIOWI —

pierwszemu czytelnikowi tej książki

Rok już przeszło minął od czasu gdy nadeszła ta przesyłka. Było to, pamiętam w kwietniu. Nasza sekretarka, której nigdy nie opuszcza dobry humor i pogoda ducha tak potrzebna w pracy naszej Agencji, przymrużyła jedno oko i spojrzała na mnie zaczepnie:

— Mrs. Bask — powiedziała — list z Meksyku! I to jaki list!

Podawała mi kopertę. Była to duża, gruba, żółta koperta mocno przybrudzona i nieco naddarta. Zaadresowana do mnie. Nadawcy nie było. Stempel pocztowy był rzeczywiście z Meksyku, ale nie mogłam odczytać nazwy miasta. Usiadłam przy moim biurku i otworzyłam kopertę. Wyjęłam z niej gruby plik ręcznie zapisanych kartek. Niektóre z nich były zmięte jakby z zamiarem wyrzucenia i po późniejszej zmianie decyzji, wyprostowane. Był to cały kalejdoskop kartek: wyrwane z bloku, papier listowy gładki i z nadrukiem hotelowym, serwetki, nawet skrawki zwykłego papieru, jakim opakuje się paczki. Wszystko jednak starannie związane sznurkiem wzdłuż i wszerz. Na wierzchu szpilką do włosów przyczepiona była mała karteczka zapisana innym niż pozostałe charakterem pisma:

„Olivia życzyła sobie, aby to pani przestać”.

To wszystko. Żadnego innego wyjaśnienia. Podpisu nie było.

Przez cały rok odczytywałam i przepisywałam te kartki. Niektóre pisane były piękną angielszczyzną, inne slang’iem. Musiałam nieraz sięgać po specjalny słownik, aby w pełni odczuć ukryte znaczenie wyrazu będącego, jak się przekonałam później, niezamierzonym symbolem. Zresztą znajomość Olivii pomagała mi. Pamiętam Oliwię. Nigdy jej nie zapomniałam i nie zapomnę. W naszym zawodzie nie zapomina się klientów, gdyż oni, nawet żegnając się z nami, zostawiają nam część swej istoty i zabierają w zamian za to część nas samych.

Wydaje mi się, że wiem czego chciała ode mnie Olivia przysyłając ten długi, niecodzienny list. Spełniam więc jej prośbę.

Boga BASK

Część pierwsza

LEGENDA O DZIEWCZYNIE

Stałam na brzegu chodnika i patrzyłam na tę dziewczynę. Taksówkarz minął mnie i dostrzegłam nawet, ale jakby poprzez mgłę, że kiwał na mnie, otworzył drzwiczki i mruknął coś pod nosem, bo przecież przywołałam go przed chwilą ruchem ręki, a teraz stałam obojętna wobec niego i mojej niedawnej decyzji, urzeczona nią, wpatrzona w nią stojącą tuż przy zielonującym klonie, wyglądającą autobusu i nieświadomą, że to ona, jej nagłe przeze mnie dostrzeżenie stawało się ostatecznym postanowieniem, postawieniem kropki po ostatnim zdaniu mojego życia.

Nie było w niej nic nadzwyczajnego, ale ta właśnie jej zwyczajność, zgięcie ramienia, którym obejmowała książki, owal policzka zakrytego kosmykiem włosów, niecierpliwość z jaką wyglądała autobusu, opierała się raz na jednej, raz na drugiej nodze, jej niskie obcasy, zieloność jej osiemnastu, może siedemnastu, a może dziewiętnastu lat pokrywających ją puchem, jak zieloność klonu, którego dwa rozdzielone konary wystrzelały w górę niby dwie złożone dłonie, ta jej codzienność, zwykłość objawiła mi się nagle boleśnie, rozdarła mnie do krwi i krzyczała we mnie ostatnim już moim krzykiem, że mogłam być nią, bo przecież nie byłam od niej starsza i mogłam mieć takie samo prawo do czerpania z radosnej codzienności, a jednak nie byłam nigdy i nie będę.

Wszystko we mnie było pogmatwane, zawile i zmięte, jak zerwana, splątana sieć, żadnej nici, której można by się uchwycić, żadnego oparcia. Szperałam w samej sobie, jak w rumowiskach spalonego domu, popiół, zapach spalenizny, pustka. Więc tylko to jedno mi zostało: odejść. Teraz patrząc na nią decydowałam się i chciałam chociaż na zakończenie zapamiętać, i zabrać jej obraz z sobą, ukraść jej twarz i jej spojrzenie, niecierpliwe wygląkanie



na autobus i na wieczór, na dni, które nadejdą po tym wieczorze, jej wiarę w wartość spodziewania się i oczekiwania, chciałam zabrać z sobą na ten ostatni moment, bo nie było już we mnie wahania, wiedziałam co zrobić.

Gdyby się odwróciła i dostrzegła mnie, mój czerwony płaszcz, wysokie szpilki moich obcasów, moje nieszczęsne platynowe włosy upięte wysoko niby sztuczne i puste gniazdo ptaka, który nie nauczył się śpiewać, moje nieżywe, wyzywające włosy bez śladu czarnych, przyskórnych korzeni, wczoraj dopiero odświeżanych jakby w przeczuciu, że to będzie dzisiaj — wzdrygnęłaby się, czy zaciekawiała?

Już drugi taksówkarz zatrzymał się, kiwnął ręką na mnie, nie na tamtą dziewczynę, chociaż obie stałyśmy na przystanku autobusowym i obie pewnie byłyśmy w równym wieku, ale oni, taksówkarze rozpoznają i wiedzą. Tak przecież poznałam Melvin'a, tak się zaczęło, w taksówce.

Im dłużej patrzyłam na nią, tym bardziej byłam nią i tym chętniej odchodziłam od samej siebie. Zaczęłam się nawet modlić po hebrajsku i po łacinie fragmentami zniekształconych, pozrywanych zdań, biegałam pomiędzy kościołem i synagogą gubiąc ścieżki, których nigdy nie znałam. Modliłam się, aby autobus jeszcze nie nadszedł, o to jedno tylko: kilka minut patrzenia. Ponad dachami domów dojrzało soczyste pomarańczowe słońce, purpurowy kardynał przysiadł na gałęzi klonu, przekrzywił główkę, zaśpiewał, a gałąź odpowiedziała mu dreszczem namiętym i poddała się, ugięła pod jego ciężarem. Od dziewczyny na brzegu chodnika przypląnął do mnie ów zapach świeży i rześki, jak zapach oceanu wczesnym, letnim porankiem jeszcze nie rozgrzanego słońcem, a już pokrytego niecierpliwym, słonecznym wyzwaniem. Odwróciła się, ale nie spojrzała na mnie. Patrzyła przeze mnie w ulicę zamyślona, zaabsorbowana samą sobą, niewątpliwie studentka z college, a może jeszcze uczennica z ostatniego roku High School, jeździ co dzień na wykłady, wraca do domu, w soboty i w niedziele umawia się ze swoim chłopcem. Spojrzałam jej w oczy bezczelnie. Cóż mogło mnie obchodzić jej zmieszanie? Drgnęła i uśmiechnęła się. Odetchnęłam. Oczy jej nie miały tego wiedzącego spojrzenia, które rozpoznawałam już dobrze, miały naiwność potoku, który unosząc obraz nieba wierzy, że jest częstką jego bezkresu. Jej uśmiech był wdzięczny i lekki, jak rozprysk piany.

— Nareszcie autobus! — powiedziała.

Uśmiechnęłam się. Nie zawiodła mnie, nie zawiodłam samej siebie, mogłam ją zabrać w całości.

Autobus nadjechał, konduktor otworzył drzwiczki. Dziel-

czyna obejrzała się za mną zdziwiona, że nie wsiadam. Jutro już nie obejrzałaby się za mną. Jutro już pewnie wszystko będzie w gazecie razem z moją fotografią, kopią tej, która stoi na półce przy łóżku. Może dopiero pojutrze? A może nie wszystko? Nie wiem jeszcze, nie zdecydowałam się! Nie wiem.

Nazywam się Olivia. Nazwisko moje nie jest ważne, gdyż nazwisko jest wskaźnikiem przynależności, a ja nie należałam i nie należę do nikogo. Nie jest to całkowita prawda. Mam przecież matkę, ojca i mam brata. Moja matka jest wysoka i szczupła, podczas gdy ja zawsze walczyłam z moją skłonnością do tycia, jest to jedna z tych schludnych kobiet, którym nie rozwiewają się kosmyki włosów, coniedzielną, nabożną wysiadawczką kościelnych ławek, bo nie wiem czy modliła się i czy potrafiła się modlić.

— Moje sumienie jest czyste, Olivio — mówiła — zrobiłam dla ciebie wszystko co mogłam.

To ja byłam jej sumieniem, ja przejmowałam wszystko od samego początku jeszcze wtedy, gdy nie wiedziałam, że można być czymś sumieniem, nawet wtedy, gdy po raz pierwszy powiedziałam „mamo”, i wtedy gdy nie umiałam jeszcze mówić, ani chodzić, nawet wtedy, gdy uniosłszy mnie do góry zdecydowała:

— Weźmiemy to dziecko.

Nasz dom jest na przedmieściu wielkiego miasta, bliżej oceanu i tylko kilkanaście mil od plaży. Był to cichy dom, pewnie zasobny, ocieniony smutkiem mego ojca, którego dręczyło pragnienie niespełnionych dążeń i marzeń, gdyż ojciec mój chciał być księdzem, a nigdy nie poszedł za swoim powołaniem, nie wiem dlaczego, nie mówił mi, nikt o tym nie wspominał, obchodziło się to z daleka, na palcach, jak pokój chorego. Dom więc był pewnie cichy póki ja nie wniosłam do niego mego krzyku, którego nikt, nawet moi rodzice, gdy już stali się jego świadomi, nie mógł uciszyć, gdyż było to wołanie bezgłośnie, echo i rezonans pierwszego krzyku niemowlęcia odrąconego przez matkę. I tak, jak rozpacz mego ojca, którą ja i on sam uważaliśmy za temperament, dyspozycję życiową, smutek obchodziło się milczeniem, tak i mój naj-

pierwszy płacz długo pozostał tajemnicą. Ten mój krzyk i płacz rozbity na dziesiątki i setki drobnych westchnień, stłumionych okrzyków, łez powstrzymanych, skarg ściśniętych zgryzionych zębami, łkań zduszonych ręką jak różne tony tej samej melodii uspionej w miedzianych sercach małych dzwoneczków dręczył mnie i niepokoił, podniecał i drażnił, aż do chwili, gdy dowiedziałam się, gdy zrozumiałam, ale zanim to się stało urodził się mój brat.

Kocham mego brata, jest tym wszystkim czym ja nie jestem. Do domu z nim razem spłynął śpiew, nie krzyk, śpiew, jak dziękczynienie. Mój brat był pierwszym dzieckiem mojej matki. Gdy się urodził miałam sześć lat i znienawidziłam go. Mój ojciec nie był już wtedy młody. Włosy obcięte krótko w jedyny i ulubiony *crewcut* były zawsze siwawe, ale najbardziej postarzała go jego łagodna uległość, opuszczenie rąk, przyjmowanie trudności tak jakby mu się słusznie należały. Nie dziwił się niczemu co się potem ze mną stało, jakby się już od dawna spodziewał, że tak będzie i jakby mi już zawczasu przebaczył. Był inny dla mego brata, surowszy i stanowczy. Zrozumiałam później: Ralph był jego synem.

Ralph urodził się na wiosnę. Zawsze o tej porze zakwitają przed naszym domem azalie i gdy rodzice przywieźli go tego dnia do domu skryłam się za wielkim, cierpko pachnącym krzakiem pod oknem. Ojciec nie wziął mnie z sobą do szpitala, pojechał sam, miałam się bawić z dziećmi Adams'ów, ale nie bawiłam się, czekałam na rodziców, wydawało mi się, że nigdy nie wrócą. Byłam tak niespokojna, tak osaczona nagle swą samotnością, że zapomniałam nawet o moim nowym, małym braciszku. Myślałam, że może matka umarła, że może samochód ojca rozbił się na drodze, wciśnięta w trzcinowe krzesło na ganku płakałam cicho i modliłam się o ich szczęśliwy powrót. Gdy usłyszałam ich samochód, uciekłam. Serce trzepotało mi niespokojnie i przytrzymałam je ręką, bo wydawało mi się że ucieknie, jak czerwcowy świetlik, którego schwyciłam raz na trawniku naszego ogrodu i który tak właśnie trzepocząc się uciekł przez niedomknięte palce mojej małej dłoni.

Ojciec szedł pierwszy. Nieruchome zawiniątko w jego ramionach nie miało ludzkiego kształtu, niebieski, wełniany tłumoczek był jak brzydka i drażniąca skórę larwa motyla, a przecież ojciec niósł go lekko i dumnie, ostrożnie i cały w niego wpatrzony, jakby to motyl o szafirowych skrzydłach przysiadł na rękawie jego marynarki. Nie widział więc mnie i nie starał się dostrzec i nawet nie zawołał: Olivio! W jego twarzy, w jego myślach nie było miejsca dla mnie, tak pełen był ważności tej jedynej chwili wnoszenia mego brata, swego pierwszego i jedyne go syna do domu, była to

przecież jego krew, gałąź wytrysła z pnia jego drzewa, Ralph był jego dzieckiem. Matka szła za nim rozglądając się na wszystkie strony ale powyżej krzaków, patrzyła na wierzchołki drzew: świerku i jabłoni i na stromy, czerwony dach naszego domu jakby płynęła w górze i tylko to górne w zasięgu wzroku miało znaczenie. Nie dostrzegłaby więc mnie nawet gdybym wysunęła głowę zza krzaka. Dopiero później przez uchylone okno usłyszałam niespokojny głos ojca:

— Nie wiem gdzie jest Olivia?

— Znajdzie się — powiedziała moja matka — mówiłeś, że miała się bawić z dziećmi Adams'ów.

— Ale przecież powinna była zauważyć nasz samochód i nie widzę jej z nimi na huśtawce.

— Och Phil — powiedziała matka — zrób mi filiżankę kawy, czuję się trochę zmęczona.

Mój ojciec jest wysokim mężczyzną, dużo wyższym od mojej matki, ale ona potrafi go składać w rękę tak, że maleje i staje się niewielki, jak zabawka.

— Dobrze kochanie — zatroszczył się — zrobię ci kawę, a potem poszukam Olivii.

Ale nie znaleźli mnie do późnego wieczora. Słyszałam płacz mego brata, głos matki trzepoczący nad nim, a cały dom i ogród brzmiał i kwitnął na cześć Ralph'a tylko ja pod krzakiem azalii, tuż przy murze skurczona, przycupnięta, zdrętwiała i głodna płakałam z nienawiści i zazdrości. Dopiero na drugi dzień zobaczyłam go. Jego kołyska stała w sypialni rodziców, a on leżał na szerokim łóżku czerwony i pomarszczony z rudawym puszkciem włosów na obnażonej głowie. Ręce mojej matki uwijały się nad nim szerokie, chybotliwe i białe, jak skrzydła krążących mew. Nigdy nie spałam w sypialni moich rodziców, zakradałam się czasem do ich łóżka wystraszona ciemnością mego pokoju, albo chrzęstem podłogi, albo tym dźwiękiem, który uderzał w szybę jak palce nieznanej mi dłoni tak, że natychmiast zrywał się we mnie płacz niby odpowiedź zagubionego zwierzęcia na leśne nawoływanie gromady. Uciekałam do sypialni moich rodziców bo ich bliskość, ich ciepło spokojne i zadowolone wydawało mi się ratunkiem.

— Nie możesz spać z nami, Olivio — mówiła matka — dzieci nie powinny spać nigdy z rodzicami.

— Boję się — płakałam — boję się, boję.

Mój ojciec wstawał natychmiast i ubierał się chyłkiem, uciekał od moich wyciągniętych rąk, od mojego rozdygotanego ciała jakby już bał się go, przeczuwał i stał milczący, neutralny, podczas gdy matka odprowadzała mnie do mego pokoju.

— Przeżegnaj się Olivio, nie bój się, twój anioł-stróż nad łóżkiem czuwa nad tobą.

Ale ja nie chciałam anioła-stróża, chciałam ciepła i dotyku ciała mojej matki, miękkiego wgłębienia się w nią, chciałam czuć jej oddech tuż przy moim uchu i włosach, jej ramion rozgrzanych pościelą wokoło mnie, jej kolan przy moich zziębniętych stopach. Ralph, mój brat miał to wszystko nawet nie wołając, nie prosząc.

— Pocałuj swego braciszka, Olivio.

Pochyliłam się i w nagłej furii uszczypnęłam go w czerwone, pomarszczone udo.

— Ty wstrętna dziewczyno — krzyknęła moja matka — jak mogłaś! Co w tobie siedzi, co za instynkty! I to tak mi się odpłacasz? Tak mi się odwdzięczasz?

Nie powiedziała nic o Ralphie tylko krzyczała, jakbym to ja ją uszczypnęła, jej zadała ból, jakby ona i Ralph to jedno, a właściwie tylko ona rozdzielona sztucznie na dorosłość i niezdarne niemowlę, a ja — widz uboczny, moja siostrzana przynależność nie miała znaczenia. Wybiegłam trzaskając drzwiami. Płacz mego brata ranił mnie i drażnił, oślepiała mnie wściekłość tak straszliwa, że chwyciłam moją ulubioną, dużą lalkę i zaczęłam ją szarpać i gryźć, kopać i walić nią o ziemię, a potem rzuciłam się sama na podłogę mego pokoju, wierząc nogami, waliłam głową i krzyczałam wysokim, piskliwym głosem który po raz pierwszy wytrysnął ze mnie, długo tamowany znalazł ujście, jak potok nabrzmiewający w górach, który z nikłego strumyka potężnieje w niszczycielską rzekę.

Ralphie, mały mój braciszku, ciebie kocham najwięcej, naprawdę. Kocham cię za to, że przez 10 lat należeliśmy do siebie i nikt brutalną ręką nie ośmielił się zmącić naszej nieświadomości. Byłam twoją starszą siostrą, dużą Olivią, do której biegłeś po pomoc i opiekę. Tuliłam cię w moim łóżku tuląc się jednocześnie do ciebie, a w twoich słodkich, ciemnych oczach rozpoznawałam to uwielbienie i zaufanie z jakim ja modliłam się do mego papierowego anioła-stróża nad łóżkiem. Nikt już tak na mnie nie patrzył. Dla ciebie jestem tutaj, w tym obcym, nieprzyjaznym mieście, chociaż jak ranne, umierające zwierzę chciałabym się podczołgać do znanych mi kątów. Tęsknię za szumem oceanu i zapachem świerkowego lasu, ale wiem, że to tylko część mnie tęskni za przejrzystością wody i powietrza, ja sama podobna już jestem do zatoki tego miasta, jestem jej pianą czepiającą się osłizgłych brzegów przystani. Nie wracam, nie chcę, ażebyś mnie zobaczył Ralphie. Cokolwiek usłyszysz — nie uwierzysz. Będę dla ciebie zawsze Olivią, twoją starszą siostrą, najpiękniejszą z dziewcząt jakie znałeś.

Ale wtedy, pierwszego dnia, przez dni następne i długie tygodnie nienawidziłam Ralph'a. Chciałam go skrzywdzić, wyrzucić z kołyski, rozbić na podłodze, jak moją dużą lalkę, a sama chciałam wdrapać się do jego łóżeczka, pić z jego butelki i poddawać się pieśczośliwym zabiegom rąk mojej matki. Skoro jednak znajdowałam się blisko niego moja wściekłość obezwładniała mnie, pilnowałam samej siebie przeciwko sobie, aby nie zrobić mu krzywdy. Za to wieczorami gryzłam i szarpałam poduszkę, tupałam nogami, wrzeszczałam dziko i nie dawałam się nikomu uspokoić. Moi rodzice byli wyczerpani, odsuwali się od mnie, pozostawiali mnie coraz bardziej samej sobie. Chodziłam już wtedy do przedszkola. Była to piękna, rozłożysta szkoła, przedszkole mieściło się na parterze we wschodnim skrzydle budynku. Lubiłam przedszkole: niskie, jasne krzeselka, małe stoliczki na których malowałam moje pierwsze dziecinne obrazki. I lubiłam nauczycielkę: Miss Ruth. Była pulchna, niewielka i ciemna, jej ręce były małe i miękkie i gdy czasem dotknęła mego ramienia, albo włosów zatrzymywałam prędko jej dłoń obiema rękami aż zażenowana szeptała:

— Ach co ty robisz, Olivio.

Nie mogła jednak przewyciężyć swojej do mnie słabości. Malowałam najładniejsze obrazki ze wszystkich dzieci i moje drzewa i domy, pociągi i okręty na oceanie wisiały nieustannie na ścianach naszego przedszkola. Pewnego popołudnia gdy matka przyjechała po mnie do przedszkola Miss Ruth zaciągnęła ją do pustej już klasy.

— Niech pani zobaczy! — wołała dumna i podniecona — niech pani zobaczy, te wszystkie prace Olivii!

I furkocząc marszczoną, bawełnianą spódniczką i brzęcząc nią niby wiosenna, młoda pszczołka zaczęła przysiądać coraz to przed innym moim obrazkiem zachwycając się to pomysłem, to perspektywą, to doborem kolorów, a przede wszystkim linią śmiałą, jakby ktoś inny prowadził moją rękę, a ja tylko nadążałam za nim z moją dziecinną kredką. Moja matka kroczyła za nią dystygowana, dumna, ale i niezręczna, jakby oglądała galerię obrazów nie mając pojęcia o malarstwie, ale jedynie dla zaakcentowania swojej obecności i możliwości posiadania ich na własność. Widziałam, jak Miss Ruth starała się jej tłumaczyć ukryte znaczenie moich plam, kresek i zakrętasów usiłując wprowadzić ją do labiryntu tworzenia gdzie czołgają się i szamocą myśli i zduszone pasje szukając ujścia na świat. Moja matka dziękowała, kiwała uprzejmie głową, ale wzdrygała się przed wejściem do labiryntu.

Siedziałam na małym krzeselku, drżałam z przejęcia i kocha-

łam Miss Ruth. Postanowiłam zostać nauczycielką tak, jak ona. Ale Miss Ruth miała swoje wielkie plany dla mnie.

— Olivia ma ogromne zdolności — trzepotała — ogromne, proszę pani, to niezwykle wrażliwe dziecko.

I wyciągała do mojej matki te swoje dwie, małe, ciepłe ręce, jakby je wzywała na świadków mego malarskiego talentu.

— Jest zdolna — mówiła moja matka — ale jeśli chodzi o talent, no to się później okaże.

— Czy może pani maluje? — spytała Miss Ruth.

— Och nie! — roześmiała się moja matka.

— A mąż?

— Ani on! Mój mąż nie ma najmniejszych zdolności do rysunków.

— Więc skąd? — zawołała Miss Ruth i spojrzała rozbawiona na moją matkę.

I pewnie wtedy dostrzegła coś od czego jej wyciągnięte, wesołe ramiona opadły. Popatrzyła szybko na mnie, na moją matkę i znów na mnie.

— Pewnie ktoś w dalszej rodzinie — powiedziała moja matka — muszę się spytać męża.

— Tak... tak — szepnęła Miss Ruth. — Tak, pewnie... — mówiła przepraszająco.

A potem podeszła do mnie, pochyliła się, ujęła moją twarz w obie dłonie:

— Czy wiesz, że masz oczy koloru oceanu, Olivio, takie głębokie i pewnie dlatego widzisz lepiej i szerzej i potrafisz malować.

— O Miss Ruth! — rozpląkałam się — Miss Ruth! — I zarzuciłam jej ręce na szyję, ale moja matka prędko oderwała mnie, obtarła mi oczy chusteczką.

— Co ci się nagle stało Olivio? — pytała i przepraszając wprowadziła mnie z klasy.

Miss Ruth nie odpowiedziała na jej przeproszenia. Stała odwrócona plecami i zauważyłam że plecy jej dygotały i podrygiwały dziwacznie.

Biedna Miss Ruth zawiodła się na mnie. Nie tylko, że nie zostałam malarką, ale już pod koniec roku przeobraziłam się w najgorszą z jej uczennic, monstrum przed którym drżała. Nasz wschodni pokój stał się dla niej pokojem północnym. Najpierw zaczęłam ją zadreć swoimi czułościami; rzucałam jej się na szyję, uwieszałam u jej ramienia, a potem, gdy zażenowana i zmęczona odsuwała mnie stanowczo robiłam wszystko, aby zwrócić jej uwagę. Spadałam z krzesła i płakałam, ryczałam, aby ją tylko do siebie przywołać. Rzucałam kredkami i darłam papier,

wylewała mleko na podłogę, a farby na sukienkę, ale najbardziej mściłam się na moich małych kolegach i koleżankach, denerwowałam mnie to ich nieporadność, to ślamazarność, to przechwalanie się przed Miss Ruth drobnymi zdobyczami ich nieskomplikowanego życia. Byłam czupurna i wyzywająca, prowokowałam awantury, szczypałam i kopałam, drapałam i gryzłam, plułam, jak rozwścieczony kot, albo zaśmiewałam się głośno i złośliwie. Miss Ruth próbowała mnie ułagodzić, krzyczała na mnie, stawiała mnie do kąta, wysłała kilkakrotnie na nieprzyjemną rozmówkę z przełożoną szkoły, aż wreszcie zawołała moją matkę. Przyszła bardzo uroczyście w kapeluszu i rękawiczkach, jak do kościoła na ślub, albo na pogrzeb i zamknęły się z Miss Ruth w klasie naszego przedszkola. Nie wiem o czym mówiły. Umierałam z ciekawości aby podsłuchać ich pod drzwiami, ale bałam się ruszyć z twardego krzesła na korytarzu gdzie posadziła mnie moja matka i przykazała groźnie siedzieć cicho i bez ruchu. Obgryzałam paznokcie i czułam się nieszczęśliwa. Teraz i moja ukochana Miss Ruth była przeciwko mnie, nie tylko że straciłam jej miłość, że faworyzowała inne dzieci, ale i spiskowała poza moimi plecami z moją matką. Gdybym mogła umrzeć! Gdybym na złość jej, matce i ojcu umarła w tej chwili i leżała wyciągnięta i biała, nieruchoma, jak ptak, który upadł raz na ścieżkę naszego ogrodu z przekrzywionym na bok łebkiem i rozchylonym dzióbkiem, zakrzętnęłaby się koło mnie, rzuciłaby się przede mną na kolana, dotykałaby moich włosów, zamkniętych oczu i chłodnych policzków i wiem, płakałaby rozpaczliwie obwiniając siebie o moją śmierć. Widziałam to wyraźnie: ja na podłodze szkolnego korytarza i Miss Ruth z wyciągniętymi ramionami biegnąca ku mnie. Słyszałam jej krzyk i szloch, czułam jej łzy i dotknięcie jej skóry na moim czole i zamkniętych powiekach. Całym wysiłkiem woli wydobyłam się z siebie obojętnej i rozciągniętej na ziemi i stałam się natychmiast Miss Ruth zrozpaczoną, łkającą, aż obydwie: ona i matka wybiegły z klasy do mnie szlochającej na cały głos nieutulonym, żalobnym płaczem nad samą sobą.

— Ona żałuje, proszę pani — tłumaczyła moja matka — ona chciałaby panią przeprosić.

Nachyliła się nade mną i szeptała mi groźnie do ucha: Narobiłaś nam tyle wstydu, Olivio, Miss Ruth ma ciebie dosyć, ma ciebie już dość. Dalejże przeproś panią, no już idź zaraz i przeproś!

Miss Ruth stała oczekująca, nasłuchująca najłżejszego, pierwszego tonu przeproszenia, niespokojna, ale i gotowa, jak śpiewaczka oczekująca na pierwszy ton, który poddać jej ma akompaniator, drżąca z przejęcia, wypełniona już pieśnią, która ma za chwilę rozkwitnąć i którą oczaruje i porwie słuchaczy, wpa-

trzona we mnie, uśmiechnięta nieśmiało i zachęcająco. Nie płakała więc! Jej oczy były suche i pogodne. Nie obchodziłam jej, nie żałowałam mnie, byłam dla niej tak obojętna, jak krzesło na którym siedziałam, jak niemy fortepian który ożywiała tylko wtedy, gdy na to miała ochotę. Mój płacz cichł i tężał, zacisnęłam zęby, wykrztusiłam jej wprost w twarz, w jej rozchylone usta, w jej brak rozpaczy, w jej obojętną łagodność:

— Nienawidzę cię, nienawidzę cię.

A ona cofnęła się zaczerwieniona, ze łzami w oczach, jakby zamiast oklasków po skończonej pieśni wszystkie wyciągnięte ręce słuchaczy zadały jej potężny, wspólny policzek. Znikła szybko poza drzwiami klasy i tylko przepraszający jęk mojej matki ciągnął się za nią niby sztuczne światło gasnącego reflektora.

Ukarano mnie. Nie wolno mi było jadać z rodzicami, a tylko w moim pokoju na tacy, którą przynosiła mi matka, nie wolno mi też było wchodzić do sypialni rodziców, aby zobaczyć Ralph'a, matka strzegła go przede mną, jakbym mogła go zatruć moim oddechem. Ona i ojciec, wiedziałam, naradzali się wieczorami co ze mną począć, układali sobie moją przyszłość, ale przyszłość bez nich. Czasem chciałam się wyrwać z mego pokoju, wbiec do ich sypialni, rzucić się na kolana i błagać o przebaczenie, ale na myśl tylko o tym zrywał się we mnie tak ogromny, obezwładniający płacz, że nie tylko tamował i ścisnął mi gardło, ale, jak w złym śnie pętał nogi, że rzucałam się na podłogę i kopałam te pęta, krzyczałam, aż do zachrypnięcia, ale oni zostawiali mnie teraz samą, nie próbowali przerywać, ani uspakajać, aż zasypiałam wyczerpana. Wtedy ojciec przychodził cicho, na palcach, ostrożnie, aby mnie nie obudzić i układał na łóżku. Czasem klękał przy moim łóżku i modlił się. Gdyby wtedy przytulił mnie do siebie, pozwolił wypłakać w swoich ramionach, gdyby całując i pieszcząc mnie zapewnił, że kocha mnie tak samo, jak Ralph'a może wtedy nie po pierwszym, ale po setnym razie uwierzyłabym, ale ojciec mój bał się mego objęcia, uciekał przed moimi pocałunkami, bał się słów tkliwych i tylko coraz bardziej przygnębiony obserwował z daleka.

Mój ojciec jest przedsiębiorcą budowlanym, pracuje według planów, albo pod kierunkiem architekta, sam nie planuje nigdy, idzie, posuwa się w szeregu, wzdłuż znaków nakreślonych przez innych ciągnąc za sobą stale zmieniającą się ekipę robotników. Jest znanym, szanowanym członkiem *middle class* naszej podmiejskiej dzielnicy i wiernym zasilaczem funduszy naszego parafialnego kościoła. W domu naszym był więc zawsze ten ciężki, spokojny dostatek bez trwogi o jutro, ale też bez wzlotów ku jutrze, owa przeciętność której trzymać się trzeba za wszelką cenę,

gdyż wytrącenie z niej grozić może katastrofą. Nie był to zawsze cel życia mego ojca, kiedyś przecież pragnął wzlotu i to zaniechanie próby, ucieczka przed powtórzeniem jej stała się na zawsze jego klęską. Wszelkie przeciwności uważał za odwet losu, którego wyzwanie zdradził i pewnie za odwet i karę Boga. Z takim też spokojem i determinacją przyjmował moje zachowanie się, zmianę we mnie, moją narastającą do wszystkiego wrogość. Nie próbował jej się przyrzec, ani jej dotknąć, posmakować, rozgryźć, nie analizował, jakby dobrze znał przyczynę. Cofnął się raczej, tak, jak Miss Ruth i tak odsunięty ode mnie prawil mi nieśmiałe kazania o Bogu i bojaźni bożej.

A tymczasem brat mój rozrastał się w swojej kołysce i zaczynał rozpoznawać otaczający go świat.

Było to latem, wczesnym popołudniem, matka rozwieszała bieliznę w bocznej części ogrodu a ja miałam się bawić z dziećmi Adams'ów. Alice była trochę starsza ode mnie i zwykle bawiłyśmy się wspólnie, ale tym razem do naszego kojca z piaskiem przyplątała się inna dziewczynka z sąsiedztwa, była to nowa koleżanka Alice i nawet nie znałam jej imienia, ale zauważyłam, że Alice faworyzowała ją, urzeczona pewnie jej nowością i że coraz częściej odwracała się ode mnie plecami szepcząc i naradzając się z nią. Dwóch młodszych braci Alice babrało się w piasku nie mając pojęcia, że pomiędzy nami trzema odbywa się coś na kształt gry, że we mnie rośnie już zazdrosne napięcie i że unosi się wściekłość, jak woda w szklance do której wrzucono zbyt wielki kawałek lodu. Układali swoje głupie piaskowe babki, jedną obok drugiej piszcząc z radości i przejęcia. Czułam się sama. Na wprost mnie plecy Alice i jej ledwo słyszalny śmieszek i drwiący chichocik i szept sekretów, którymi dzieliła się z swoją nową przyjaciółką, a poza mną gorące popołudniowe słońce, jak dopinający, miedziany gong uderzało w tył mojej głowy.

Alice podniosła się nagle, ale zanim ona i moja rywalka zdążyły objęte w pół i nachylone ku sobie ująć kilka kroków w głąb ogrodu, skoczyłam i rozwalłam nogami i kolanami misterne piaskowe babki dwojga smarkaczy. Alice przybiegła natychmiast i jak wściekła nastraszona kura rzuciła się na mnie.

— Wynoś się ty wstrętna dziewczyno — krzyczała — wstrętna, wstrętna, nie chcemy się z tobą bawić! Patrz co zrobiłaś! Zaraz powiem twojej matce. Wynoś się z naszego ogrodu, nie lubię cię! Nikt cię nie lubi! Dwaj jej bracia ryczeli już i piszczeli wygrażając mi pięściami. Dorwałam się do Alice, chwyciłam ją oburącz za włosy. Byłam silna, tęższa od niej, ale ona zwinna i szybka rycząc z bólu przeorała mi twarz paznokciami. Dwaj pętacy z tyłu gryzli mnie w nogi i nawet nowa przyjaciółka Alice waliła

mnie pięścią po głowie. Plułam i gryzłam, waliłam głową i kopałam nogami, aż wreszcie pokrwawiona i zbita wyrwałam się i poprzez krzaki uciekałam w stronę naszego domu. Gonił mnie płacz i krzyki ich czworga, złorzeczenia i obietnice pójścia na skargę i z daleka głos matki Alice:

— Co się stało? Na miłość boską, co się tam dzieje?

Ten zatrwożony jej głos podciął jeszcze moją wierzgającą furie i biegnąc zdyszana pościnałam patykiem korony ledwo rozkwitłych róż w ogrodzie rodziców Alice. Żałosne, osierocone kikuty łodyg chwiały się i dygotały przerażone po moim przejściu. W ogrodzie podczołgałam się pod uchylone okno sypialni, wdrapałam się na mur nie czując bólu pozrywanej na kolanach i łokciach skóry i całym wysiłkiem mięśni uniosłam okno wyżej, wśliznęłam się przez nie i wczołgałam pod łóżko moich rodziców. Leżałam na płask nad słuchując: oto tupot nóg mojej matki, porzuciła bieliznę i pewnie jeszcze trzymając ostatni drewniany spinacz w ręce, biegnie, a to jękliwo-wściekły głos matki Alice woła najpierw mnie: Olivio! Olivio! czekaj-no ty niedobra dziewczyno, a potem moją matkę: Krystyno, Krystyno! i niespokojny a zawsze przeproszający głos mojej matki i znów krzyk matki Alice: Ach Boże, moje róże, to niesłychane! Spotkały się przy ogołoconych różach i tu matka Alice wpadła w szal, dygotałam z przerażenia, matka Alice uwielbiała swoje róże, teraz już znienawidzi mnie bez reszty.

— Moje róże — zawodziła — moje śliczne róże! Zabraniam jej, słyszysz Krystyno, zabraniam jej przychodzić do mego domu!

— O, ona już za to dostanie — zapewniała moja matka i przeproszała przekrzykując swoimi przeproszaniem molestowania matki Alice.

— Czy nic z nią nie możecie zrobić? — wołała matka Alice. Widziałam ją: stała pewnie nieco rozkraczona, ujęła się obiema rękami pod boki, a do jej soczystych bioder opasanych wykrochmalonym fartuszkim tuliła się obolała głowa Alice. — Przecież powinnaś wiedzieć Krystyno, jak wychowywać swoje dziecko.

— To nie jest moje dziecko — powiedziała moja matka i wtedy tamta umilkła.

Leżałam przyczajona pod łóżkiem i płakałam cicho. Moja matka nie obroniła mnie ani jednym słowem, wyrzekła się mnie, powiedziała o mnie, swojej córce, że nie jestem jej dzieckiem. Słyszałam, jak szukała mnie w ogrodzie, pod krzakiem azalii, za żywopłotem i nawet w garażu.

— Olivio, Olivio, gdzie jesteś? Wcześniej czy później cię znajdzie!

Szukała mnie w domu, we wszystkich pokojach, zaglądała

nawet do sypialni, ale mój brat spał łagodnie nie zbudzony moim wtargnięciem więc nie podejrzewając niczego zamknęła drzwi na klucz i zabierając klucz z sobą wyszła mnie szukać na ulicę. Wyszłam się spod łóżka. Ralph leżał w kołysce. To on był przyczyną wszystkiego, on był początkiem moich kłopotów. Pochyliłam się nad nim zła i rozżalona, chciałam go wyrzucić z łóżeczka. Znieruchomiałam, Ralph patrzył na mnie, po raz pierwszy dostrzegłam w jego oczach zrozumienie, przyglądaliśmy się sobie: jego ciemne źrenice wydawały się błyszczeć figlarnymi ognikami.

— Mój brat — szepnęłam.

Przyglądał mi się uważnie i nagle jego bezzębne usteczka zadrzały, rozchyliły się i Ralph uśmiechnął się do mnie. Nie było przecież nikogo innego w pokoju, nie było nic innego do czego mógłby skierować swój uśmiech, tylko ja, jego starsza siostra, Olivia. Uśmiechał się do moich potarganych włosów, podrapanej twarzy, do moich ostygających już uczuć wściekłości, które nagle, jakby szarpnięte innym wiatrem, podsycone innym paliwem ogarnęły mnie całą bolesną, palącą, niepowstrzymaną miłością do Ralph'a.

— Mój brat — szeptałam — mój mały braciszek nie zdradził mnie i klęcząc przed jego łóżeczkiem jedną rękę położyłam na jego małej piątce, a drugą uniosłam ostrożnie do góry grubą, pyzată, gołą nóżkę i pochylając się pocałowałam śmieszny wielki paluch u nogi. Wtedy poczułam, że chwycił mnie mocno za mój palec i że jego drobna piątka zacisnęła się obejmując go silnym, ciepłym uściskiem. Zawieszona na granicy łez i uśmiechu, wstrzymałam oddech, znieruchomiałam ze szczęścia i tak trwaliliśmy długą chwilę przeżywając narodziny naszej przynależności.

Podniosłam rękę, a on zaraz zrozumiał, zwolnił, zjechał na prawo, aż do brzegu chodnika i tu przywarował powstrzymując ją dyszącą i podskakującą na miejscu, osadzając ją mocnym przyściśnięciem nogi podczas gdy ja uwalniając się z nieśmiałych i ledwie pokrytych pierwszym puchem zieloności objąć klonu wsuwałam się już pół-zgięta w jej rachityczne i przepocone, intymne i ciemnawe objęcia.

— Dokąd? — zapytał.

— Hotel Rivoli — powiedziałam i jeszcze dodałam, jakbym mu robiła wymówki: — Cóż to za okropna, stara taksówka!

Wtuliłam się w jej wyświechtane oparcie, założyłam nogę na nogę i zapaliłam papierosa. Kierowca odwrócił się, spojrzał na mnie i wiedziałam, wydawało mu się, że wie o mnie wszystko. Powiedział:

— Nie stara tylko zużyta. No i nikt jej nie szanuje. Własny samochód to się szanuje, co?

Głupcze — myślałam — jeśli wydaje ci się, że wiesz cokolwiek o mnie, to ja wiem na pewno więcej o tobie. Melvin opowiadał mi jakie to typki są szoferami taksówek. Każdy, którego wywalają ze zwykłej pracy może spróbować szczęścia w szoferowaniu. A gdzie straciłeś pół ucha, braciszku, pół tego prawego ucha? Może na wojnie japońskiej? Czy i wtedy wytatuowałeś sobie tę nagą dziewczuchę co kręci brzuchem przy każdym poruszeniu twego mięśnia?

— Mieszka pani w hotelu Rivoli? — spytał.

— Nie twój interes — burknęłam — twój interes to zawieźć mnie przed hotel.

— O.K., O.K. wcale mnie to nie interesuje.

— To lepiej.

— Ładna pogoda — mruknął pod nosem i potem zaczął

gwizdać. Nie odwracał się, mógł obserwować mnie dobrze w lusterku. Spalony słońcem, głęboko zbrózdzony kark zarastała mu szara szczecina. Nie był taki młody, może miał rodzinę? Może przykazywał swoim podrastającym synom: Żebyście mi się tylko nie włóczyli po hotelu Rivoli. Nie pętać mi się nawet obok tej speluny.

Przechyliłam się leniwie ku oknu i poprzez dym papierosa spojrzałam na umykające niebo. I wydawało mi się, jakbym przychwyciła czyjś wzrok, na chwilę zwarła się z czymś spojrzeniem, a przecież było to tylko blado niebieskie, pożyczowane pajęczyną obłoku oko nieba. Spojrzenie to niewinne na pozór, a ostre, chłodne i przenikające, jak głęboka sonda zręcznego lekarza dosięgło mnie w głębi, w najbardziej skrytej istocie mego bólu, aż skurczyłam się cała i rzucając niedopałek na podłogę taksówki chwyciłam się obu rękami siedzenia, wpiłam się paznokciami w plastyk obicia, aby nie krzyczeć z rozpacz, bo zrozumiałam, że był to ostatni dzień, który mnie mijał, że było to spojrzenie ostatniego dnia.

Szofer zatrzymał. Wcisnęłam mu dolara do ręki i nie czekając na resztę, nie zwracając uwagi na jego podziękowanie zaczęłam się szamotać z rozklekotanymi drzwiczkami starej landary.

— Niech-no pani naciśnie klamkę, panienko!

Spojrzałam na niego i zobaczyłam prawą, zniekształconą połowę jego twarzy. Widziałam już kiedyś taką twarz, tak ją właśnie widziałam poprzez bandaż i przesiąkającą krew. Dlaczego wracała do mnie dzisiaj, czy wszystko, całe moje życie musiało dziś wrócić do mnie?

— Miał pan wypadek samochodowy?

— Miałem. O tak, niech pani przycisnie tę klamkę, no i już ostrożnie teraz.

Odjechał. Przede mną stał Rivoli ten sprośny olbrzym o dzieciątkach małych oczek, brudny i lubieżny, rozkraczony tu, w centrum na przekór wszelkim kodeksom moralności, a zresztą może ojcowie miasta woleli mieć tu wszystko razem na wierzchu, skupione i wiadome, jak wielką kupę śmieci i odpadków w estetycznej i szczelnie zamkniętej puszcze niż rozsiane po dziurach i zakamarkach miasta. Minęłam afisz reklamujący nocny klub na rogu: dwie papierowe dziewczyny w majtkach i biustonoszach z czarnej koronki i weszłam po betonowych schodach do hotelu. Portier, ten stary wyga Randy, ten przylizany obierek ludzki zlustrował mnie zaraz od stóp do głów.

— Psss.....

— O co chodzi? — skrzywiłam się.

Randy przyglądał rzadkie strąki włosów. Jego czaszka była

wydłużona i brutalna podobna do prymitywnej maczugi i nawet z tyłu po kształcie czaszki można było odgadnąć Randy.

— Dzwonił mężczyzna.

— Nie ma mnie w pokoju.

— Ale to był ten, który przychodził przedtem.

— Co cię to obchodzi kto przychodził? Śledzisz mnie?

Randy zmrużył oko, małe, blade oko, jakby na zawsze pokryte zmarzniętym śluzem, nic już go nie poruszy, nie roztopi, nie rozgrzeje, Randy, wielki karaluch stojący na dwóch łapkach zmrużył oko i poruszył wąsikami pod którymi ukrywał bliznę.

— O tak? Ja nie potrzebuję śledzić, ja tylko widzę i przewiduję, to mój zawód.

— Tak? — warknęłam — to czego — żeś nie przewidział, że pod 314-tym zastrzelą tego faceta z Richmond?

Randy wzruszył ramionami, miałam ochotę rozgnieść go obcasem na podłodze.

— On tam czeka na panią.

Naciskałam już guzik windy, ale cofnęłam się, odwróciłam. Randy stał za ladą portierki, w wielkim hotelowym hallu mimo zapalonego żyrandola i bocznych lamp był półmrok, ten intymny, ciepławy, zakurzony, bezsłoneczny i wilgotny półmrok akwarium. A kobieta w stoisku z papierosami i słodyczami udawała, że nic nie widzi. Opuściła zielone powieki i parowała dymem poprzez dziurki od nosa oparta łokciami o ladę i niby to zamyślona.

— Co mówisz, Randy — syknęłam — żeś go wpuścił do mojego pokoju? Tak? To pójdziesz i wywalisz go teraz.

— Bardzo dobrze — powiedział i wypełznął zza lady. Wyraz jego oka nie spodobał mi się, przytrzymałam go:

— Czekaj-no, mówisz, że to ten, który był tu w niedzielę?

— Ten sam.

Do hotelu weszło dwóch mężczyzn, wyższy miał walizkę i jasny kapelusz z szerokim rondem, wyglądał na businessman'a z forszą. Randy odskoczył ode mnie i potoczył się pracowicie za ladę i zaraz jego łeb i ciemne ramionka i część obłego tułowia pochylili się ku gościom. Podeszłam do windy i poczułam, że moje biodra falują i ciągną za sobą spojrzenie mężczyzny w jasnym kapeluszu i że ta reakcja na moją bezwiedną zaczepkę sprawia mi przyjemność, że pręzę się pod nią, przeciągam, rozrastam sama w sobie przesłaniając, zaciemniając obraz dziewczyny z przystanku autobusowego. Weszłam do windy, trzaśnięcie drzwi otrzeźwiło mnie, cztery drewniane ścianki zaraz przywarowały przy mnie, a świecące guziki pięter wlepiły we mnie swoje napastliwe ślepie.

— Nie ma innego wyjścia — szepnęłam — nie ma dla mnie innego wyjścia.

Na piątym piętrze drzwi były uchylone i Melvin siedział na łóżku w tym pomieszczeniu, które bardziej było separatką neželnego szpitala niż pokojem hotelowym, albo całą więzienną z tym oknem, które wiodło do nikąd w tunel dachów i załamania murów, albo kątem rupieciarni murzyńskiego antykwariusza z ogarkiem lampki zapalanej na nocnym stoliku i nieżywą, wygrzebaną z cementarzyska mebli komodą której lustro w dzień i noc świeciło upiornym blaskiem, jak sztuczne zęby w twarzy nieboszczyka.

Drgnął, poderwał się, krzyknął półgłosem, jakby przyłapany na gorącym uczynku:

— Olivio!

Nienawidziłam go. Za jego okrągłą, spoconą twarz, za wilgotne ręce, którymi tyle razy próbował mnie dotknąć, za jego fałszywą przyjaźń, która od początku była pożądaniem. Wiedziałam dobrze czego chciał ode mnie. Doprowadzał mnie do mdłości. Miałam go dość, miałam dość jego obecności. Teraz, gdy postanowiłam ostatecznie rozprawić się z sobą, gdy ułożyłam już sobie cały przebieg akcji, zdecydowałam się, pogodziłam, przyszedł, aby mi przeszkodzić. Gdyby nie to, że musiałam oszczędzać moją energię na później, rzuciłabym się i rozorała mu twarz paznokciami. Nie śmiałby mnie uderzyć, ale nie chciało mi się, wolałam go skrzywdzić inaczej.

— Wyglądasz, jakby ci było gorąco, Melvinie — powiedziałam — pocisz się. Możesz zdjąć perukę.

— Dobrze Olivio — powiedział. Zdjął perukę i razem z jego łysiną rozbłyły jego zęby.

Widziałam, że cierpi i odwróciłam się, aby ukryć uśmiech.

Zrzuciłam płaszcz i pantofle, rozpięłam sukienkę i powiesiłam ją do szafy. Potem zaczęłam ściągać pończochy. Widziałam, jak obserwował mnie łakomie, jego łysina świeciła pożądliwie. Odwrócona tyłem do niego powiedziałam szorstko:

— Co chcesz? Nie mam wiele czasu.

— Posłuchaj Olivio — westchnął.

Wstał nagle, pośpiesznie, troskliwie usłużny w swoim nieznanym przygarbieniu, szyję pod kolorowym kołnierzykiem ścisnął mu krawat, ta jego odznaka przynależności do klasy myślącej, którą się przede mną chlubił, że gdzieś tam coś studiuje w wieczornym *college'u*, chciał mnie na to wziąć, przylepić się do mnie, jak ślimak do szerokiej blaszki liścia, aby ją opluć i obciążyć, poderwał się i cofając się tyłem, ustępując mi łóżka oparł się o ścianę.

— Olivio...

— No? — mruknęłam i wyciągnęłam się na łóżku. Przyglą-

dałam mu się: bardzo nieszczęśliwie wyglądał z tą łysiną, jak stary noworodek, twarz jego była pełna, z rumieńcami zawieszonymi jak dwie krwawe płachty na szerokich policzkach, wargi wywinięte i grube drżały teraz: dolna drżała silniej opadając co chwila i odsłaniając zęby, jakby chciał coś powiedzieć, wahał się i powstrzymywał. Byłam przekonana, że nigdy nie miał dłuższego, poważniejszego stosunku z kobietą, pewnie były to tylko przelotne, tanie prostytutki, był zbyt nieśmiały, ta wczesna łysina dała mu porządnego łupnia na całe życie. Miał mi teraz coś ważnego do zakomunikowania, bo nawet jego nogi — te nieproporcjonalnie krótkie w stosunku do tułowia dwie rury ciepłego makaronu — dygotały. I on sobie wyobrażał, że z własnej woli i bezinteresownie ulegnę tym kluchowatym udom? Rościł sobie do mnie pretensje za tamte chwile słabości, gdy pozwoliłam mu zająć się sobą, głupia, wyczerpana i opuszczona, nie podejrzewając, że on już sobie wtedy szykował wygodną przyszłość, że drżał z podniecenia niby to okazując braterską troskliwość.

— Gdzie byłeś? — spytał.

— Wiesz dobrze gdzie byłam.

— Ale dlaczego tak długo?

— Widocznie musiałam.

— Co ona mówiła?

— Nie twoja sprawa.

— Nie daj się podejść, to są wyuczone sztuczki. Powiedz, o czym z nią mówiłaś?

Poderwałam się i rąbnęłam w niego pantoflem.

— Żebyś poszedł do diabła, rozumiesz?

Uchylił się na czas, bo dostałby pantoflem w głowę. Położyłam się znów i myślałam, żeby on sobie nareszcie poszedł, byłam już przecież gotowa, moja decyzja była kroplą najczystszej miodu: ciężka i słodka, zebrana z trudem, przerobiona pieczętowanie i z bólem.

— Olivio — powiedział. — Nigdy nie kochałem żadnej kobiety...

— Acha... — ziewnęłam.

Nie zwrócił na to uwagi. Mówił z trudem, wzruszony i podniecony, wydawało mi się, że może nawet nie mówił do mnie tylko do całej atmosfery pokoju, która mnie otaczała, jakby ta atmosfera: intymne światło lampki, zapach moich ubrań, dekoracja starej komody pobudziły go, dodały mu odwagi do wypowiedzenia się, do zagrania przed samym sobą roli, której nie miał odwagi zagrać przed innymi.

— ...byłem zawsze bardzo nieśmiały i wydawało mi się, a może to tak było naprawdę, że kobiety nie uśmiechają się do

mnie, a tylko ze mnie się śmieją. Do trzynastego roku życia byłem normalnym chłopcem, miałem trzynaście lat, gdy nagle w ciągu kilku dni straciłem wszystkie włosy. Czy wyobrażasz sobie co to był za szok?

Patrzyłam na sufit i dyndałam nogami w powietrzu. Myślałam: gadaj sobie zdrowo i tak zaraz cię przepędzę. Ale gdy usłyszałam: „trzynaście lat” i „szok”, znieruchomiałam. Miałam więc jednak coś z nim wspólnego, w jakiś okrutny sposób natura poczęła sobie podobnie z Melvinem, tą słabą, sflaczałą kreaturą, tym niedoszłym prawnikiem, wiecznym studentem wieczornego *college'u* i ze mną, jedyną z tysięcy, utalentowaną, inteligentną, wysportowaną i odważną. Głos jego nie dochodził do mnie, leżałam nieruchomo na łóżku, a sztuczne oko podsufitowej żarówki spoglądało beznamiętnie na moje obnażone nogi, na czarną halkę, na nierówno unoszące się i opadające piersi pod czarnym, koronkowym biustonoszem, na moje skurczone usta, na których brzegu pozostał ślad sinawej pomadki i na przymknięte powieki spod których od czasu do czasu wymykała się leniwa łza i zabarwiona niebieskim tuszem rzęś wsiąkała w cienką, ciemną kapę, którą zasłane było łóżko.

Powiedziała mi o tym gdy skończyłam 13-cie lat. W dzień urodzin. W samo południe upalnego dnia. Nie czekała do wieczora, ani do momentu w którym zapalą się świece na urodzinowym torcie, a ja nabierając pełno powietrza do płuc zdmuchnę je, na wpeł świadomie formułując życzenie nowych świeczek, wgryzania się, smakowania nowych tortów. Nie dziwię jej się teraz. Była już niespokojna i niecierpliwa i pewnie te moje trzy-naste urodziny były jakąś metą dla niej, przekroczeniem linii i balansując na palcach chwiała się nad tą linią, nad moim życiem, pchana już samą tylko ciężkością własnego ciała do przekroczenia na drugą stronę. Byłam jej udręczeniem, wstydem, zakłóceniem jej życia, niewypełnieniem jej życia, byłam powodem jej sprzeczek z ojcem, nieustannego chodzenia do szkoły, aby usłyszeć „co myślą o moim zachowaniu”, tylko o jedno się nie obawiała, o Ralph’a. Ale może i o to właśnie zaczęła się teraz obawiać, o moją miłość do Ralph’a, moje zapatrzenie w niego, moje rozpyływanie się i mięknięcie wobec niego i o jego bezgraniczne oddanie, gdyż to wszystko co było dla niej nie do przyjęcia: moje karygodne wyczyny w szkole i w sąsiedztwie, dla niego byłv szczytem odwagi, zuchwalstwa, wyczynem. Nikt tak nie potrafi, jak Olivia — przechwalał się. — Poczekajcie no tylko — groził — już moja siostra Olivia wam pokaże. Byłam taka ładna. Moje oczy i usta, twarz i opalona skóra ciała miały świeżą, chłodną wilgoć nierozkwitłego nenufaru. A ona, stojąc przede mną nie widziała tego, bo wiem teraz, nie było jej we mnie i moja młodość nie wzbudzała w niej echa za którym mogłaby biec do utraty tchu i do początku pamięci, tam skąd odbija się echo, i nie było też w niej energii, która jak zryw rakiety porwałaby ją ku górze, aby wytrysła ponad siebie i ponade mnie tak wysoko, aż do miejsca z którego nie widać rysów twarzy a tylko dwie sylwetki

ludzkie podobne do siebie. Biedna matka moja, biedna Krystyna, przecież to nie jej wina, że nie umiała mnie kochać. Powiedziała:

— Olivio, chcę z tobą pomówić.

Siadła na fotelu na wprost mnie, ale i na wprost okna, aby mogła swobodnie mrużyć oczy przed słońcem i przesłaniać je ręką, gdyż słońce było tego dnia jej sprzymierzeńcem. Za szerokim oknem salonu stały podслуchując nieruchome krzaki azalii, upał czołgał się po trawniku i rósł, rozrastał się do bezlitosnej białości wypalając we mnie datę tego dnia na całe życie. Poprzez ten upał, niby powiew od niedalekiego oceanu, głos brata mego Ralph'a — bawił się z najmłodszymi dziećmi Adams'ów. A tu: moja matka, jej zapach sprzątniętej kuchni i przełożonej lawendowymi saszetkami bielizny, trochę zapach deski do prasowania i sztucznych kwiatów na jej wiosennym kapeluszu. To kształt mojej matki: wydłużony i ukrywający wypukłości kobiecego ciała, jakby im przecząc i nie dopuszczając ich do głosu. A to jej głos: okrągły, słodki, nieprawdziwy, przybierający słowa w drobne, niewinne kwiatki na brzegach szamoczącej się dżungli:

— Olivio, kochanie, jesteś już dorosłą dziewczynką i zdecydowaliśmy z ojcem oddać cię w tym roku do internatu. Jest to internat prowadzony przez zakonnice. Ojciec twój i ja...

— Nie chcę! — krzyknęłam. Porwałam się z kanapy i stanęłam przed nią wyzywająca i wściekła:

— Nie, nie, nie chcę!

Nie poruszyła się, nie odpowiedziała, znieruchomiła, zastygła w kształt, który był moją matką, połączona z fotelem, bardziej mu bliska niż mnie, coraz bardziej, coraz okrutniej obca, jakby mi się wymykała z rąk.

Przeraziłam się, moja złość opadła ze mnie i ogarnęła mnie nagła, dygocząca rozpacz wydawało mi się, że matka moja odchodzi ode mnie, zanika, umiera. Rzuciłam się przed nią na kolana i drżąc, płacząc wołałam:

— Mamo, mamó, przysięgam, przyrzekam, poprawię się!

Potrząsałam ją za kolana, obejmowałam jej obciążnione spodnicą kolana, przytulałam do nich splakaną twarz.

— Mamo, mamó, nie wysyłaj mnie, mamó! Ja chcę być w domu, chcę być z wami, chcę być z Ralph'em; O mamó, Kochana moja, przyrzekam, poprawię się! Mamó!

— Olivio — powiedziała i zdjęła moje dłonie z kolan, położyła mi ręce na ramionach i otworzyła oczy szeroko, jak człowiek, który przezwycięża strach:

— Nie jestem twoją matką. To też chciałam ci dzisiaj powiedzieć.

Cofnęłam się. Przede mną siedziała Krystyna Sloan. Była to

kobieta o twarzy zmęczonej, zmarszczki bieły od kącików nosa do ust, policzki, jak ciało uwolnione z ciasnego gorsetu, obwisłe i z czerwonymi plamami, jej zwykle gładko zaczesane włosy upięte były nieporządnie, może w pośpiechu, może drżącymi rękoma, siwy kosmyk przecinał pochylone czoło i powiekę.

Patrzyła w podłogę i jeszcze głębiej wrastała w fotel. Cze-kałam. Nie odzywała się. Myślałam: to nieprawda, nie, to nie-prawda, matka moja kłamie, to nowy jakiś rodzaj kary. Krzy-knęłam:

— To nieprawda! Nie wierzę!

Nie poruszyła się. Potrząsnęłam ją za ramiona, krzyczałam:

— Kłamiesz! Jesteś podła! Kłamiesz, że nie jesteś moją matką. Ty wstrętna! Nienawidzę cię, nienawidzę cię. Powiedz, że to nieprawda. Powiedz, mamó!

Wzruszyła ramionami, spojrzała na mnie obojętnym, zmęczo-nym wzrokiem.

— Myślałam, że potrafię cię wychować.

Wywinęła ręce dłońmi ku górze i uderzyła nimi o kolana, jakby mi pokazując, dokumentując, że są puste.

— Powiedz mi, że to nieprawda — prosiłam.

— Prawda.

— Więc Ralph nie jest moim bratem? — jęknęłam.

— Nie.

— I tatuś...?

— Też nie.

— I ty też nie?

— Nie.

— Och — szepnęłam — och Boże, Boże, Boże... To nie-prawda! Ty chcesz mnie tylko ukarać! Mamó, mamó, dlaczego?

Jej kolana mokre były od moich łez, szarpały mną drgawki płaczu, wydawało mi się że umrę za chwilę, że serce stukające nieprzytomnie ustanie. Uwieszona jej kolan szamotałam się w dziwnej, głębokiej próżni, gdyż całe moje dzieciństwo, świat w którym wyrosłam rozpadał się, walił i kończył, a ja rozpadałam się i umierałam z nim razem i rodziłam na nowo świadoma własnego początku obecności dwóch istot we mnie, dwóch Olivii: jednej umierającej, a drugiej zadającej śmierć.

Siedziała sztywno, jakby bała się mnie dotnąć, albo jakby broniła sobie wyciągnięcia ręki, zetknięcia swej skóry z moją. Spojrzałam na nią. Jej twarz uniesiona wysoko ponad mój płacz zesnurowana znów była gorsetem. Powiedziała:

— Dziś pójdziesz z ojcem do banku i zobaczysz papiery, są zdeponowane w banku.

— Papiery?

— Adoptowaliśmy cię, nie miałaś jeszcze roku, zobaczysz oficjalny akt adopcji.

— O, o tak. Adoptowaliście mnie, dlaczego?

Usiadłam na kanapie i patrzyłam w przeciwległą ścianę. Wisiał tam prosty drewniany krzyż i dwa duże obrazy o treści religijnej w szerokich złożonych ramach. Były to nędzne reprodukcje, ogromne, krzykliwe wizytówki, które natychmiast wypychały się gościom do ręki oczekując dyskretnych pochwał i komplementów na temat bogobojności domu.

Ten krzyż tylko by przecież wystarczył — myślałam — i dziwiłam się swemu nagłemu, spokojowi i zobojętnieniu.

— Wiesz Olivio — powiedziała moja matka, a ciepło i łagodność jej głosu wydały mi się podejrzanе, spojrzałam: Mówiła do mnie, ale patrzyła w okno, po jej sztywnych policzkach spływały łzy.

— Wiesz, miałam córkę. Miała dwa lata, dokładnie dwa lata i dwa miesiące kiedy umarła. — Moja matka pochylała głowę i rozplakała się głośno — dlatego — mówiła przez łzy — adoptowaliśmy cię. Myślałam, że może ty... ale nie, to nie było to samo, widziałam to od początku, Yvonne była zupełnie inna. Ty masz w sobie krew twojej matki. Słuchałam obojętnie, spóźnione łzy mojej matki nie obchodziły mnie, zresztą roztkliwiła się z powodu jakiejś Yvonne, nie mego.

— Powiedz mi o niej.

Moja matka uśmiechnęła się.

— Było to urocze dziecko, tak dobrego dziecka nie spotkałam nigdy...

— Nie, nie! — przerwałam — powiedz mi o tamtej.

Spojrzała na mnie półprzytomnie niby wytrącona z transu, ze swego tajnego świata marzeń, potrącona brutalnie moim niezainteresowaniem, a przecież już prawie chciała mnie do niego dopuścić, nie jako córkę, ale powiernicę, ośmielona moim rzekomym zainteresowaniem się, moim współczuciem dla jej łez i jej żaloby, już może nawet zmieniała swoją opinię o mnie, gdy tymczasem ja powtórzyłam spokojnie:

— Nie, nie o twojej córce. Twoja córka nie żyje. Powiedz mi o tamtej, tamtej kobiecie... czy ona żyje?

— Ach ona... tak, o ile wiem, tak.

— Gdzie? — zawołałam.

— Olivio, nie możesz, nie powinnaś, nigdy, nigdy... prze-nigdy — płatała się zdenerwowana i podniecona.

— Dlaczego?

— Nie powinnaś wiedzieć. Lepiej, żebyś nie wiedziała.

— Nie powiesz?

— Wolę nie mówić.

— Tak? — poderwałam się. — To nie mów! I tak się dowiem, dowiem się i pójde do niej, powiem jej, jak traktujesz dziecko, które ci powierzyła.

— Nie powierzyła, oddała, zapłaciliśmy jej.

Stałyśmy na wprost siebie zaczerwienione i złe.

— Kupiłaś mnie! — krzyknęłam — i wydaje ci się, że możesz ze mną robić co ci się podoba! Nie jesteś moją matką, nie masz do mnie prawa! — Krzyczałam teraz tak głośno, że pewnie wszyscy w sąsiedztwie słyszeli mój piskliwy, histeryczny głos.

Moja matka chwyciła mnie rękami za bluzkę, opanowywała się, aby mnie nie uderzyć.

— Słuchaj ty mała jędzio, ty żmijo wychodowana w naszym domu, nie jesteś lepsza od twojej przeklętej matki. Chcesz się dowiedzieć o niej? Dobrze, więc wiedz nareszcie, dobrze! Jest ochłapem ludzkim, nic nie wartym śmieciem. A twój ojciec diabli wiedzą kto. I ty też taka będziesz, ty też, słyszysz, ty też! Starałam się, robiłam co mogłam, poświęcałam się, ale złej krwi nie mogłam z ciebie wypędzić! Zła krew twojej matki jest w tobie!

Wyrwałam się. Odepchnęłam ją. Ze strzępem mojej bluzki w zaciśniętych kurczowo dłoniach zatoczyła się i upadła na kanapę.

Dopałam mego pokoju i rzuciłam się na łóżko.

— Mamo! Mamo! Mamo! — płakałam. A wołałam tak już po raz ostatni, gdyż wtedy w samotności mego płaczu zrozumiałam, że żadna z moich matek mnie nie usłyszy. Ze ściany ponad łóżkiem różowoniebieski, papierowy Anioł-Stróż rozwinął swoje łagodne, bezradne skrzydła i jak wielki, spłoszony motyl uleciał z rozpadającego się, przestającego istnieć pokoju mego dzieciństwa.

Leżałam na łóżku. Obudziły mnie kroki mego ojca na dole. Chodził od kanapy do kominka i od dużego okna do drzwi kuchennych. Głos matki był szmerem, czasem jak głośniejszy, gwałtowniejszy przypływ fali unosił się aż pod sufit i rozbijał tuż u stóp mego łóżka. Rozmowa z matką wydawała mi się odległa i mniej ważna, jakbym od dawna wiedziała o wszystkim. Widocznie w płaczu moim zasnęłam, sen był jak narkotyk, po jego zażyciu mój ból stępsiał. Kroki ojca na schodach. Zatrzymał się przed moimi drzwiami.

— Olivio — powiedział — nie zamykaj się, nie rób głupstw, musimy zdążyć do banku.

— Zaczekaj — mruknęłam — zaraz będę gotowa.

Leżałam na łóżku i patrzyłam w sufit. Wszystko było mi obojętne: ojciec ze swoją małą, pouczającą mówką, którą chował dla mnie: Olivio, jak mogłaś sobie pozwolić na coś podobnego

w stosunku do matki itd. Matka ze spuchniętym od płaczu nosem i ten idiotyczny bank w którym miałam się formalnie narodzić po raz drugi wobec samej siebie.

— Ubierasz się? — spytał. — Jest już pierwsza trzydzieści, a bank zamykają o trzeciej.

— Naturalnie, że się ubieram — powiedziałam i przewróciłam się na bok.

Nie czułam najmniejszych wyrzutów sumienia, miałam prawo do kłamstwa skoro oni zdradzili mnie tak świadomie i okrutnie. Przez całe dwanaście lat ani jednego słowa, szykowali się, aby mnie umiejętnie osiągnąć gdy stanę się już w pełni świadoma.

— Słuchaj-no, wcale nie słyszę, ażebyś się ubierała. Masz dwie minuty czasu, bo inaczej pojedziesz tak, jak jesteś. — Położył rękę na klamce, ale zanim wszedł do mego pokoju, wpadł Ralph. Usłyszałam jego wesołe trzaskanie drzwiami salonu, przekłusował przez dywan, frunął schodami na górę i drzwi mego pokoju uskokczyły przed jego pośpiechem. Wskoczył na łóżko i bum! chlasnął mnie umorusaną buzią w policzek.

— Olivio! — szeptał mi do ucha, a tak głośno, że czułam huczenie jego głosiku pod czaszką — wyobraź sobie, zgadnij, co przyniosłem ci na urodziny?

— Co? — poderwałam się.

— Prawdziwą ropuchę.

— Głupku, nie kładź jej na łóżko!

Puściliśmy się w pościg za żabą, odbijała się wielkimi susami od podłogi i była naprawdę ogromna, przerażona i nieszczęśliwa pewnie, ale zimnokrwista w swoim gadzim opamiętaniu.

— Podoba ci się? — dyszał Ralph wyłaząc spod łóżka — patrz, cicho teraz, usiadła w rogu, widzisz, koło półki z książkami.

— Jest wspaniała.

— Henry Adams powiedział, że to jego, że on ją pierwszy zobaczył.

— Ale ty złapałeś?

— Ja. Podoba ci się?

— Bardzo. Trzymaj pudełko, teraz ją złapiemy.

— Czy jesteś zadowolona z prezentu? Henry Adams mówił, że taka żaba kosztuje dużo pieniędzy, można ją trenować.

— To nadzwyczajny prezent. Bardzo ci dziękuję.

— *Happy birthday*, Olivio!

— O Ralphy — szepnęłam — braciszku.

Odwrociłam się. Mój ojciec stał za nami. Miał twarz na brzmiałą i zaczerwienioną od upału i jego przekrwione, brunatne oczy unikały mego wzroku.

— Dlaczego nie jesteś gotowa?

— Zaraz będę gotowa, włożę tylko czystą sukienkę.

— Tatusiu! — Ralph przypadł do niego. Trzymał w jednym ręku pudełko z żabą, a drugą ciągnął ojca za spodnie. — Patrz, co przyniosłem Olivii!

— Wyrzucić tę żabę — powiedział.

— Będziemy ją trzymać w ogrodzie — prosił Ralph. — Przyniosłem to Olivii na urodziny.

— Kupimy Olivii inny prezent.

— Tak! — zawołałam. Zawiazywałam szarfę mojej odświeżonej, nylonowej sukienki. — Tatuś jedzie mi kupić wspaniały prezent.

— Olivio! — krzyknął mój ojciec. — Prędzej! Musimy już wychodzić!

— Zabierzcie mnie z sobą! — prosił Ralph. — Proszę, proszę, zabierzcie mnie z sobą.

Ojciec pochylił głowę, przygryzł usta, jego siwawy *crewcut* wydał mi się bardziej siwy, czerwony, pobródzony kark był wilgotny od upału. Pomyślałam: ciekawa jestem jak wyglądał mój ojciec?

Ralph spoglądał to na mnie, to na ojca i nagle rzucił pudełko z ropuchą, dwoma susami dopadł mego łóżka, wskoczył, zeskoczył na podłogę, znów skoczył, zeskoczył przewrócił stolik, lampa potoczyła się na podłogę, aż pod drzwi, brzęknęło szkło żarówki.

— Co tam się dzieje? — wrzeszczała moja matka, biegła na górę.

Ralph rzucił się na podłogę, kopał, wierzgał i parskał.

— Wstań mi natychmiast! — krzyknął ojciec.

Ralph zaczął płakać najpierw cicho, potem coraz głośniej, rozpaczliwiej, płakał skurczony na podłodze.

— Ralph! — podbiegłam do niego.

— Wynoś mi się stąd — ryknął mój ojciec. — Wychodź natychmiast i czekaj na mnie na dole.

Minęłam się w drzwiach z matką. Miała zapuchły nos i czerwone wory pod oczami.

— Co mu się stało? Co mu się stało? — patrzyła na ojca ignorując mnie zupełnie.

— Zajmij się nim Krystyno — powiedział ojciec — nic się nie stało, nie pozwoliłem mu zatrzymać żaby w domu.

Uwolniona z pudełka żaba dyszała w kącie pomiędzy oknem, a półką na książki, było tam trochę zielonawego półmroku i to pewnie dawało jej złudzenie bezpieczeństwa.

Ojciec otworzył drzwiczki samochodu, powiedział:

— Prędzej, nie możemy przyjechać w ostatniej chwili.

Wyglądałam fałbanki sukienki. Nie mówiliśmy. Ojciec za-

startował ostrzej niż zwykle, minęliśmy dom Adams'ów, Alice uniosła głowę znad książki i machnęła ręką, jej profil wybiegał naprzód jak galopujący wyżeł. Była w tym podobna do swojej matki. Tamte róże zostały już zapomniane i teraz krzaki wzdłuż ścieżki były czerwone i różowe od kwiatów. Obracająca się na trawniku fontanna wody co sekunda zmywała im głowy. Niedopowiedzenia tkwiły w nas jednak i ropywały przez lata, jak nie-usunięte ciernie. Była więc to znajomość powierzchowna i na niby, mogła o byle co zaognić się w nienawiść.

— Alice dużo czyta — powiedział mój ojciec i znów jechaliśmy milcząc wzdłuż naszej długiej ulicy popstrzonej z obu stron domkami z piernika, które różniły się między sobą kwiatami w ogrodzie i kolorem firanek. Ogarnęło mnie przerażenie, że mogłabym tu na zawsze pozostać. Po raz pierwszy pomyślałam, że istnieje świat inny z którego ja tu przyszedłam, świat w którym mieszka moja matka. Ale jak się do niego dostać? Jak ją odnaleźć? Jak ona wygląda? Po raz pierwszy w moim domu usłyszałam o niej. Dźwięk słów dygotał jeszcze we mnie. Myślałam: Jaka ona jest naprawdę? Nasza wąska, cicha ulica, jak drobny dopływ rzeki, rozszerzała się i wpadła w hałaśliwą *highway*. Już niedaleko do banku. Teraz zobaczę papiery, a potem pewnie odeślą mnie do mojej prawdziwej matki. A ona wyrzuci mnie, odda, już przecież raz mnie oddała. Położyłam rękę na klamce drzwi: otworzę, wyskoczę i przejedzie mnie samochód. Nie miałam odwagi, cofnęłam rękę. Myślałam znów: połknę całą butelkę aspiryny, to będzie łatwiej, położę się do łóżka, zasnę i koniec. Spojrzałam na moje ręce: najlepiej przetnę sobie żyły żyłką, to tylko trochę boli na początku. Zaczęłam cicho płakać. Pęd powietrza chłodził mi szyję, lzy kapały na nylonową, niebieską sukienkę.

Mój ojciec zatrzymał samochód, stanęliśmy na brzegu jezdni.

— Dziecko, dziecko... — powiedział. Jego oczy były wilgotne. Dotknął moich włosów nieśmiało, ręka była gorąca, czułam jej drżenie. — Uspokój się, nic się nie zmienia.

Płakałam coraz rozpaczliwiej, cicho i tylko od czasu do czasu szloch, jak głuche rżenie podrywał mnie wbrew mojej woli bolesnym, szorstkim szarpnięciem.

— Może nie trzeba ci było nic mówić — szeptał mój ojciec — zrobiłem błąd, zrobiłem jakiś błąd. Olivio, wierz mi, chciałem, jak najlepiej.

Nigdy tak do mnie nie mówił. Przestałam płakać, spytałam:

— Czy ty ją znałeś?

— Może wrócimy? — powiedział. Nie patrzył na mnie, wargi poruszały mu się, jakby się modlił.

— Jedźmy — zdecydowałam.

Zapuścił motor, ruszyliśmy. Zza zakrętu wyskoczyła wieża kościoła biała i chłodna w rozpalonym powietrzu.

— Czy ty ją znałeś? — powtórzyłam.

— Tak — szepnął — jeśli to można nazwać znaniem. Widziałem ją, rozmawiałem z nią. Otworzyłam usta, miałam zeschnięte gardło, zdrętwiałe wargi, z obydwu stron nacierały już zabudowania przedmieścia, waliło to wszystko na mnie: płoty przydrożne, wielkie szyby *supermarketu*, ściany domów, dachy domów, czułam się zdruzgotana, pogrzebana pod tą lawiną, we mnie czas topniał nagrзany popołudniowym upałem. Nie mogłam mówić. Już teraz tylko dwie mile i bank. Mój ojciec nie odzywał się, jego twarz była jednym wielkim okiem skupionym nad kierownicą, wlepionym natarczywie w drogę, i mózg i serce i wszystkie uczucia w tym wielkim, jedynym oku — prowadził samochód, co za ulga nie potrzebował myśleć.

— Mamy *parking* — powiedział. — Już widzę, przed samym bankiem. No to zrobiliśmy — cieszył się — udało się, no świetnie udało się, pobiliśmy rekord, ale światła układały się dobrze.

Siedziałam bez ruchu, ta cała droga ze wszystkimi zabudowaniami, pośpiechem i upałem leżała na mnie, byłam nią przydużona, przygnieciona, umierałam pod nią. Otworzył drzwiczki, powiedział:

— Wsiadaj Olivio.

Ruszyłam zgarbiona i obolała, przede mną dwie gładkie szyby banku ze złotymi napisami jak dwie wygolone twarze zapłakanych kłownów. Powiedziałam nie patrząc na niego, zwrócona ku niemu: Dlaczego mnie oddała?

Ręka mu drgnęła, jakby sparzył go mój szept, spojrzał na klucz od samochodu, patrzył na klucz, zaabsorbowany nim, schowany poza nim.

— Nie zrozumiesz, nie pytaj się.

Szarpnęłam go za rękę, staliśmy przed drzwiami banku.

— Powiedz mi, czy ty też mnie oddasz? Już mnie nie chcecie?

— Nie, nie, nie, na miłość Boską nie!

Weszliśmy do banku.

Menażer wysunął się zza biurka i już podskakiwał niby to nieco leniwie ociężały swoją ważnością, ale i usługą, bo klient znany i szanowany, i mrugał wesoło rzadkimi wąsikami jak królik:

— Moje uszanowanie, panie Sloan, dość gorąco, prawda?

— Jak pan się czuje, panie Royce — powiedział mój ojciec — to moja córka Olivia.

Znałam ten bank, byłam tu wkrótce po jego otwarciu może rok temu, a może dnia poprzedniego. Czas nie był ważny. Tylko

kwiaty: stały tu dawniej kosze oleandrów, palm, strzępiastej, sutej zieloności podtrzymanej powojem, wstążkami i bibułą, teraz tylko tu i ówdzie sterczał sztywny, niby blaszany liść straszliwie i uroczyscie jak oddźwierni w salonie pogrzebowym. Ukłoniłam się panu Royce. Rozglądnęłam się po banku. Zakręciło mi się w głowie. Bank był okrętem, kołysał się. Przez szklane ściany niebo waliło jak morze. Zza drewnianej barierki kapitan Royce przyglądał mi się. Przyzwyczajony do patrzenia poprzez szkło widział mnie dokładnie.

— Jak się masz Olivio?

— Dobrze, dziękuję.

— Wydajesz mi się trochę blada.

— Upał, panie Royce — powiedział mój ojciec — upał, no i nagle zmiana temperatury.

— Naturalnie — spowaźniał Royce. Może nie tylko spowaźniał, zesmutniał. Był okrąglejszy od mego ojca, chociaż gdy stali na wprost siebie, równy mu wzrostem. Nie patrzył na mnie, ale widziałam, że mnie obserwuje. Jego pełna twarz z rzadkimi wąsikami i przyglądzonymi ciemnymi włosami miękła, czerwieniała i marszczyła się, jak twarz dużego chłopca, który podpatrzywszy coś udaje, że się nie wstydzi i o niczym nic nie wie. A może Mr. Royce jest moim ojcem? — Naturalnie, zmiana temperatury. Czym mogę panu służyć?

— Chciałbym zajrzeć do *safe'u*.

— Naturalnie. Mr. Spar panu usłuży. Czy coś jeszcze?

— Nie. A, w przyszłym tygodniu przyjdę do pana omówić pożyczkę dla klienta, przeróbka domu.

— Z największą przyjemnością.

Jest to nowoczesny bank, bliźniacze mu domy bankowe wyrastają w podmiejskich osiedlach północy, zachodu czy wschodniego wybrzeża. Szkło, trochę drzewa, stal i marmur i znów szkło, wszystko jak przejrzyste ciało meduzy. Jest to właściwie słup światła dziennego, uciepione sufitów neony jak wielkie fosforyzujące gąsienice czyhają na najlżejsze poślizgnięcie się dnia, aby go przepędzić. Stare urzędniczki o siwawych, u fryzowanych włosach i sztywnych równych odwłokach grzebią się w zielonych stertach nieswoich pieniędzy. Ludzie przed okienkami czekają w ogonkach przestępując z nogi na nogę i zawsze im się śpieszy. Teraz wszystko patrzyło na mnie. Urzędniczki znieruchomiały przy liczeniu pieniędzy, a klienci zastygli w półobrocie. Zatrzymałam czas. Tylko ja i ojciec, jak dwie wskazówki zegara posuwalismy się po wyfroterowanej marmurowej posadzce od drzwi wejściowych i od wyspy otoczonej drewnianą barierą gdzie urzędował Mr. Royce, do przeciwległego końca, jedynej szarej plamy,

jakby wszystkie cienie skupiły się w tym właśnie miejscu, do ściany z krat, poza którą niby małe cele więzienne dla liliputów zamknięte hermetycznie na klucz połyskiwały zieloną farbą metalowe szufladki *safe'ów*. Szłam niepewnie, gdyż podłoga kołysała się, a moja nylonowa sukienka podnosiła, jakby pod wpływem wiatru i wydawało mi się odfrunąć ze mnie jeśli nie przytrzymam jej ciasno ramionami i zostanę pośród tych ludzi i natarczywej jasności pół-naga, konająca ze wstydu. Ojciec, chociaż siedł obok mnie, nie liczył się, nawet nie wyciągnęłam ręki, aby się go przytrzymać. Była to pierwsza droga, którą odbywałam zupełnie sama, a jego obecność przy mnie była tylko oficjalnym podpisem.

Za kratą stało biurko. Człowiek podniósł się zza biurka, chudy i szarawy, twarz sztywna, drętwa twarz przewoźnika przez rzekę. Otworzył kluczem drzwi i zabrał nas do swojej łodzi. Poza kratą uwięziona i nieświadoma samej siebie leżałam uśpiona, aby obudzić się w bezsłonecznej godzinie.

— Dzień dobry panie Spar — powiedział mój ojciec. — Chciałbym zajrzeć do mojej kasy.

Człowiek sprawdził numer w kartotece. Znaleźliśmy się w pokoju, którego ściany uworzone były z dziesiątków małych kasetek. Urzędnik otworzył zamek jednej z nich i podał nam kasety. Była długa i wąska, nie większa od mego przedramienia, a jednak byłam w niej cała. Ojciec wyjął kopertę, wyciągnął z niej złożony we dwoje sztywny arkusz papieru, rozprostował i podał mi, a raczej położył na moje wyciągnięte ręce.

— Przeczytaj Olivio.

Obejrzałam się czy urzędnik nie stoi poza nami, nie było go, odszedł do swego biurka. Spojrzałam na dokument. Początkowo nie widziałam nic. Ogarnęło mnie to ścierpienie jak przy zanurzeniu stopy w bardzo zimnej wodzie i ten strach instynktowny przed zanurzeniem się całkowitym, to wahanie, które jest z góry przegraną walką z własną decyzją. U góry tłustym drukiem tytuł dokumentu:

DECREE OF ADOPTION

It is thereupon on this... day... by the Court Adjudged ordered and decreed that the Infant... child...

Widziałam ich, wychylali ku mnie głowy w białych, skołtunionych perukach, ich szyje wyłaziły z szufladek *safe'ów*. Jeden miał twarz okrągłą i czerwoną, jak mój ojciec, a drugi krzacaste, krótkie brwi i sterczące, szpiczaste uszy. Sędziowie. *The Court.*

.....be and she is hereby decreed to be the legally adopted child....

Rozglądałam się. Stałam w ogromnej, kwadratowej sali przed

potężnym marmurowym pulpitem, z obu stron pulpitu sztandary i za pulpitem wielkim, ponurym, jak sarkofag — dwaj sędziowie. Stałam na podniesieniu, moja nylonowa sukienka unosiła się do góry, przeciąg ciągnął po podłodze, jakby kilka silnych wiatraków szamotało się w rogach sali. Okrągły, czerwonawy sędzia powiedział:

— Masz zeznawać Olivio. Przysięgnij, że będziesz mówiła prawdę, tylko prawdę.

— Przysięgam.

— Jak się nazywasz?

— Nie wiem.

— A dlaczego tu jesteś, dlaczego cię mamy sądzić?

— Jestem adoptowana — szepnęłam.

— Co? Co mówisz Olivio? — to był głos z sali, głos mego ojca.

— Proszę o ciszę! — krzyknął chudy, czarny sędzia. — Czy przyznajesz się do winy?

— Nie. Ja nic nie zrobiłam, ja nic nie zrobiłam!

— Jak się nazywasz?

— Nie wiem, nie wiem, nie wiem!

— Olivio, uspokój się.

— Proszę o ciszę! — Czarny chudy sędzia podniósł się zza pulpitu, ogromny, wydłużony w swej czarnej todze, wskazał palcem na mnie:

...it is hereby decreed that the name of said Infant be and is hereby changed to OLIVIA.

— Olivia, Olivia, Olivia! Uspokój się, nie płacz, nie rób przedstawienia.

Stał przy mnie, wysoki mężczyzna, równo związany krawat przy białej koszuli, nieczułe ramiona, które bał się unieść, aby mnie nimi przygarnąć. Mój ojciec. Tchórz! Strzelał do mnie zza krat i zza stalowej ściany. Przedzierzgnął się nawet w sędziego, włożył na siebie jego twarz i togę. Przetarłam oczy, oddałam mu papier, powiedziałam:

— Przepraszam — i za chwilę: Tu nie ma nazwiska.

— Ach nazwisko! Tamto nazwisko nie ma znaczenia, nie jest ci potrzebne. Najważniejsze chciałem ci powiedzieć, że jako legalnie adoptowane dziecko dziedziczysz po nas na równi z Ralphem.

Spojrzał na mnie z wysoka i godnie.

— Daliśmy ci wszystko: religię, dom, nasze uczucia...

— Tak, tak... — kiwałam głową. Nigdy jeszcze tak do mnie nie przemawiał uroczyście i obco. Dawniej, pamiętam jeszcze,

przychodził do mego pokoju gdy spałam i czasem budził mnie szept jego modlitwy.

— ...wszystko, tylko nie życie...

— Tylko nie życie... — powtórzyłam. Staralam się być układowa i posłuszna.

— Życie jest od Boga. On nam je daje i On je osądzi.

— Tak — szeptałam. — On je osądzi. — Nie wiedziałam co mówię, powtarzałam jego słowa, jak echo.

Spojrzał na mnie zaniepokojony.

— Ona — powiedział cicho — była innego wyznania.

— Och — westchnęłam — och tak. — Nic mnie już nie obchodziło.

Poczułam, że wkłada mi coś do ręki. Pierścioneł. Był wzruszony, palce mu drżały.

— To jest twój prezent urodzinowy.

Był to cienki, złoty pierścioneł z małym brylancikiem.

— Podoba ci się?

— Jest piękny — powiedziałam — dziękuję.

— Nie wydajesz się specjalnie zachwycona. Kupiliśmy go w tamtym czasie z myślą o tobie.

Nie odpowiedziałam, mój ojciec też milczał obrażony.

Krata zamknęła się poza nami. Bank znów huczał i pędził jak opętane sekundy czasu. Może nawet szybciej, bo i urzędniczek ogarniało podniecenie kończących się godzin pracy.

Wsunęłam pierścioneł na palec i wydawało mi się poślubiam nieznane, które już raz kiedyś było, już raz się stało, a teraz czekało na mnie po raz wtóry, czyhało na mnie przechowane pieczołowicie w domu moich rodziców. Ten pierścioneł nie był kupiony z myślą o mnie, zbyt wiele przywarło do niego innych myśli, wtedy, w tamtym czasie. Pierścioneł zastawiłam później w lombardzie za dwanaście dolarów. Nie wykupiłam go. Ani Kris, ani ja nie mieliśmy pieniędzy. Może leży jeszcze w lombardzie, bo kwit został w kieszeni Krzysztofa. Jego ślad pozostał na moim palcu wytłoczony, jakby wypalony, może dlatego, że został mi ofiarowany w miejscu, które wtedy wydało mi się poza światem.

KRIS, KRIS, KRZYSZTOF!

Tylko imię. I pamięć dotknięcia. Tak przylega do policzka, do dłoni, do piersi porowata, nagrzana słońcem skórka dojrzałej pomarańczy. Ale ja byłam mięszkiem, ja byłam zapachem, smakiem, słodyczą i gorzkim, cierpkim rozgryganiem. Teraz tylko imię.

Był czerwiec, miałam piętnaście lat. Niby przez kraty konfesonau, przez gałęzie drzew, rozsiadłe na szczycie wzgórza, milczące i uroczyste, jak wieczność, czerwone budynki szkolne nadsluchiwały.

Sandra powiedziała: — Pojedziesz z nami? Pojedziesz?

Skinęłam głowę. Chwyciła mnie za obie ręce, stanęła przede mną niższa i mniejsza, szeptała: — Ach to wspaniale, wspaniale, że pojedziesz. Cieszysz się?

Za jodłami o długich, miękkich igłach toczyło się czerwone słońce, głośno cykały świerszcze. Koniec roku szkolnego, drugiego roku w internacie dla dziewcząt. Myślałam: pojedę, pewnie, że pojedę. Rodzice zgodzili się łatwo. Niech ktoś inny kłopotce się mną w czasie wakacji. Dość mieli zeszłego roku kiedy uciekałam im do kina, wracałam późno z basenu pływackiego do domu. Zresztą ojciec Sandry miał dobrą pozycję, był prezesem firmy, zdaje się wytwarzali części do maszyn. To jego stanowisko, tytuły wydawały się gwarantować moim rodzicom dobrą opiekę nade mną. Myślę, że nawet nie chodziło o opiekę, posłaliby mnie byle gdzie, byle tylko z daleka od nich.

Dwa lata w internacie! Skreślane kartki z kalendarza, błagalne listy w których przyrzekałam poprawę — to było na początku, wtedy, gdy łudziłam się jeszcze, że mnie zabiorą. Później, wydawało mi się, umrę z tęsknoty zebrałam tylko o jeden łyk domu, o jedno spojrzenie, o jedną noc we własnym pokoju. Bu-

dziłam się krótko po północy dygocąc z chłodu obejmowałam ramionami kolana, wtulałam się w samą siebie. Moje silne, opiekuńcze ręce kołysały, uciszały mój bezradny, dziecinny strach. Uspakajałam samą siebie czekając na sen, którego szary, przedranny namiot rozpinął się nagle i bezszelestnie nade mną rozdzieloną w samotności, na pocieszającą i pocieszaną. Nie mogłam jeść, mizerniałam, słabłam. Matka przyjeżdżała po mnie. Biegłam ku niej z wyciągniętymi ramionami i stawałam porażona jej twarzą. Mówiła: Znów to samo, Olivio. Co ty wyprawiasz? Dlaczego nas tak zadręczasz? Płakałam przyjeżdżając do domu. To już nie był ten dom, do którego tęskniłam, chociaż po powrocie do szkoły stawał się natychmiast dawnym. Ojciec mówił niewiele. Krążył pytaniami wokoło, pytał o lekcje, o nauczycielki, o koleżanki, o mnie — nic, jakby bał się zajrzeć do wnętrza i zobaczyć to co się ze mną działo. Zawsze z oddalenia, neutralny, starający się zachować powierzchowny spokój za każdą cenę szeptał czasem lękliwie: Jak ty rośniesz, Olivio i odwracał się zażenowany rozkwitem moich piersi i bioder. Raz pochyłona nad zlewem i gdy pomagałam jej wycierać naczynia, matka moja powiedziała:

— Szanuj swoją opinię, Olivio, pamiętaj, że dobra opinia dziewczyny to jej posag.

— Co to znaczy, mamusiu? — spytałam.

— To znaczy — tłumaczyła niejasno — że są granice, których kobiecie nie wolno przekroczyć.

Bałam się pytać o więcej. Czerwieniłam się, umierałam z ciekawości, aby ją spytać, ale wiedziałam, że mi nie odpowie, wiedziałam także, że mówi to ponieważ byłam już kobietą. Omijałyśmy tę sprawę milczeniem. Gdy pierwszy raz spłakana, przeżona i upokorzona stałam przed splamionym prześcieradłem, powiedziała krótko:

A więc to już. A na drugi dzień przyniosła mi uświadamiającą broszurkę. Myślałam czytając ją o tamtej kobiecie, która mnie urodziła i którą matka moja odkryła mi w dzień moich trzydziestych urodzin. Myśląc o niej oddalałam się od mojej matki, bo pewnie rosnąc stawałam się do tamtej podobna i to podobieństwo do niej wydawało mi się granicą, której nie wolno mi będzie przekroczyć. Gdybym mogła z kimś wtedy porozmawiać! Tyle pytań tłoczyło się we mnie, tyle spraw domagało się wyjaśnienia.

Rozmawiałam więc tylko z koleżankami w szkole, sex był niewyczerpanym tematem naszych rozmów.

Ralph, jak dawniej, był częścią dawnego domu. Ale też nie zupełnie, ponieważ ja onieśmielona jego rośnięciem, jego chłopcami, która dokonywała się bez mego udziału, po pierwszych

wybuchach krzykliwego powitania, cichłam i pozwalałam mu odbiegać do jego własnych spraw w ogrodzie i na ulicy.

Już zwykle, tego samego wieczora po przyjeździe do domu wybuchała między mną, a matką awantura o byle co, nieważny drobiazg, albo nagle rozszołchiwałam się przy obiedzie widząc ich zgromadzonych przy stole zwyczajnych i codziennych wobec mnie już rozpaczającej nad rozstaniem. Odwozili mnie do szkoły. Jechałam ponura, zamknięta w sobie, opryskliwa wobec nauczycielek, nie chciałam nawet rozmawiać z Sandrą. Teraz wracałam znów, ale nie do domu, jechałam zaproszona przez Sandrę do letniej rezydencji jej rodziców.

Sandra wpatrywała się we mnie. Myślała, może się waham, nigdy nie mogła mnie zrozumieć, jej niezrozumienie było uwielbieniem. Głos jej urywał się i drżał, a jej małe piersi wznosiły się i opadały. Jej zadarty nosek i trójkątna, śniada twarz poddane były ku górze, a ona przeginająca się, smukła, z rozwichrzoną czupryną, podobna do wiotkiej gałązki powoju i jak on szukającej oparcia, oparła się o mnie, objęła mnie, szeptała:

— Słuchaj, słuchaj, zobaczysz, poznasz Krzysztofa.

— Bardzo się cieszę — powiedziałam.

W otwartych drzwiach jadalni stała Philis, niska, krępa dziewczyna, pół-Filipinka, mieszkała razem w pokoju z Jessie, Sandrą i ze mną, potrzasała teraz dzwonkiem.

— Spieszcie się — powiedziała — pędź!

— No nareszcie, ostatni raz — mruknęłam.

— Ostatni? — zawołała. — A śniadanie jutro. — Pochyliła się. — Słuchaj Olivia, podobno jedziesz z Sandrą na wakacje?

— Mhm — powiedziałam — wygląda na to, że jadę.

Weszłam do jadalni. Dziewczęta stały przy stołach, zakonnice szeleściły habitami po posadzce, ich białe kornety pływały ponad talerzami. Sandra na wprost mnie. Obejmuje mnie spojrzeniem, duszę się w nim, otrząsam z niego, jak ja z nią wytrzymam przez całe wakacje? Pomimo to lubiłam Sandrę, ale lubieniem słabym i leniwym. Zdobyłam ją przypadkowo i wcale nie starając się o to. Uśmiecham się. Sandra odpowiada mi uśmiechem.

Gdybym mogła o niej zapomnieć! Szamoczę się w niej opleciona nią, siatką jej nóg i rąk, uśmiechów i spojrzeń, jej niedojrzałych strachów i anemicznych tragedii. To nie moja wina! Nie powinna mnie tak dręczyć. Jej śniada twarz jest jak wielka kropka pod znakiem zapytania. Dlaczego, dlaczego Olivia? Jej okrągłe ze zdziwienia oczy natarczywe, jak dwa reflektory przepalają mi czaszkę i zaglądają do mózgu. To nie moja wina! Nie wiem, nie wiem dlaczego. Nie powinna mi być tak zaufać.

A jednak wiem, że to moja wina. Przyznaję się do tego tylko przed samą sobą. I chociaż ona realna i żywa zapomniała już pewnie dziesięciokrotnie, ona cień i przeszłość powtórzona w tysiącach cieni — pamięta.

Przyszła do mnie po raz pierwszy w nocy. Przygnał ją ten jej słaby, głupi strach.

— Olivio, Olivio — szeptała — boję się.

Nie słyszałam jej kroków, obudziło mnie dotknięcie jej ręki. W ciemności, półprzytomna ze snu nie mogłam jej poznać.

— To ty Sandy? — spytałam.

— Tak, tak! — Jej ręka była chłodna na moim ramieniu. Dygotała. — Nie mogę spać, jest mi zimno, boję się.

Usiadłam na łóżku. Powiedziałam:

— Jesteś chora. Zaraz pójde obudzę siostrę.

— Olivio — błagam cię, nie, nie! Pozwól mi tylko zagrazać się przy sobie.

W sypialni było chłodno. Powoli przyzwyczajałam się do mroku. W trzy okna po przeciwległej stronie łóżka walił gruby, ciężki deszcz. Cały pokój pełen był tego niespokojnego, gorączkowego szumu, jakby oczekiwania na coś co nastąpi, co zaraz się stanie nieuniknione i przerażające. Ogołocona z liści gałąź dębu brzęknęła o szybę, niebieskie światło błyskawicy uderzyło szybkim, bezszelstnym płomieniem w sypialnię i nagle zobaczyłam łóżko Philis i łóżko Jessie oświetlone jaskrawo, jak na scenie i Sandrę niewielką i dygoczącą w niebieskiej bawełnianej pyjamie z rozczochranymi włosami na czole, na szyi i na twarzy, stojącą przy moim łóżku jak głodne zmoknięte i zbłąkane dziecko przed zamkniętymi oknami domu.

Grzmot runął krótkim ostrzegawczym pomrukiem i Sandra przypadła do mnie, zarzuciła mi ręce na szyję i przywarła tak mocno, że przez chwilę straciłam oddech. Odrzuciłam ją od siebie i przesunęłam się na brzeg łóżka.

— Właż! — mruknęłam.

Nie poruszyła się, oddychała głośno.

— Cicho! — szepnęłam. — Prędejj!

Wyciągnęłam rękę, dotknęłam jej włosów, siedziała skurczona na łóżku. Przyciągnęłam ją do siebie, otuliłam kocem. Moje ramiona pełne były jej garnącego się ku mnie, dygocącego ciała. Ta nagła bliskość obezwładniła mnie, wydawało mi się zapadam się w miękkość bez granic. Wtedy Jessie zaczęła chrapać i uprzytomniłam sobie, że ta bliskość to Sandra. Odsunęłam się i podłożyłam sobie ręce pod głowę.

— Olivio — szeptała Sandra, a jej wargi łaskotały mi szyję — ty jesteś taka dobra, taka silna...

Jessie chrapała coraz głośniej. Była to ciężka dziewczucha, silna, jak parobek i szeroka w biodrach, jak jej ojciec holenderski farmer. Zastanawiałam się czy nie wyskoczyć z łóżka i nie dać Jessie kopniaka, zwykle wtedy obracała się na bok i przestawała chrapać. Ale mogłaby się też obudzić i jeszcze by zobaczyła Sandrę.

— Słyszysz? — szepnęłam. — Ta wariatka gotowa wszystkich pobudzić.

Odwróciła się ku mnie bokiem i objęła mnie w pół. Jej ręka była już ciepła, czułam jej dłoń poprzez pyjamę. Leżałam z otwartymi oczami, bez ruchu. Była to ponura, ciemna noc późnej jesieni, deszcz nie walił już w szyby tylko szumiał jak daleki, groźny wodospad, a nasza biała, sztywna od nakrochmalonych prześcieradeł sypialnia wydawała się kołysać i jak zagubiona w ciemnościach łódź płynęła razem ze mną, z moim łóżkiem i Sandrą, której delikatne, ciepłe palce gładziły moje nagie ciało pod pyjamą.

— Sandy — szepnęłam — czego się bałaś? Burzy?

— Miałam złe sny — powiedziała.

Phillis poruszyła się na łóżku. Usłyszałam, że wstała, naciągnęłam koc na głowę.

Leżaliśmy przytulone do siebie, schowane w tunelu koca, nieruchome. Phillis podeszła do łóżka Jessie i obróciła ją na bok, potem wróciła do siebie.

Nie wiele wiedziałam o Sandrze. Sandra Ashley. Gdybym wtedy, jeszcze przed tą nocą, usłyszała jej imię i nazwisko, musiałabym się dobrze zastanowić, aby przypomnieć sobie jej twarz. Był to pierwszy rok w szkole, więc pewnie przypomniałabym ją sobie jako nową, a potem zobaczyłabym jej szafirowy sweter i krótką spódniczkę, jej opadające na szyję kasztanowe włosy i nogi szczupłe jeszcze w białych skarpetkach, niskie obcasy jej butów i jej wyciągnięte ramiona, które zarzucała na szyję swego ojca, gdyż tak ją zobaczyłam z okna sypialni, po raz pierwszy na dziedzińcu szkolnym gdy żegnała swego ojca obejmując go za szyję i przytulając się do niego. To tylko zapamiętałam: pożegnanie. Mr. Ashley szeroki i ciemny z białym trójkątem koszuli stał i patrzył jak Sandra odchodziła do szkoły, bo pewnie tak się umówili, że ona odejdzie pierwsza, a on odjedzie potem, aby jej nie było przykro, żeby nie widziała tyłu odjeżdżającego samochodu tylko łudziła się, że ojciec jest gdzieś blisko obecny, chociaż nie w zasięgu jej wzroku i że nie pozostaje sama w obcej szkole wśród nieznanomych ludzi. Stał z podniesioną ręką, a ja patrzyłam na niego zazdrośnie. Rozumiałam doskonale co się działo pomiędzy nimi, rozumiałam i odczuwałam lepiej niż Sandra, a potem smakowałam to sama jeszcze raz jak człowiek głodny, wzdychający do potraw, których nie kosztował. Widziałam ciemnoczerwony

Cadillac, sylwetkę ojca Sandry na jego tle: ciemne włosy i ciemną, opaloną twarz i jak opuścił rękę wolno i otworzył drzwi samochodu, znów zamknął, wyprostował się, spoglądał przez chwilę na drzwi środkowego budynku poza którymi zniknęła Sandra, podniósł głowę w górę i przyglądał się oknom sypialni, może myślał że dostrzeże w nich Sandrę, ale tylko zobaczył mnie, uśmiechnął się, miał ciemne oczy, bystre i twarz wygoloną i świeżą mimo długiej jazdy samochodem, skronie siwawe i ten wytwornie-niedbało-ważny wygląd dygnitarza zmęczonego i nieco roztargnionego, przy którego przejściu przez biuro pracownicy podnoszą się, a on nakazuje ruchem ręki i skinieniem głową, aby usiedli i nie zauważyli jego przejścia.

Odchyliłam ostrożnie koc, nadśluchiwałam. Jessie odwrócona na bok nie chrapała już, usiadłam na łóżku, dopiero po chwili doszedł mnie głęboki, miarowy oddech Philis. Sandra nie zmieniła pozycji, leżała z głową pod kocem, jej ręka nie przestawała gładzić moich pleców pod pyjamą.

— Śpią — szepnęłam.

Usłyszałam jej stłumiony, krótki śmiech, a może coś powiedziała, coś w rodzaju: To świetnie, dobrze, że śpią, albo: no nareszcie — nie wiem, gdyż bardziej niż jej głosu świadoma byłam jej palców przesuwających się leniwie od pleców, w górę brzucha i przez wklęśnięcie między wzgórkami piersi, aż ku szyi, do karku gdzie palce prawej jej dłoni spotkały palce dłoni lewej i zacisnęły się obejmując mnie i unieruchamiając. Leżałam bojąc się oddychać, wstrzymując oddech, oczekując i nie wierząc, że to ja zamknięta jestem w kręgu kogoś innego, potrzebna do zamknięcia tego kręgu. Sandra jeszcze z głową pod kocem, policzkiem wtulona w poduszkę, przyciągała mnie delikatnie do siebie, a gdy leżałam nieporuszona, podciągnęła się i tak unosząc się, podciągając bliżej mojej twarzy, pewnie chciała mi coś powiedzieć, bo słyszałam jej niewyraźny szept, zatrzymała się kładąc mi głowę na ramię, a jej ciepłe, pół rozchylone wargi uderzyły mnie w twardy, sterczący ku górze, uwypuklający pyjamę koniuszek piersi. Drgnęłam. Zdawało mi się, raził mnie niebieski, ostry wężyk błyskawicy poprzez brzuch uda i kręgosłup, a potem leciałam zapadałam się w dziesiątki miękkich materaców, pół przytomna, jak w gorączce, przepełniona uczuciem tak tkliwej szczęśliwości, że położyłam obie ręce na włosach Sandry i przytuliłam jej głowę do piersi. Wtedy powiedziała:

— Olivio, jestem zakochana. Śnił mi się dzisiaj. Objął mnie, czułam go przy sobie, już prawie pochylił się i już... już chciał mnie pocałować i... odwrócił się, odszedł. Dopiero po chwili zrozumiałam co mi powiedziała, dopiero po dłuższej chwili każde

z jej słów, znaczenie słów, doszło do mnie podczas gdy ręka moja gładziła jej włosy i gdy zatrzymywałam jej głowę w rozchyleniu moich piersi. Mówiła coś jeszcze, ale nie słyszałam, podciągnęła się ku mnie na wysokość mojej twarzy stale coś mówiąc gorącym półszepcetem. Odwróciłam się nagle, zostawiłam ją pewnie w połowie niedokończonego zdania.

— No dalej, wracaj do siebie! — mruknęłam.

Wysunęła się posłusznie spod koca, ale nie odchodziła, przyklękała przy łóżku.

— Olivio jesteś taka dobra — powiedziała.

— W porządku, idź spać.

— Nikt o tym nie wie, tylko ty.

— O czym?

— No przecież o nim i o mnie. Nikt, tylko ty.

— Ach tak.

— O Krzysztofie.

— Tak, prawda. Dobranoc.

— Dobranoc Olivio, kochanie.

Nie spałam. Słyszałam oddechy ich trzech: Philis, Jessie i Sandry, głębokie, równe oddechy, akompaniament do ich nieskomplikowanych snów. Potem Jessie zaczęła chrapać, wstałam dałam jej lekkiego kopniaka w wypięty tyłek, obróciła się posłusznie na bok pojękując, i ucichła. Leżałam na wznak, deszcz padał szybki i drobny, a nad ranem przeszedł w mokry, topniejący na szybach śnieg, myślałam o dniu który nadejdzie po nieprzespanej nocy rozdeszczonym i chłodnym, i że była to ostatnia pewnie burza w tym roku i o wypracowaniu które napisałam na wczorajszej lekcji angielskiego, ale naprawdę nie myślałam o żadnej z tych rzeczy. Nie myślałam nawet o Sandrze, tylko o tamtym dniu sierpniowym, dniu moich urodzin, w którym po raz pierwszy dowiedziałam się, że byłam zastępstwem, drugą z rzędu, namiastką, wybraną nie dla siebie samej, ale dla kogoś, kogo rolę miałam odgrywać. Najpierw tamta, pierwsze dziecko mojej matki, jej cień towarzyszący mi przez całe życie, pamiętałam jej imię, chociaż nigdy nie wypowiedziałam go głośno: Yvonne. A teraz chłopiec Sandry, niemądrej, zadurzonej w nim szczenięcym pierwszym uczuciem. Byłam wściekła, że pozwoliłam się tak nabrać i nienawidziłam go, nie Sandrę, ale jego, który okazał się silniejszy ode mnie i bez pozwolenia natrętny i obcy przedzierzgnął się we mnie. Wiedziałam o nim wszystko zanim go zobaczyłam. Byłam jej powiernikiem i doradcą, wciągała mnie w obręb swojej małej, tchórzliwej miłości nie mając dość siły ani odwagi, aby ją przyjąć samotnie.

Siedziała teraz na wprost mnie w sali jadalnej, w ostatnim

dniu szkoły, jej trójkątna śniada twarz z małym poddartym nosem, na którym czerwcowe słońce wywabiło wesole zalotne piegi, poddana ku mnie, jej podłużne, ciepłe brunatne oczy rozmarzone i wpatrzone we mnie powiernicę i przyjaciółkę. Mamy wspólny sekret — wydawała się mówić, a trzepotała do wszystkich szczęśliwa i podniecona:

— Olivia jedzie ze mną, jedziemy razem na wakacje.

*Cyraneczko, myślałam, cyranka
 A to wiosło plusnęło
 Wiosło mego kochanka'.
 Odpłynął
 Mój miły odpłynął przede mną
 I już nigdy na pewno
 Nie wróci.
 Cyraneczko, myślałam, cyranka
 A to wiosło plusnęło
 Wiosło mego kochanka*.*

Indianie mówią: Pieśni miłosne ściągają nieszczęście. Jeśli człowiek poczyna je śpiewać, wzywamy czarodzieja, aby go zaklął i zmusił do milczenia.

Plaża. Słony wilgotny kurz. Przede mną i za mną het — biała rzeka nieruchoma — piasek. I wiatr. Wiatr śpiewa morzu pieśń miłosną. Pachnę wiatrem i morskim słońcem. Skóra na ramieniu, pod wargami — słońca. Wilgotne włosy na karku i dotknięcie morza na piersiach. Czuję siebie: mięśnie nóg i ramion, prężność bioder i piersi, jest to jak odczuwanie kwiatu, który ma rozkwitnąć wieczorem. Idąc tak przed siebie, w nieskończoność obcowałam stopami z morzem niewinnie zrazu, a potem czułam

* Adaptacja indiańskiej pieśni miłosnej z plemienia Chippewa z północno-wschodnich obszarów Ameryki.

*A loon I thought it was,
 But it was my love's splashing oar
 To Sault Ste. Marie he has departed,
 My love has gone on before me,
 Never again can I see him.
 A loon I thought it was,
 But it was my love's splashing oar.*

jak sięga mi kostek i później jeszcze jak liże kolana pienistymi językami, łakomie. Był to czas popołudniowego przypływu. Na prawo brzeg plaży zielonawo wznosił się ku górze, dalej rzadkie, anemiczne sosny zgięte od morskich wiatrów i tuż przy nich, za nimi, płaskie, natarczywe motele i wyżej na zboczu i szczycie pagórków wille o poczerńniętych cedrowych dachach. Sandra szła za mną, odwracałam się czasem i patrzyłam na nią: jej skóra już sparzona słońcem błyszczała od olejku, jej mały, zadarty nosek rzucał wyzwanie światu, była na jego szczycie. Porozumiewałyśmy się spojrzeniem, uśmiechem i znów wędrowałam wzrokiem po oceanie, w jego ogromie nie było rzeczy niemożliwych. Myślałam: coś się zaczyna wspaniałego w moim życiu, jestem jak wiatr i woda i śpiewam sobie samej pieśń miłosną. To zaczynała się moja młodość i burzyła się tak gwałtownie, że aż skóra bolała mnie od jej prężności. I dlatego porozumiewałyśmy się z Sandrą uśmiechem, gdyż ja i ona stałyśmy u tej samej granicy. Położyła mi nagle rękę na ramieniu:

— Patrz — szepnęła — patrz!

Ale zanim zdążyłam spojrzeć w kierunku, który wskazywała oczami, uskoczyła i odbiła od brzegu jak łyżwiarz, i jak łyżwiarz z wyciągniętą w górę ręką śmignęła przed siebie. Zniknęła pomiędzy kolorowymi niby chusty apaszków słonecznymi parasolami. Krzyknęła i wtedy ją zobaczyłam: na palcach, ręka uniesiona, cała poddana ku górze, jakby w górę za chwilę miała ulecieć. Krzyknęła:

— Krzysztof, Krzysztof!

Szłam ku niej mijając nieruchomą na pasiastym leżaku dziewczynę, i rozciągniętą na pstrym prześcieradle parę, wpatrzoną wprost w słońce ciemnymi okularami.

Na drewnianym rusztowaniu, wzniesionym o kilka jardów ponad plażą siedział chłopiec. Pochylony ku Sandrze oparł muskularne, ciemnoopalone ramię na przyczepionym do poręczy krzesła białym kole ratowniczym z napisem czerwonym „Life Guard”. Podeszłam bliżej i niezauważona przez nich dwoje, przyglądałam mu się. Wszystko w nim było mocne, jakby napięte, czujne: mięśnie barków pod błyszczącą, rozgrzaną skórą, kark łukowato zgięty z przechyloną głową, dużą z ciemnymi kosmykami włosów, spadającymi na czoło, profil twarzy silnej i zamkniętej, jak zaciśnięta pięść.

— Więc to jest Krzysztof — pomyślałam. — Krzysztof — westchnęłam. — Dlaczego? I chciałam odejść, ale nie mogłam, stałam i patrzyłam na niego. Wtedy on spojrział na mnie i przez ten jeden moment patrzyliśmy wprost na siebie: ja uniesiona do jego wysokości, on pochylony ku mnie. Odwróciłam głowę, ale

czułam jego wzrok. Skrzyżowałam ręce na piersiach, płomień przebiegł po mnie i uderzył o szyję. Czułam jego wzrok i nie patrząc, odpowiadałam mu. Patrzyłam na Sandrę, przestępowała z nogi na nogę i wdzięczyła się ku niemu, wydierała się ku górze wymachując ręką i opowiadając, że dziś wieczorem będzie koncert na moło. Ale on patrzył na mnie i ona idąc za jego wzrokiem, jakby budząc się i spostrzegając mnie po raz pierwszy i odkrywając niespodziewanie moją na plaży obecność: zawołała:

— No przecież Olivia! Poznajcie się, Olivia to jest Krzysztof.

Podniosłam głowę. Pochylony teraz ku mnie przesłonił oczy ręką, a jego twarz rozluźniła się i rozchyłała tak, jak rozchyła się zaciśnięta pięść ukazując wnętrze dłoni nagrzone i wilgotne. Powiedział:

— Olivia. Prześliczne imię.

Czułam, że się czerwienię i że on mimo odległości i mojej opalenizny to widzi i może odgaduje, bo uśmiechnął się i patrzył wyczekująco.

— Bardzo mi przyjemnie. Sandra opowiadała mi o panu...

Przerwał mi:

— Po prostu Krzysztof, a najlepiej Kris, Olivia.

Sandra stała na uboczu, trochę zdziwiona, ale jeszcze nawet nie obrażona, nie zazdrosna, miała już jednak dość czekania.

— Czy nie widziałas Bob'a, Olivio? — spytała. Myślała: — No już dość, wynoś się, wiesz dobrze, że on do mnie należy i że chcę się z nim teraz umówić.

— Czy zapomniałaś, że Bob pojechał nad jezioro — powiedziałam.

— Ach prawda! — zawołała. Spojrzała na mnie zrozpaczona,

— Odchodzę — powiedziałam. — Zostawiam was samych. Nie potrzebujesz wysyłać mnie po Bob'a. — Wykręciłam się, odeszłam.

— Hej Olivio! — zawołał Krzysztof.

Odwróciłam się i pokiwałam mu ręką.

— Hej! — krzyknął — wracaj!

Obok niego na tle drewnianego rusztowania Sandra z żałośnie opuszczonymi ramionami. Uśmiechnęłam się, nigdy się jeszcze tak nie uśmiechałam cała sobą, jakby tysiące moich ust rozchyłało się w uśmiechu i olśniona, oczarowana tą całkowitością uśmiechu, pełnią radości, szłam w morze coraz głębiej i głębiej, a potem położyłam się na falach i nawet nie płynęłam tylko fale odrzucały mnie coraz dalej od brzegu. Nie słyszałam gwizdka, nie słyszałam, nie spostrzegłam kiedy znalazł się przy mnie, a gdy nagle zobaczyłam go przy sobie wydało mi się to tak naturalne, jakbyśmy się tam patrząc na siebie na brzegu, umówili. Objął mnie

wpół, jego mokra twarz tuż przy mojej twarzy, z ustami przy moim uchu, powiedział: Olivio, dlaczego chcesz się topić już zaraz na początku?

Dom w którym mieszkaliśmy, letnia rezydencja rodziny Sandry, to miejsce pod słońcem w którym przeżywałam moją pierwszą noc po spotkaniu Krzysztofa, moje pierwsze obudzenie się po tym, jakby w innym wymiarze, ściągające we mnie wszystko jak w soczewkę skupiającą światło, bo wszystko tego poranka ściągałam ku sobie, obejmowałam sobą i przytulałam w sobie, pieściłam, kochałam więc i ten dom, był szeroki, drewniany i stary, mówiono że ma ponad sto lat, przerobiony z jednoizbowej pionierskiej siedziby i pamiętający czasy indiańskich napadów. Był na wzgórk, wśród lasów zaszyty, wjeżdżało się do niego z wąwozu i ukazywał się nagle czarno-biały, prymitywny, trochę, jak z filmów cowboyskich, z bocznym gankiem pod którego pułapem osy wily gniazda i z którego wieczorem słychać było ocean chociaż drzewa zasłaniały go i czasem zapominało się, że jest stąd tylko o milę, może trochę dalej i że pewnie kiedyś tu był także i że pewnie znów wróci. Izba, o której mówiono że pamiętała czasy Indian i pionierów i która została się po starym pożarze, była obszerna, mroczna, z dwoma oknami patrzącymi na polankę albo raczej wyręb lasu, gdyż podchodził tu i wciąż niszczoney odrastał, z kominkiem zajmującym całą ścianę, kamiennym, trochę krzywawym. Była to teraz sypialnia rodziców Sandry. Na starym klepsku rozciągnięto linoleum, ściany były bielone, pułap podtrzymywany drewnianymi belkami, pod oknem stał tapczan zarzucony indiańskim kilimem i naftowa lampa, która wieczorem stawiała się elektryczną, kołysała się pod pułapem zapajęczyniona trochę, bo nikt tu nie miał czasu na sprzątanie, na miejskie porządki. Elektryczność, linoleum i dobudowana w pośpiechu i tandetnie łazienka ze wszystkimi nowoczesnościami prysznicu i gorącej wody ujmowała tej izbie dostojność, ale o zmroku wracała do niej dech zapierająca tajemniczość, cienie ludzi, którzy tu kiedyś rozpalali ogień i ich miłość może, bo mówiono, że pionier, który dom wybudował ożenił się z dziewczyną z plemienia Indian. Środkiem chaty szła sionka długa, wąska i z niej wchodziło się do salonu wybitego drzewem, zastawionego miękkimi meblami, lampami ze starych butli, antykami pozbieranymi w sklepach okolicznych *antique dealers*. Wszystko tu było nierówne, jakby chropawe, niepełne, a jednak harmonijne, tworząc ową atmosferę artystycznego rozgardiaszu, którą rozgrzewa rano smuga słoneczna z wirującym w niej kurzem, a wieczorem przyćmione lampy i ogień kominka.

Salon ten, ganek, sionka, a i pokój gościnny na górze zawsze były pełne zmieniających się, przyjeżdżających i odjeżdżających gości. Dom trzepotał nimi, trząsał i szumiał. Panowało tu zwykle gwarne, bulgocące śmieszkami i śmiechami podniecenie przyjemne odurzonych alkoholem gości, wszędzie pełne, albo na wpół dopite szklanki, przepełnione niedopałkami papierosów popielniczki, filiżanki po kawie. Pomiedzy gośćmi, na ganku, między kuchnią, a salonem ze szklanką w jednej ręce, papierosem w drugiej kręciła się, przewijała rano w kolorowych shortach, wieczorem w spodniach obcisłych do pół łydki, czerwonołosa, ruchliwa matka Sandry. Nadmiernie roześmiana, zbyt gadatliwa witała każdego gościa wyciągnięciem rąk, radosnym „ach i och!” jakby każdy z nich był upragniony, nadzwyczajny, jedyny i przyjeżdżał do niej z Alaski, albo Europy, albo innego końca świata, a potem zapominała o nim, gubiła się wśród nich ciągle wypatrując kogoś nowego, byle więcej, jakby liczba gości przyczyniała jej radości, sama ich mnogość tylko, a nie osoby. Była malarką i podobno pisała jakieś wiersze gdzieś, kiedyś drukowane, stąd pewnie jej zamiłowanie do rzeczy tak innych w tym domu i stąd pewnie atmosfera, którą stwarzała wokoło siebie przylegająca do niej i promieniująca z niej jak zapach niektórych ziół leśnych które na próżno staramy się odnaleźć, a które prowadzą i wabią nas z daleka. Jej roześmiana twarz wydawała mi się czasem nie pogodna, ale tragiczna, jej śmiech czasem na granicy krzyku, wydawało mi się załamywał się w płacz, czasem sztywniała, jakby nad słuchując czegoś w sobie, a czasem opadała na fotel, obojętna i bezwładna, jakby całe jej światło zdmuchnął nagły wiatr, wtedy ojciec Sandry, albo Bob, jej brat, podchodzili, brali ją za rękę i wyprowadzali do sypialni. Dowiedziałam się później, że była operowana na raka, że odjęto jej jedną pierś, że przyplątały się komplikacje o których rozwoju to lato, najbliższe miesiące, miały zadecydować.

Byłam w tym domu jednym z gości, lubianym, i od czasu do czasu zauważanym, dzieliłam z Sandrą sypialnię na piętrze na wprost pokoju Bob'a przyćmiałego i milczącego dużego dwudziestoletniego studenta z *college'u*, jednego z tych grubych chłopców, którym od najmłodszych lat trzeba kupować specjalny rozmiar spodni dla grubasów. Kris był także jednym z gości w tym otwartym trojgiem drzwi na świat domu, kolegą Bob'a z *college'u* gdzie, mówiono, utrzymywał się ze stypendium.

Od tego dnia, pierwszego spotkania na plaży, zajeżdżał co wieczór. Sandra wybiegała na ganek. Widziałam przez okno, jak parkował swój biały *convertible* przed frontem domu.

— Hallo Kris! — wołała — jak twój samochód?

— Chodzi jeszcze — odpowiadał — ale muszę pożyczyć narzędzi od Bob'a, chciałbym coś sprawdzić.

Był to stary model De Soto z 55 roku, który nieustannie się psuł, albo niedomagał.

— Chodź! — mówiła Sandra i ciągnęła go za rękę do domu — mam dla ciebie zimnego *drink'a*. Nie kryła się z swoją sympatią dla niego, było to już zaakceptowane i uznane, gdyby tylko pozwolił jej, rzucałaby mu się przy wszystkich na szyję. Gdy przyszedł po raz pierwszy uciekłam w najdalszy koniec pokoju, wsunęłam się w fotel i starałam się nie patrzeć na niego. Słyszałam jego głos, oddalał się i przybliżał i nagle był tuż przy mnie, szepnął:

— Olivio, szukałem cię.

Spojrzałam na niego świadoma czujnego wzroku Sandry i uważnych oczu Bob'a, powiedziałam.

— Tak, mieszkam tutaj.

A potem wstałam i uśmiechając się do niego powiedziałam.

— Przepraszam. Obiecałam Bob'owi, że pójdziemy na spacer.

Zastąpił mi drogę i musiałam przechodząc otrzeć się o niego, o jego szorstką, białą sportową koszulę, idąc ścieżką z Bob'em czułam to dotknięcie na ramieniu i zapach koszuli i łaskoczące ciepło oddechu, bo szepcząc „Olivio, szukałem cię” pochylił się nade mną. Idąc z Bob'em zaskoczonym i szczęśliwym pozwalałam mu brać się niezdarnie za rękę i myślałam, powtarzałam sobie: szukał mnie, chciał mnie znaleźć. Zajeżdżał co wieczór. Patrzyliśmy na siebie ukradkiem z dwóch różnych krańców pokoju świadomi siebie, odurzeni własną obecnością, wtajemniczeni i spiskujący wobec innych i jeszcze wobec siebie. Patrzyliśmy na siebie na plaży i rozmawialiśmy zawsze razem z Sandrą, przy Sandrze, albo we czwórkę: z Sandrą i z Bob'em spacerowaliśmy po molo: ja z Bob'em rozpromienionym i gadatliwym, on z Sandrą uczipioną jego ramienia, coraz bardziej milczący i ponury. Nie pamiętam jak długo to trwało może tydzień, a może tylko pięć dni zanim znów spotkaliliśmy się w wodzie przykryci falą, rozdzieleni i znów rzuceni falą ku sobie.

Jedną ręką przytrzymał mnie mocno w pól i odpływał dalej, a potem płynęliśmy już razem wzdłuż brzegu w tym kierunku gdzie plaża zwężała się, pustoszała w południowy, kamienisty jej kraniec. Wyszliśmy zmęczeni, zadyszani na wąski skrawek wilgotnego piasku. Leżały tu naniesione przez fale skorupy krabów, szkielety ryb i brunatne strzępki wodorosli. A dalej już kamienie nierówne i śliskie i skalisty brzeg coraz wyższy porośnięty na szczycie skrzęconymi od wiatrów sosnami, które stały poddane ku tyłom

wi zbite w trwożliwe gromady, którym gotowym do ucieczki stopy ze strachu wrosły w piaszczyste podłoże.

— Chodź — powiedział.

Pociągnął mnie za sobą i wspinaliśmy się po usuwającym się spod nóg piaszczystym i kamienistym zboczach, aż na wysoki urwisty brzeg sterczący niby dziób okrętu nad wodą. Rzucił się na trawę i przyciągnął mnie do siebie. Spojrzałam na plażę: kolorowe centki parasoli i ruchliwe, niewielkie figurki ludzi, a dalej cienki i długi, jak ciało węża i jak głowa węża rozszerzający się i okrągłający na końcu — półwysep.

— Nie bój się — powiedział — tu nikt nie przyjdzie.

Zamknęłam oczy i przytuliłam policzek do ziemi. Podniósł moją głowę i położył sobie na piersi.

— Olivio — powiedział — nie możesz uciekać ode mnie.

Z daleka, z plaży słysząc było czyjeś stłumione nawoływanie. Pod nami fale rozбивały się o kamienie monotonnym, łagodnym szumem. Wiatr odbijał się o przygięte sosny i wracał ciężki od zapachu igliwia. Leżałam w wgłębieniu jego ramienia i czułam jego wargi na twarzy, na ustach. Wydawało mi się — urwisty brzeg oderwał się, spadł i płynie razem z nami obojętnymi na wszystko poza świadomością tylko własnego istnienia. Zarzuciłam mu ręce na szyję. Oddech jego stał się szybszy, głośniejszy, rękami, które z łagodnych stały się nagle niecierpliwie i twardsze ściągnął gwałtownie ramiączka mego kostiumu i poczułam przeżona, pół przytomna, że nagie moje piersi dotknęły jego wilgotnej skóry. Wyrwałam się. Odrzuciłam go. W pośpiechu biegając, uciekając przed nim zapinałam, obciągałam kostium. Odwróciłam się. Siedział na ziemi, patrzył na mnie. Patrzył tak, jakby mnie widział po raz pierwszy.

— Zaczekaj — zawołał. — Nie bój się.

Przyskoczył, położył mi obie dłonie na ramionach, przesunął je wolno wzdłuż szyi do twarzy, ujął nimi moją twarz.

— Olivio — szepnął — czy wiesz, czy wiesz że...

Spuściłam głowę.

— Chodź — powiedział — daj rękę, pomogę ci zejść, bo spadniesz. Trzęsiesz się cała, drżysz.

Wziął mnie za rękę. Prowadził mnie ostrożnie, delikatnie i wolno. W połowie zbocza zatrzymałam się.

— Pytałeś się — powiedziała — pytałeś się czy...

— Tak? — uśmiechnął się. Jego oczy ciemne i nieco skośne wydawały się zajmować połowę twarzy. Przypatrywał mi się znów jakby mnie zobaczył po raz pierwszy, albo odkrywał na nowo. Jego uśmiech był ciepły, rozgrzewałam się w jego uśmiechu.

— Ja nie wiem — powiedziałam — mnie jeszcze nikt nie

kochał. Nawet moja matka — szepnęłam — nawet ona oddała mnie.

Przytulił policzek do mojej ręki.

— Nie — powiedziałam — nie tu.

— Na molo?

— Dobrze.

— Będę tam o ósmej. Będę czekał. Będę zawsze czekał na ciebie.

— Dobrze — powiedziałam.

Szliśmy obok siebie. Było już późno, zaczynał się popołudniowy odpływ. Pochyliłam się i podniosłam muszlę, jej różowe wnętrze było wilgotne.

— Daj mi to — poprosił.

Położyłam muszlę na jego wyciągniętej dłoni.

Siedziała przed lustrem. Lustro antyczne, jak wszystko w tym domu, czarna siatka pęknięć wewnętrznych, a jedna skaza szersza przecinała je skośnie i twarz Sandry gdy patrzyłam na jej odbicie, bo odwrócona była do mnie plecami opalonymi już na ceglasto, przecięta była przez policzek, oko i czoło tym pęknięciem, tą blizną. Cesała włosy, miała rudawe włosy, jak jej matka tylko ciemniejsze, zwijała je w rulony ciasno przy głowie. Patrzyłam ponad nią w lustro, na nią i na siebie dwie nasze głowy takie różne, dwie twarze ludzkie tak odmienne w kolorze jak owoc kasztanu i owoc brzoskwini, tak inne jak jezioro leśne rozlane łagodnie i potok górski przed burzą. Myślałam to nas różni: ta intensywność życia, to co porywa i oszałamia i to co łagodnie usypia. Odwróciła się nagle, cień lampy, dwie lampy stały po obu stronach lustra, przesłonił jej twarz, a cień jej głowy i uniesionych rąk, bo ręce miała uniesione nad głową przytrzymując nimi papiloty, poruszył się na ścianie.

— On się zmienił — poskarżyła się — zmienił się. Olivio?

Patrzyła na mnie wyczekująco, ręce jej znieruchomiały wokoło głowy.

Spuściłam głowę, zakryłam dłonią spuchniętą dolną wargę, podniosłam kołnierz szlafroka, kołnierz ukrył znak niewielki na szyi, drobny, jak ugryzienie komara.

— Nie znałam go przedtem — powiedziałam.

— Był inny — westchnęła.

Ręce jej opadły na kolana, zgięła się cała ku rękom, pół głowy w papilotach, łuk pleców szkarłatny w świetle lampy i tylko przecięty białą taśmą biustonosza.

— Co ja zrobiłam? — rozpłakała się. — Co ja takiego zrobiłam?

Dotknęłam jej ramienia, chciałam ją pogłaskać, uspokoić, palce moje były twarde, wydawało mi się, że odpycham ją.

— Połóż się — powiedziałam.

Drgnęła, zrzuciła moją rękę z ramienia, zerwała się nagle.

— Słuchaj — stanęła przede mną zjeżona, jak kot gotowa do skoku. — Powiedz mi, że to nieprawda!

— O co ci chodzi? — cofnęłam się. — Czego ty ode mnie chcesz?

— Powiedz mi!

— Co?

— Wiesz co.

— Zostaw mnie, jestem śpiąca.

Odwróciłam się, podeszłam do łóżka, wśliznęłam się pod koc. Ale była już przy mnie, wskoczyła na koc miękko, usadowiła się na jego brzeжку, podwinęła nogi pod siebie.

— Co chcesz? — powiedziałam.

Siedziała zwinęta w kłębek, twarz tuż przy kolanach, wydawało mi się mruży, ale to był jej płacz, jej cichy, bezbronny i bezradny płacz, którym chciała mnie rozczulić. Szarpnęłam koc, zapragnęłam strząsnąć ją z siebie, pozbyć się jej, wyrzucić, rozdrażniała mnie swoim miątkliwym, słabym biadoleniem. Wolałabym, aby mnie uderzyła otwarcie, wtedy mogłabym się bronić.

— Po co żeś mnie zaprosiła? — krzyknęłam. — Po co żeś mnie zaprosiła?

— Jesteś moją przyjaciółką — szepnęła.

— Nigdy nie byłam! Słyszysz!

Wstała, patrzyła na mnie przerażona.

— Nigdy nie byłam twoją przyjaciółką. Potrzebowałam ciebie, to wszystko. I teraz też ciebie potrzebujesz, znów przyszedł żebrać, tak?

Odwróciła się i odeszła do swego łóżka.

Wyskoczyłam na środek pokoju.

— Jeszcze zdążę na pociąg! — krzyknęłam. — Możesz mnie wyrzucić! Powiedz, spakuję się i jadę!

— Nie rób głupstw Olivio — szepnęła. — Zgaś światło.

Podeszłam do lustra. Przyjrzałam się mojej wardze, trzeba się było dobrze przyjrzeć aby zauważyć, albo odwinąć wargę i na wewnętrznej stronie zobaczyć krwawy ślad. Pochyliłam się i wyciągnęłam wtyczkę z kontaktu. Deski podłogi skrzypiały gdy wracałam do łóżka. Czułam się niewygodnie, jakby gniotło mnie i uwierało zbyt ciasne ubranie. Położyłam się: było bardzo ciemno, Sandra pochlipywała, od czasu do czasu wycierała nos w

chusteczkę, w ścianie domu, tuż nad moim łóżkiem zaczął cykać świerszcz zrazu cicho, a potem dołączyła się do niego cała orkiestra, słyszałam także że zaczął padać deszcz szybki i drobny, szumiał usypiająco na dworze. Przycisnęłam usta do poduszki, spadła na mnie nagle rzeka, runęła na mnie rozfalowana i mroczna ogarnęła mnie i porwała. Przyciśnięta do poduszki spuchnięta warga pulsowała.

Po tej nocy poranek przyszedł szary, ciężki, burza wałęsała się bokami, zrywał się wiatr, deszcz uderzał porywisty, przelotny, słychać było grzmoty z daleka, od strony półwyspu i znów cisza przyczajona i dysząca. Obudziłam się późno, niespokojna, jakbym się gdzieś już spóźniła, czegoś nie dotrzymała, łóżko Sandry było już puste i natychmiast wieczorna rozmowa z nią wróciła, jakbym nakręconą na taśmie puściła teraz przez czuły magnetofon, czeptała się mnie i brzęczała wokół mnie i rozprzestrzeniała się na cały dom przymglony i wilgotny niby dręczący motyw melodii, od której nie można się uwolnić. Pomyślałam o wczorajszym spotkaniu z Krzysztofem, jeszcze raz i jeszcze raz, jakby się tamtym obrazem umacniając, upewniając o rzeczywistości tego co się stało na skarpie między słońcem i morzem. Wzięłam prysznic, ubrałam się i zeszłam na dół.

W salonie matka Sandry, Mrs. Ashley, na fotelu, dym papierosa snuł jej się poprzez palce, trzymała na kolanach filiżankę, podniosła ją do ust i patrzyła na mnie zanim zdążyłam powiedzieć: dzień dobry, jakby wsłuchiwała się w moje kroki na schodach i już widziała mnie zanim otworzyłam drzwi. Sandra podniosła łyżeczkę do góry, jadła grapefruit'a przy stole, zamachała łyżeczką, powiedziała:

— Dzień dobry. Zaspałaś, ale i tak nie idziemy na plażę.

Tylko Bob poderwał się, rozbłysnął puciołowatością twarzy i białym kołnierzykiem otwartym pod krótką szyją i swoją nieskomplikowaną radością, która mu leciała ku mnie przez oczy i szerokie usta i nawet dziurki jego piegowatego nosa.

— Olivia! — wykrzyknął — ale pogódka pod psem. Co? Roześmiał się głośno, ale mu nikt nie zawtórował.

— Siadaj — przysunął mi krzesło blisko siebie, zbyt blisko. Było mi przykro, bo wiedziałam nie to chciał powiedzieć, a tylko ten śmiech i przysunięcie krzesła było prawdziwe i pomyślałam, że to okropne, że nie mogę wygrzebać z siebie nic dla Bob'a, nic na czym by mu zależało, czego by chciał ode mnie i że powinien być dobra dla niego za to rozczarowanie i za jego radość, której nie umiał ukryć. I myślałam, że powinnam być dobra dla Mrs. Ashley, siedzącej tu samotnie, naznaczonej jedną piersią tylko i wsłuchającej się w siebie i mimo tego wsłuchiwaną się uczulonej

na zewnętrzną i odważną. Odwróciłam się do niej i uśmiechnęłam się, jakbym ją przepraszała:

— Czy może dolać pani kawy? — spytałam.

— Zajmij się sobą moje dziecko — powiedziała — nie jadłaś jeszcze śniadania.

Spojrzała na mnie, a raczej nie przestawała mi się przyglądać tylko teraz intensywniej bo oczy jej szare, żadne z dzieci nie odziedziczyło jej oczu, zwęziły się jakby na czymś we mnie się koncentrowała, coś sobie obmyślała, kalkulowała. Sandry nosek poddarty sterczał obronnie, a jej główka okrągła z włosami ułożonymi starannie w loczki i przychwyconymi, utrwalonymi w zalotnej, zamierzonej niesforności lakierem *liquid net* — była główką gipsowego amorka różowo-niebiesko-czerwono-złotą. Ta gipsowa jej główka słodkookrągła, podbródeczek miękki, ta buzia omszona puszką, dziewczynkowata, której nawet wczorajsze cierpienie nie postarzyło, nie posunęło o jeden stopień wzwyż ku dziewczęcości, uderzyła mnie swoją gipsową kruchą twardością, trzasnęła we mnie, aż rozświetliło mi się w głowie zobaczyłam i zrozumiałam, że to przecież niemożliwe, aby Krzysztof mnie wybrał, aby wołał mnie niż ją: taką okrągłutką, do ostateczności wygładzoną, otoczoną domem, owiniętą matką i bratem i ojcem ważnym i dystygowanym, przyjeżdżającym tu do rodziny na week-endy, że przecież ona czarująca i słodka, pożądana i chroniona przez wszystkich, najmłodsza, bezbronnie uśmiechnięta góruje nade mną i bije mnie na każdym kroku. A tamto wczoraj to był tylko odskok, ciekawość, chęć łyknięcia czegoś innego, aby tym bardziej posmakować Sandrę. Usiadłam przy Bob'ie, powiedziałam:

— Dziękuję, nic nie będę jadła.

I już nie tylko wilgoć i szarość pokoju i wczorajszowieczny motyw melodii rozpylonej wokoło mnie ciążył i napastował, ale w sobie samej poczułam dręczący ból, który od dolnej wargi rozgałęział się i ranił poprzez szyję i piersi, jakby rozrastał się we mnie krzak Spanish Bayonette, kaktusa o kłujących do krwi, sztyletowatych liściach.

— Co ci jest Olivio? — spytał Bob.

— Nic — powiedziałam. — Nic, boli mnie trochę głowa, ta pogoda.

Pogłodził mnie po ręce.

— Biedna Olivia, przysunę fotel, siadź na fotelu, zaraz pójde po aspirynę.

Ułożył mnie w fotelu, podsunął pod głowę poduszkę, stołeczek pod nogi i pomagając mi tak, unikał mego wzroku, a dotykał ramion, twarzy i nóg, aż zatrzymał się, stropił pod spojrzeniem

matki: ukośnym, krótkim i Sandry głośno roześmianym, szepnął stając przed nimi z opuszczonymi ramionami, jakby się tłumaczył.

Szepnął: — Olivia źle się czuje, boli ją głowa.

— Zostaw ją — powiedziała Mrs. Ashley — nikt nie lubi, żeby mu się narzucać.

Zaczerwienił się, runął w drzwi werandy, drewniana rama *screen door* trzasnęła za nim.

Poderwałam się z fotela, krzyknęłam: Bob! Ale zanim zdążyłam pobiec za nim, Mrs. Ashley powstrzymała mnie.

— Olivio — zawołała — zaczekaj! Chodź tutaj!

Podeszłam do niej.

— Siądź — powiedziała — chciałam z tobą pomówić.

Sandra podniosła się od stołu.

— Przepraszam — szepnęła i wysliznęła się na werandę, zamknęła za sobą podwójne drzwi.

Trzymałam się poręczy krzesła i patrzyłam w podłogę. Usłyszałam jak w stronę domu zwolna, pod górę zajeżdżał samochód.

— Tak Mrs. Ashley? — powiedziałam.

— Olivio — uśmiechnęła się — masz bardzo ciekawą twarz, jak zobaczyłam cię, natychmiast zapragnęłam cię malować. Może jeszcze kiedyś...

— Jeśli pani to sprawi przyjemność... — powiedziałam. Myślałam: to samochód Krzysztofa.

Sandra wołała: No i co? Masz dziś wolne, plaża zamknięta.

Przymknęłam oczy. To Krzysztof.

— Słuchaj, moja droga, nie o tym chciałam mówić. Chciałam się ciebie spytać...

— Słucham proszę pani.

— Chciałam się ciebie spytać co myślisz o Sandrze i Krzysztofie.

Spojrzałam na nią przerażona. Czego ona chciała ode mnie?

Krzysztof mówił: Cześć, mam wolny dzień, chciałbym tylko sprawdzić motor i może pojedziemy wszyscy do kina?

Mrs. Ashley patrzyła na mnie, obserwowała mój potęgujący się rumieniec i spuchnięcie mojej wargi i pewnie zauważyła ugryzienie komara na szyi, tylko, że ona wiedziała. Och, ona zauważyłaby wszystko, wchodziła mi oczami do środka i umiejętnie plądrowała we mnie. A przy tym była urocza, a urok jej polegał na tym, że wiedziało się, że ona wie, że natychmiast rozumie i dostrzega na kilku płaszczyznach naraz: mój rumieniec, moją przed nią obawę, Sandry ton głosu za oknem i Krzysztofa wyzywające, radosne i oczekujące „Cześć” i moje przymknięcie oczu, moje pochylenie głowy, aby ukryć spuchniętą wargę. Gdyby mogła być moim sprzymierzeńcem! Ale nie, ona musiała bronić

siebie przede mną, jej słabość do mnie musiała ustąpić miejsca ostrożności.

— To ja ci powiem — pochyliła się — a dym papierosa uderzył mnie w twarz — nic z tego nie będzie. Tak, jak nic nie będzie z Bob'a i z ciebie. — Uśmiechnęła się, poklepała mnie po ręku — ty wiesz, ja cię lubię. Ale wiesz o co mi chodzi? Rozumiemy się prawda?

— Domyślam się.

— Nie obrażaj się. Nie powiedziałam nic co by cię mogło obrazić. Mam jeszcze do ciebie prośbę...

Sandra mówiła: Do kina raczej nie, ale mogę pojechać na spacer z tobą. *And... let's play a round of miniature golf!*

— Co za prośbę, proszę pani? — spytałam. Wydawało mi się, że umrę — jeśli Krzysztof zgodzi się, powie „tak, jedziemy”, jeśli teraz zapuści motor i on i Sandra odjadą.

— Bardzo źle się czułam dziś w nocy — powiedziała — z moim stanem zdrowia nie można żartować. Już raz miałam krwotok. No, przepracowałam się, przemęczyłam, umieram ze strachu przed gośćmi, wyjedziemy. Wyjedziemy dziś po lunch'u: Sandra, Bob i ja.

— Muszę się spakować — szepnęłam.

— Nie! Zaczekaj. Słuchaj Olivio chciałam cię prosić, abys wróciła do domu sama, pociągiem. Zostawię ci pieniądze na pociąg, na taksówkę, zatelefonujesz po taksówkę, masz pociąg wieczorem, albo jak chcesz jutro wcześniej rano. Zostaw klucz nad drzwiami od werandy, na framudze.

Wiatr wpadł przez niezamknięte kuchenne okno i szarpnął drzwiami korytarza. Podniosłam się, podeszłam do drzwi, zamknęłam je. Słyszałam Krzysztof stał na werandzie, powiedział:

— A gdzie Olivia? Czy Olivia nie pojedzie z nami?

Podeszłam, stanęłam przy niej, poddana ku niej patrzyłam na nią błagalnie.

— Co ja takiego zrobiłam, proszę pani? Co ja zrobiłam?

— Ty nic, Olivio. — Wstała, objęła mnie, przytuliła moją głowę do ramienia. — Olivio, droga moja, to jest w tobie, chciałabym cię jakoś przestrzec. Chciałabym coś dla ciebie zrobić. Zrozum mnie, czuję się okropnie. Czy wierzysz mi, że tak będzie lepiej, czy wierzysz mi, że wyjeżdżam, bo źle się czuję?

— Nie! — powiedziałam, odsunęłam się od niej. — Ale wszystko mi jedno. Chciałabym wyjechać zaraz.

— Proszę cię — szepnęła — nie rób tego. Bob będzie chciał cię odwiedzić, a ja go potrzebuję. Powiem mu, że jutro wrócimy.

Nie odezwałam się. Teraz ona patrzyła na mnie błagalnie, wyczekująco.

Na werandzie Bob powiedział:

— Bolała ją głowa, może już teraz czuje się lepiej.

— Muszę porozmawiać z Krzysztofem — powiedziała Sandra.

— Ty zostań i opiekuj się swoją ukochaną.

— Proszę pani — szepnęłam. — Ja naprawdę nic nie czuję do Bob'a, lubię go — to wszystko. Niech się pani nie obawia, niech się pani nie boi.

Mrs. Ashley wzięła mnie pod rękę.

— Chodźmy — powiedziała. Pociągnęła mnie do swego pokoju, było tu ciemniej niż w salonie. Zamknęła drzwi.

— Nie płacz Olivio, musisz mnie zrozumieć. Ty wydajesz mi się taka dorosła, dojrzała. Sandra to jeszcze dziecko, ona nic nie widzi, nic nie zauważa, a Bob jest taki wrażliwy. Gdybym była zdrowsza wszystko można by urządzić inaczej. Och czuję się potwornie, czuję się, jak monstrum bez serca.

— Czy nie mogę wyjechać zaraz? Wyjadę zaraz!

— Olivio — prosiła. — Dla ciebie to nie ma znaczenia, a ja mogę stracić Bob'a, może już niedługo pożyję. — Wyciągnęła chusteczkę, wytarła nią sobie oczy — i Bob zawsze będzie miał żal do mnie.

— Mam dość! — krzyknęłam, mam dość was wszystkich! — Wyrwałam się jej czepiającej się mnie i popędziłam na górę, zamknęłam się w gościnnym pokoju, rzuciłam się na tapczan, płakałam i szarpałam zębami poduszkę.

Sandra przybiegła, to były jej kroki pod drzwiami.

— Zostaw mnie! — zawołałam — idźcie sobie wszyscy do diabła!

— Otwórz — szeptała — otwórz prędko! — Potrząsała klamką. — Prędko, muszę ci coś powiedzieć.

Pchyliłam drzwi, wśliznęła się zaraz zdyszana, podniecona.

— Mama naprawdę źle się czuje — powiedziała.

— Co chciałaś? — spytałam.

Usiadła na tapczanie.

— No mów! — krzyknęłam. — Mów i wynoś się. Już za kilka godzin się mnie pozbędziecie! Zabieraj sobie Krzysztofa i Bob'a, wynoście się na złamanie karku! Tylko mów co chcesz i zostaw mnie. Jeszcze jestem twoim gościem, czy już przysłaś mnie wyrzucić? Już mam wychodzić, tak?

Nie patrzyła na mnie, powiedziała cicho.

— Krzysztof chciał cię zobaczyć, czeka na ciebie w samochodzie.

— Nie! — zawołałam. — No nie! Nie — roześmiałam się. Usiadłam, wydawało mi się, upadnę.

— Powiedział, że chce się z tobą pożegnać, ma gdzieś wyjechać po południu.

— Powiedziałas mu?

— Powiedziałam mu, że wyjeżdżamy, że cię boli głowa, prosił czy może cię zobaczyć.

— Pożegnaj go ode mnie.

— Jak chcesz, powtórzyłam tylko, prosił mnie.

— Bardzo jesteś szlachetna.

— Nie bądź cyniczna. Wracasz nocnym pociągami?

— Tak, wracam.

— Do widzenia.

Nie odpowiedziałam. Odwróciła się od drzwi, chwyciła mnie za rękę.

— Olivio, ja wcale tego nie chciałam. Dlaczego tak się stało? Dlaczego? Możesz iść do Krzysztofa, on mnie już nie chce, powiedział mi.

— Do widzenia Sandy, klucz położę na framudze.

— Olivio... — rozpłakała się — ja cię tak lubiłam.

— Dziękuję ci za wakacje — powiedziałam. — Do widzenia.

— Jesteś wstrętna — krzyknęła. — Cyniczna i zła! Dlaczego? Przecież ja ci nic nie zrobiłam. Dlaczego? Co mam powiedzieć Krzysztofowi?

— Co chcesz.

— Powiem, że boli cię głowa.

— Co chcesz.

Wyszła. Zamknęłam drzwi na klucz. Przypadłam do okna, widać stąd było drogę. Słyszałam, jak Sandra zbiegała na dół, jej głos przyciszony, startowanie motoru. Przyłożyłam czoło do szyby, czułam jej drżenie, biały *convertible* przejechał, skręcił na lewo, zniknął za drzwiami. Górą, od oceanu pędziły chmury bardzo skłębione i ciemne. Siedziałam na krześle, zaczął padać deszcz, było mi mdło, przypomniałam sobie, że nie jadłam śniadania. Słyszałam krzątanie na dole, a potem ciężkie kroki na schodach, to były kroki Bob'a.

Zastukał do drzwi.

— Olivio — szepnął.

— Przepraszam cię — powiedziałam — jestem nieubrana.

— Olivio — mówił, głos mu się załamywał, jękał się — musimy bardzo źle się czuć, musimy ją odwiedzić do domu. Pyta się czy chcesz pojechać z nami, czy tu zaczekasz? Stałam przy drzwiach, sięgnęłam ręką do klamki, chciałam przekręcić klucz. Powiedziałam:

— Strasznie mi przykro. Zostanę, przypilnuję tu wszystkiego, zatelefonujcie, jak czuje się pani Ashley.

— Naturalnie.

— Przepraszam, że nie otwieram ci, jestem rozebrana, wyglądam okropnie.

— Jak się czujesz?

— Lepiej, dziękuję ci, jesteś bardzo miły.

— Ach, Olivio, nie powinnaś zostawać sama.

— Tak będzie lepiej.

— Powinniśmy tu być jutro po południu, może wieczorem. Mamusia ma takie napady lęku, musi zobaczyć lekarza i chce nas wtedy mieć wszystkich przy sobie.

— Naturalnie. Ale może będziecie musieli zostać dłużej. Nie przejmuj się.

Mrs. Ashley zawołała z korytarza.

— No i co?

— Nic — powiedział Bob — Olivia zostanie.

Był zmartwiony.

— Olivio moja kochana, uważaj na siebie, masz jedzenie w lodówce! — krzyczała Mrs. Ashley.

— Do widzenia Bob — powiedziałam. — Dziękuję.

Kiedy zeszedł, wyszłam na korytarz, zawołałam:

— Szczęśliwej podróży!

— Koperta jest na biurku! — krzyknęła jeszcze Mrs. Ashley.

Otworzyłam potem okno i nawet pokiwałam im ręką. Bob był przy kierownicy, a Sandra pomagała matce wsiadać i okrywała jej nogi kocem. Myślałam: już ich nigdy nie zobaczę. Pewnie przeniosą Sandrę ze szkoły, ażeby pozbyła się mego towarzystwa. Gdy odjechali, zatelefonowałam na stację, pierwszy pociąg odchodził o 9-tej wieczór. Chciałam zatelefonować do rodziców, ale nie miałam ochoty tłumaczyć teraz matce dlaczego przyjeżdżam wcześniej. Powinnam była być w domu około dwunastej, będą pewnie oglądali jeszcze *late show* na telewizji. Powiem im, że Mrs. Ashley zachorowała i odwiózł mnie ich znajomy. A Ralph będzie już spał. Ralph rano ucieszy się, wyciągnie ręce i przybiegnie do mnie, powie: wspaniale, że przyjechałaś! Pomyślałam, że miałam dziś spotkać się z Krzysztofem, dziś o ósmej, powiedział: Będę czekał, będę zawsze czekał na ciebie. Ale było to już tak odległe, tak nieprawdziwe, jakby ani dzień wczorajszy, ani południowy, kamienisty skraj plaży, ani skalista nad morzem skarpa nie istniały nigdy, tylko zgrubienie dolnej wargi, gdy przeciągnęłam po niej językiem świadczyło, że to jednak była prawda.

Było późne popołudnie, gdy weszłam do tego pokoju. Niższy i szerszy od innych, ten *Indian Room*, ukryty w swoich własnych

cieniach, jak w krzakach *dog wood*'u wydawał się mnie oczekiwać i to on mnie wciągał, wchłaniał, a nie ja wchodziłam do niego, ale wstępowałam, wsuwałam się w z dawna przygotowaną tu na mnie zasadzkę. Przyszłam tu po kopertę z pieniędzmi, byłam już gotowa do drogi i tylko należało zatelefonować po taksówkę, a koperta leżała, jak zapowiedziała mi Mrs. Ashley na biurku do pół przyciśnięta książką i oświetlona resztką bladego światła spomiędzy jakieś chmury rozdartej wiatrem, resztką tego dnia co dogorywał deszczowo, smętnie, niepożądany i spychany czym prędzej w wieczór. Biurko stało skośnie jednym rogiem dotykając okna, a drugim godząc w pokój, w kominek i zawieszane nad kominkiem rogi jelenia.

Przechyliłam się ku oknu, papierowa roleta zwisała nad nim podciągnięta w pośpiechu, nie do końca, spojrzałam przez szybkę niedomytą, zapstrzoną muchami, na zajazd pusty, drzewa zmokłe i dygoczące wzdłuż drogi prowadzącej do lasu, i na las, grubą jego krechę nasiąkającą wieczorem i pustką, bo dom był oddalony od innych zabudowań, wydzielony na wzgórzu i poczułam tę pustkę w sobie, jakby mnie gotowej już do odjazdu przy tym oknie nie było, a we mnie ktoś inny rozrastał się, ktoś się wślizgał i jakbym to nie ja patrzyła, wypatrując nie wiadomo czego, na ten las, drogę do lasu, pusty zajazd przed domem, tylko ktoś kto już tu był, kto tak kiedyś patrzył, wypatrywał czegoś czy kogoś, a ja tylko świadek uboczny, wciągnięta wbrew własnej woli odgrywałam rolę nie swoją, powtarzałam coś, co już się kiedyś stało. To mnie przeraziło, wystraszyło nagle, więc odskooczyłam od okna i zaraz zionął na mnie kominek, jego czeluść i jego obumarłe, wygasłe palenisko. Przytrzymałam się biurka i stałam rozglądając się chociaż mogłam przecież wyjść, uciec, zatrzasnąć za sobą drzwi, ale wydawało mi się, że ten pokój, jego grube ściany, nierówny pułap, jego kąty z zaczajonym niewiadomym ruszą za mną i że stanie się coś przerażającego jeśli umknę w tej chwili, a nie opuszczę pokoju tego zwykłym krokiem, odważnie.

Pociągnęłam łańcuszek lampy i biurko w jej świetle stało się starym, dębowym gratem, kupionym niewątpliwie, jak wszystko w tym domu w sklepie przygodnego antykwariusza, porysowane, wyszczerbione, zarzucone papierami, z popielniczką pełną niedopałków i z tą kopertą dla mnie przeznaczoną, przyciśniętą do połowy książką w podniszczonej oprawie z wiśniowego płótna. Sięgnęłam po kopertę, otworzyłam, były tam dwa banknoty dwudziesto i dziesięciodolarowy, pomyślałam: zostawiła mi więcej niż trzeba, spojrzałam po pokoju odważniej, realność tych dwóch banknotów wydawała się drwić z mojego chwilowego przestachu

nie wiadomo czym i zaraz skojarzyłam je z biletem i wyjazdem, tak, wyjazdem i wyjazd, myśl o nim, że to już dziś, nieodwołalnie grzmotnęła we mnie, dała mi jeszcze raz po głowie, jak rano, jak później, gdy Sandra i jej matka i Bob odjeżdżali i jak po południu, gdy biegałam po zadeszczonym deptaku, po opuszczonej plaży szukając, wypatrując, że może jednak go znajdę, może jednak zobaczę.

Usiadłam przy biurku, na drewnianym fotelu z półokrągłym oparciem, otworzyłam i zamknęłam książkę zostawioną tu przez matkę Sandry dla przytrzymywania koperty, może dla mnie? I pomyślałam o Krzysztofie, zbliżyłam się do niego tak intensywnie, przyciągnęłam go do siebie tak mocnym wysiłkiem woli aż bolesnym, wyczerpującym, że zdawało mi się przez sekundę, on tu jest, tu stoi, a ja tylko nie umiem go dotknąć, nie potrafię wzbudzić w mych rękach czucia, które by go rozpoznało. Ale to zbliżenie, błysk, iskra obecności jego minęła i już nie mogłam tego powtórzyć.

Było po szóstej, chciałam zatelefonować po taksówkę, wyjść wcześniej z domu i jeszcze ociągałam się, położyłam rękę na książce, otworzyłam. Były to poezje. Przypomniałam sobie: pisała poezje i gdzieś coś kiedyś drukowała. Były to poezje indiańskie. Książka otworzyła się właściwie sama w miejscu widocznie często otwieranym, na ulubionym wierszu może, na tłumaczeniu indiańskiej pieśni. A może zostawiła tę książkę dla mnie? Może chciała mi coś powiedzieć o sobie, czy o mnie? Spojrzałam na tytuł, zaczęłam czytać:

*Zostawiono mnie na wyspie samotnej
Skazaną na śmierć.
Kto zapłacie po mnie?
Dźwięk mego głosu cisza pochłonie
I nikt się pieśnią nie uzali nade mną.
Zostawili mnie tu źli przyjaciele
Skazaną na wyspę samotną
Modłę się: o wiatru duchy
Krzyk mój unieście
Miły mój słucha
Śmignie gestwiną
Odnajdzie dziewczynę skazaną na wyspę samotną.
Modłę się: o powietrzne duchy
Oddech mój lżejszy od obłoku
Dmuchnijcie nad jego canoe
Szybki jak słońca strzała
Mój miły spłynie tu.*

*Skazano mnie na wyspę samotną
I któż po mnie zapłaci? Jeno ptaszki małe.
Mój ukochany waleczny, zuchwały
Lecz gdy się dowie serce jego śmiało — pęknie
Bo сказано mnie na wyspę samotną.
A teraz noc i wszystko ucichło tylko sowa
Pieśń żałobną zawodzi — żali się nade mną.
O duchu nocy wysłuchaj mej pieśni
Szepnij mi o mnie
A rano oczy otworzę, zobaczę go: miłość moją.
O duchu nocy, pozwól zapomnieć.
Boję się.
Zostawiono mnie na wyspie samotnej skazaną na śmierć.*

Zamknęłam książkę, a potem nagle odsunęłam, odrzuciłam ją, spadła na podłogę, pociągnęłam za sobą lampę, trzasnęło szkło rozbitej żarówki, wybiegłam z pokoju. Zapaliłam światło w sieni, zapaliłam światło w salonie, wszystkie światła, przypadłam do telefonu, nakręciłam numer postoju taksówek — urywany sygnał. Odłożyłam, ręce mi dygotały. Poderwałam się, chwyciłam walizkę, była ciężka, obijała mi się o nogi, wydawało mi się cały dom szedł na mnie, parł na mnie, zamykał się wokoło mnie.

— Nie powinni byli mnie tu zostawić — płakałam. — Nie powinni mnie byli zostawić samej. Wybiegłam na ganek, światła z salonu leżały na trawniku, a dalej ciemność, ciemny lej szosy i mgła. Wbiegłam znów do pokoju i nakręciłam numer postoju taksówek.

— Hallo? — odezwał się głos. — Postój taksówek.

Wtedy zobaczyłam najpierw reflektory, a potem usłyszałam, że samochód zajeżdża przed dom. Chwycił mnie tak potworny strach, że nie mogłam nic odpowiedzieć.

— Hallo? Hallo? — dopytywano się w słuchawce.

Drzwi trzasnęły. Położyłam słuchawkę. Czekał na mnie, stał w progu nie ruszał się. Podeszłam do niego, przytuliłam twarz do jego ramienia.

— O Kris — szepnęłam. — Kris.

Jego twarz i włosy wilgotne były od mgły.

— Szukałem cię — powiedział. — Musiałem cię znaleźć.

— Wyjeżdżam.

— Kiedy?

— Dziś wieczór, zaraz.

— Nie! — powiedział. — Nie dziś.

Szliśmy trzymając się za ręce poprzez salon, otwarte drzwi sieni, aż do indiańskiego pokoju.

— Mam pociąg o dziewiątej wieczór, za półtorej godziny. Objął mnie.

— Zostań — szepnął.

— Proszę cię — mówiłam szybko. — Proszę cię Kris...

Tuliłam się do niego i wyrwałam mu, całował moje oczy i twarz.

— Olivio — powiedział. — Drżysz, czego się bałaś, czego się boisz?

Wyrwałam się, wybiegłam do kuchni, zapaliłam światło, otworzyłam lodówkę.

Stałam za mną, odwróciłam się.

— Chciałam ci zrobić coś do picia — szepnęłam.

Wyciągnęłam tacę z lodem, zdjęłam szklanki z półki. Podniosłam głowę. Stał oparty o ścianę, nieruchomy, patrzył na mnie, byłam cała w jego wzroku, rozgrzewał mnie nim i obejmował. Włożyłam lód do szklanek, nalałam coca-cola z butelki, podeszłam do niego, szklanka w wyciągniętej ręce dygotała. Wyjął mi szklankę z ręki, postawił na stole.

— Olivio, kochana moja — powiedział. Podniósł moją rękę, przytulił sobie do twarzy.

— Myślałam, że jesteś spragniony — szepnęłam — myślałam, że napijesz się...

Uśmiechnął się, oczy zwęziły mu się w uśmiechu.

— Masz zimne ręce.

Wyrwałam rękę, podniosłam szklanki ze stołu.

— Gdzie chcesz usiąść? — powiedziałam. Głos mi drżał, czułam ze nogi dygoczą pode mną.

Objął mnie w pół, weszliśmy do indiańskiego pokoju.

— Tu nie ma światła — powiedziałam. — Spadła mi lampa.

Wyjął mi szklanki z rąk, postawił na biurku. Smuga światła padała tu z sieni. Nie puszczał moich rąk, pociągnął mnie za sobą na tapczan.

— Muszę zaraz jechać — szeptałam. — Muszę jechać. — I czułam, widziałam, jak moje ręce wbrew mnie samej zaciskają się na jego szyi.

— Kris — szepnęłam. — Kris najdroższy. Otworzyłam oczy i zobaczyłam jeszcze moje ręce łagodne i tklive dwie moje ręce przytulające jego głowę.

Obudziłam się. Obudziłam? Nie. To było jak upadek, jak nagłe ześlizgnięcie się windy z ostatniego, podniebnego piętra i bez zatrzymania w dół, uderzenie o cementowe dno. Szum, brak oddechu, ucisk pod żebrami, zdrętwienie rąk i nóg, cios upadku, wstrząs uderzenia. To było tylko dotknięcie, na moim ręku dotknięcie obcych palców. Zanim wyrwałam rękę, zanim spojrzałam, wiedziałam — to on, Melvin. Tak mnie przywołał do rzeczywistości, zepchnął, rzucił dotknięciem. I ta ręka jego, tylko jego ręka której dotknięcie, wiedziałam, pragnął, starał się, aby było jak najdelikatniejsze i ledwo że dotknięciem, to to był wstrząs i upadek z wysoka i ogłuszające uderzenie o dno. Więc w tej samej sekundzie, nie patrząc na niego jeszcze, uświadomiłam sobie siebie samą wrzuconą w pokój hotelu Rivoli, cały dzień dzisiaj, moje postanowienie, podczas gdy cień tamtej Olivii poza zadeszczonymi szybami *Indian Room*, niedobitki tamtej ubranej w moją skórę, jak sztywną koszulę nieboszczyka bladły, siniały odpychając umierającymi rękami wieko, aż zatrzasnęłam je ja sama krzywiąc się i jednym szarpnięciem wyrywając rękę spod dotknięcia Melvina krzyknęłam:

— Co chcesz? Czego chcesz ode mnie?

Nie patrzyłam na niego tylko na moje ręce rozczapierzone, dygocące, większe ode mnie, rozrosłe, jak olbrzymy, każdy palec z osobna większy, silniejszy ode mnie. To one były winne wszystkiemu co było, co się dzieje, co się stanie.

— Słuchaj — szeptał. — Wyjeżdżajmy, zaraz, teraz...

Nie patrzyłam na Melvina, tylko na moje ręce, przerażały mnie, nie należały do mnie, a więc do kogo? Do kogo należały te dwie chybocące ręce, którymi osłaniałam piersi przed oddechem Melvina?

Wydawało mi się czasem, dawnej jeszcze, jakby czyjaś obca fala nadana przez kogoś nieznanego mi, nieżyjącego może, przepływała przeze mnie, a ja, antena tylko, przez ułamek sekundy, poprzez mgnienie przepływu tego stawiałam się tamtą osobą, odtwarzałam ją, byłam nią, przeze mnie ożywała, stawiała się w mojej postaci. Mięśnie moich palców działają niezależnie ode mnie: zaciskają się w pięść, albo kurczą szponiasto, wyciągają łapczywie, dygocą i teraz to one trzymające ołówek wypowiadają się za mnie, to one zmuszają mnie do pisania tego, czego nigdy nie mogłam wypowiedzieć. Moje palce mszczą się na mnie, tylko one znają mnie i przenikają, więc tylko to co one piszą jest prawdą, nie to co mówię, co mówiłam, co powiem.

Głowa Melvina na wysokości łóżka, ta łysa pała, ta mokra świecąca potem latarnia, klęczał niby to uroczysty w swoim klęczeniu przede mną. I troszczył się:

— Olivio, ty jesteś chora... a jego warga dolna pogrubiała, czerwony płat mięsa, drgając, kurcząc się zbliżała się ku mojej piersi.

— Precz! — warknęłam. — Idź włóż sobie perukę!

Wyciągnął łapę, sunął z nią w kierunku mojej szyi.

— Uspokój się — szeptał — nie denerwuj się.

Odepchnęłam go, ale nawet w tej chwili zdążył chwycić moje ramię niby to uspakajającym gestem, a oczy aż wylazły mu na wierzch i dysząc, spocony, z przekreconym krawatem, cofnął się tyłem ku komodzie i nie patrząc sięgnął tam po swoje *toupée*, te swoje nieżywe włosy i nadział je sobie na głowę.

Posłusznie i myśląc, że tak mnie przekona w przekreconej peruce na głowie stał się karykaturą dawnego Melvina, którego zobaczyłam po raz pierwszy tego okropnego wieczoru, nie, to już wtedy była noc, ale o tym napiszę później, jeszcze nie teraz, nie wolno mi przeskakiwać faktów, muszę, to moje palce każą mi uświadomić je sobie kolejno. Poprawił marynarkę i krawat w przekreconej peruce zatroskany i opiekuńczy starał się wśliznąć w moje życie swoją niby to chęcią pomocy.

— Jestem chora tak? Myślisz, że jestem wiariatka, że trzeba mnie zamknąć w szpitalu? Jestem wariatka, bo nie pozwalałam ci się dotknąć, a rozbieram się dla innych?

— Nie, nie to! Olivio jedź ze mną zaraz...

Nie dostrzegałam jego gorączki, nie chciałam jeszcze wtedy zauważyć tego niezwykłego podniecenia w jego głosie, to była tylko jego żądza, osłepiające go, lepkie pożądanie.

— Wiem co myślisz — wołałam. — Że co noc pokazuję goły brzuch i tyłek wszystkim, kto zechce, kto zapłaci za marnego

drink'a, ale nienawidzę się za to i nienawidzę ciebie za to, że tego chcesz, nienawidzę cię, jesteś jeszcze bardziej chory niż ja.

— Olivio — powiedział — chcę się z tobą ożenić. Jedź ze mną, zaraz, natychmiast.

— Nie zwracaj mi głowy, wynoś się.

— Przysięgam ci, zaopiekuję się dzieckiem.

— Popraw sobie perukę — powiedziałam.

Powiedziałam: popraw perukę, ale usłyszałam, myślałam to jedno tylko: dziecko, chociaż to też było już, jak echo, ale myślałam jeszcze: dziecko, moje dziecko i dlatego nie zauważyłam, jak pochylił się ku mnie, znalazł się znów przy mnie, jak stracił swój dystans rozdygotany, łapczywie przylgnął, przykleił się do mojej ręki, jak jego gruba warga biegła drobnymi dotknięciami po moim ramieniu, w górę do pachy, do szyi, jego peruka tuż przy mojej twarzy. Zerwałam się i trzasnęłam na odlew w tę głowę, w rozłazące się po mnie wargi jak dotknięcia małych, tłustych robaków. Zatoczył się, chwycił za głowę, usiadł na krześle.

— Jedź ze mną — sapał — jedź ze mną. Pożalujesz, zobaczysz.

A ja wtedy poczułam to w sobie, wiedziałam, że to to, chociaż nigdy nie zdarzyło się tak nagle, tak gwałtownie, myślałam, że uda mi się zaczekać do wieczora, ale to już nadchodziło i nie miałam wiele czasu. Poprzez skurcz żołądka i mdłości dochodził do mnie jego głos rozgorączkowany, nagłący, jakby Rivoli, ten stary gruchot już płonął i trzeba było się ratować, uciekać zostawiając wszystko za sobą:

— Ubieraj się, jedź ze mną, jedź zaraz ze mną.

Dlaczego się tak śpieszył, czyżby i on? Skąd ta gorączka u niego? Czyżby to naprawdę on? Melvin? Wszystko mi jedno teraz. Nie, nie, to przecież nie on.

— Jeśli chcesz, weźmiemy dziecko, przyślemy po dziecko później, Olivio, ubieraj się! Porwał moją sukienkę i rzucił mi ją na łóżko.

— Ubieraj się, pędź!

— Chcesz coś dla mnie zrobić? Melvin? Melvin?

— Tak, tak, pędź! Chodźmy już stąd, skończ już z tym, chodź ze mną, ze mną!

— Idź do Lee Fisher'a, tu, tu mieszka, numer 321, 321... Płatał mi się język, nie mogłam już wytrzymać dłużej, za chwilę wymiotuję, ten skurcz żołądka. — Idź pod numer 321, Lee ma dla mnie paczkę, przynieś paczkę, idź pod...

— To on! — krzyknął Melvin. I najeżył się, nasrożył, oczy wylazły mu jeszcze bardziej na wierzch, ale teraz wściekle, jak oczy buldoga, przekrwione, dzikie.

— Co? — szepnęłam i czułam, że słabnę, że za chwilę... i Melvin dowie się i już wtedy nie będę miała siły jeśli natychmiast nie wyrzucę go, jeśli nie zdobędę się na ten ostatni wysiłek.

— Ty jeszcze z nim? Bo to on, od początku wiedziałam, podejrzewałam, że to on. Lepszy ode mnie? Tak?

— Głupcze! Leć tam przynieś mi paczkę i pieniądze.

— Dam ci pieniądze, ty, ty k....!

— Wynoś się!

— Ja wiem, domyślam się co jest w tej paczce!

— Nie, nic nie wiesz, nic się nie domyślasz. Idź tam!

— To przez niego, to on!

— Wynoś się! — krzyczałam i rzuciłam się na niego z taką furią, że stchórzył, cofnął się przed ostatkiem moich sił, przed moim krzykiem.

— Cicho! — wycofywał się.

Krzyczałam i waliłam w niego pięściami, wypychałam go za drzwi, kopałam go i gryzłam: Umknął za drzwi i jeszcze zza drzwi szeptał nie obiecująco, ale mściwie, jakby coś postanawiał.

— Dobrze, dobrze, przyniosę.

Zamknęłam drzwi na klucz, przywarłam do nich, dyszałam i słabłam. Ale jego kroki już oddalające się w korytarzu, na lewo, w kierunku windy uświadomiły mi, że teraz mogę, że teraz już nikt, tylko ja sama i ten pokój i moje ręce, moje palce. Dopadłam komody. To moje palce rozrzucały halki i biustonosze i rozdzierały kłębki pończoch, to moje palce trzymały w rękach znaną strzykawkę. Myślałam: wszystko teraz! Ale palce nie napełniały całej strzykawki, kazały mi czekać do wieczora, stchórzyły. Jeszcze nie teraz, jeszcze nie w tej sekundzie, jeszcze kilka godzin, teraz tylko odpoczynek, tylko ulga. Kłukałam się kilka razy w udo i wreszcie już... już dowlekłam się do łóżka i położyłam się, wyciągnęłam, odetchnęłam głęboko, zamknęłam oczy, moje ręce uspokoiły się, zaczęły usypiać, a pokój przed moimi zamkniętymi oczami zaczął zmieniać swe kształty.

Wstępuję na tę ulicę, idę nią, posuwam się, a jednak stoję w miejscu, bo to nie ja się ruszam, a ulica ku mnie pędzi, przede mną się rozkłada jak talia kart rozsunęta zgrabnie rozsuwają się trefle, piki i kiery i twardnieją w prostokąty betonowego chodnika. Ulica podkłada swój grzbiet pod moje stopy i po obu jej stronach jak domki karciane tamte domy z czerwonej cegły trzy i czteropiętrowe ściśnięte ciasno, ze sklepami w *basement'*ach i na parterach, a po tej kabale stwardniałej w beton idzie, posuwa się prawdziwa Olivia.

Przyglądam jej się, obserwuję ją zza rogu domu, skryta we wnętrze drzwi, podglądam ją z odległości czasu i doświadczenia. To nie ja, to Olivia, kiedyśmy się rozdzieliły, w którym momencie nastąpiło to przełamanie zupełne, że teraz mogę uświadomić sobie, że tamta Olivia, prawdziwa Olivia to nie ja? Czy wtedy gdy utleniałam włosy? Czy może wtedy, gdy Krzysztof...? Wolę teraz ją podglądać.

.....
Jest początek grudnia, dzień przejrzysty, pogodny, ale szyby samochodów zamknięte, ludzie mają twarze zaczerwienione i oczy zaszkłone od wiatru, jest porządnie chłodno. Olivia ma na sobie swój szkolny płaszcz z wielbłądziej wełny i grube białe skarpetki wywinęte na płaskie półbuciki. Jej włosy są ciemne i opadają w kosmykach na kołnierz płaszcza. W prawym ręku niesie dużą, papierową torbę z prowiantami kupiła je w sklepie na przeciwko, w *Super Market*. Widać ten sklep: ma dwie szerokie wystawy i drzwi środkowe uchylone, przed drzwiami kosze jabłek i mandarynek i czarny chłopak, który ustawia puste kartony. Twarz Olivii jest pociągła, blada, a te rumieńce wysoko na policzkach są złudne, to tylko rumieńce chwilowe, wywołane wiatrem, Olivia jest mizerna, prawdziwe są sine krechy pod jej oczami. Letnia

opalenizna już dawno z niej opadła, został tylko kolor oceanu w jej oczach. Olivia nie dostrzega ludzi, jest zamyślona, ale przechodnie patrzą na nią, przyjemnie jest spojrzeć na młodą dziewczynę o zamyślonej twarzy. Na jej ustach, w kącikach jej ust półuśmiech, który mógłby być także skrzywieniem i w tym podobna jest nieco do Mona Lizy, takim uśmiechem kobiety czasem skrywają tajemnicę o której wydaje im się nikt nie wie tylko one.

Do Chińskiej Pralni Olivia wchodzi po betonowych schodkach. Przy otwarciu dzwonią lekko, ale to jeszcze nie odrywa Chinki z jej prasowni w basemencie domu. W sklepie pachnie prasowaną bielizną i chlorkiem, na ścianie wisi chiński kalendarz, a na ladzie, którą przedzielony jest sklep stoi dzwonek, trzeba go przycisnąć i to dopiero podrywa Chinkę, ale i tak człapie na górę ospale i uśmiecha się ospale do szerokiego teraz i promiennego uśmiechu Olivii. Potem podaje jej zawinięte w papier trzy świąteczne, wykrochmalone koszule Krzysztofa i Olivia płaci jej 60 centów, odlicza na ladzie pieniądze i mówi: Dziękuję. Mówi także: — Ale chłodno dzisiaj, prawdziwie zimowy dzień! Chinka kiwa głową, przytakuje, chociaż wcale nie była na dworze i jest jej obojętne przy rozgrzanej desce do prasowania czy dzień jest naprawdę chłodny. Olivia odbiera paczkę z koszulami, jest to jej legitymacja przynależności do Krzysztofa, płaci za nią chętnie i chętnie pierze sama w ich mieszkaniu robocze koszule Krzysztofa, gdyby zgodził się, prałaby i te, ale Krzysztof uważa, że koszule wyjściowe powinny być prane fachowo i nie ma w tym zaufania do Olivii.

Tuż obok Chińskiej Pralni mieści się sklep szewca, Włocha. Na wystawie obok reklam pasty do butów, reklama roześmianej pary w dobrze wyczyszczonych bucikach, są te buciki lepsze od nowych, bardziej błyszczące, bardziej pożądane niż nowe, chociaż wewnątrz w sklepie półka ze starymi, wyreperowanymi butami wygląda żałośnie i pełna jest krzyku tych obcych sobie, różnorakich butów, które naganian się do dalszej pracy i przywraca sztuczną młodość, a szewc, Włoch, w fartuchu, pucowałaty, uśmiechnięty, śmieje się z bucianego nieszczęścia, z tych trosk naniesionych tutaj i rządzi się wśród nich w ostrym zapachu pasty i zapachu przepoconej skóry pogwizduje kierując przychodzącymi i odchodzącymi butami. Z szewcem czasem Olivia rozmawia, opiera się o ladę i mówi z nim troszcząc się o swoje pantofle i o buty Krzysztofa i czasem oczy jej i szewca który jest młody i beztroski spotykają się i Olivia chciałaby powiedzieć o sobie, gdyż to są oczy dobre i mogłyby być współczujące i szewc, Włoch, też chciałby coś powiedzieć, ale to co chciałaby powiedzieć Olivia i to o co chciałby zapytać szewc to są dwie rzeczy

zupełnie inne, więc znów wracają do rozprawy o butach, albo o pogodzie, gdyż buty, troski buciane rozgraniczają ich i oboje dobrze znają zasięg swoich uprawnień i możliwości. Więc szewc stara się tylko naprawić jak najlepiej coraz bardziej wykrzywione, coraz bardziej starte pantofle Olivii i to jest bukiet kwiatów, które jej ofiaruje. Obok sklepu szewca jest pralnia chemiczna i ona to bardzo jest ważna w codziennym życiu Olivii. Sukienki i spódnice czyszczą tu przez 48 godzin i wyczyszczone, owinięte papierem ubrania wydają się obiecywać zaczęcie wszystkiego od nowa.

Olivia przechodzi obok zakładu fryzjera gdzie przymocowany do muru wiruje pasiaty czerwono-białe cylinder, poprzez szybę widać białe kitle fryzjerów i stamtąd zapach wody kolońskiej i płynu do włosów i reklama na wystawie roześmianej pary znów, jak na wystawie pralni i szewca, para: dwoje młodych ludzi wpatrzonych w siebie, reklama obiecująca to jedyne, najważniejsze, najbardziej pożądane na świecie: wpatrzenie w siebie, zatonięcie w sobie dziewczyny i chłopca, dlatego więc pralnia, dlatego szewc, dlatego fryzjer, dlatego ta ulica.

W *basement*'cie zakład reperacji telewizji, radia, żelazek elektrycznych — tu też przeinaczanie, doprowadzanie do porządku, odnowa. Ten cały dół ulicy starał się, pracował pilnie, aby odświeżać, odczyszczać, doprowadzać do ładu to co działało się, zużywało, miętoszło i brudziło w wynajętych, umeblowanych mieszkaniach na pierwszych, drugich, trzecich i czwartych piętrach. A na czwartym piętrze w jednym z tych domów było mieszkanie Olivii i Krzysztofa.

To był *rooming house*, zupełnie taki sam jak wszystkie domy tej dzielnicy, których wejściowe drzwi niezastłonięte firankami, zawsze nieco uchylone, jak niedopięte bluzki dziewczyn, zawsze oświetlone nocą dla bezpieczeństwa pewnie, drzwi przez które nieraz wchodziła policja, drzwi tak różne od białych i schludnych przesłoniętych firankami i ubranych w okresie Świąt Bożego Narodzenia wiankami z choiny drzwi domku rodziców Olivii. Olivia wchodzi na górę, przystaje na korytarzu drugiego piętra na chwilę, aby odetchnąć, odpocząć i stawia obok siebie na podłodze ciężką torbę z prowiantami. Odpoczywa przed następną kondygnacją schodów stromą teraz i węższą. Tu przydeptane niedopałki papierosów i zapach całego domu skoncentrowany gnieździ się i dusi. Na czwartym piętrze, ostatnim na szczycie schodów stromych, jak drabina, zatrzymuje się przed drzwiami pociągniętymi brązowym lakierem. Są to zwykłe drzwi z prostych desek przemalowywane wielokrotnie nędznym gatunkiem farby, pozaciekane i u dołu porysowane, pewnie ktoś, kiedyś

walił w nie obcasem. Drzwi nie mają nawet klamki, tylko u góry okrągły zamek Yale. Olivia stoi przed drzwiami i w tym momencie, już przed otwarciem drzwi i już gdy trzyma klucz w rękę opuszcza ją odwaga i ociaga się z otwarciem, opiera się o ścianę, myśli: Co dziś, co dziś wieczór i jak ona mu to powie? Nie mam odwagi wejść tam razem z Olivią. Na to potrzeba już mego zgorzknienia, nie mogę puścić jej tam samej po raz drugi. Muszę sobie jeszcze raz uświadomić jak to się stało, dlaczego do tego doszło.

.....

Od czasu, gdy to wszystko zaczęło się w *Indian Room*, w opuszczonym przez Sandrę domu, albo nie, jeszcze wcześniej od chwili, gdy Kris spojrział na mnie na plaży, nie miałam już wyboru. Bo myśmy się nie spotkali, myśmy się znaleźli. Przez całe moje dzieciństwo w domu i w szkole, w moich wybuchach furii i w pragnieniu bliskości mojej matki, w moich rysunkach w przedszkolu i gwałtownej miłości do Miss Ruth, poprzez moją tęsknotę za domem w internacie i poprzez tklivość do Sandry, krok po kroku, zdążałam ku niemu, we wszystkim szukałam jego, tego co on mi przyniesie i tego co ja mu będę mogła ofiarować. Dlatego więc wystarczyło, aby spojrział na mnie, a już wiedziałam, że to on, podczas gdy moje dotychczasowe życie było tylko przygotowaniem, preludium najeżonym dysonansami, nieumiejętnie zagranym na mnie, instrumencie o skrzywionej strunie, a on tylko położył rękę, a wybuchłam melodią tak czystą i całkowitą, że aż zdumiałam samą siebie jej pięknem. To ja pierwsza zamknęłam się wokoło Krzysztofa. Decydował o mnie i o każdym ruchu mego ciała, które wtedy jeszcze odnajdywał i odkrywał.

Na drugi dzień, po nocy spędzonej w domu rodziców Sandry, przenieśliśmy się, bo tak chciał Krzysztof, do jego kabiny, jednoizbowego *log house*, dalej od oceanu na szczycie stromego lesiste go zbocza. Kolega z którym dzielił tę letnią kwaterę spał jeszcze i trzeba się było długo dobijać do drzwi. Czekałam w samochodzie, dygotałam z zimna, bo ranek był wczesny i chłodny i obmyślałam co napiszę rodzicom, jak wytłumaczę, że nie jestem już z Sandrą i że przyjadę później. Miałam wtedy jeszcze i po raz pierwszy skrupuły i wyrzuty sumienia, myślałam o moim ojcu, o jego księżowskiej, dobrotliwej powadze i zaczęłam nawet trochę nad nim popłakiwać wyobrażając sobie jego zdziwioną, zmartwioną twarz i że muszę go po raz pierwszy w życiu okłamać. Krzysztof rozmawiał ze swoim kolegą w kabinie, nie pytałam go nawet jak go przekonał, że opuścił mieszkanie tak szybko, ale odwróciłam twarz przed jego ciekawym wzrokiem, po raz pierwszy w moim życiu odwróciłam głowę kryjąc się przed ludzkim spojrzeniem.

Podłoga: klepisko i luźne, źle oheblowane deski, mech w szparach belkowanego pułapu, kamienny, niewielki, osmalony dymem kominek pełen papierów, śmieci, nieposłany, nakryty w pośpiechu kocem tapczan ciepły jeszcze od snu kolegi Krzysztofa, dwa rozwalające się, wyleniaste fotele, stół drewniany na krzyżakach, nieumyte szklanki, brudne naczynia, resztki jedzenia w papierach, butelki po coca-cola, puszki po piwie, piach na podłodze, za przepierzeniem prysznic i stos brudnych ręczników, mała kuchenka elektryczna, brudny garnczek i metalowy kubek do kawy, a w ścianach kabiny trzy małe okienka i gałęzie drzew i budzący się dzień.

Rzuciłam się natychmiast żeby to wszystko sprzątać i układać, ten nasz dom, naszą samotność, ale Kris niecierpliwy, dygoczącymi rękami zatrzaskał drzwi, zamknął je na klucz i zamknął mnie w swoich ramionach, a potem na tapczanie ciepłym jeszcze od obcego snu ściągał ze mnie sukienkę i bieliznę.

Dopiero później, a może dopiero teraz wiem, zrozumiałam kim, jakim człowiekiem był Krzysztof. Do wczesnej jesieni pracował na plaży jako *life guard*. Leżałam na piasku, egzystowałam pomiędzy piaskiem, wodą i słońcem i przekonywałam siebie, że to prawda, że on jest, że należy do mnie całkowicie, bo wtedy wydawało mi się, nie, wtedy rzeczywiście należał do mnie i że on mnie pragnie w każdej chwili dnia, w południowym słońcu i w chłodne wieczory w naszej zamkniętej przed światem, na świat kabinnie. To było należenie bez reszty nieograniczone godzinami, ani porami dnia. Powiedziałam mu o sobie wszystko. Płakałam opowiadając mu o moich trzynastych urodzinach kiedy to dowiedziałam się, że byłam adoptowana. Opowiedziałam mu o moim ojcu i skarżyłam się na matkę, wiedział o Ralph'ie i mojej bitwie z Alice, mówiłam mu o Sandrze i mojej tęsknocie za przyjaźnią i mówiłam mu nawet o tamtej, prawdziwej mojej matce, której nie znałam, która jak cień stała poza mną i czasem jak cień chowała się we mnie.

Do rodziców napisałam list, że zostaję dłużej, że wynajęłam tu kabinę z koleżanką spotkaną przypadkowo. Uwierzili nadspodziewanie łatwo, matka napisała do mnie, że wyjeżdżają w związku ze sprawami zawodowymi ojca na południe, że nie wrócą przed upływem dwóch tygodni, że Ralph pytał o mnie. Przysłała mi pieniądze, doradzała, abym nie odpływała za daleko od brzegu, pisała, abym nabierała sił, bo czeka mnie długi rok szkolny. Pomyślałam o Ralph'ie i tak, jak wtedy, przed drzwiami kabiny myśląc o ojcu zapłakałam, tak teraz czytając na piasku list mojej matki i słowa „Ralph pyta o ciebie, tęskni za tobą”, wstałam, odeszłam dalej brzegiem oceanu, aby ukryć łzy

nad moim bratem, nad moją do niego miłością, która wtedy przestała być pierwszą i jedyną. Bo wtedy nawet Ralph nie był ważny.

Było to przed *Labour Day*, w wigilię tego święta. Kontrakt Krzysztofa już wygaś i właściwie nie miał on tu już nic więcej do roboty. Powinien był wracać do *college'u* a ja do domu i do szkoły. Wiedziałam, że to już był koniec. Plaża pusta była tego przedpołudnia, ocean chłodniejszy a odjeżdżające samochody nierównymi sznurami tarasowały ulice miasteczka. Leżałam obok niego na tapczanie, patrzyłam w belkowany pułap kabiny, noc była bardzo jasna i w tym bladym, chłodnym, zielonkawym świetle nocy twarz Krzysztofa, gdy nagle spojrzałam na niego, wydała mi się przeraźliwie, wyraźnie obca. Spał. Jego duże, zwykle roześmiane, albo zaciśnięte energicznie, albo przygryzione zębami usta były rozchylone bezradnie, a kąciaki ust zwisały w gorzkim, płaczliwym grymasie. Jego oczy, te płomienie jego twarzy, bystre jak oczy dzikiego ptaka przesłonięte powiekami wydały mi się wyschniętymi dnami dwóch jezior i przestraszyłam się, że Krzysztof już na mnie nie spojrzy, że za smutnie opuszczonymi powiekami nic nie ma i że mój obraz w jego oczach też wysechł na dnie. Tylko grube, czarne zrosnięte nad nosem brwi kurczyły się i drgały i porywały jak skrzydła przychwyconego za nogi ptaka. Spał nasycony mną, ale czy to ja byłam w jego śnie? Jego głowa tuż przy moich piersiach, jego włosy na moim ramieniu. Dotknęłam jego czoła, drgnął, jęknął, nie rozpoznał przez sen mego dotknięcia. Położyłam palce tkliwie, łagodnie na jego spalonej słońcem piersi, wodziłam koniuszkami palców po rozgrzanej jego skórze od barku ku szyi i wodząc tak po jego skórze palcami uświadomiłam sobie, że tylko to w nim znam, tego tylko się o nim nauczyłam: ciepłoty, zapachu, dotknięcia jego skóry, że to tylko mogę przewidzieć: skurcz jego mięśni, drganie jego mięśni, siłę uścisku, omdłałość uścisku, słabnięcie i nasyceenie po którym zapadał w sen.

— Kris — szepnęłam — Kris...

Nie obudził się tylko jego ręka po omacku, przez sen poszukała mnie i zamknęła się wokół mojej piersi. Nachyliłam się nad nim, pragnęłam, aby otworzył oczy, nareszcie otworzył oczy i spojrzał na mnie.

— Kris — szeptałam — Kris, obudź się!

Otworzył oczy, spojrzał na mnie, przeciągnął się, jego na wpół śpiące jeszcze stopy poszukały moich stóp, przytulił usta do mojej szyi, do twarzy i czułam, jak poczynął drzeć i jak wzrastać w nim zaczynało, jak ogarniało go to rozdygotanie, falowanie, któremu poddawałam się i odpowiadałam, któremu już nauczyłam się odpowiadać w każdej chwili, gdy tego zapragnął. Ale teraz odsunę-

łam się, a on podniósł głowę rozbawiony i zaskoczony, a potem zdziwiony, niecierpliwy i urażony moją odmową. Zeskoczyłam z tapczanu, a on przyglądał się, jak otulałam się kocem, śledził uważnie oparty teraz na łokciach i spod przymkniętych powiek moją skrywającą się nagość.

— Co ty wyprawiasz, kochanie — powiedział — uciekasz ode mnie?

— Muszę wracać do domu, musimy wracać — szeptałam i dygotałam z zimna przycupnięta na podłodze, odgradzona od niego chłodnym, zielonawym światłem nocy, które dodawało mi odwagi, bo wiedziałam, że powinnam teraz coś zrobić i zdecydować. Przechyliłam się i pociągnęłam za sznurek lampy, chciałam jeszcze więcej jasności, aby zupełnie wytrzeźwieć od uroku Krzysztofa.

Wyciągnął ramiona, powiedział:

— Chodź do mnie, zostań ze mną.

Tylko tyle: Zostań ze mną — nic więcej.

— Ale ty — broniłam się, a może tylko domagałam się od niego czegoś więcej — ty też musisz wracać.

— Nie mam nikogo — powiedział. Zamyślił się i wydawało mi się odszedł, osunął się w głąb siebie.

— Kris — spytałam i zaraz znienawidziłam siebie za to pytanie — czy ty mnie kochasz?

Uśmiechnął się.

— Kobiety zawsze pytają czy się je kocha. Nie pytaj mnie o to.

A może chciałabyś — uśmiechnął się znów — kupić kwiat?

*Ale ja sprzedać nie mogę.
Lecz, jeśli chcesz, pożyczyć
Do czasu, gdy Daffodil
Rozwiąże swój żółty kapturek
przed drzwiami wioski
I aż Pszczoły z koniczyny rzędów
Wyciągną nektar i wino —
Jeśli chcesz pożyczyć ci
Aż do tego czasu
Ale ani na godzinę dłużej.*

— Co to? spytałam. Siedziałam wpatrzona w niego, urzeczona znów nim, bo takim nigdy nie był, takim mi się po raz pierwszy ukazał.

— Odpowiedziałem ci wierszem Emily Dickinson.

— Ty wiesz o mnie wszystko — zawołałam — a ja o tobie nie wiem nic, nic!

— Chcesz wiedzieć?

— Tak! — domagałam się — Powiedz mi! Chcesz żebym została z tobą i jak mam zostać? Jak to się wszystko skończy.

— Nie martw się — i znów ten uśmiech trochę tajemniczy — zbyt wiele chcesz przewidzieć.

*W Życiu co trwa godzinę
W tym Życiu co szybko się toczy
Jak wiele — powiedz — jak mało
Jest w naszej mocy.*

— Nie! — krzyknęłam — nie chcę już więcej wierszy, powiedz mi naprawdę!

— Chodź do mnie! — wyciągnął ręce — czy nie wystarczy ci, że nie mam nikogo i że nie mogę teraz żyć bez ciebie Olivio, i że musisz być ze mną, musisz zostać ze mną.

Przekonał mnie, zresztą to mi musiało wystarczyć, a tej nocy opowiedział mi o sobie.

Nie dowiedziałem się nigdy naprawdę dlaczego stamtąd wyjechali. Mogłem tylko podejrzewać, ale nigdy nie odpowiedzieli wprost na moje pytania. Od nich nauczyłam się nie odpowiadać wprost, posmakowałem w wykwinności omijania i nie nazywania spraw po imieniu. Zresztą to mnie wtedy niewiele interesowało. Wyjechali tak dawno, było to w roku 43-cim. Ja miałem wtedy zaledwie rok, a mój starszy brat trzy lata. Tylko wtedy, gdy muszę podawać miejsce mego urodzenia „Europa” brzmi dziwnie, aż tak dziwnie że chciałbym dodać: Europa w stanie Connecticut, albo Minnesota, Ohio, czy Iowa wszystko jedno co, byle tylko coś było po tej Europie i po nazwie tego miasta, kraju z którym mnie nigdy nic nie łączyło. Wolałbym urodzić się na okręcie. Wtedy naprawdę to by do mnie pasowało, bo nie należę właściwie nigdzie, ani też nie jestem członkiem żadnego kościoła. Jestem *free man* i to mi odpowiada: żadnych więzów, zobowiązań, pokrewieństw. Mój starszy brat jest teraz gdzieś w Kalifornii, albo w Texasie, a może w Meksyku. Diabli wiedzą gdzie on jest! Może ujeżdża konie na Zachodzie, a może odsiaduje gdzieś karę więzienia. W nim też to jest, oni w nas pewnie to zaszczepili w chwili poczęcia: strach przed przywiązaniem do miejsca, gotowość rzucenia wszystkiego w jednej chwili, oderwania się, ucieczki. A potem co się stało z nami, wszystko już rozbiło się doszczętnie i zostałem sam. Przylgnęłem do tego miasta w którym umarł mój ojciec, a potem zginęła moja matka. Przylgnęłem? Nie! To to miasto mnie wciągnęło i tak już zostałem, ale pewnie znów gdzieś wyjadę. Nie wiem. Czasem myślę jacy oni byli naprawdę, dlaczego w takim pośpiechu tu uciekli? Nigdy nie powiedzieli mi całej prawdy, bo jeśli ojciec zaczynał mówić o tamtych czasach, które należały tylko do nich, o ukrywaniu się, wiem na pewno, że się

ukrywali, matka błagała go aby zamilkł, kładła mu rękę na ustach, prosiła: — Nie mów, proszę cię, nie przypominaj mi. — I wskazywała oczami, gestami na nas — dzieci. Chciała nam oszczędzić ich wspomnień. Możliwe, że ojciec mój był Żydem, a może miał tylko część krwi żydowskiej w sobie, bo z ich rozmów, które czasem podsłuchiwaaliśmy, wynikało, jakby tu uciekli przed prześladowaniami, po okresie tak tragicznie okrutnym, że ich załamał, zmiażdżył i przerobił tak, że już nigdy nie mogli być naprawdę sobą. — Zrobiłam to dla ciebie — szeptała matka — więc zrób to teraz dla mnie, nie mów, zapomnij. Wiedziałem więc, że poszła za ojcem chociaż tam zostawiła całą swoją rodzinę, od której dla jakichś powodów zupełnie się odcięli i z którą my nigdy nie mieliśmy kontaktu. Ale matka, gdy ojciec nie widział, płakała, tęskniła za domem. Zaczęła płakać naprawdę po śmierci ojca gdy została z nami samotna taka i bezradna, a my stawialiśmy na przekór jej bólowi, na złość jej i samym sobie, coraz bardziej trudni i niezdolni. Oficjalnie nazywało się, że jesteśmy wyznania metodystycznego. Mój ojciec prowadził nas, a potem naganiał do cotygodniowych spacerów do tego kościoła i starał się, rozumiem teraz, utwierdzić w nas jakieś poczucie przynależności, ale nie mógł widocznie nigdy przekonać sam siebie, bo my tę sztuczność, jego przymus wyczuwaliśmy bardziej i przejmowali od niego niż jego intencję i pragnienie wpojenia w nas tej wiary, której sam nie miał. Po śmierci ojca matka zaczęła chodzić do kościoła katolickiego. Biegała tam wcześniej rano przed otwarciem sklepu i kilkakrotnie prosiła mnie, abym z nią poszedł. Raz nawet ukłękła przede mną, złożyła ręce i płacząc błagała mnie, abym z nią poszedł chociaż raz. Poszedłem i uciekłem w połowie nabożeństwa. Nie mogłem tego wytrzymać, nie mogłem znieść widoku mojej matki wpatrzonej w ołtarz, jej łez wobec tych wszystkich ludzi, wydawało mi się, że każdy na nią i na mnie patrzy i ta atmosfera nieprawdziwej ekstazy działała mi na nerwy. Nigdy już nie wróciłem i nigdy mnie nie poprosiła, abym z nią poszedł. Mój ojciec, pamiętam go tak dobrze, umarł na atak serca gdy miałem dwanaście lat, był mężczyzną ciężkim, posiadał przedwcześnie i nie należał do swego tu miejsca, za ładą, w „grocery store”. Moi rodzice prowadzili sklep, *grocery store*, z tego się utrzymywali. Ale twarz mego ojca taka urodziwa, dostojna, pasowałaby lepiej do pulpitu profesorskiego, albo wyglądałby lepiej za biurkiem kancelarii adwokackiej. Był tam u siebie, w swoim kraju, bo mój ojciec nie był tu nigdy u siebie, adwokatem, a tu przyjechał może ratować życie, a może zdobywać lepszą przyszłość za ładą w groserni. Nie wiem dlaczego nie mógł tu dojść do innego, lepszego stanowiska. To nie dlatego, że był emigrantem, że jego akcent

odróżniał go od innych. Wstydziliśmy się jego akcentu, wstydziłem się jego pochodzenia, jego inności wobec ludzi. Pamiętam moje upokorzenie, którego nie mogłem ukryć i pamiętam jego rozpacz, że się go wobec ludzi wstydziłem. Popadał w melancholię i użalał się nad swoim losem. Rozumiem teraz: jego emigrancstwo odbywało się w nim samym, chciał samego siebie okłamać, stać się innym i nie mógł. To go dręczyło, był zbyt uczciwy. Nie mogłem go zrozumieć wtedy, nie mogłem, nie miałem czasu i nie chciałem się go doszukać, jego prawdziwego, pod białym kitem właściciela małego spożywczego sklepu w niezbyt wykwintnej dzielnicy miasta. Bał się wszystkich, wszystkiego, był nasączony strachem, którego raz doświadczył i wołał egzystować na skraweczku życia: dla matki, dla nas. A my buchaliśmy energią, nas podcinało życie, marzyliśmy tylko, aby jak najszybciej wyrwać się z domu, zerwać z nimi, odciąć się od ich ponurej, niezrozumiałej dla nas przeszłości. Jestem podobny do mego ojca. To po nim mam te brwi zrosnięte nad nosem, po nim skośne, czarne oczy, bo moja matka miała oczy niebieskie. Ale tylko na zewnątrz jestem do niego podobny, tylko fizycznie, bo nie znam ani jego udręczeń, ani szamotań, ani też nie śniłoby mi się nawet o jakimś przekształceniu czy przełamywaniu samego siebie. Ja wtedy, gdy mnie takie rzeczy nachodzą, umiem sobie powiedzieć: *I don't care!* — i idę dalej, bo dzień następny jakoś, coś rozplącze, a jeśli nie, to jest zawsze jedno wyjście: koniec. Koniec przyszedł na mojego ojca za ladą w groserni. Na mnie, kto wie? Wiem tylko jedno: nie czekałbym tak długo, jak on.

Nie mieliśmy zbyt wiele pieniędzy, nie pozwalaliśmy sobie na luksusy, ale starczało na wszystko. Mój brat i ja chodziliśmy przyzwoicie ubrani i nie potrzebowaliśmy dorabiać sprzedawaniem gazet czy czyszczeniem butów jak koledzy w naszej dzielnicy. Nad grosernią było nieduże mieszkanie i matka nigdy nie miała czasu na porządne jego wysprzątanie. Zaharowywała się w niedzielę, szorowała podłogę tak długo, aż chwytały ją bóle w krzyżu, a wtedy ojciec zabierał się, aby dokończyć i układając ją na łóżku tłumaczył, że przecież nie może mieć wszystkiego tak, jak tam (tam, wszystko kiedyś, przedtem, mnie wydaje się chyba przed początkiem świata było najlepsze, doskonałe) i mówił, aby odpoczywała, dbała o zdrowie, bo przecież dzieci, już nie on nawet ale dzieci potrzebują jej. On sam w wolnych chwilach albo czytał, albo swoim drobnym, równym pismem pokrywał całe sterty żółtego, liniowanego papieru, darł i znów pisał i układał zapisane kartka po kartce pieczołowicie w plastikowej teczce zamkniętej na błyskawiczny zamek. Chował to w biurku, zamykał na klucz, kiedyś wspomniał, że to dla nas, na później, ale myślę, może nie

tylko dla nas, może był to jego pamiętnik, który marzył, że kiedyś opublikuje. To wszystko później: biurko, plastikowa teczka i kartki z pismem mego ojca spaliło się i nigdy nie dowiem się o nim całej prawdy. A może nawet, gdyby się zachowały te żółte, poliniowane kartki, nad którymi ojciec mój ślęczał w niedzielne popołudnia, nie mógłbym ich odczytać, nie zrozumiałbym, bo ojciec pisał je w obcym języku, pewnie po niemiecku, chociaż nie wiem, tak mało mnie to wtedy interesowało, a ojciec mój władał kilkoma językami. Umarł nagle, osunął się za ladę i karetka pogotowia zabrała go już nieżywego. Razem z nim zabrali moją matkę. Krzyczała tak okropnie, nie głośno, ale tak przenikliwie, że bardziej niż śmierć ojca pamiętam jej krzyk. Uciekłem, uciekam od jej krzyku. Musiała pewnie tak krzyczeć i wzywać pomocy, gdy ginęła samotnie w naszym mieszkaniu. Było to zawodzenie, które starała się zgłuszyć w sobie i nie mogła, od którego wydawało mi się oszaleję, bo było mi obce, a jednocześnie dosięgało mnie do głębi i wyzywało, chciałem zawodzić z nią razem, więc uciekłem, zostawiłem ją, uciekłem. Może chciała tym jękiem dotrzeć do tamtych, których zostawiła tu przyjeżdżając i którzy nigdy nie odpowiedzieli na jej późniejsze listy. Wróciła po dwóch dniach ze szpitala milcząca, zajęła się pogrzebem ojca i zamknęła się na resztę dnia w swoim pokoju. Dobijaliśmy się do niej, wołaliśmy, aby nam otworzyła. Prosiła, abyśmy ją zostawili samą tylko na krótko, błagała nas, dzieci tylko na kilka godzin zostawcie mnie samą, błagała, abyśmy ją zrozumieli, wybaczyli. Staraliśmy się domyśleć co ona tam robi, podglądaliśmy ją przez dziurkę od klucza: klęczała, modliła się pewnie, potem pisała listy na niebieskim lotniczym papierze i płakała pisząc te listy i znów modliła się i widzieliśmy rozkładała żółte, pokryte pismem ojca kartki, czytała i płakała nad nimi.

Po śmierci ojca wszystko zaczęło się zwolna zmieniać, ściętniać, trzeba było jeden pokój w mieszkaniu naszym odnająć. Matka od rana do nocy siedziała w sklepie, a brat mój i ja w szkole, albo na ulicy. Nieustannie wtedy wyczekiwała listonosza, znów pisała listy, wysyłała depesze, ale nikt jej nigdy nie odpowiedział. W sklepie nie chcieliśmy jej wiele pomagać. Wieczorami uganiała się szukając nas na ulicy, a potem już przestała, gdy błagania i prośby, abyśmy wcześniej wracali do domu nie pomogły. Nie mogła nas też zapędzić do szkoły niedzielnej, ani do kościoła. Do szkoły zaczęto ją wzywać coraz częściej, ale to nie chodziło o naukę, bo mówiono, że mieliśmy wrodzoną inteligencję i mnie i bratu nauka przychodziła łatwo, tylko nie chcieliśmy pracować i w klasie zaczęliśmy się zachowywać okropnie. Raz złapali mnie nawet, było to w przedostatnim roku *High School*, na kra-

dzieży samochodu. Właściwie nie była to żadna kradzież. Podpiłszy sobie trochę na *party* i ta cała banda chłopaków wciągnęła mnie. Nie mogłem im okazać, że się boję, że jestem głupszy i słabszy od nich, bo zaraz wszystko obróciłoby się przeciwko mnie. No i co, ujechaliśmy może kilkanaście mil tym samochodem i rozbiliśmy się na drzewie. Nikomu nic się nie stało, a mnie nawet smakowała taka wariacka jazda, no i byliśmy trochę podpici. Miałem wtedy szesnaście lat. Policja złapała nas, była rozprawa, mnie zwolnili, tylko sędzia mówił najpierw z matką, potem ze mną i przydzielili mnie takiego *probation officer*, do którego przychodziłem najpierw co tydzień, a potem rzadziej na rozmowy. To on potem pomógł mi po śmierci matki dostać się do *college'u*. Matka po tym wypadku zaczęła słabnąć, toczyć się i jakby gasnąć. To wtedy, pamiętam, klękła przede mną i błagała, abym z nią poszedł do kościoła. Wierzyła, że samo tylko pójście mnie przerobi, mówiła: — Zobaczysz, pomodlisz się uczciwie i Bóg ci pomoże. Poszedłem bo wstyd mi było przed sobą samym i za nią, że się tak upokarzała i klęczała. No i uciekłem w połowie nabożeństwa. Mojego brata też raz zaciągnęła i też widocznie miał dość, bo po skończeniu szkoły wyjechał zaraz do innego stanu, do *college*. Ale chociaż przyjeżdżając na *Thanksgiving* i na Boże Narodzenie rozwodził się nad swoją nauką w *college'u* nie bardzo mu wierzyłem, że studiuje. Diabli wiedzą co on tam robił, nigdy nie byliśmy zbyt blisko ze sobą. Matce nikt w groserni nie pomagał. Czasem nosiłem jej paczki, czasem pomagałem za ladą, ale nie chciało mi się. Nienawidziłem tego sklepu, bo przypominał mi ojca. Po tym wypadku z samochodem i po odjeździe mego brata zaczęłem matce pomagać trochę więcej i zacząłem jej się przypatrywać, podpatrywać ją. Nawet ja wtedy, chociaż wygląd mojej matki niewiele mnie w tamtym czasie obchodził, zauważyłem jak nagle zaczęła się zmieniać. Właściwie zwrócili mi na to uwagę klienci w naszym sklepie, dla obcych ludzi było to bardziej widoczne niż dla mnie, jej syna. Wtedy zacząłem jej się przyglądać. Moja matka była zupełnie inna niż ojciec: drobna i delikatna i pewnie kiedyś była wiotka, ale zrobiła się w tej pracy żyłasta, przygarbiona i często zagryzała wargi, które po śmierci ojca przestała malować. Zawsze były spierzchnięte, tworzyły się jej w kącikach ust pęcherze, albo wypryski na dolnej wardze, mówiła, że to z przeziębienia, którego nigdy nie miała czasu wykurować. Uciekałem więc i odsuwałem się, gdy chciała mnie pocałować, nienawidziłem dotknięcia tych jej szorstkich warg, a wiem, sprawiałem jej tym przykrość. Płakała o byle co i jej niebieskie oczy, pewnie dawniej błyszczące i jasne, otoczone były zawsze czerwonymi obwódkami, szkliste, mrugała bez przerwy

oczami i tarła je, aż nawet białka oczu stały się pożyłkowane czerwono. Zauważyłem też, że zaczęła pić. Robiła to najpierw w tajemnicy przede mną, a później nie krępowała się nawet. Piła przed spaniem, mówiła, robi to, ażeby się rozgrzać i zasnąć. Grosernia szła coraz gorzej, okradli nas raz i drugi, coraz mniej było towaru, coraz mniej klientów, dzielnica zaczęła gwałtownie upadać, a ci co przychodzili kupować, kupowali przeważnie na kredyt i często nie oddawali pieniędzy, po prostu wyprowadzali się, znikali. Były dni że matka w ogóle nie otwierała sklepu tylko leżała w łóżku, paliła papierosy i piła.

Zdawała sobie sprawę z tego co się dzieje i projektowała nawet, że sprzeda sklep, który mówiła jest ponad jej siły, że wynajmiemy inne mieszkanie i że ona pójdzie do pracy.

To było na początku mego ostatniego roku w *High School*. Pożar wybuchł w naszym mieszkaniu. Gdy wróciłem ze szkoły było już po wszystkim. A matka spaliła się. Było to jeden z tych jej dni, gdy leżała w łóżku. Pożar zaczął się w jej pokoju, zasnęła z palącym się papierosem w ręku. Nie miałem jeszcze osiemnastu lat, zostałem sam. Mój brat nie przyjechał na pogrzeb, nie mogłem go odnaleźć pod tym adresem, który nam zostawił. Przyjechał tego roku później na *Thanksgiving*, ale domu już nie było. Odszukał mnie poprzez szkołę. Mieszkalem u ludzi których wynalazł mi mój *probation officer*. Przyszedł, niewiele mówiliśmy. Podaliśmy sobie ręce i on tak patrzył na mnie, jakby mnie oskarżał, jak gdybym ja był winien temu co się stało. Powiedział, że pracował ciężko, ma już teraz stałą posadę i przyjechał, aby nas zabrać: matkę i mnie. — A więc, jak — pytał — chcesz jechać? Nie było w jego słowach wielkiej zachęty, nie powiedział: — Kris, jedź ze mną! Powiedziałem, naturalnie nie, powinienem tu zostać i skończyć szkołę. Powiedział: — Masz rację, tak będzie najrozsądniej. Spytał się jeszcze, jak się uczę. Mogłem mu się uczciwie pochwalić. Po wypadku z matką zaczęłem się naprawdę uczyć. Wkuwałem dzień i noc, aby tylko o niej nie myśleć, bo stale ją widziałem, jak tam się pali i krzyczy o pomoc. I wydawało mi się, że to moja wina, że to ja ją zdradziłem, że to przeze mnie się stało. Chciałem tym uczeniem się, ślęczeniem nad książkami temu zaprzeczyć, przekonać ją, że to jednak nie ja byłem winien i myślałem, że moim uczeniem się ją wynagradzam. Podaliśmy sobie z bratem ręce i on odjechał, wydawało mi się, że nawet nie odjechał, a uciekł, bo nie chciał, abym go odprowadzał. Wcisnął mi w ręce dwadzieścia dolarów, powiedział: kończ szkołę i przyjeżdżaj do mnie, zostawił mi swój adres. Kiedy do niego później napisałem, list wrócił z notatką: adresat nieznanym. Skończyłem szkołę i nawet tak dobrze, że dali mi stypendium do *college*.

Wystarałem się nawet o letnią pracę jako *life guard* i tę samą pracę dali mi w tym roku. Kupiłem ten używany samochód i czasem myślę, że skończę naprawdę *college* i będę jak mój ojciec, nie ten mój ojciec odmieniony, tylko dawny, którego nigdy nie znałem. Przecież jestem do niego podobny.

Gdyby mi nie opowiedział o sobie tej nocy, gdybym to ja się nie domagała, ażeby mi opowiedział, mnie, belkowanym ścianom kabiny i zielonawym, coraz bardziej w miarę jego opowiadania zielonawo-niebieskim prostokąciom okien, łatwiej by mi było odejść. Byłam już przecież na progu odejścia. Mogłam, wtedy, gdy spał i gdy wydał mi się taki obcy spakować walizkę i wysliznąć się zostawiając go. Ale to ja chciałam, ja domagałam się i ja wkradłam się w niego, aby przez poznanie go stać mu się jeszcze bardziej niezbędną. Głowa jego leżała w zgięciu mego ramienia i kołysałam go delikatnie, tak, jak kołysze się splakane dziecko. Mało myślałam wtedy o sobie, a tylko o sobie w Krzysztofie i o sobie w połączeniu z nim. I nagle tuląc jego głowę i kołysząc go w moich ramionach spostrzegłam się, przypomniałam sobie, że dziś właśnie, a może tej nocy skończyłam szesnaście lat. Pochyliłam się nad nim i szepnęłam mu, że to dziś i że zapomniałam, nigdy jeszcze nie zapomniałam, ale on wydawało mi się, nie usłyszał. Spał. Wstałam, obejrzałam się, miał oczy zamknięte. Jego mocne, opalone nogi wystawały aż poza tapczan. Nie poruszył się, gdy nałożyłam na siebie płaszcz kąpielowy. Nie drgnął nawet, gdy uchyliłam drzwi kabiny i wyszłam przed dom, do lasu. Na trawie leżała ciężka, gruba rosa i dzień przedzierał się przez liście drzew. Tuż przewieszone przez gałąź nasze mokre jeszcze od wczorajszej kąpeli kostiumy. Spłoszony zajęć czmychnął pomiędzy krzaki, a z dołu, od szosy stłumiony odległością i porannym szczebiotaniem ptaków dochodził szum samochodów. Letnicy odjeżdżali do domów. Powinnam wrócić — myślałam — powinnam teraz ubrać się cicho i odejść, odjechać. Po raz pierwszy w moim życiu byłam z daleka od domu w dzień moich urodzin. Przeraziłam się tego: odległości, spóźnionego powrotu, oczekujących mnie i zmartwionych moją nieobecnością rodziców,

Ralph'a. Ogarnęła mnie panika, wyrzuty sumienia i przerażenie tak okropne, że rzuciłam się do drzwi kabiny, ale w drzwiach stał Krzysztof. Obserwował mnie widocznie, narzucony w pośpiechu koc, spadał mu z ramienia na ziemię. Uśmiechał się.

— Olivio — spytał — czy przyjmiesz prezent urodzinowy?

— Myślałam, że nie słyszałeś, myślałam, że spałeś — zawołałam. I chciałam się poprzez niego przedostać do kabiny, ale nie puścił mnie.

— To dziwny prezent — powiedział — nie wiem czy go zechcesz?

— Co? — pytałam, a on otulił mnie kocem, owinął go wokół mnie i siebie i tak przyciągniętej, związanej z nim szepnął:

— Mam tylko siebie, wiesz wszystko o mnie, czy chcesz mnie Olivio?

Staliśmy na progu kabiny głusi na szczebiot ptaków, na odgłosy przejeżdżających dołem zbrocza samochodów, ślepi na dzień i unoszące się coraz wyżej słońce.

— Tak, tak, tak... — odpowiadałam mu zapominając o domu, o Ralph'ie, o całym świecie.

Planowaliśmy, że się pobierzemy, jak tylko Krzysztof dostanie stałą pracę. Powiedział, że będzie studiować wieczorami i że za miesiąc, za dwa, gdy się wszystko jakoś ustali, jakoś wyjaśni, kiedy będziemy mieli trochę pieniędzy, pojedziemy razem do rodziców i on, Krzysztof im wszystko wytłumaczy. Ale teraz nie wolno się nam było rozstawać, bo by nas rozdzielili, bo znów na rok posłaliby mnie do szkoły i on zresztą beze mnie nie miałby siły i znów może strzeliłoby mu coś do głowy i stracilibyśmy się na nowo, musiałam teraz z nim zostać, musiałam mu zaufać. Do rodziców napisałam krótko, że mam już szesnaście lat i zdecydowałam się teraz nie wracać do szkoły, że dostałam dobrą pracę, zarabiam, a za miesiąc, za dwa przyjadę i wtedy wszystko wyjaśnię. Błagałam ich, aby mnie nie szukali, a tylko na adres jeszcze poczty w tym nadbrzeżnym miasteczku przysłali mi część ubrań.

Matka odpisała: Wracaj natychmiast, a jeśli zostaniesz dłużej sama będziesz sobie winna i nie miej do nas pretensji. Przysłała mi tylko mój szkolny płaszcz z wielbłądziej wełny i parę grubych, szkolnych półbucików. Nie spodziewała się, że zostanę dłużej. Podobno później ojciec przyjechał i szukał mnie w tym miasteczku i dowiadywał się w domu Sandry o mnie. Sandra była już wtedy w innej szkole, jej matka ciężko chora w szpitalu, ojciec jej niewiele wiedział o mnie, a Bob nie chciał mówić, może czuł się winny, on jeden z całej rodziny. Pocziwy Bob, on mnie później odnalazł, on jeden starał się mnie zrozumieć.

Wyjechaliśmy, jak tylko nadeszły moje ubrania. Samochód Krzysztofa psuł się kilka razy po drodze, nocowaliśmy w samochodzie, baliliśmy się zajeżdżać do motelu i dopiero po dwóch dniach dobiliśmy do miasta. Krzysztof wynajął to mieszkanie na czwartym piętrze, umeblowany pokój i kuchnię do którego teraz po przeszło trzech miesiącach pobytu zbliża się Olivia.

Widzę ją jak otwiera drzwi. Trzymam klucz w rękę, wkładam go do zamku i waham się, zatrzymuje mnie coś, kładzie się na moją wyciągniętą rękę i obciąża ją. Dlaczego ja tu jestem? — myślę. — Dlaczego myśmy tu przyjechali? Dlaczego muszę mu to tu powiedzieć? To po raz pierwszy dotyka i obciąża mnie zwątpienie. Sprecyzowało się nagle wywołane kontrastem dnia na ulicy i tunelowatym zaduchem klatki schodowej. Stoję przecież na tej samej ulicy tylko uniesiona kondygnacją schodów i półpięter o kilkanaście jardów w górę. Na dole już wszystko pokryte szklivem i czyste, chłodne, zimowe słońce odważnie zagląda w oczy aż do zmrużenia powiek i aż do łez i tam, na ulicy miałam odwagę dopóki nie znalazłam się przed drzwiami gdyż te drzwi zioną stęchlizną i podłoga gnije i wszystko w tym domu jest gnijącym zakłamaniem, przepierzoną tekturowymi ścianami nieprawdziwością. Dlaczego przyjechaliśmy tutaj? Zaczęliśmy się, znaleźliśmy się pomiędzy słońcem i piaskiem w słonej, zielonawej wodzie oceanu i tam zaczęliśmy opleceni sobą zespalać się a nasze dwie spalone słońcem, rozgrzane słońcem, niedojrzałe młodości zaczęły łączyć się w jedną młodość pełną, nasyconą. Tam powinniśmy trwać i tam się skończyć. *Indian Room*, kabina na szczycie zbocza, urwisko nadbrzeżne — tam należeliśmy, to była dekoracja dla naszej zielonej, soczystej młodości. Myślę czasem, że moglibyśmy tam zostać, przylgnąć do tej prowincji, tej rybackiej osady, która tylko w okresie letnim stawiała się miasteczkiem, że Krzysztof mógłby stać się rybakiem, że ja mogłabym malować, a ta kabina prymitywna, nasz dom, chroniłaby nas. I tam mogłabym mu powiedzieć! Tam mogłabym wykrzyczeć to przed całym światem, bo tam świat byłby cichy i usłyszał mnie i zrozumiał. Ale nie, my poleciliśmy za tłumem, instynkt silniejszy był w nas niż zew naszej miłości, my popędziliśmy za szumem samochodów wracających do miast, do mieszkań, do biur, do fabryk, na oplute ulice, pod opiekę dachów i papierowych ścianek, pobiegliśmy gęsiego, w ogonie cisnąć się po przywilej gnieźdzenia się, duszenia i kiśnięcia w umeblowanym, zatęchłym mieszkaniu. Byłe razem, byłe w gromadzie, byłe z innymi nie wiedząc, nie podejrzewając, że ci inni, to lepsze gnieźdzenie się po społu, to staranie się jak inni, im-

towanie na każdym kroku — to śmierć, nagłe wędnięcie kwiatu wyrzuconego na uliczny śmietnik. Nie byliśmy więc już nawet Krzysztofem i Olivią, których połączyła woda, a potem tajemniczy zew indiańskiego pokoju, staliśmy się dwojgiem ludzi: 16-letnią dziewczyną i 20-letnim chłopakiem udającymi, że są małżeństwem. Straciliśmy nasze imiona, naszą indywidualność. Myśmy się zarazili, staliśmy się tym, czym chciała nas zobaczyć ulica, jej przemijającą ciekawostką, małym niezdrowym podnieceniem, skandalikiem na miarę tego wąskiego apartamenciku i wygniecionego przez wiele par łóżka.

Nasz *landlord*, który co tydzień wdrapywał się tu ze swego zagraconego mieszkania w *basement*'cie też wiedział, ale symulował, że nic nie wie, bo przecież czynsz, pieniądze cotygodniowe, więc tylko nie uśmiechając się, uśmiechał oczodołami i pewnie podśmiewał się i ogarniał go, gdy rozstawał się z nami z ciepłymi dwunastoma dolarami w kieszeni, ten intymno-ciepławy dreszczyk małej sensacyjki, ale nie była to jego sprawa, nie obchodziliśmy go, my Olivia i Krzysztof, a tylko przewidywał już jak to się skończy i obliczał pieniądze i podpisywał kwit.

.....

Olivia stoi przed drzwiami mieszkania, malowanymi brązowym lakierem, podrapanymi drzwiami *rooming house*. Na plecach jeszcze dotknięcie zimowego dnia, a przed nią to co jeszcze teraz posiada i co niedługo straci: pokój i kuchnia pełne jej i Krzysztofa miłości, a nad nią i na jej ręce trzymającej klucz ciąży chory oddech świata i jej przeszłość, dzieciństwo jej i Krzysztofa, które tam, w nadmorskim miasteczku wydawały się chłodnym wiatrem nawiewającym ich ku sobie, teraz już ciężącym, obciążającym zaduchem.

Jak mi ciężko — myśli Olivia — zmęczyłam się niesieniem torby z prowiantami. Wydaje jej się, wisi w powietrzu ponad ulicą, a nie opiera się nogami o belkowania sufitów i podłóg i za chwilę spadnie, roztrzaska się, przestanie istnieć. Olivia myśli: Mój Boże, co ja mu powiem, co on na to powie? I z tym westchnieniem przekręca klucz w zamku Yale i wchodzi do mieszkania.

Mieszkanie przerobione z jednego pokoju, dawno już, pewnie 20 lat temu, a może i dawniej, gdy Olivii i Krzysztofa jeszcze nie było, czyhało już na nich. Wtedy ta ulica, niegdyś samodzielne rezydencje, pod naporem napływającej do miasta ludności zaczęła się gwałtownie dzielić na mieszkania, umeblowane klitki z kuchnią i łazienką, albo ciasne, ciemnawe norki z używalnością kuchni i ubikacji.

Wtedy dom obdrapany, opuszczony przez ostatniego mie-

szańca, którego wyniesiono na miejski cmentarz, bo za życia opierał się i nie chciał go opuścić, ten dom zaniedbany, zaszczurzony, o wybitych w dachu oknach gdzie panoszyły się gołębie, dom podgniły i o małej już wartości kupił Ormianin-imigrant, ciemne ptaszysko o zwichniętym skrzydle, z opuszczonym smętnie nosem, kraczącym językiem omówił sprawę z agentem, podpisał. Landlady, Ormianka szeroka, chybocąca się, do której bioder pasowałyby lepiej marszczone spódnice, a nie ciasne suknie w które się ubierała, zanurzyła robotne ręce w chore wnętrzości domu i zaczęła przerabiać, podciągając, podmalowywać, ugładzać z zewnątrz, ale nie mogła przepędzić chichoczącego złośliwie ducha ostatniego mieszkańca domu, którego ciało wyniesiono, ale który pozostał.

Oboje przywieźli tu wspomnienie okrucieństw tureckich, zostały im na dnie wystygłych, smolitych oczu, jak zeschnięta krew i przywieźli trochę dygoczące i zachłanne ręce, które ten zbyt obszerny, niepraktyczny, staroświecki dom podzieliły na klitki z których razem z zużytą wodą ze zlewów, ubikacji i łazienek spływały im co tydzień pieniądze. Co piątek liczyli w swoim zastawionym gratami, sztucznymi kwiatami, zawieszonym portretami rodzinnymi i patriotycznych przywódców mieszkaniu — pieniądze, ubezpieczenie na przyszłość. I pochylali nad nimi plecy zgarbione batem tureckim, znieczulone własną niedolą. Plecy ich i ręce i oczy nie znały już wyrozumiałości. Na dolary musieli pracować ciężko. I to dolar ich zagarniał, dolar ich owijał i uszczelniał. Więc albo czek, albo wynos się, albo pieniądze co piątek w dzień wypłaty, albo ulica. Dolar twardo zdobyty uczy twardości, tak mówili lokatorom. Nie mogli inaczej, nie mogli sobie na nic innego pozwolić, musieli być zabezpieczeni. Z tego żyli, z łaski przedzielonych tekturowymi przepierzeniami pokoi.

To górne mieszkanie na czwartym piętrze było jednym z najtańszych: dwanaście dolarów tygodniowo, z gazem, elektrycznością i ogrzewaniem włącznie. Z korytarzyka wchodziło się wprost do sypialni, a na prawo do kuchni, z kuchni drzwi do łazienki. Pokój był wąski i miał jedno okno nieszczelnie zasłonięte plastikową firanką, wychodzące na podwórze poprzecinane żelazną gmatwaniną przeciwpożarowych schodów. To symfonia schodów żelaznych im dźwięczała gdy leżeli szukając się i coraz trudniej odnajdując na metalowym łóżku o mosiężnych niegdyś prętach. Na wprost przy oknie komoda, na lewo, pod ścianą toaletka z lustrem i krzesło. Z sufitu na drucie zwisała popstrzona przez muchy żarówka.

.....
Zdjęłam płaszcz, powiesiłam go w ściennej szafie zawalonej

naszymi dwoma walizkami. Był to mój szkolny płaszcz z wielbłądziej wełny i wieszając go pomyślałam: Co ja zrobię? Jak to będzie? Była godzina druga po południu, piątek. Nie pamiętam daty, mógł być to może 9-ty, a może 11 grudzień. Na dworze jasno, przejrzysto, a tu już szarawo. Nacisnęłam guzik elektryczności i nagle w świetle dnia, który tu dochodził niechętnie i światło żarówki żółtawym i skąpym zobaczyłam rzuconą na łóżko kurtkę Krzysztofa. Ta kurtka z zielonego *corderoy'u*, robocza kurtka o poplamionych mankietach uderzyła mnie, jak zielona celnie wymierzona kula, strzeliła we mnie, przygwoździła do miejsca.

— Kris! — krzyknęłam — Kris!

Nie odpowiedział, nie przybiegł do mnie, a przecież czułam jego obecność. On tu był, dzieliły nas tylko dwa kroki, papierowe przepierzenie. I słyszał mnie, musiał mnie usłyszeć.

— Kris! — zawołałam.

Siedział przy stole kuchennym, odwrócony tyłem, wyciągnięte przed siebie nogi, nie, nie siedział pół-leżał na krześle i odwracając się zwolna, nie wyjmując szklanki z ręki mruknął:

— *Hi baby*.

Spojrzał na mnie. Miał przekrwione oczy, w kąćniku zeschniętych warg niezapalony papieros.

— Kris, dlaczego?

— Masz zapalki? — spytał. — Szukałem cholernych zapalek i nie mogłem znaleźć.

Odwróciłam się, sięgnęłam po zapalki, były na półce nad piecem kuchennym. Myślałam: jest pijany. Poczułam jego ręce obejmujące mnie w pół, jego ręce szukające moich piersi.

Odejdź — powiedziałam — usiądź, jesteś pijany.

Usiadł posłusznie.

— Jestem pijany — mruknął. — Zapal mi papierosa.

Pochyliłam się nad nim, zapaliłam podrygujący w kąćniku ust papieros. Cofnęłam się.

Przytrzymał moją rękę.

— Pocałuj mnie.

— Nie teraz — broniłam się.

Nie puszczał mojej ręki, jego przekrwione oczy tuż przy mojej twarzy.

— Pocałuj mnie — dyszał.

— Nie! — broniłam się.

Zapalony papieros wypadł mu z ust na podłogę. Pochyliłam się, aby go podnieść.

— Zostaw! — krzyknął. — Niech leży! Pocałuj mnie! Na pożegnanie.

Wyrwałam mu się, po raz pierwszy odrzuciłam go, jakby ten tlejący papieros był ważniejszy niż Krzysztof i myślałam: uciec! Ogarnął mnie nagły strach przed Krzysztofem, przed jego niespodziewaną innością. Chwycił mnie za ramiona. Podniecony moim oporem przyciągnął do siebie, jego nabrzmiałe, zeschnięte wargi szukały moich ust.

— Chcesz żeby był pożar — szepnęłam — żebyśmy się spalili, jak... jak twoja matka, chcesz...

Odepchnął mnie, aż zatoczyłam się i uderzyłam plecami o piec kuchenny.

Wstał. Przydeptał butem papieros.

— Nie ruszaj mojej matki — mruknął. Odwrócił się, zatrzasnął za sobą drzwi łazienki.

Siedziałam na podłodze, płakałam z bólu, z upokorzenia, ze strachu, myślałam: uciec stąd natychmiast, wybiec, bo zaraz stanie się coś okropnego. Uciec, wyjechać z tego miasta. Dokąd? Tylko jedno było miejsce ucieczki, tylko jeden kierunek: do domu. Oblizywałam w pośpiechu pieniądze: czy starczy mi na bilet autobusowy? Albo nie, wyjdę zaraz, pobiegnę, zatelefonuję do ojca, ojciec przyjedzie po mnie. Prawie 4 miesiące nie odzywałam się do nich. Ojciec... — płakałam — ojciec przyjedzie po mnie. I już wiedziałam go jak zajeżdżał, jak podbiegam do niego, jak opowiadam mu o sobie. Nie, nie mogłam mu tego powiedzieć, nie teraz, jeszcze nie teraz. Przyłożyłam ręce do moich nabrzmiałych piersi, które teraz po wstrząsie uderzenia zaciężyły mi jeszcze bardziej. Moje piersi, pierwszy ostrzegawczy znak, oglądałam je w lustrze toaletki. Ich różowe brodawki sterczące, jak stulone pączki wiosennych kwiatów jabłoni, poszerzyły się i ciemniały. Nie mogłam teraz do nich jechać, nie mogłam powiedzieć tego memu ojcu. Nie, nie jemu, nie mogłam go tak skrzywdzić. A może powiem mojej matce? Nie wspomnę nic ojcu, tylko po przyjeździe do domu powiem jej. Jak ja jej to powiem? Nie, nie nie mogę jej tego powiedzieć. Nie mogłam do nich pojechać, nie teraz jeszcze. Słyszałam szum wody z łazienki, czułam swąd przypalonego papierosem linoleum i odór rozlanego na podłogę, na stół ginu i stęchlą woń mieszkania i zgniły zapach puszek do śmieci. Krzysztof powiedział: pocałuj mnie na pożegnanie. Na pożegnanie? Skąd wiedział, że będę chciała go opuścić? Chwycił mnie nagle mdłości te co wczoraj i przedwczoraj gniotące, podływające od góry brzucha aż do gardła gorzką, dławiącą śliną. Podtrzymałam się nogi stołu i podniosłam.

Mdłości rozrywały mnie. Już teraz nic mnie nie obchodziło tylko to co działo się we mnie i pocieszałam samą siebie: to przejdzie, to musi przejść zaraz. Położyłam ręce na chłodną emalię

zlewu, odkręciłam kurek i pochylona nad zlewem dygotałam i płakałam i wymiotowałam gęstą, obrzydliwą śliną.

Nie słyszałam nawet kiedy podszedł do mnie, nie zauważyłabym go, pochłonięta sobą, gdyby nawet wyszedł, odszedł bez pożegnania. Podniósł moją rękę, uczułam dotyk jego policzka, dotyk jego ust na mojej ręce i już chciałam się odwrócić i przytulić do niego, bo przecież nikt mi nie został, nikomu innemu nie mogłam się zwierzyć, gdy powiedział:

— Olivio przepraszam cię, zrozum, wywalili mnie, straciłem pracę.

Milczałam.

— A więc nic się to nie obchodzi — zawołał. — Nie możesz nawet wysłuchać!

Odwrócił mnie ku sobie.

— Co ci jest? — szepnął. — Przepraszam, nie chciałem, wierz mi! Wywalili mnie! Muszę stąd wyjechać. Musimy się rozstać, może na krótko, na jakiś czas, na kilka miesięcy. Najlepiej, żebyś wróciła do rodziców. Tak będzie najlepiej. Pojadę do mego brata, powinienem skończyć *college*, sama widzisz, to nie jest możliwe teraz.

— Co?

— Nie patrz tak na mnie. Zapomniałem się raz, przepraszam, byłem pijany. Odwiozę cię dziś do rodziców, dziś w nocy wyjedziemy, nie będę nawet miał czym zapłacić czynszu. Przyznaj sama, że teraz, w tych warunkach lepiej, ażebyśmy się rozstali. Na jakiś czas aż wszystko się jakoś ułoży, zmieni, jakoś się wszystko wyjaśni. Co ci jest? Co się stało? Czy czujesz się tak źle, że nie będziemy dziś mogli wyjechać? Stał pochylony nade mną w zbyt krótkich, roboczych spodniach, w swoich poplamionych benzyną i smarami *dungaree*, jego flanelowa koszula zmoczona była wodą, rozpięty, zmoczony kołnierzyk przylepił się do szyi, jego szerokie, ciemne brwi unosiły się i marszczyły niecierpliwie, ciemny kosmyk włosów opadał na czoło. Kochałam go w tej chwili, kochałam bardziej i pomimo wszystko, był we mnie, dojrzewał we mnie.

— Kris — szepnęłam — o Kris, kochany mój, będę miała dziecko.

Cofnął się, spojrzał na mnie przerażony.

— Nie — jęknął — nie, to niemożliwe.

Cofał się i chociaż nie posunęłam się ani o krok naprzód, wydawało mi się, napieram na niego, a on przede mną ucieka. I już nie patrzył na mnie, a jego wzrok czepiał się to ścian, to podłogi, to drzwi kuchennych, to rogu stołu, jakby te wszystkie sprzęty bardziej mu były przyjazne i bardziej oparciem niż ja.

Oparł się o ścianę, wydawało mi się rozstrzaskał o nią bo ze swoją ciemną, zwieszoną głową z opuszczonymi ramionami był ptakiem, który w locie uderzył o mur.

— To niemożliwe — szeptał — skąd wiesz, nie jesteś jeszcze pewna.

— Wydaje mi się...

— O widzisz, wydaje ci się, ale nie jesteś pewna. Trzeba się upewnić.

— Tak.

— Bo jeśli rzeczywiście tak jest, no to dopiero początek i można coś na to poradzić. Są różne lekarstwa... mam znajomego, który pracuje w aptece.

— Kris?

.....
Stoją na wprost siebie, oddaleni od siebie, pomiędzy nimi wali się podłoga i zapada aż do piwnicznego dna i pytanie Olivii zapada się w to dno i Krzysztof go nie słyszy. Zapala papierosa i poprzez pustkę spogląda na nią odważnie.

.....
— Mam także znajomą pielęgniarkę o której mówili mi...

— Kris?

— Tak?

— Czy ty go nie chcesz?

— Czy nie chcę czego?

— Ty jego nie chcesz! Ty go nie chcesz!

— Nie ma co mówić, teraz nie ma co o tym mówić. To niemożliwe, nie, to nie mogło się stać.

— To co mam zrobić?

— Trzeba się upewnić.

— Jak?

— Czy ja wiem? Musisz iść do lekarza. — No pójdziesz później do lekarza, ale to niemożliwe, to często są tylko sprawy emocjonalne.

— Później?

— Tak później, nie dręcz mnie teraz. Dlaczego akurat dzisiaj z tym przyszedł, dlaczego akurat dzisiaj wszystko się na mnie wali? Powinienem dziś w nocy wyjechać.

— Musisz uciekać?

— Chcesz wiedzieć? Tak, muszę uciekać.

— Co się stało? — spytałam i pierwsza przeskoczyłam pustkę, podeszłam do niego. — Powiedz mi...

— Staralem ci się powiedzieć, ale ty...

— Nie mówmy o tym.

— Masz rację, trzeba się upewnić. Napiszesz do mnie.

Myślałam: dlaczego nie mogę umrzeć teraz, dlaczego on mnie nie zabije? Wolałabym aby mnie zabił. Ale to co było we mnie domagało się życia. Myślałam więc: co zrobię, co ja zrobię? Ale gładząc rękaw jego koszuli zainteresowana, zaniepokojona i uśmiechnięta szeptałam:

— Tak, tak... ale teraz powiedz mi, siądź tutaj, powiedz mi kochany mój, biedny, drogi mój dlaczego cię zwolnili, co się stało?

A on nieświadomy ani mojej miłości, ani nienawiści mojej do niego, tych dwóch uczuć, które szalały we mnie rozwalając mi czaszkę i rozszarpując płuca i brzuch jak szponiaste pazury dwugłowej bestii, on uspokojony moim głosem tylko, usiadł, pozwolił mi gładzić się po głowie i przytulony do mnie, wsparty o mnie powiedział:

— Ach dlaczego, dlaczego... dlaczego dranie podejrzewają człowieka?

— O co cię podejrzewali?

— Nic im nie wzięłam.

— O co?

— Brakowało im wczoraj w kasie.

— Nie oddałeś im pieniędzy.

— Powiedziałem ci, nic nie zrobiłem.

— Kris, powiedz mi, powiedz mi.

— Należy mi się dużo więcej niż to co mi płacą.

— Ile to było?

Wstał. Odszedł w kąt kuchni pomiędzy stół i lodówkę, powiedział:

— Benzyna i zmiana oleju, dziewięć dolarów, pięćdziesiąt centów. Nikt nie mógł zauważyć. Inni też to robią, tylko ja mam pecha. Wydałem już i nie miałem im z czego oddać. Nie mówiłem ci, nie wystarczyło. Sam czynsz za mieszkanie: dwanaście dolarów. Sprzedałem już zegarek. I teraz taki pech. Boss zawołał mnie dziś w południe...

— Taki pech — powiedziałem — zawołał cię i co?

— Powiedział: Oddawaj dziewięć i pół dolara i postaram się zapamiętać.

— A ty?

— Początkowo udawałem frajera, powiedziałem, że nie wiem o co chodzi, nie pamiętam. A on przypomniał mi. Ryknął, że gdzie myślę on ma oczy? Widział wszystko, nie wiem, jak stary łajdak podpatrzył, przypomniał mi godzinę i samochód, powiedział: to był zielony Chevy, 61 rok, ten facet miał okulary, wyszedł do toalety i wracając powiedział: boss, zapłaciłem już chłopakowi. Wtedy nie mogłem już udawać, powiedziałem: no tak, racja, zupełnie zapomniałem, zostawiłem forszę w drugich spo-

dniach w domu. Powiedział: Wal do domu i przynosź tę forszę w zębach, radzę ci dobrze poszukać, bo inaczej policja ci pomoże. Wróciłem.

— Co chcesz zrobić? — spytałam, ale nie pytałam jego, pytałam samej siebie: co ja zrobię? Co ja zrobię?

— Mam sześć dolarów — powiedział — i pełny bak benzyny. Odwiozę się i w tamtej stronie, 25 mil stąd mam kolegę, przetrzyma mnie kilka dni, wykombinuję trochę forsy i pojadę do mego brata.

— A ja?

— Odwiozę cię.

Myślałam: chce się mnie pozbyć, o to mu tylko chodzi: o pozbycie się mnie, co ja zrobię? Podeszłam do niego, złożyłam ręce, błagałam go:

— Kris, zostań ze mną tylko trzy dni, tylko dwa dni, ja nie mogę teraz wracać. Ja nie mogę tam teraz jechać.

— Chcesz, żeby nam się zwała tu policja? Chcesz, żeby mnie wsadzili?

Wybiegłam do pokoju, chwyciłam moją torebkę, wróciłam, wysypałam jej całą zawartość na stół: peny i nikle i dwa zmięte papierowe dolary, resztki tytoniu i puderniczka.

— Mam dwa dolary — szeptałam — nie, mam dwa dolary i sześćdziesiąt centów. Masz — wtykałam mu pieniądze do ręki — masz, idź, oddaj mu.

— To nie wystarczy.

— Co ty opowiadasz, Kris, to tylko dziewięćdziesiąt centów mniej. Tylko dziewięćdziesiąt centów, wytłumacz mu!

Stał niezdecydowany, obracał pieniądze w rękę, a ja wiedziałam to nie pieniądze, to nie różnica dziewięćdziesięciu centów, to ja! To różnica naszej miłości, która z bezcennej stała się nagle okrągłą, jak pieniądz, zmięta, jak dolarowy banknot, który wetknęłam mu do ręki. To naszą miłość Krzysztof obracał w rękę i ważył, odrzucał i położył wreszcie zdecydowanym ruchem na stole pomiędzy szklankę i butelkę i rozsypane drobiazgi z mojej torebki.

— Nie znasz go, Olivio, nie znasz starego diabła — mruknął — nawet dziesięć centów, nawet głupi nikiel liczy się u niego. To nie wystarczy.

Wtedy spojrzałam na moje ręce, były już bezsilne. Na środkowym palcu lewej ręki — cienki, złoty pierścionek. Dostałam go od ojca na moje 13-te urodziny. On i matka kupowali go z myślą o mnie, przechowywali dla mnie, aż do chwili, gdy zrozumiałem, gdy oni uznają, że będę się mogła dowiedzieć. A może nie kupili? Może został im powierzony razem ze mną, z myślą o

mnie przez Tamtą? To Ona podyktowała mi mój ruch, a może tylko Jej ruch powtarzałam? Zsunęłam pierścioneł z palca.

— Kris — szepnęłam — weź to, idź, sprzedaj, zastaw w lombardzie, to będzie więcej niż dziesięć dolarów. Oddaj mu pieniądze.

Wahał się.

— Nie — mruknął — to nie ma sensu.

— Błagam cię — krzyknęłam — zrób to dla mnie! Ja nie mogę tam teraz jechać. Nie zostawiaj mnie!

I wtedy znów uczułam ten szalony zawrót głowy, jak przy jeździe na podniebnej karuzeli, cierpienie skóry na twarzy i mdłości, a on patrząc na mnie zauważył, zrozumiał i uwierzył temu bardziej niż moim słowom i stał przerażony z półotwartymi ustami wpatrując się we mnie, czekając na wytłumaczenie, na zaprzeczenie, że jednak nie, że nic jeszcze nie wiadomo. Odwróciłam się gwałtownie do zlewu, pierścioneł wypadł mi z ręki na podłogę. Widziałam, jak pochylił się, jak podniósł go.

— Jestem skończona świnia, nie powinienem brać tego od ciebie.

Nie słyszałam kiedy odszedł, wyszedł, wybiegł tak cicho, tylko lekkie trzaśnięcie drzwi uświadomiło mi, że nie ma go już w mieszkaniu.

I bardziej czułam niż słyszałam jego kroki na pierwszej i na drugiej kondygnacji schodów aż umilkły zupełnie na schodach, w tym domu, we mnie. Wtedy rozpłakałam się i płakałam tuląc się do zlewu i do ściany i kołyszac, uspakajając siebie samą w swoich własnych ramionach szeptałam: Boże, Boże pomóż mi, zlituj się nade mną, co ja zrobię, co ja teraz zrobię? Uklękłam przed łóżkiem i starałam się modlić, ale przed łóżkiem na ścianie nie było już papierowego Anioła Stróża tylko popękana, pokryta kilkoma warstwami farby tania tapeta.

Umyłam twarz, ubrałam się i zesłam na dół. Schodząc czułam ból w krzyżu. Na parterze otworzyły się drzwi.

— Hi Miss — mruknął Ormianin — czy przychodzić pani zapłacić rentę?

Jego ciemne, zgasłe oczy przyglądały mi się podejrzliwie.

— Nie — powiedziałam. — Nie dziś, zapłacimy jutro. Zawsze płacimy wieczorem, albo w sobotę rano.

— Dziś jest płacenie — mruknął — dziś płacić trzeba. Potrzebować dziś renta.

— Jutro — powiedziałam — jutro pan dostanie pieniądze.

— Ani chwila więcej — pogroził mi palcem. — Nie ładnie tak. Piątek — renta. Piątek ludzie przychodzić. Panie Waczetorian — renta. Jutro nie — mieszkania nie! O. K.?

— O. K. — powiedziała.

Trzasnął drzwiami. Wyszłam na ulicę. Dzień przełamał się już, błękitność nieba powlekała się mlecznym nalotem, w powietrzu czuć było zapowiedź sniegu. Szłam wolno, wlokłam się w stronę poczty. Było mi zimno i niewygodnie. Napadł mnie naraz szaleńczy głód. Musiałam coś zjeść, musiałam, zaraz, natychmiast coś zjeść. Sandwicz z sardynką, muszę zaraz zjeść sandwicz z sardynką — myślałam. Nie widziałam ulicy, czułam zapach świeżego chleba, kawałek białego chleba z sardynką, z sałatą i z pomidorem i z majonezem. Dwa bloki stąd była mała *lanczeneta*, zaczęłam iść szybciej, biegłam prawie. Miałam pieniądze, miałam dwa dolary sześćdziesiąt centów, które Krzysztof zostawił na stole. Myślałam: dobry, świeży, apetyczny sandwicz z sardynką. *Luncheonette* była w basemencie. W oknie, które do połowy wystawało ponad chodnik napis: *Joe's Little Snack Bar*. Zbiegłam po trzech schodkach w dół, pchnęłam drzwi, drzwi zadzwoniły. Było mi słabo z głodu: sandwicz z sardynką i majonezem — myślałam. Usiadłam przy kontuarze, zapach smażonych kartofli zemdlilił mnie, czułam głód i mdłości.

Oparłam się łokciem o kontuar, myślałam: Co ja zrobię? We mnie była pustka i to uczucie z jakim spogląda się z góry w dno przepaści, pytanie zapadało się w przepaść, czułam jego szybkie, coraz szybsze zapadanie się i nie mogłam go podjąć, bałam się pochylić, bałam się spojrzeć.

— Co pani podać, Miss?

— Ach tak — powiedziała — tak, chciałabym... Był to mały, siwy człowieczek okrągły i różowy na twarzy, jego blade niebieskie oczy wydawały się widzieć i wiedzieć.

— Proszę sandwicz... Nie! Zaraz, zjadłabym fasoli, gorącej fasoli.

— Z bekonem?

— Tak, z bekonem, ale prędko!

Miałam teraz ochotę na pieczoną fasolę, nie mogłabym przełknąć kanapki z sardynką.

— Prędko! — roześmiał się. — Wszystkim się śpieszy. Szykuje teraz *hot cakes* dla tego gentleman'a i nie mam kelnerki. Zaraz będzie fasola.

— Niech mi pan też da *hot cakes* — zawołałam i dużo syropu.

— A co z fasolą?

— Nie chcę już fasoli.

Człowiek odwrócił się i podszedł do *grill'u* na którym smażył bliny.

Rozejrzałam się po restauracji: pod ścianą stały trzy stoliki

pokryte czerwonym plastykiem i dwie maszyny *amusements*. Na ścianie dziewczyna szczyrzyła zęby do papierowego chłopca pod napisem *Pepsi for those who think young*. Dlaczego jestem młoda — pomyślałam — dlaczego nie mam już tego wszystkiego poza sobą? To nieprawda, młodzi nie myślą młodo, dręczą się, a tylko starszym wydaje się, że młodość jest odpowiedzią na wszystko. Co ja zrobię? Boże co ja zrobię? *Angel of God... Angel of God my guardian dear to whom God's love entrust me near...*

— Miss, czy chce pani kawę?

— Co? tak... tak... kawę, proszę. A ciastka? Jeszcze nie gotowe?

— Zaraz będą. Tłumaczę wszystkim, że nie mam kelnerki, nasza kelnerka zachorowała.

— Mister! — zawołałam — szuka pan kelnerki?

— Ta-ak — powiedział — dlaczego?

— Ja jestem kelnerką — powiedziałam.

Podszedł bliżej i oparł się łokciami o kontuar, przypatrywał mi się.

— Ile masz lat? — spytał.

— Osiemnaście.

Gość, który siedział na drugim końcu kontuaru, ten, który czekał na *hot cakes* gwizdnął. Spojrzałam na niego prędko i odwróciłam głowę. Zsunął kapelusz z czoła i mrugnął do mnie, powiedział:

— Joe, wynalazłeś sobie kelnerkę.

Właściciel restauracji nie zwrócił na niego uwagi, przypatrywał mi się.

— Pracowałaś gdzieś? — spytał.

— *Sure*.

— Gdzie?

— Nad morzem, tu w mieście nie pracowałam. Ile pan płaci?

Zastanawiał się, odszedł znów do płyty na której smażył ciastka i stamtąd obserwował mnie. Nie czułam już mdłości ani głodu, cała pochłonięta byłam możliwością otrzymania pracy.

Za oknem zaczął prószyć śnieg, pierwsze delikatne, nieśmiałe płatki opadały na chodnik i topniały natychmiast, ale w powietrzu czuło się zapowiedź śnieżycy ciężkiej, grubej, tamującej ruch i życie, śnieżycy jakie zwykle nawiedzały miasto w początkach grudnia.

— Gdzie mieszkasz? — spytał Joe. Postawił przede mną dymiący stos gorących ciastek i podsunął słoik z syropem.

— Tu niedaleko — powiedziałam.

— Nie bardzo wierzę, żebyś miała doświadczenie — zaczął.

— Naturalnie — powiedziałam. Myślałam: *my guardian dear to whom God's love entrust me near*.

— Jak się nazywasz?

— Janice Stone — powiedziałam. Patrzyłam mu wprost w oczy.

Westchnął: — Możesz zaczynać w poniedziałek, Janice.

— Ile pan płaci?

— Dwadzieścia dolarów i *tips*. Poniedziałek o szóstej trzydzieści rano.

— Tak Mr. Joe, dziękuję panu.

— Tylko na kilka tygodni, a potem zobaczymy.

— Czy mógłby mi pan zanotować adres i telefon?

— *Sure* — powiedział. Był już teraz zdecydowany i cieszył się, że dostał kelnerkę.

Na zielonym bloczku kasowym napisał „Joe's Little Snack Bar”, adres i telefon. Poprosiłam go o ołówek i napisałam na dole „Janice Stone”.

Zjadłam, zapłaciłam mu i wyszłam na ulicę. Padał śnieg, było białe i przytulnie, jakby świat się zmniejszył, ludzie szli rozbawieni, zbliżeni do siebie tym śniegiem. Wystawy były już udekorowane, migotały kolorowo, a mnie wydawało się, że zauważyłam te świąteczne przygotowania po raz pierwszy, jak chory, który po długiej bytności w szpitalu wychodzi po raz pierwszy na ulicę i dziwi się zmianom które odbyły się mimo niego i bez jego udziału. Pomyślałam o Ralph'ie, o choince w domu moich rodziców i zaczęła mnie ogarniać w tym śniegu ulicznym i wobec błyskotek wystawowych tak szalona, bolesna tęsknota za nimi, że wydawało mi się, nie wytrzymam ani dnia dłużej, zatelefonuję do domu, powiem im wszystko, rzucę się przed nimi na kolana, będę ich błagała o przebaczenie, o ratunek. Ale gdy wyobraziłam sobie twarz mojej matki i ojca, gdy dosięgłam ich tak blisko, że stąpali przy mnie w tym śniegu, że szli po obu moich stronach rzeczywiście, że niemal dotykałam ich ręką, stchórzyłam. Nie wiem jeszcze na pewno — myślałam — chociaż przecież wiedziałam. Nic jeszcze nie wiadomo, trzeba się posłuchać Krzysztofa, pójdę do lekarza, muszę być pewna. I myślałam o Krzysztofie, którego kroki i głos znów odezwały się we mnie i o dotyku jego ramion, o wgłębieniu jego ramion w które wtulę się tej nocy. A jeżeli nie wróci — myślałam znów — jeżeli mnie zostawi?

Budynek poczty był w śródmieściu. Szłam walcząc ze śniegiem coraz gęstszym, wilgotnym który wciskał mi się za kołnierz i topniał na twarzy i walcząc z własną decyzją zmieniając ją, podejmując na nowo, bo teraz już nie pytałam siebie: co dalej, co to będzie, teraz musiałam sama decydować. Na poczcie wszłam

do budki telefonicznej i przez operatora wyszukałam numer telefonu Bob'a. Myślałam już o nim wcześniej, ale dopiero w chwili gdy wchodziłam po schodach budynku pocztowego postanowiłam, że tylko on. Miałam jeszcze dość pieniędzy na zamiejscowy telefon, zamówiłam bezpośrednią z nim rozmowę. Bob'a nie było w domu, powiedzieli telefonistce, zdaje się, że była to ich służąca, że spodziewają się go za godzinę. Z książki telefonicznej wybrałam nazwisko lekarza. Zatelefonowałam. Lekarz nie przyjmował w soboty. Dopiero po kilku próbach udało mi się znaleźć lekarza który obiecał przyjąć mnie następnego dnia. Wysłałam na ulicę i włączyłam się przez godzinę przed wystawami sklepów. Myślałam: jutro idę do lekarza, w poniedziałek zacznę pracę, dziś wieczór pomówię z Krzysztofem. Przed budynkiem wielkiego magazynu dziewczyna z Armii Zbawienia śpiewała psalmy cienkim, nieustępliwym głosikiem, Santa Claus dzwonił miedzianym dzwonkiem i ocierał z twarzy topniejący śnieg, na wystawie była szopka. Tłoczyły się przed nią matki z dziećmi i pokazywały palcami gwiazdę, Madonnę, żłóbek i ciężkie, fałdziste suknie trzech króli. Przecisnęłam się przez tłum blisko, aż dotknęłam rękami szyby. Patrzyłam na gipsową figurę Madonny i na blado-różowe nagie dziecko. Patrzyłam tak, jakbym tę scenę zobaczyła i zrozumiała po raz pierwszy. I ogarnęło mnie przerażenie, że tak samo będą patrzeć na mnie, tak samo pokazywać mnie palcami i że to jest najgłębsza istota życia przed którą klękają ludzie, rozrzewniając się i płacząc i którą wytykają ciekawymi palcami. Wróciłam na pocztę. Zatelefonowałam do Bob'a. Kiedy usłyszałam jego głos wydawało mi się, wybuchnę płaczem, nie wykrztuszę z siebie ani słowa.

— Hallo — dopytywał się — Hallo?

— Bob — szepnęłam.

Poznał mnie natychmiast.

— Olivio! — zawołał — Olivio, na miłość Boską co się z tobą dzieje?

— Proszę cię — powiedziałam. — Nie pytaj mnie o nic. Czy możesz mi pomóc?

— Tak — powiedział — naturalnie.

— Przyślij mi, pożycz mi trzydzieści dolarów. Muszę mieć jutro rano trzydzieści dolarów, przyślij mi tu, na pocztę. Główna poczta, na moje nazwisko.

— Tak, naturalnie, trzydzieści dolarów. Czy mógłbym coś jeszcze, czy nie jesteś chora?

— Dziękuję, nie, nic.

— Domyślam, że jesteś...

— Tak.

— Twoi rodzice, wiesz... Czy mógłbym coś jeszcze zrobić?
— Dziękuję Bob, nic. Oddam ci, dziękuję.
— W porządku. Olivio, słuchaj, jeszcze jedno pytanie, słuchaj...

Ale ja już powiesiłam słuchawkę.

Było ciemno, gdy wracałam do domu. Wsiadłam do autobusu, wlokł się bardzo powoli, bo śnieg tarasował już ruch uliczny. Drzwi od klatki schodowej były jak zwykle otwarte.

.....
Cofam się na odległość ramienia. Jest to dystans czterech lat zaledwie, ale nie ma miary do której mogłabym go przyłożyć, dystans ramienia jest tylko odepchnięciem mnie samej przez samą siebie od Olivii, którą chciałabym objąć. Patrzę na jej ośnieżone buty i płaczę nad jej przemoczonymi, zziębniętymi stopami. Te stopy doprowadzają ją do mnie, ale jej ramiona na których teraz topnieje śnieg w grube, ciężkie krople zatracą dziewczęcą bezradność i jej twarz: skóra jej ust, policzków i czoła podmalowana ostrym pędzlem zimy, kontury jej twarzy wyrzeźbione zawadiacką ręką młodego, śnieżnego wiatru, przezroczystość jej oczu oświetlonych z wewnątrz światłem jak jeziora o wodzie tak czystej, że widać w nich złotawe dno piasku, albo jak źródła w dżungli florydzkiego półwyspu, które nazywają cudami świata, ta jej twarz, chociaż staram się wziąć ją w ręce i przyciągnąć do siebie, chociaż staram się wciągnąć ją na siebie jest już tylko maską, karykaturą, jak maski w Halloween Parade. Kładę koniuszki palców na ramię Olivii i staram się ją powstrzymać. Czy można powstrzymać ducha, który przeszedł już swoją drogę? Można go tylko wywołać. Olivia jest głucha i ślepa, cała wypełniona Krzysztofem. Pełna jego i zanurzona w nim wstępuje na schody prowadzące do ich mieszkania pod dachem na ostatnim piętrze budynku, który był kiedyś domem i którego nie chciał opuścić ostatni właściciel, aż dopiero po śmierci wyniesiono ciało jego owinięte w prześcieradło i koce.

.....
Mieszkanie było ciche. Na próżno starałam się odnaleźć wczorajszą i przedwczorajszą zwyczajność, przytulność tego pokoju, kuchni, łazienki, załamań ścian, zacieków na tapecie, nawet odgłos moich kroków był inny, obcy. Cisza naszego domu ogłuszona, jak człowiek uderzony obuchem w tył czaszki jęczała w skrzypieniu podłogi, w świcie kaloryferów, w plusku kropel wody spadających do zlewu z zepsutego kranu.

Usiadłam na łóżku. Na kwadratowej tarczy budzika wskazówki sunęły uporczywie, bezszelestnie. Było 15 po szóstej. Patrzyłam w okno. Śnieg przestał padać. Gruby jego kożuch zarastał

niewielki skrawek podwórka, śnieg przylgnął do żelaznych prętów przeciwpożarowych schodów. Latarnia uliczna niby głowa ogromnego węża wychylała się poprzez rozchylenie firanki, aby mnie podpatrzeć. Dalej żółte prostokąty okien, a w jednym z nich lampa o czerwonym abażurze, pomarańczowy i czerwony jej krąg był jak oddechy rodziny zgromadzonej przy wspólnym stole. Łańcuchy samochodów terkotały, dzwoniły na śniegu.

Położyłam się na łóżku. Nie czułam głodu, ani zmęczenia, nie czułam chłodu moich przemoczonych nóg, tylko to jedno: Krzysztof nie przyszedł. Byłam nadśłuchiowaniem: odgłosu jego kroków na schodach, skrzypnięcia drzwi. Byłam pragnieniem: zapachu jego kurtki, dotknięcia jego palców, poczucia jego obecności. Nigdy go nie pragnęłam tak intensywnie, tak bezgranicznie jak tego wieczoru, jak w tej chwili. Tuliłam twarz do poduszki, obejmowałam ramionami łóżko, przez całe moje ciało przebiegały dreszcze, ogarniała mnie gorączka, byłam, jak człowiek, któremu odjęto wodę, spragniony o wyschniętym gardle i spieczonych wargach, jak głodny, któremu odjęto kęs chleba i któremu głodowe skurcze przywodzą na myśl fantastyczne obrazy jedzenia. Mięśnie moich ud rozluźniały się i kurczyły, od sztywniejących koniuszków piersi przeszywały mnie dreszcze przez podbrzusze aż do kręgosłupa. Prężyłam się na łóżku, przylegałam całym ciałem do materaca, skóra twarzy mojej i szyi płonęła, szarpałam zębami prześcieradło, wzrastało we mnie napięcie którego nie mogłam stłumić, ani opanować. To on mnie tego nauczył. On mnie obudził. On podpalił we mnie to, co nienaruszone jeszcze dojrzał we mnie mój ojciec i cofał się przerażony (bo w nim, rozumieć to teraz, to też pewnie było: step, który iskra zamieni w szaleństwo pożaru, wodospad ściśnięty klamrą tamy i może dlatego nie został księdzem, może bojąc się tego, co wyczuwał w sobie, nie przywdział sutanny, a gdy już się zdecydował, step był tylko gołą ziemią, a źródła wodospadu wyschły), to to wyczuwała we mnie moja matka, układna i chłodna zwężona, uszczuplona gorsetem co-powinno-być-i-jak-należy, której nigdy nie osłepiała namiętność i o którą zubożyła mego ojca.

To dotknięcie Krzysztofa paliło się na mnie, a teraz zostawił mnie i leżałam sama skurczona na łóżku wobec ciekawego, bladego łba latarni i tej ciszy duszącej pokrywającej mnie obojętnym ciężarem, jak marcowy śnieg pączki wczesnych tulipanów. Zasypiałam i budziłam się coraz bardziej nieprzytomna, gdyż mój sen przerywany podsycał jeszcze mój ogień i nie wiedziałam czy jestem sama, czy on już przyszedł gdyż we śnie czułam go blisko siebie i traciłam budząc się i tuląc się do poduszki i materaca znów popadałam w pół-sen, aby go odnaleźć.

Światło uderzyło mnie w oczy. Wytrzeźwiałam natychmiast, poderwałam się, w pośpiechu przyglądałam włosy, zapięłam bluzkę. Krzysztof stał pośrodku pokoju, miał śnieg na włosach, na kurtce.

Powiedział:

— Znowu pada. Będzie chyba ze dwanaście *inches* śniegu.

Szepnęłam:

— Jesteś zziębnięty, połóż się, zagrzeję cię... Kris...

Mój szept był wilgotny. Uśmiechnął się niepewnie i nieprawdziwie jednym kącikiem ust tylko, ale jak gdyby odsuwał mnie ręką, odsunął się przy tym i jego uśmiech zamarzał w grymas. Było to jak odrzucenie śniegu łopata na brzeg chodnika, z białej powierzchni pozostaje przybrudzony, przyciemniały zwał śnieżny ze śladami łopaty. Wzruszył ramionami:

— Nie jestem śpiący.

Patrzyłam przerażona, jak odszedł, odwrócił się, przeszedł do kuchni. Wstałam, wsunęłam się za nim bezszelestnie, na palcach. Stał oparty o ścianę, palił papierosa, nie usłyszał mnie. Moja ręka zawisała w powietrzu, nie miałam odwagi go dotknąć. Spytałam:

— Przyjęli cię?

— Tak — powiedział. — Ale nie zostanę tu długo.

— Idę jutro do lekarza...

— To dobrze.

— A jeżeli...?

— Mówiłem ci już.

Szarpnęłam go za rękaw kurtki, odwróciłam ku sobie.

— A więc co chcesz ze mną zrobić? — krzyknęłam. — Co chcesz ze mną zrobić?

— Nie przyrzekałem ci, że się z tobą ożenię.

Puściłam jego ramię.

— Nie teraz — powiedział. — Później jak się to wszystko wyjaśni.

Zdjął kurtkę, rzucił ją na krzesło.

— Zastawiłem twój pierścionek w lombardzie. Za dwanaście dolarów. Naturalnie wykupię, odeślę ci, nie myśl, że ja...

— Ach — jęknęłam. — Ach wszystko jedno.

Wziął butelkę ze stołu, wlał resztkę gin'u z butelki do szklanki, podszedł do lodówki, wyjął dwie kostki lodu, wrzucił do szklanki.

— Trzeba nastawić wodę na lód — powiedział — ostatnie dwa kawałki. Napijesz się?

— Nie — powiedziałam. Wzięłam pustą tackę od lodu, nałóżłam do niej wody, wstawiłam do lodówki.

— Jak się czujesz? — spytał.

Nie odpowiedziałam. Wyszłam do sypialni, rozebrałam się. W przejściu do łazienki nie spojrzałam na niego. Chodził po kuchni tam i z powrotem. Czułam jego wzrok, był to wzrok pełen strachu, trzepotał strachem i obiegając mnie, uciekał ode mnie i znów wracał. Czułam jego strach przez zamknięte drzwi obijał się o drzwi jak skrzydła schwyconej w pudełko ćmy. Wychodząc z łazienki bosą i owiniętą w płaszcz kąpielowy przystanąłam, powiedziałam:

— Nie mam pieniędzy na lekarza.

Drgnął. Zawołał:

— Ach naturalnie, proszę bardzo.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął brązową wąską kopertę, podał mi ją takim ruchem jakim pewnie wręczał klientowi na stacji benzynowej resztę. Uprzejmie i bezosobowo.

— Weź ile ci potrzeba, to jest cała moja tygodniówka.

Położyłam kopertę na stole. Podeszłam do niego, wyciągnęłam ręce, położyłam mu je na ramionach. Szepnęłam:

— Kris, o, Kris, czy już nic do mnie nie czujesz? Nic już, naprawdę?

Ujął moje dłonie i zdjął ze swoich ramion.

— Nie wiem — powiedział. — Muszę to przemyśleć, muszę się zastanowić.

Ręce moje opadły, patrzyłam na niego, przyglądałam się moim ręką wychodząc z kuchni, czy aż tak bardzo się zmieniłam? Co to się stało? Dlaczego?

Położyłam się. Leżałam sztywno zdrewniała, zamarzałam wokół mego bólu, byłam prostokątem lodu, który zamarzł wokół kwiatu. Śnieg uderzał miękko o szyby. Na ulicy szurały opony samochodów. Słyszałam, jak Krzysztof rozbierał się, słyszałam szum wody w łazience. Wszedł do sypialni nie zapalając światła. Położył się obok mnie nie dotykając mnie. Leżeliśmy obok siebie bojąc się zbliżyć. Głowa latarni zaglądała przez szparę plastikowej firanki. W sąsiednim mieszkaniu grało radio. Dźwięki gitary i słowa piosenki dobiegały wyraźnie poprzez korytarz i ścianę:

Lemon tree very pretty...

Leżałam na wznak, łzy zbierały się w kącikach oczu i opadały, wsiąkały w poduszkę.

*...but the fruit of the poor lemon
is impossible to eat.*

Lemon tree very pretty...

Odwróciłam twarz do ściany, wtuliłam twarz w poduszkę, starałam się zasnąć.

Późno w nocy w półśnie poczułam, że Krzysztof przez sen tuli mnie do siebie. Rozpłakałam się i moje łzy obudziły go.

— Olivio — szepnął — zrozum mnie, przebacz mi...

Prawdziwsi w tym śnie, nieskrępowani dniem i własnym widokiem, bezradni wobec nocy która nas zalewała tuliliśmy się do siebie, jak dwoje przerażonych rozbitek wrzuconych do jednej łodzi. Ale zaraz przytomniejąc, trzeźwiejąc odsunęliśmy się od siebie i on pierwszy przesunął się na brzeg łóżka, a potem wstał, usiadł na fotelu i tak oddaleni od siebie, pół-drzemiąc doczekaliśmy następnego dnia.

Był to dzień z pocztówki świątecznej i w swoim podobieństwie do obrazka: połyskująca białosc śniegu, szkice szarobrunatne gałęzi drzew na tle nieba jasnoszafirowego w górze, a koloru *pervenche* tam gdzie podpierały je dachy domów, wydawał się nieprawdziwy tak jak nierealny wydaje się początek spraw, w które wtłacza nas bieg życia i na który dziwić się spoglądamy jak na obraz telewizji, albo na obraz zapamiętany z książki której bohaterowie wkradli się w nas i stali się częścią nas samych.

.....

Tak to widzę teraz obraz miasta w śniegu, przedświąteczny z wieńcami choiny na drzwiach domów i — Olivia. Widzę bardziej niż czuję jej lęk: dławi się pod uciskiem puchatej rękawicy uciśkającej górę brzucha, piersi i gardło.

.....

Lekarz przyjmował w śródmieściu w domu dużym, wąskim o ciężkiej, rzeźbionej w kamieniu fasadzie. Mosiężne, wypolerowane okucia drzwi były lodowate, na drzwiach wisił wianek z choiny przepasany czerwoną wstążką. Nacisnęłam dzwonek, otworzyła mi pokojówka — Murzynka.

— Doktor Heidler — powiedziałam.

Trzecie piętro — mruknęła i wprowadziła mnie poprzez hall o wysokim pułapie do ciasnej windy.

Cierpłam ze strachu: wstyd i trema, jak przed wystąpieniem na scenie jak przed obnażeniem się w pełni dnia wobec ludzi niespodziewających się takiego widoku.

Później, gdy naprawdę pokazywałam się nago zdejmując planowo, z wykalkulowaną precyzją najpierw rękawiczki, potem bluzkę, spódnicę, aż do dwóch cekinów ledwie zakrywających czubki moich piersi i do mieniącego się trójkąta pomiędzy szczytami ud i wygolonym dołem brzucha, nie czułam wstydu, wstyd już nie istniał tylko odraza do samej siebie i wściekła nienawiść do patrzących, ale i podniecenie widowni i ten dreszcz, który od nich do mnie przenikał, który mnie smagał i rozgrzewał bezwstydnieszy od braku wstydu. Ale teraz przed drzwiami gabi-

netu lekarza, uwolniona z windy topiłam się w moim wstydzie, zalewał mnie, ogłuszał, walił na mnie razem z przerażeniem i rozpaczą.

— Mrs Stone — powiedziała pielęgniarka (bo tak podałam moje nazwisko: Mrs. Christopher Stone i wzmocniłam je tanią obrączką kupioną tego samego dnia w *Five and Ten Store* którą w publicznej toalecie pomiędzy klozetową muszlą i drzwiami zamkniętymi na haczyk i rolką toaletowego papieru wsunęłam sama sobie na drugi palec lewej ręki) — doktor Heidler prosi.

Wstał zza biurka i trzymał dłonie złożone jedna w drugą jak człowiek, który przygotowuje się do mycia rąk, albo przyzwyczajony jest do nieustannego zanurzania ich w wodzie. Był niewielki, szczupły i miał twarz tak delikatną i wrażliwą jak ręce, które gdy usiadł za biurkiem położył przed sobą i którymi przedtem wskazał mi fotel bardziej tym gestem niż słowami mówiąc:

— Proszę, niech pani usiądzie.

Spojrzał na mnie. Było to jedno krótkie, uważne spojrzenie pod którym zadrżałam, gdyż zrozumiałam, że wiedział już o mnie wszystko, po tym jednym spojrzeniu, to mu wystarczyło. A jednak spytał nakładając okulary, może aby mi dodać odwagi odgradzając mnie od siebie tą ścianą okularów, a może, aby mi się lepiej przyjrzeć i upewnić, że pierwsze jego wrażenie było słuszne:

— Czym mogę pani służyć, Mrs. Stone?

— Wydaje mi się — powiedziałam. — Mam wrażenie... — przełknęłam ślinę.

— Tak — powiedział. — Jak dawno jest pani po ślubie?

Nie byłam przygotowana na to pytanie, zaczerwieniłam się, zająknęłam.

— Ach..., koniec lipca, to jest od 27-go lipca, no przecież, naturalnie.

— I kiedy ostatni raz...?

— Zdaje się...

— Niech się pani nie denerwuje, spokojnie.

— Mój mąż mówi, że to może być emocjonalne, bo ja jestem nerwowa, czy pan myśli, że to może być...?

— Tak czasem, tak, zobaczymy. — Notował szybko pochylony nad papierem. — Ile pani ma lat?

— Dziewiętnaście.

— Tak — uśmiechnął się. Spojrzał na mnie badawczo, szybko, jakby mnie dotykał skalpelem. — Pani mąż...

— Czy muszę to wszystko mówić teraz?

— Nie — uspokoił mnie — nie, jeśli pani woli później.

Proszę przejść do drugiego pokoju, proszę się rozebrać, pielęgniarka pani pomoże.

Rozbierałam się dygocząc, szczekałam zębami. Dygotałam leżąc na stole przykryta prześcieradłem. Pochylił się nade mną, powiedział:

— Spokojnie, moja droga, to nic nie będzie bolało.

Badał moje piersi, sterczały, jak dwa wykrzykniki, wystarczyło tylko na nie spojrzeć.

Dyktował cicho, szybko pielęgniarce:

...równomiernie powiększone... brunatne pigmentacje wokoło sutek... wydzielina colostrum obecna... skóra brzucha napięta... macica niewyczuwalna poprzez skórę.

Pielęgniarka podawała mu narzędzia.

Znów dyktował:

...powiększona... 18-19 tygodni...

Pamiętam to tak dobrze, czuję dotyk jego rąk i chłodny, ostry dotyk narzędzi. Pamiętam właśnie ten pierwszy raz i chociaż drugi jest przecież bliższy, a wydaje mi się drugi raz nie istniał wcale tylko wszystko: moje odczucia, wizyta u lekarza, cały okres późniejszy zespoliły się w jedno przeżycie, albo uintensywniło w tym jednym.

— Proszę się ubrać — powiedział. Odwrócił się, odszedł do umywalki, słyszałam, mył ręce. Ubierałam się długo, zwlekałam, aż pielęgniarka przynagliła mnie.

— Doktor Heidler czeka na panią, Mrs. Stone.

Siedział za biurkiem, wskazał mi ręką fotel. Patrzył na mnie przez chwilę, powiedział:

— Będzie pani miała dziecko — uśmiechnął się. — Wszystko normalnie, w porządku.

— Tak — szepnęłam — spodziewałam się tego.

— Według moich obliczeń — powiedział — będzie to koniec maja.

— Tak.

— Jeśli moje obliczenia są słuszne, powinno to być około 20-go maja, przyjmijmy datę 20-go maja.

— Tak, 20-go maja.

Byłam w tej chwili zupełnie obojętna, albo znieczulona, oderwana od rzeczywistości, jak po zastrzyku, jak dużo później po ukłuciu się w rękę, albo w udo — znieczulenie, a potem dopiero uczucie błogości i sen.

— Mrs. Stone — spytał — czym się pani martwi?

— Ale nic podobnego — starałam się roześmiać — nic podobnego, bardzo się cieszę.

— Przepraszam — powiedział — wydawało mi się, że pani

jest zmatwiona. Bo jeżeli, nic mi pani nie powiedziała o sobie, mógłbym w czymś pomóc?

Wstałam.

— Ile jestem panu winna, panie doktorze?

— Nic — powiedział. — Proszę przyjść za miesiąc, wtedy pani zapłaci.

Spuściłam głowę.

— Niech się pani nie martwi. Wiele kobiet pragnęłoby mieć dzieci.

— Dziękuję panu, doktorze Heidler.

Odprowadził mnie do korytarza, otworzył drzwi. Spojrzałam na niego. Naturalnie wiedział i wiedział, że nie wrócę chociaż powtórzył pochyłając się nade mną:

— Głowa do góry! Chcę panią zobaczyć za miesiąc. Proszę się nie martwić pieniędzmi.

Dlaczego mu wtedy wszystkiego nie powiedziałam? Nigdy już nie spotkałam takiego lekarza, jak doktor Heidler. Chciałabym mu podziękować, chciałabym do niego napisać: Doktorze Heidler, powinien pan mieć więcej odwagi, nie ja, ale pan starszy i pewnie w wieku mego ojca. Nie ośmielił się pan być moim ojcem doktorze, lekarz nie powinien być tylko lekarzem. Nigdy do niego nie napisałam, nie mam już czasu, nie mam chęci, aby do niego pisać, zapomniałam adresu. I zresztą po co? Może nie był naprawdę takim, jakim mnie wtedy wydawało się że był.

Wyszłam na ulicę. Było słonecznie i szklisto. Wydawało mi się, maj nigdy nie nadejdzie. Maj, zapach lata, letni kurz i cienie liści to był sen, który rozwiewa się przy pierwszym spojrzeniu w okno. To nieprawda — myślałam. Wstałam na pocztę. Pieniądze od Bob'a nadeszły. Nie myślałam kiedy i czy je oddam, myślałam: mogę teraz wrócić do domu. Mam pieniądze, mogę spakować walizkę i odejść, nie zobaczę Krzysztofa. Nie — broniłam się — jeszcze nie. Muszę go zobaczyć. I nie mogę spojrzeć w twarz ojca i matki. Ich twarze prześladowały mnie. Co ja im powiem? Jak ja im to powiem? Ale mój instynkt praktyczny, zapobiegawczy już planował, obliczał. Ubezpieczałam się jednocześnie na wyjazd i na pozostanie. Będąc jednocześnie na dwóch płaszczyznach nie byłam na żadnej z nich, gdyż wszystko co było we mnie niematerialne, więc prawdziwe: miłość z jaką kołysałam w sobie wspomnienie spojrzenia Krzysztofa, ruchy jego twarzy, pochylenia jego ciała, zapach jego ubrań i skóry, intensywność mego cierpienia którego on był powodem, wszystko to co było moje własne, niepowtarzalne, wysnute i utkane przeze mnie dla niego, poprzez jego obecność ze mną, czepiało się Krzysztofa, owijało wokół niego, domagało go. Kochałam go tak

bardzo, że chociaż instynkt mój ostrzegał mnie i krzątał wokół najdrobniejszych szczegółów wyjazdu, lub pozostania tu samotnie, chociaż mój instynkt i zmysł praktyczny pchnął mnie do rozmowy telefonicznej z Bob'em, do zabezpieczenia sobie pracy w *Luncheonette*, do wizyty u lekarza — ja sama, prawdziwa ja, nie brałam w tym udziału.

Wróciłam do domu. Położyłam się na łóżku, ręce pod głowę, zgięte kolana, odpoczywałam. Co zrobić? — myślałam i cofałam się przed decyzją, jak pływak, który cofa się na trampolinie niepewny siebie, niezdecydowany przed skokiem. Pokój był pełen popołudniowych cieni, jak nadymane przez dzieci balony — wzrastały nierówne, łączyły się. Terkotała lodówka ktoś wspinał się po schodach zwolna i człapliwie. To nie były kroki Krzysztofa.

— To ja — powiedziała *landlady*. — Niech pani otworzy.

Weszła, przedziałek białł się pomiędzy ciemnymi, zaczesanymi ciasno włosami. Jej oczy skoczyły za komodę i pod łóżko, wśliznęły się do kuchni. Zdzierła z mieszkania nasze tu zadowolenie się, cienki mech, którym wyścieliłam nasz dom. Wyjęłam z torebki 12 dolarów.

— Czysz — powiedziałam.

— Dziękuję — uśmiechnęła się.

Stała niezdecydowana, zwijała pieniądze w rękę.

— Czy nie potrzeba czegoś?

— Nie — powiedziałam — boli mnie głowa, chciałam się przespać.

Gdy wyszła, położyłam się. Myślałam: Kris, Kris, to niemożliwe. Nie było wczorajszego popołudnia.

Wtedy poczułam w głębi siebie delikatne trzepotanie. Było to jak bicie skrzydeł ptaka o ściany zamkniętej dłoni. Wstrzymałam oddech. Położyłam rękę na brzuchu, ruch powtórzył się. Zamknęłam oczy, w ciemności trzepotliwy, delikatny ruch przemawiał do mnie.

— Dziecko — szepnęłam — dziecko.

Nie słyszałam kroków Krzysztofa. Wszedł, zapalił światło. Leżałam z rękami skrzyżowanymi na brzuchu. Pochylił się nade mną, poczułam zapach ubrania przesiąknięty benzyną i chłodem, jego oddech na moim czole, spytał prędko:

— No i co?

Uniosłam ku niemu twarz, wysunęłam wargi, czekałam.

Wyprostował się. Powtórzył:

— No i co? Byłaś?

Oparłam się na łokciach, siadłam na łóżku.

— Tak — powiedziałam.

Stałam w odległości, która była bezpieczna, pod ścianą pra-

wym ramieniem oparty o lustro toalety. Siedząc na łóżku widziałam w lustrze moją twarz i rękę Krzysztofa, jego ramię w zielonej *corderoy*'owej kurtce.

— Tak, i co?

Jego zmarszczone nad nosem brwi unosiły się, rozbiegały i łączyły, jak dwie rozpaczliwie załamujące się dłonie. Wstałam i podeszłam do niego. Cofnął się. Staliśmy na wprost siebie w przejściu do kuchni, na granicy światła, które padało z pokoju.

— Tak — powiedziałam.

— Co tak? Dlaczego nie mówisz wyraźnie?

— Powiedział, że będę miała dziecko.

— To niemożliwe! — krzyknął. Rzucił kurtkę na ziemię kopnął ją nogą, wszedł do kuchni, zapalił światło.

Stałam na tym samym miejscu nie śmiejąc się poruszyć. Za chwilę się coś stanie — myślałam. Zaraz stanie się coś okropnego.

— To niemożliwe — powtarzał — niemożliwe, cholerny pech, co za diabelski pech! — Całym ciężarem rzucił się na krzesło, zanurzył obie dłonie we włosach — cholerny pech. Dziecko! Do diabła, akurat to teraz potrzebne!

Skrzyżowałam ręce na brzuchu, stałam skurczona, nieruchoma. Cała podłoga falowała, pędziła z nami w przestrzeń jak szatańska rakietą. Uderzył pięściami w stół, odwrócił się, spojrzał na mnie nie patrząc.

— To nie moje dziecko — powiedział.

Ach — jęknęłam. Zakryłam rękami twarz. Wydawało mi się, że mnie uderzył, że obiema pięściami którymi grzmotnął w stół zadał mi mocny, ogłuszający policzek.

Przyskoczył do mnie.

— Olivio — szeptał — Olivio...

Odepchnęłam go. Wybiegłam do sypialni, porwałam z szafy moje palto, zaczęłam w pośpiechu wyrzucać z komody bieliznę, pakować to wszystko do walizki. Łzy oślepiały mnie, płakałam głośno krztusząc się własnym łkaniem.

— Olivio — wołał — co robisz? — Starał się mnie powstrzymać, czułam jego ręce, jego palce zaciskające się na przegubach moich dłoni. Odpychałam go.

— Nienawidzę cię — krzyczałam. — Odejdź ode mnie, nienawidzę cię!

— Co robisz? — szeptał — przepraszam, nie chciałem, przepraszam cię moja droga, jedyna.

Obejmował mnie coraz ciśniej, a ja walczyłam, wrywałam się, przed oczami migała mi jego twarz: zagryzione zębami wargi, zaczerwienione policzki, zmarszczone, pokryte kropelkami potu czoło. Jego ręce pachniały benzyną. Przycisnął mnie tak mocno,

że czułam przyśpieszony stukot jego serca. Całował moje włosy i oczy w nieprzytomnym, gorączkowym pośpiechu.

— Przebac mi moja najdroższa, kochana moja, przebac mi, zapomnij.

Przytuliłam twarz do jego szyi, skarżyłam się mu obejmując go, kryjąc się w nim, przed nim, płakałam:

— To okropne, jak mogłeś, dlaczego? Przecież wiesz, przecież powinienieś wiedzieć.

Ułożył mnie na łóżku, wycierał mi twarz chusteczką, gładził mnie po ramionach, jego ręce dygotały.

— Kiedy? — spytał.

Szczękałam zębami, ogarnęły mnie nagle dreszcze.

— Spokojnie — powiedział. Okrył mnie kocem, usiadł przy mnie. — Kiedy, powiedz mi.

Zwolna uspakajałam się. Patrzył na mnie wyczekująco, ale znów odległy, przerażony swoim wybuchem.

— Koniec maja — powiedziałam.

— Tak — powiedział — koniec maja. Mamy jeszcze czas, do tego czasu wszystko się wyjaśni.

Wstał, zapalił papierosa, stanął przy oknie odwrócony do mnie plecami.

— Za jakieś dwa tygodnie, za miesiąc napiszę, przyjadę.

— Kris — szepnęłam — to twoje dziecko.

— Tak — powiedział. — Najdalej za miesiąc napiszę, przyjadę.

— Gdzie?

— Przyjadę po ciebie do rodziców.

— Pobierzemy się?

— Tak.

— Kris, kocham cię. Kocham cię tak bardzo, że aż czasem wydaje mi się, że cię nienawidzę. Dziwne, prawda?

Odwrócił się.

— Wiesz, jak byłam mała, jeszcze w przedszkolu kochałam się w nauczycielce, nazywała się Ruth. Jej też raz powiedziałam, że ją nienawidzę, a wtedy kochałam ją najbardziej. I z Ralph'em, moim bratem, pamiętam... Kris o czym myślisz?

— Muszę tu jeszcze przepracować tydzień — powiedział — potrzeba mi trochę więcej pieniędzy.

— Co mam teraz zrobić?

— Teraz?

— Tak, co teraz? Czy chcesz żebyś z tobą została? Jeszcze ten tydzień, jeszcze te kilka dni?

— Jak chcesz, wydawało mi się, że chciałaś jechać.

— Mogę tu dostać pracę, mogę zarobić, będę miała dla nich na prezenty, nie chcę przyjeżdżać z pustymi rękami.

— Tak — powiedział — jak chcesz.

Wyszedł do kuchni. Odrzuciłam koc, wstałam, zatrzymałam się w progu, spojrzałam na niego. Siedział przy stole, położył głowę na stole.

— Jesteś głodny — szepnęłam.

Nie odezwał się.

— Kris! — krzyknęłam. — Czy nie jesteś głodny?

Podniósł głowę, odwrócił, spojrzał na mnie, jego oczy były ciężkie, wilgotne.

— Olivio — powiedział cicho. — Jest mi strasznie przykro.

Następnego dnia wyszedł po południu i nie wrócił na noc. Było to z niedzieli na poniedziałek. Siedziałam całą noc skurczona na łóżku. Rano poszłam do pracy w *luncheonette*. Krzysztof przyszedł wieczorem, tłumaczył mi, że wziął nocną szychę i że będzie pracował przez cały tydzień w dzień i w nocy. Wraciał nad ranem, a ja już o szóstej wstawałam do pracy. Pomiędzy nami rozrastało się ciężkie, trudne milczenie, mówiliśmy tylko o sprawach codziennych o drobiazgach związanych z naszym mieszkaniem. Powtórzył jeszcze raz, że odezwie się i przyjedzie po mnie za miesiąc, nie pytał co robię i gdzie pracuję. Zmizerniał, był bardzo zmęczony i po przyjściu do domu zasypiał natychmiast. Tylko wydawało mi się, że każdego dnia jego zdziwienie, że znajduje mnie jeszcze, pogłębiało się. Po czterech dniach właściciel restauracji, Joe, zwolnił mnie. Powiedział, że jego kelnerka wraca, a może miał mnie dość. Nie pracowałam dobrze: myliłam się w wydawaniu reszty i źle obsługiwałam klientów. Zapłacił mi. Miałam razem z resztą pieniędzy od Bob'a dość na autobus do domu i na kupienie drobnych prezentów dla rodziców i Ralph'a. Zdecydowałam się wyjechać nie mówiąc nic Krzysztofowi i wtedy, gdy nie było go w domu. To mieszkanie odpychało mnie, bałam się już mojej w nim samotności. Bałam się także, że może coś popsuje zostając dłużej, że Kris rozmyśli się, że mu się narażę nie będąc mu posłuszna. I zresztą czy miałam coś innego do wyboru? To była spokojna, smutna decyzja i odjazd z suchymi oczyma. Tak żegna się lato, które przepływa kończy się mimo nas, z uśmiechem trochę żalonym, z rezygnacją, która jest podaniem się żelaznym prawom przyrody.

Zostawiłam mu prezent gwiazdkowy: kalendarz — notes oprawny w czerwoną skórę z wyciśniętym na niej jego monogramem. Wpisałam tam mój dokładny adres i telefon. Po raz ostatni obeszałam mieszkanie. Naszykowałam sandwicze i włożyłam do lodówki — dla Krzysztofa. Usiadłam na krześle na którym

zaledwie kilka dni temu on siedział opierając głowę na stole i z którego spoglądając na mnie, powiedział: Olivio, jest mi strasznie przykro. Wyglądziłam białą torbę od chleba i napisałam na niej ołówkiem:

„Kris, jest mi bardzo smutno. Wolę, żebyśmy się nie żegnali. Powiedziałeś, najdalej za miesiąc. Będę czekała. Uważaj na siebie. Do zobaczenia kochany, za miesiąc! W lodówce masz sandwicze, a ta paczka to prezent gwiazdkowy dla ciebie. Olivia”. Schodziłam na dół nie oglądając się za siebie. Dom mruczał, jego cień włókł się za mną. Landlord wychylił się z drzwi na parterze.

— Pani wyjeżdża? — spytał.

— Jadę odwiedzić rodziców — powiedziałam.

— A mąż? — przyglądał mi się podejrzliwie.

— Zostaje.

Słyszałam, jak poczłapał na górę. Chciał pewnie sprawdzić czy ubrania Krzysztofa są jeszcze w naszej szafie. Piszę „nasza”, ale to już nie była nasza szafa, nic już nie było naszego tylko dziecko. Dziecko! Nie chciałam teraz o nim myśleć. Później, nie dziś, jeszcze nie. Za miesiąc.

.....

OLIVIA W DOMU SWOICH RODZICÓW

Z powrotem. Prawie pół roczna nieobecność jak przerwa w teatrze, opadnięcie kurtyny, aktorzy przygotowują się. Albo nie, to było tylko przyciemnienie świateł na głównej scenie podczas gdy na bocznych toczyła się akcja. Teraz znów reflektory na główną scenę! Olivia zbliża się do domu, za chwilę przycisnie dzwonek, wejdzie. Gdzie jej wianek i kwiaty? Ofelie nie rzucają się już do rzeki, przechodzą rzekę. Stopy Olivii na śniegu udeputują znajomą ścieżkę. Olivia jest w ciąży. Nikt o tym nie wie tylko ona i Krzysztof, który może teraz po raz dziesiąty czyta list zostawiony na stole kuchennym, a może już jest w drodze? Dokąd? Za miesiąc — powiedział — przyjadę za miesiąc.

.....

Przyjechałam późnym wieczorem. Ze stacji dalekobieżnych autobusów wzięłam autobus miejscowy. W walizce wiozłam prezenty kupione za pieniądze Bob'a: perfumy dla matki, ciepłe rękawiczki dla ojca i model samolotu dla Ralph'a. Z przystanku trzeba było jeszcze przejść kilka bloków pieszo. Domy były już udekorowane świątecznie. Na drzwiach domu Adams'ów wielka czerwono-biała laska Św. Mikołaja. Alice! Zadrżałam. A jeżeli Alice się dowie? Przyszłość już waliła na mnie całym rozpędem. Bałam się spojrzeć. Odwróciłam wzrok od domu Adams'ów.

Krzysztof będzie tu za miesiąc i wtedy... Wtedy jeszcze nic nie będzie widać. Nie chciałam nazywać spraw po imieniu. Myślałam: „to będzie w maju”, albo „nic nie będzie jeszcze widać”. Otworzyłam furtkę ogrodzenia, weszłam, furtka puszczone luźno trzasnęła, nigdy nie zamykałam furtki za sobą, przyjemne trząśnięcie, poczułam się w domu. Po obu stronach ścieżki, na trawnikach — śnieg. Więc tu także padał śnieg, a ścieżka wyczyszczona, pewnie ojciec i Ralph pracowali nad nią dziś po południu. W oknie *living room*’u zapalona lampa — dom. Jak ćma biegłam do światła domu. Na górze w sypialniach i w łazience — światło. Pod oknami azalie w białych czapach, jak ukapturzone głowy mnichów. Rząd mnichów na straży naszego domu. Ten dom znów stawał się moim, czułam jego zapach i ciepło. Ale co chciał ode mnie milczący szereg mnichów? Dlaczego tak właśnie zobaczyłam ośnieżone azalie? Na drzwiach nie było wianka z choiny. Zanim zadzwoniłam, a już trzymałam rękę na dzwonku, już dotykałam drżącym palcem zimnego metalu — drzwi otworzyły się i Ralph!

— Livie! — zawołał — o Livie, Livie, Olivia, myślałam, że nigdy nie wrócisz! Li-vie... powtarzał zawadiacko, uroczo i ciepło przepaławiając zdrobnienie mego imienia, którego nie lubiłam, a które tylko od niego, od niego jedynie przyjmowałam z uśmiechem, z wdzięcznością, bo dla niego byłam inna, bo on mnie w tym imieniu przemieniał, zachowywał dla siebie taką jak chciał i taką, jak ja bym chciała, aby mnie zapamiętał.

Stałam w progu naszego *living room*’u, który wydał mi się duży, uroczysty, wytworny niemal po mieszkaniu na czwartym piętrze, po żelaznym łóżku, wytartych fotelach, i pokrytej ciemnym linoleum podłodze. Czułam i słyszałam bardziej, gdyż stałam nieśmiało, ze spuszczoną głową, kroki ojca i matki na piętrze i na schodach.

— Olivia! — krzyczał Ralph i tańczył wokoło mnie, skakał, obejmował mnie za szyję. — Livie, Olivia przyjechała!

.....

Cofam jeszcze raz Oliwię do furtki ogrodzenia i zdejmuję frontową ścianę domu. Puszczone luźno furtka skrzypnęła, uderzyła „bang... bang” żelaznym uchwytem o żelazny pręt ogrodzenia. Olivia zatrzymała się oczarowana światłami domu i onieśmielona, przerażona mnisimi spojrzeniami krzaków azalii spod grubych śniegowych kapturów.

.....

Nie wiedziałam, że to ja tak zawsze puszczałam luźno furtkę i że moja matka to właśnie, ten odgłos zapamiętała. Poderwała się

od szafy w sypialni do której układała wyprasowaną tego dnia bieliznę.

— Na miłość boską! — jęknęła zanim mnie jeszcze zobaczyła. I z twarzą przy szybie okiennej krzyknęła: — Na miłość boską! Phil, to Olivia!

Mój ojciec siedział na fotelu w sypialni, czytał gazetę. Wypadła mu z rąk. Podskoczył do okna, z ustami przy szybie jęknął: *Domine, exaudi orationem meam*. I głośno, ale na ostatnim słowie głos mu się załamał: — Otwórz jej, otwórz ty jako... matka.

— Na miłość boską — szeptała matka. Na same święta, myślałam... Phil, proszę cię...

— Ty jako... matka.

— Phil, mam złe przeczucia, idź!

— Spokojnie, to dziecko... nasze dziecko...

Wtedy Ralph wybiegł ze swego pokoju i nie oglądając się na nich, zbiegł na dół, otworzył drzwi.

— Livie! — zawołał — Livie, Livie, Olivia! Myślałem, że nigdy nie wrócisz!

— Ralph — szeptałam i wycierałam łzy — urosłeś niesamowicie. Czy jesteś już tak dorosły, że nie mogę cię pocałować?

Objął mnie za szyję. Skakał i tańczył wokoło mnie. Krzyczał:

— Olivia przyjechała!

Moi rodzice schodzili wolno na dół.

— Olivio, na miłość boską — powiedziała moja matka — na miłość boską...

Stała bardzo uroczysta i starała się nad sobą zapanować. Miała blade, nieumalowane wargi i skórę pod jej okiem szarpał nerwowy tic. Podeszłam do niej i pocałowałam ją.

— Na miłość boską — szeptała — jak mogłaś?

Przytuliłam się do niej i wydawało mi się przez chwilę obejmie mnie i rozpłaczemy się obie. Ale nie, moja matka odsunęła mnie od siebie. przyłożyła tylko chusteczkę do nosa i schowała ją prędko do kieszeni, nie płakała, umiała zapanować nad sobą. Ujęła mój podbródek w rękę i przyjrzała mi się badawczo.

— Nie wyglądasz źle — powiedziała. — Ale nie podobają mi się te cienie pod oczami. Puściła moją twarz, nie pogłaskała mnie po policzku, chociaż ręka jej drżała.

— Dlaczego? — powiedziała. — Dlaczego tak nam się odwdzięczasz?

Ojciec czekał cierpliwie za plecami matki. Rzuciłam mu się na szyję, objął mnie, przytulił moją głowę do swego ramienia. Płakałam.

— No już — mówił — no już, już cicho... — Gładził mnie po głowie, czułam drżenie jego palców, oddychał szybko, głośno.

— Nie denerwuj się Phil — powiedziała moja matka — proszę cię usiądź, nie denerwuj się.

— Tak, tak — mówił. Jeszcze jedno tylko uspakajające dotknięcie mojej głowy i szeptem:

— Pójdziemy razem do spowiedzi, od razu poczujesz się lepiej.

— Nie denerwuj się, Phil, usiądź — mówiła moja matka.

Odsunęłam się od niego, powiedziałam zlizując z warg obsychające już łzy.

— Mam dobrą pracę. Nie chciałam pisać, przyznaję, to potworne z mojej strony, że nie napisałam, przyjechałam tylko na Boże Narodzenie, na kilka tygodni. Nie chciałam pisać, nie wiedziałam czy się utrzymam, przywiozłam wam prezenty, mam doskonałą pracę.

Ojciec usiadł na fotelu, oddychał ciężko, patrzył na mnie z oddalenia, nie przestawał patrzeć na mnie, jego wzrok bolał mnie. Mój biedny ojciec — myślałam — co ja mu zrobiłam, dlaczego ja mu to zrobiłam?

— No patrzcie — powiedziała moja matka. — Olivia ma pracę, zarabia. Ale na miłość boską, jak można było. Nie mogę tego zrozumieć! — Jej głos twardniał, nabierał siły — Czy wolno ci było tak postąpić? Daliśmy znać do policji. I wszyscy pytali o ciebie. Musieliśmy kłamać, że jesteś w szkole. I Ralph... dziecko kłamało...

Ralph stał przy kominku, był już wysoki, przyglądał mi się.

— Nie powinnaś była tego zrobić — powiedział.

— Tak — szepnęłam — bardzo mi przykro, żałuję.

— Ach — westchnęła moja matka. — Tego nie można wynagrodzić słowami.

— Przepraszam — powiedziałam — bardzo przepraszam. Czy mogę teraz pójść do mego pokoju?

Podniosłam walizkę, ciężła mi. Mój ojciec wstał, podszedł, wyjął mi walizkę z ręki.

— Phil — powiedziała matka — zostaw ją, nie noś walizki, siadź, nie denerwuj się.

Stała na środku pokoju, skrzyżowała przed sobą ręce. Nie mówiła, ale czułam co myśli, umierałam ze strachu przed jej następnym pytaniem.

— Zniosę walizkę — powiedział ojciec — chodź Olivio. — Weszliśmy na górę, postawił walizkę w progu mego pokoju. Zapalił światło, jego profil przemówił do mnie: zaczerwieniona, obrzmiała twarz, postarzał się.

— Jak się czujesz? — spytałam.

— To były trudne miesiące — powiedział. — Myślałem w czym zawiniłem, dlaczego... chodź Olivio, rozbierz się.

Mój pokój wyskoczył ku mnie naprzeciw jak baletnica w koronkowej, szeleszczącej spódniczce, zastygła w piruecie, uchwyciona w tym ruchu, zawieszona na drugim piętrze naszego domu. Nie należałam już do tego pokoju.

— Tatusiu — szepnęłam. Chwyciłam go za rękę, patrzyłam mu wprost w oczy, cierpiałam tak bardzo, że mój ból przytłumił mój głos i pewnie zmienił, wykrzywił moją twarz. — Tatusiu, tatusiu — prosiłam. Pragnęłam, aby mnie teraz zapytał, ażeby dał mi jakiś znak, że rozumie, że domyśla się. — Chciałabym ci coś powiedzieć...

— Nie męcz się teraz — powiedział — jutro...

— Nie! — nalegałam — teraz!

— Jutro pomówisz z matką. Najpierw z matką, miej do niej więcej zaufania, to twoja matka. Jutro pójdziemy razem do spowiedzi.

Spuściłam głowę. Domyślał się i nie chciał wiedzieć.

— Pójdziemy razem do spowiedzi — powtórzył.

— Nie pójdę do spowiedzi — powiedziałam.

Nie drgnął nawet, jakby się tego spodziewał. Szepnął: zastanowisz się, będąc się modlił.

— To nic nie zmieni!

— Ach — uśmiechnął się — każdy z nas robi błędy. Najważniejsze, aby się przyznać do tego najpierw przed Bogiem, potem przed samym sobą.

— Nie! — krzyknęłam. — To nic nie zmieni! Nie pójdę, powiedziałam ci, że nie pójdę!

Moja matka wbiegła na górę, dyszała:

— Pierwszy dzień w domu i już zaczynasz. Już zaczynasz!

— Pomów z nią — powiedział ojciec.

— Nie — krzyknęłam. — Nie teraz!

— Już zaczynasz — jęczała matka. — I dlaczego dręczysz ojca? Miał atak serca przez ciebie! Nabawił się przez ciebie choroby serca!

— Przepraszam — powiedziałam.

— Przepraszasz!

Spojrzałam na nią wściekła, chciałam się rzucić, uderzyć ją.

— Spokojnie — powiedział mój ojciec — proszę cię, spokojnie.

— Wszystko w tym domu dzieje się przeze mnie! — krzyczałam. — Wszystko co złe tylko ja!

No to dobrze, jestem zła, jestem niewdzięczna. Bo taką żeście mnie chcieli, taką żeście mnie wychowali!

— Uspokój się — szeptał ojciec.

Matka w drzwiach pokoju, jej twarz jakby podmalowana ceglastą szminką, oczy powiększone, szkliste. Prawa ręka uniesiona, wzrok ponad moją głowę, jakby poza mną zwracała się do widowni:

— Moje sumienie jest czyste, Olivio. A ty opanuj się. Przyjeżdżasz nie wiadomo skąd, byłaś nie wiadomo gdzie, skąd ja wiem gdzie byłaś! I zamiast uszanować naszą delikatność że cię nie wypytujemy, że cię przyjmujemy do domu...

— To jej dom — powiedział ojciec.

— Phil, proszę cię zejdź na dół!

— To jest także jej dom — powtórzył. Był teraz blady, przygięty, z głową opuszczoną, jego dłonie na próżno starały się połączyć w błogosławiące i uspakajające „Amen”.

— Jej dom jeśli potrafi go uszanować, jeżeli potrafi się w nim zachować! A jeżeli nie...

— Boże drogi... — szeptał ojciec. — Pomówmy spokojnie.

Wstrząsnęłam głową, odrzuciłam głowę ku tyłowi. To już mnie nachodziło, nie mogłam opanować mojej wściekłości, chciałam się rzucić na ziemię i walić pięściami, nogami. Sztywniałam, wyrzuciłam ramiona ku przodowi i zaciśniętymi pięściami groziłam im obojgu, aż cofnęli się przede mną i przed moim oskarżeniem, syczałam przez zęby, krzyczałam i płakałam:

— Nigdy was nie obchodziłam, nigdy nie kochaliście mnie naprawdę!

— Cicho, cicho... — szeptał ojciec — Boże drogi, Olivio...

Ralph w korytarzu skurczony w kącie, przerażony płakał.

Nasze gesty były imitacją gestów: rąk, które tak samo zawiślały w powietrzu, głów odrzucanych, mięśni skręconych skurczem wystudiowanej dawniej, a teraz podświadomie powtórzonej rozpacz. Nasze głosy powtarzały ekspresję głosów zasłyszanych. Byliśmy tanią imitacją. Nie mogliśmy się odważyć na prawdę, zbyt zajęci byliśmy widownią. I patrząc przed siebie nie mogliśmy, nie starczało nam wzroku, ani sił, ani bohaterstwa, aby spojrzeć na siebie. Deklamowaliśmy każdy z dawna przygotowaną dla nas rolę. Teraz ich rozumiem, teraz ostudzona po własnym występie, słyszę ich. Ale nie wtedy. Wtedy, tego wieczoru, po moim przyjeździe do domu stojąc na scenie mego dzieciennego pokoju rozpoczynaliśmy drugi akt tragedii.

W połowie stycznia, tego roku w którym skończyłam 17-cie lat i w którym urodziło się moje dziecko, dom nasz zaczął przy-
cichać, wracać do ustalonego trybu życia po podnieceniach świą-
tecznych i po pierwszym szoku mojego przyjazdu. Byliśmy pod
jednym dachem chociaż nie byliśmy z sobą. Pewnie oni, moja
matka i ojciec, rozprawiali nieraz, domyślali się, mówili o mnie,
ale dla mnie z tych ich intymnych rozmów pozostawały tylko
spojrzenia (badawczy wzrok matki co rano dotykał mnie, jakby
przesuwała wzdłuż mego ciała rękami), nagłe milknięcie, gdy
wchodziłam do pokoju i owa atmosfera wyczekiwania rozpięta
nad nami, izolująca nas od innych, jak opuszczone skrzydła na-
miotu. Czekałam. Kris nie napisał. Śnieg na trawnikach spłókały
deszcze gęste i uporczywe, uderzające co noc w szyby mego dzie-
cinnego pokoju. Spałam źle. Nękały mnie sny, budziłam się w
nocy spłakana, dygocąca ze strachu. Jeden z tych snów wyraźny
powracał kilkakrotnie w przeróżnych wariacjach, odcieniach, od-
mianach, ale zawsze główny, niepokojący jego motyw nie zmie-
niał się, jak ta sama prześladowająca nas czasem melodia, albo ten
sam obraz narzucający się wyobraźni. Słyszałam więc najpierw
szum samochodu i wiedziałam — to Krzysztof. Ubierałam się
śpiesząc i potykając nieprzytomna ze strachu, że się spóźnię, że
on zabłądzi, przejedzie nasz dom i że go nie zobaczę. Zbiegałam
na dół szamocząc się z drzwiami, które nie chciały się otworzyć,
walcząc z żelaznymi zębami ogrodowej furtki, która zacięła się,
zahaczałam o nią płaszczem, wrywałam się i biegłam a stopy
grzęzły mi w rozmięklej ziemi, zapadałam się w nią, padałam i
podnosiłam na nowo dygocząc z lęku, z wyczerpania znajdowałam
się nagle na zakręcie ulicy zza którego sterczał nieruchomy motor,
(tylko maskę motoru widziałam) samochodu Krzysztofa. Cały
samochód ze wszystkich stron otoczony był ludźmi. Z samochodu

oblepionego tłumem nieznanych mi osób słyszałam głos Krzysztofa, wołał, rozpaczliwie, jakby wzywał mojej pomocy: Olivio! Olivio! Rozpychałam mur ludzi rękami, uderzałam o niego głową, nie mogłam dopchnąć się, przecisnąć do samochodu. Zatrzymywano mnie, wykręcano mi ręce do tyłu, ktoś chwycił mnie za nogi, ktoś odciągał za płaszcz, za włosy. Ludzie o zamazanych twarzach odciągali mnie od niewidocznego samochodu i od głosu, który wzywał mnie: Olivio! Olivio! I w tym zawieszeniu, w tej mojej rozpaczliwej walce dotarcia do Krzysztofa budziłam się przerażona i siadałam na łóżku płacząc ze strachu i z bezsilności. Raz udało mi się dotrzeć do samochodu, ale gdy stanęłam tak blisko, że wystarczyło nacisnąć klamkę, aby dostać się do środka, zobaczyłam, że nie był to samochód Krzysztofa ale czerwony wóz straży pożarnej. Na przeciwko palił się dom i wszyscy ci ludzie powstrzymywali mnie przed przekroczeniem bezpiecznej linii, przed rzuceniem się w pożar. Paliła się wąska i wysoka miejska kamienica, dym walił ze wszystkich okien, a z ostatniego piętra wzywał mnie głos Krzysztofa: Olivio! Olivio! Wyrwałam się powstrzymującym mnie strażakom i biegłam, przedzierałam się przez dym, waląc się ścianą, przez płomienie, aż na ostatnie piętro. Otwierałam niezliczone ilości drzwi, wywalałam plecami drzwi, czułam za sobą tupot nóg biegnących za mną ludzi. Na górze wplątana w palący się, załamujący dom, szukałam w każdym kącie, w ciemnych zakamarkach, w labiryncie korytarzy, aż wreszcie zdyszana, półprzytomna usłyszałam, że głos dochodzi z ulicy. I przedzierałam się znów na dół. Na ulicy stał ambulans. Stamtąd dochodził głos Krzysztofa. Ale zanim podbiegłam — ambulans ruszył. Nie mogłam go już dogonić i tylko z daleka ciche, coraz cichsze wołanie: Olivio... Olivio... To było, jak szum, brzęczenie. Budziłam się z bólem głowy i jakimś potwornym przeczuciem, że może Krzysztofa nie zobaczę. Ale w dzień mój sen rozwiewał się i marzyłam, że nadchodził list, a potem on sam, Krzysztof, przyjeżdżał. Widziałam jego samochód i biegłam ku niemu, wprowadzałam go do domu. Wyobrażałam sobie zdumione twarze rodziców, ich i Krzysztofa rozmowę i mnie samą wkraczającą pomiędzy nich, płonąca z onieśmienia i radości pod ich czułymi spojrzeniami. Ratowałam się przed moimi snami, walczyłam z nimi, ale one dopadały mnie, gdy byłam bezbronna i wyłaziły z tyłu mojej czaszki i rosły natychmiast w gigantyczne owady o wielkich, błoniastych skrzydłach, których przerażający szum wypełniał nocą mój pokój. Spałam długo. Schodziłam na dół niechętnie podniecona jedynie odgłosem kroków listonosza. Było to zwykle około południa. Biegłam wtedy na dół nieumyta i nieuczesana w moim luźnym szlafroku, rzucałam się na listy, prze-

glądałam je i wracałam zrezygnowana na górę wlokąc za sobą nogi, popłakując kładłam się na łóżku póki nie poderwał mnie głos mojej matki:

— Olivio! — może być nareszcie wstała, Olivio!

Wstawałam, wciągałam na siebie mój coraz ciaśniejszy pasek od podwiązek i spódnice, których zamki przestały się dopinać i które zaczęłam umacniać agraftką. Przyglądałam się sobie w lustrze szafy, tam czytałam wyrok na siebie, to szklane usta lustra szeptały mi beznamietnie prawdę.

Nie mogłam, nie chciałam uwierzyć. Każdej mogło się to zdarzyć, ale nie mnie. Stawałam czasem na progu mego strachu, jak w otwartych drzwiach ciemnego pokoju i uciekałam, wołałam nie myśleć. Wciągałam brzuch, zagryzałam wściekle wargi, pocieszałam się: jeszcze nic nie widać, jeszcze mam czas. Nie myślałam o dziecku, było mi wtedy tak obojętnie, jakby nie istniało we mnie wcale. Delikatne, wewnętrzne uderzenia, to trzepotanie się, jakby skrzydeł ptaka w zamkniętej dłoni, które po raz pierwszy uczułam po mojej wizycie u lekarza, nasilone teraz powtarzało się coraz częściej i wtedy wstrzymywałam oddech i wsłuchiwałam się przerażona w to obce, niepożądane, rosnące we mnie, wbrew mnie, życie tak jak człowiek wylękniony słucha odgłosów nieznaney ręki pukającej w zamknięte drzwi pokoju przekonując się jednocześnie, że to nic, tylko wiatr, tylko trzeszczenie desek podłogi, tylko złudzenie wyostrzonego słuchu. Krzysztof przyjedzie — szeptałam — przyrzekł mi, że przyjedzie. A jeżeli nie? — wołało coś we mnie. A jeśli nie przyjedzie? Gryzłam palce z rozpacz, płakałam, przeklinałam i próbowałam się modlić. Chciałam w takich chwilach biec do moich rodziców i wyznać im wszystko, powiedzieć, przyznać się, aby tylko podzielić się z kimś moją tajemnicą i zrzucić jej ciężar z siebie, odetchnąć. Nie mogłam, to było ponad moje siły, nie miałam odwagi im powiedzieć, odwaga pierwszego dnia opuściła mnie już, myślałam: Krzysztof przyjedzie, za kilka dni, za tydzień, zbiera pieniądze, zatrzymało go coś w drodze, ale przyjedzie.

Alice przyszła dwa razy. Nie pamiętam nawet co mówiła, gdyż zaabsorbowana byłam tylko tym, jak najlepiej ukryć się przed nią, jak się nie wydać i czy może ona domyśla się, czy zauważyła. Przyglądałam jej się podejrzliwa i czujna, ale Alice zajęta była tylko sobą. Paplała o szkole i o swoich projektach zostania pielęgniarką. Wyrostała, jej małe, niedojrzałe piersi sterczały poprzez bluzkę, jej okrągła twarz i chichoczące oczy pełne były tylko jej samej. Patrząc na nią i odpowiadając półsłówkami wydawałam jej się pewnie znudzona i niesympatyczna, zresztą nigdy mnie naprawdę nie lubiła. Będąc z nią myślałam o Sandrze, jakby to

Sandra i Alice zespolone razem siedziały i podskakiwały przede mną. Nienawidziłam je obie za to, że zostały takimi jak mnie nie udało się zostać i że ja w jakiś sposób im się sprzeniewierzyłam. Cóż one wiedzą — myślałam — co wie o życiu taka głupia, trajkocząca bez przerwy Alice? Powiedziałam jej, tak, jak i moim rodzicom, że pracuję jako laborantka w gabinecie roentgenologicznym lekarza, że wieczorami chodziłam do szkoły i że w nagrodę za doskonałą pracę uzyskałam dłuższe wakacje. I że wracam niedługo. Uwierzyli mi i ja też dziwne, ja też w to wierzyłam. Lekarzem, który mnie zatrudnił był doktor Heidler. Mówiłam o moim pracodawcy opisując doktora Heidler'a, rozszerzałam jego gabinet o pracownię roentgenologiczną, widziałam siebie rozmawiającą z nim, pracującą dla niego w białym fartuchu laborantki, doktor Heidler ratował mnie w moich kłamstwach, był realną postacią w moich fantazjach, wypożyczyłam go sobie i poddawał się łatwo moim manipulacjom. Pamiętałam jego słowa „Głowa do góry” i podnosiłam głowę do góry, uśmiechałam się nawet i rozpowiadałam z entuzjazmem o mojej pracy dla tego nadzwyczajnego, przemiłego lekarza. Przyniosłam z biblioteki książki: „Clinical Laboratory Diagnosis” i podręcznik dla techników radiologii i starałam się je czytać nie rozumiejąc z nich wiele, ale matka moja i ojciec patrząc na nie i dotykając grubych grzbietów tych książek w moim pokoju utwierdzali samych siebie w przekonaniu, że to co mówię jest prawdą i bardziej tym książkom i ich ścisłej naukowej powadze i nazwiskom ludzi, które je napisali wierzyli niż mnie. Pytali tylko kiedy wracam. Były to zrazu delikatne, nieśmiałe pytania. Początkowo nawet stwierdzenia, że to nadzwyczajne, że dostałam tak długie wakacje, a później bardziej sprecyzowane: więc na jak długo dostałaś wakacje Olivio? — Na miesiąc? Tak — odpowiadałam — na miesiąc, mogę nawet pobyć kilka dni dłużej i ten miesiąc, ten okres czasu bezpieczny wydawał mi się nieskończonym, jak nieskończone wydawało mi się życie i przestrzeń, w której to wszystko czego spodziewałam się musi się zdarzyć, a więc list od Krzysztofa, jego przyjazd, nasze małżeństwo. A potem pytali: Za ile dni? Dziwili się, że się jeszcze nie szykuje do wyjazdu. A wreszcie, gdy miesiąc już zaokrąglił się i dojrzał spoglądali na mnie wyczekująco: Którego dnia Olivio? Ojciec chciał mnie nawet odwieźć, przekonać się jak mieszkam, może poznać lekarza. Więc kiedy, Olivio, trzeba przecież ustalić datę. I wiedziałam, dygocąc ze strachu, że ich cierpliwość, i granica ich zaufania kończyły się i że zaczynali znów podejrzewać. Wysłałam list do Krzysztofa na adres naszego mieszkania, bo przecież innego adresu nie miałam, ale nie dostałam odpowiedzi. Nie mogłam spać, chodziłam po

moim pokoju półprzytomna ze zdenerwowania. Dlaczego nie przyjeżdżał, dlaczego nie pisał?

Był to początek lutego i niektóre dni miały już pierwszy przedsmak wiosny, a to popołudnie rozświeconie nagle i rozfalowane ciężkim, ciepłym i wilgotnym wiatrem wydawało mi się być jakimś znakiem, zapowiedzią i myślałam czując, jak serce zaczyna mi uderzać szybciej pod pieszczotliwym dotknięciem wiatru, którego miękkie palce dotykały mojej twarzy i przesuwwały się po szyi głęboko za kołnierz płaszcza, myślałam, że to jest jakiś znak: nagle rozdarcie nieba po szarzyźnie ostatnich tygodni, i że pewnie jutro, tak, na pewno jutro list od Krzysztofa nadejdzie. Myśląc tak, stawiałam już na jakimś progu i zakreślałam sobie granicę czekania. Ale po za tym stwierdzeniem „list nadejdzie jutro, jutro dostanę list” nie mogłam i nie chciałam myśleć o niczym więcej. Za to mój zmysł praktyczny kombinował i przygotowywał skrętnie przeróżne drogi wyjścia i sposoby postępowania, gdyby jutro, w które wierzyłam całą siłą dzisiejszej pogody, zawiodło. Te pomysły, które były moimi, a jednak rodziły się bez udziału mojej świadomości zaskakiwały mnie czasem w formie obrazów na które spoglądałam obojętnie myśląc jednocześnie o czymś innym tak, jak przegląda się fotografię w ilustrowanym tygodniku. Widziałam siebie w biurze doktora Heidlera, ofiarowywał mi pracę, siebie w białym fartuchu poruszającą się po pracowni, której kontury i sprzęty były zamazane, widziałam siebie wchodzącą do naszego: Krzysztofa i mego mieszkania, i Krzysztofa chorego na łóżku, klękałam przy łóżku i Krzysztof tłumaczył mi szeptem dlaczego nie przyjechał, kiwałam głową, że rozumiem. Były i inne obrazy: a więc ja wyskakująca z okna wysokiego budynku i tłum ludzi na dole, albo ja na jezdni przejechana przez samochód i znów wokół mnie wieńiec ciekawych. Ale jeśli tylko podświadomości mojej udało się mi podsunąć obraz matki mojej i ojca i mnie wobec nich, trzęsiałam natychmiast, lodowaciałam, sztywniałam z przerażenia.

Obudził mnie głos mojej matki, wołała:

— Olivio, czy nie masz zamiaru wstać? Schodź zaraz, już po jedenastej!

— Już idę! — zawołałam.

Nie otwierając oczu przypomniałam sobie wczorajsze popołudnie. List! Dziś powinien nadejść list. Poderwałam się, wyskoczyłam z łóżka. W pokoju było szaro. Podeszłam do okna. Pod rozpląkanym niebem koloru brudnego śniegu rude bądryle drzew ociekały deszczem. Na gołych prętach pnących róż ciężkie, gęste krople wydawały się szklanymi paciorkami różańca.

A wzdłuż ulicy korony klonów chwiały się w takt wiatru,

jak głowy smutnie zdumionych ludzi. Westchnęłam. Wybetonowaną ścieżką naszego ogródka płynęła woda i woda chlupotała wylewając się z rynny na beton.

— Jak ty wyglądasz? — powiedziała moja matka.

Drgnęłam, odwróciłam się gwałtownie i skrzyżowałam ręce na brzuchu. Moja matka stała w drzwiach i patrzyła na mnie ciężkim, zmęczonym spojrzeniem. Wydawało mi się, że się źle czuje, ale nie miałam odwagi ją o to zapytać. Powiedziałam:

— Zaraz będę gotowa.

— Jedenasta godzina — mruknęła moja matka — jedenasta godzina, co dzień to samo.

— Zaraz się ubiorę.

— Zejdź na dół do kuchni — powiedziała — chcę z tobą pomówić.

— Tak.

— Jak wygląda twój pokój! Co ty właściwie robisz cały dzień? Nie masz czasu uporządkować własnego pokoju?

— Sprzątnę.

— O czym ty myślisz?

Wzruszyłam ramionami.

— I dlaczego się jeszcze nie ubierasz?

— Stoisz tu — powiedziałam — to jak mogę?

— Prawie wpół do dwunastej — powiedziała. Patrzyła na mnie, jej oczy były nieruchome z gniewu. Odwróciła się, wykrochmalone wstążki jej fartucha uniosły się za nią, jak małe skrzydła. Schodziła zdecydowanie na dół, odgłos jej kroków walił we mnie. Dygotałem ze strachu. Zrzuciłam pyjamę i zaczęłam się ubierać. Nie mogłam nałożyć paska do podwiązek, mocowałam się z nim dysząc i wciągając brzuch. Rzuciłam go z wściekłością o ziemię. Stałam przez chwilę bezsilna popłakując i zastanawiając się co zrobić. Wyjęłam z szuflady nożyczki i rozciąłam pasek po obu stronach, teraz wszedł łatwiej.

— Olivio! — wołała moja matka — czy masz nareszcie zamiar zejść na dół?

— Zaraz schodzę — zawołałam — porządkuje mój pokój.

Zapięłam agrafką spódnice. Pomimo rozcięcia na bokach pasek uwierał mnie i drażnił. W ostatnich dniach mój brzuch zaczął pęcznieć jak prażone ziarno kukurydzy. Nienawidziłam tej części mego ciała, nienawidziłam tego wszystkiego co się ze mną działo.

Gdybym mogła się tego pozbyć! Są przecież jakieś sposoby, Krzysztof wspominał o aptekarzu, o znajomej pielęgniarce. Ale teraz już pewnie za późno, teraz już nic nie pomoże. Gdybym mogła się kogoś poradzić, gdybym mogła się komuś zwierzyć! Co to będzie? Co się stanie? Czy matka już domyśla się? Czy

już zauważyła? A jeżeli Krzysztof nie napisze? Zakryłam rękami twarz, wpiłam paznokcie w skórę głowy, nie czułam bólu.

— Olivio, czy mam przyjść do ciebie? — wołała moja matka.

Narzuciłam na siebie luźny sweter, przczesując włosy spojrzałam w lustro. Pomimo bezsennych nocy, mimo strachu i niepokoi ostatnich tygodni moje policzki kwitły delikatnym różowym rumieńcem, oczy poszerzyły się, wydawały się skupiać w sobie światło, a ich morski, zielonawy kolor stał się bardziej intensywny, zielony. Nawet wargi nie pociągnięte pomadką były lśniące i czerwone. Dlaczego Krzysztof nie mógł mnie zobaczyć teraz? Obciągnęłam na sobie sweter, ukrywał wszystkie nierówności figury. Może jednak nie zauważyła — myślałam i nieco uspokojona starając się zagłuszyć w sobie złe przeczucia, zesłam wolno na dół. Moja matka pochylona nad zlewem zmywała naczynia. Poruszała się szybko i brzękała talerzami głośniejsze niż zwykle.

— Chodź tu — powiedziała nie odwracając głowy — wycieraj!

— Zaraz — powiedziałam — zobaczę tylko czy poczta przyszła.

— Słuchaj! — krzyknęła. Walnęła garnkiem w blachę kuchennego pieca — wiesz dobrze, że poczty jeszcze nie ma.

Czułam, że była wściekła. Pomimo to wymknęłam się i otworzyłam drzwi wejściowe, poczty nie było, deszcz walił ostro i nawet mały strumyk deszczowy przeciekł przez drzwi do przedśionka. Wróciłam i oparłam się o framugę drzwi między pokojem stołowym, a kuchnią. Myślałam: w dzień deszczowy listonosz przychodzi później.

— Dlaczego stoisz? — zawołała moja matka — czy nie przyjdzie ci do głowy, że mogłabyś mi pomóc?

— Co mam zrobić?

— Nie widzisz co robię? Zmywam naczynia! — krzyczała.

— Co rano zmywam naczynia, pierę, prasuję i szoruję podłogi, a ty wylegujesz się do góry brzuchem!

Wciągnęłam brzuch, czułam omdlałość w przegubach rąk, łydki dygotały mi. Moja matka patrzyła na mnie. Jej wzrok przecinał sweter i zagłębiał się we mnie. Zauważyłam nagle, że włosy jej posiwiały, ale nie zastanawiałam się nad tym, jej włosy nie obchodziły mnie.

— Co to ma znaczyć? — krzyknęła.

— Co? — spytałam.

Podeszłam do zlewu, wyjęłam mokrą filizankę, zdjęłam z wieszaka ścierkę do naczyń, czułam, że matka patrzy na mnie.

— Olivio — powiedziała — nie wyprowadzaj mnie z równo-

wagi, nie drażnij mnie. Staram się, chcę porozmawiać z tobą spokojnie. Spójrz na mnie!

Spojrzałam na nią i filiżanka wypadła mi z ręki, roztrzaskała się pomiędzy naszymi stopami.

— Spojrzałam na ciebie — powiedziałam — chciałaś.

Wyrwała mi ścierkę z ręki, wydawało mi się, że za chwilę zdzieli mnie nią po twarzy. Skręcała ścierkę w rękach, jej palce drżały.

— Nawet się nie ruszysz — powiedziała — i nawet się nie ruszysz, żeby sprzątnąć.

— To nie moja wina — powiedziałam.

— Pozbieraj natychmiast!

— Nie mogę się pochylić.

— Co? Nie możesz się pochylić!

— Nie.

— To ja ci pokażę, że możesz, to ja cię... — Szarpnęła mnie za ramię i pchnęła na podłogę. Była słabsza, szczuplejsza ode mnie, zadyszała się, a ja przytrzymałam się kredensu kuchennego, stałam wyprostowana patrząc na nią.

— Zbierz mi w tej chwili te skorupy! — krzyczała.

Stałam nieporuszona. Widziałam, jak szalała w niej wściekłość, jej twarz była czerwona, żyły na szyi nabrzmiały, nieprzytomnie skręcała w rękach ścierkę. Nie mogłam się ruszyć, nie mogłam nic powiedzieć, stałam.

— Olivio — dyszała — nie przeciągaj struny, nie nadużywaj naszej cierpliwości, bo... bo... stanie się tragedia. Sprzątnij to!

— Nie — powiedziałam. — To ty mi to wytrąciłaś z ręki.

Chwyciła talerz i trzymała go przez sekundę w powietrzu, a potem trzasnęła nim o zlew z taką siłą, że kawałki porcelany rozprysły się po całej kuchni.

— Jeżeli natychmiast nie sprzątniesz tego... — krzyknęła.

— Nie — powiedziałam — nie mogę.

Przyskoczyła do mnie i jej rozczapierzone palce wpiły się w moje ramiona, potrząsnęła mną gwałtownie nieprzytomna z gniewu krzyczała:

— Ty niedobra dziewczyno, ty wstrętna, wstrętna dziewczyno!

Ścisnęłam ręce w pięść, odepchnęłam ją od siebie.

— Nie rusz mnie! krzyknęłam — nie szarp mnie, bo będę miała dziecko, słyszysz? Zbliżyłam do niej twarz i wyszeptałam ochryple wając, odmierzając każdą głoskę — będę miała dziecko...

* Odwróciłam się i nie patrząc na nią wyszłam z kuchni. Podeszłam do drzwi wejściowych. Na podłodze wsunięte przez

otwór do listów leżały gazety i rachunek telefoniczny. Stałam przy oknie i przyłożyłam twarz do szyby. W rynnie głośno pluskał deszcz i szalone fontanny wody spływały nieustannie na betonowy krawężnik. Ze wszystkich kątów domu, ze ścian i mebli, z podłogi i z sufitu wracał do mnie powtórzony przez dziesiątki głosów mój ochrypły, zły szept: *będę miała dziecko, słyszysz, będę miała dziecko...* Ale we mnie, w pustce i ciszy w którą zapadłam nagle trwała jedna tylko myśl, jeden krzyk, który mnie rozdzierał, ranił: Krzysztof nie napisał.

Odwrociłam się, stanęłam twarzą w twarz z moją matką. Szare światło deszczowego dnia skupiło się na jej twarzy, pa-trzyła na mnie, jej oczy były podłużnymi cieniami, jej głowa poruszała się monotonna, jakby chwiana wiatrem, skrzyżowała przed sobą ręce, jakby się nimi podpierając.

— Mamusi — szepnęłam.

— Tak — powiedziała — tak, spodziewałam się tego, prze-czuwałam.

Stałam przed nią z opuszczonymi wzdłuż ciała ramionami, obnażałam się przed nią, mój wzrok był błagalny, łyzy biegły mi po twarzy i po brodzie, spływały po szyi i zatrzymywały się na swetrze. Nie wycierałam łez.

— Mamo — szeptałam — mamo...

— Ralph — jęknęła. — Boże drogi, Ralph się o tym dowie. I ojciec! I ci wszyscy ludzie dookoła. Wielki Boże... — jęczała — wielki Boże...

— Przepraszam — płakałam — mamo, mamo, co ja zrobię?

— Co zrobisz? — krzyknęła.

— Mamo... — płakałam.

— Teraz przychodzisz do mnie?

— Bałam się, wstydziłam się...

— Ale nie bałaś się mieć dziecka! Tego się nie wstydziłaś co? Na to ci starczyło wstydu!

— Mamo... mamo — płakałam.

— Kto to jest ten... gdzie on jest?

— Nie wiem.

— Co nie wiesz?

— Nie wiem gdzie on jest teraz.

— Za takie rzeczy idzie się do więzienia, wiesz chyba?

Milczałam.

— Poszuka się go przez policję.

— Nie! — krzyknęłam. Podniosłam głowę, wytarłam oczy rękawem, spojrzałam na nią. — Ja go kocham — powiedziałam.

— Kochasz! Tylko swego domu nie kochasz, dla swego domu

nie masz szacunku! Och — jęczała — taki wstyd, taki wstyd...
— Mamo...

Nie zwróciła na mnie uwagi, chodziła tam i z powrotem po pokoju, przygarbiona, ze spuszczoną głową, z skrzyżowanymi na piersiach ramionami, pograżona tylko w swoim jęku, wsłuchana w swoje własne zawodzenie:

— Taki wstyd — powtarzała — taki wstyd... teraz każdy się dowie, każdy będzie na nas pokazywał palcem, naturalnie u ojca w biurze też się dowiedzą i w szkole Ralph'a i ci wszyscy ludzie naokoło...

— Mamo, mamo... — zatrzymałam ją na środku pokoju, wyciągnęłam ręce — mamo...

— Zostaw! — odepchnęła mnie. Rzuciła się na kanapę, tarła czoło palcami, nie widziała mojej twarzy.

— Kiedy — jęknęła — kiedy to będzie? Już przecież widac, Boże drogi, kiedy?

— Pod koniec maja.

— Och — jęczała — och co za wstyd, co za hańba.

— Mamo — powiedziałam — ja wyjadę.

Nie odpowiedziała.

— Wyjeżdżam! — krzyknęłam — słyszysz, wyjeżdżam!

Podniosła głowę.

— Jedź sobie — powiedziała.

— Żebyś się nie potrzebowała za mnie wstydzić! — krzyczałam.

— Jedź — powiedziała. — Rób co chcesz.

— Ty wstrętna — krzyczałam — ty podła, ty bez serca. Wyjeżdżam, słyszysz, bo mnie wyrzucasz! Nienawidzę cię!

Porwała się z kanapy. Chwyciła ze stolika popielniczkę i wyrzuciła ją o podłogę. Odskokczyłam, stanęłam przy schodach sparaliżowana ze strachu.

— Wynoś się! — powiedziała, jej głos był niski, ochrypły, dyssała. — I żebyś cię więcej nie widziała na oczy.

Przemknęłam się schodami na górę, nie oglądałam się, słyszałam poza sobą jej chrapliwy oddech i jej płacz. — Myślałam: Nienawidzę jej, nienawidzę jej.

Zamknęłam drzwi mego pokoju, siadłam na podłodze, myślałam: Co ja zrobię? Muszę wyjechać. Nie miałam już pieniędzy. Wyszłam na palcach do korytarza. Na dole matka pojękiwała. Otworzyłam drzwi jej sypialni, wiedziałam gdzie trzyma pieniądze: w szafie z bielizną. Nadśłuchiwałam. Nie szła tu, jęczała ciągle: Boże drogi, Boże drogi... Wyjęłam z szafy torebkę, odliczyłam prędko pieniądze: 40 dolarów, nie miała więcej, chwyciłam jeszcze garść drobnych. Myślałam: odeślę jej później, przyślę

jeszcze więcej, wytłumaczę. Przecież jestem jej córką, nie kradnę. Było mi gorąco. Wstrzymałam oddech przechodząc przez korytarz. Zamknęłam drzwi mego pokoju na klucz. Wyciągnęłam walizkę z szafy, zaczęłam się pakować w pośpiechu upychając byle więcej: to wszystko mi się należy — myślałam — to moje. Zamknęłam walizkę i nałożyłam płaszcz. Ogarnęła mnie już teraz gorączka pośpiechu, byle prędzej, byle dalej od tego domu, zeszłam szybko i głośno po schodach.

Moja matka siedziała na kanapie, spojrzała na mnie, powiedziała:

— Gdzie idziesz?

— Na stację autobusów. Odjeżdżam.

— Boże drogi — jęknęła. — Boże drogi...

Otworzyłam drzwi.

— Olivio! — krzyknęła — gdzie jedziesz?

Wzruszyłam ramionami, nie odwróciłam się. Drzwi trzasnęły. Na dworze było mglisto, deszcz ciął wprost w twarz. Zatrzymałam się dopiero za furtką. Nakładając plastikową chusteczkę na głowę słyszałam jak furtka puszczona luzno uderzyła kilkakrotnie bang... bang... bang... Odruchowo podniosłam kołnierz płaszcza i szłam przed siebie nie patrząc, wpadałam w kałuże, obijałam sobie nogi walizką. Walizka ciążyła mi, zatrzymywałam się od czasu do czasu stawiając ją na ziemi, odpoczywałam ścierając z twarzy deszcz i łzy. Czekałam długo na przystanku i zanim nadjechał miejscowy autobus byłam już zupełnie przemoknięta. Konduktor pomógł mi wnieść walizkę. Weszłam chyłkiem, odwracając twarz, bojąc się, że spotkam kogoś znajomego, ale autobus był pusty. Siadłam na ostatniej ławce, przetarłam ręką szybę: ulice szły żalonym, wilgotnym pochodem, a domy przyglądały im się zwieszając głowy i ramiona, jak ludzie pogrążeni w melancholijnym rozmyślaniu, przechodniów nie było, brudne, ciężkie niebo łączyło się z mgłą i wszystko wydawało się otulone jedną wielką chmurą, której nigdy, żaden wiatr nie rozwieje.

— Po takim ładnym dniu — powiedział konduktor — taka paskudna pogoda.

Nie odezwałam się, nie próbowałam już więcej zaczynać rozmowy. Wjechaliśmy do miasta. Widziałam wieże kościoła mgliste i niewyraźne, bardziej odgadywałam je niż widziałam, mineliśmy bank, był oświetlony, wjechaliśmy dalej w ulice śródmieścia. Był to jeszcze czas przerwy obiadowej i ulice podrygiwały popychającymi się, biegnącymi i idącymi szybko ludźmi. Rozpięte parasole kobiet płynęły nad chodnikiem, jak wielkie uskrzydłone meduzy.

— A może Krzysztof jest tam jeszcze? — myślałam — może czeka na mnie? Może nie powinnam była odejść?

Wysiadłam przed stacją dalekobieżnych autobusów. Był to jednopiętrowy, narożny budynek. Skuliłam się przed deszczem, przeszłam jezdnię, pchnęłam obrotowe drzwi i weszłam do wielkiej hali-poczekalni. Przez całą jej szerokość biegły rzędy drewnianych ław z prostymi drewnianymi oparciami, pachniało tytoniem i zmokłymi ubraniami, które parowały tu pod wpływem ciepła. Rozejrzałam się szybko na wszystkie strony czy aby kogoś nie spotkam, czy ktoś mnie nie pozna, wtuliłam się w kąt drewnianej ławy, zdjęłam z głowy ociekającą deszczem plastikową chusteczkę, wyprostowałam ją na kolanach, myślałam: Co ja zrobię? Co ja zrobię? Po mojej prawej stronie, w górze na wielkiej, świetlnej tablicy — godziny odjazdów i przyjazdów autobusów, nazwy miast i miasteczek, przystanków. Tylko jedno było dla mnie miejsce przeznaczenia: odległe o siedemdziesiąt kilka mil stąd, miasto w którym był gabinet doktora Heidlera i dom w którym tak niedawno temu mieszkaliśmy razem z Krzysztofem. Tylko tam mogłam jechać, tylko tam wrócić.

— Głowa do góry! — powiedział doktor Heidler. Czy pomoże mi odnaleźć Krzysztofa?

A jeżeli doktor Heidler mi nie pomoże? Siedziałam wtulona w róg drewnianej ławki, czułam moje przemoczone nogi i ramiona, wilgotne strąki włosów zwisały mi na policzki, mimo ciepłego zaduchu poczekalni było mi zimno. Byłam głodna, ale bałam się podejść do kontuaru za którym sprzedawano *hot dogs* i kawę, mogłam się jeszcze z kimś spotkać, ktoś mógł poznać głos. Mało to znajomych mieli rodzice moi w mieście? Wstałam i z podniesionym kołnierzem, pochyloną głową, czujnie oglądając się na wszystkie strony przemknęłam się bokiem sali do okienka biletowego. Kupiłam bilet, a w automacie kupiłam sobie gumę do żucia. Sprawdziłam rozkład odjazdu autobusów, miałam jeszcze przeszło godzinę czasu. Wróciłam do mego miejsca w rogu ławki. Schowałam bilet do torebki, wsunęłam gumę do ust. Oparłam czoło o drewnianą poręcz ławki, przymknęłam oczy, żułam gumę miarowo, monotonnie i zapadałam z wolna w uspakajające odrętwienie. Nade mną i wokoło mnie szum i szuranie nóg, urywki rozmów, nawoływania przez megafony. Ludzie przechodzili koło mnie, trącali mnie łokciami, ktoś w pośpiechu przewrócił stojącą przy ławce moją walizkę. Podniosłam głowę, przyciągnęłam do siebie walizkę i położyłam na niej moje przemoczone stopy w białogranatowych bucikach na niskich obcasach. Poprawiłam skarpetki, były wilgotne. W nosie czułam wilgoć i zaczynała boleć mnie głowa, wyjęłam chusteczkę i wytarłam nos. Moja rozmowa z matką wróciła znów do mnie. Widziałam jej pociemniałe, zwężone w gniewie oczy i jej wydłużającą się, tęże-

jącą twarz. Żebyś cię więcej nie widziała na oczy... żebyś cię więcej nie widziała na oczy... Przyłożyłam chusteczkę do oczu i wytarłam łzy. Pomyślałam o ojcu i nie mogłam sobie wyobrazić jego twarzy, ten brak wyobrażenia sobie jego twarzy, reakcji na jego twarzy przerażał mnie. Boże — szepnęłam — co ja robiłam? I po raz pierwszy zadałam sobie samej pytanie: dlaczego? Dlaczego to się stało? Wokoło mnie brzęczał, skrzypiał, chrypiał, tupał i niecierpliwiał się ruch autobusowej poczekalni, setki spraw ludzkich: rozczarowania i radości, tragedie, zawody i nadzieje krzyżowały się wokół mnie, ocierały o mnie nie dotykając mnie jednak.

Byłam zamknięta w moim własnym kręgu, wydzielona w mojej samotności i bólu, jedyna i najważniejsza, jakby na zatłoczonej scenie świetlne koło reflektora padało tylko na mnie.

Patrzę na Oliwię: skulona na ławce, wilgotne, proste włosy zakrywają policzki, usta poruszają się miarowo żując gumę, w zaczerwienionych rękach zmięta chusteczka, nogi w obłożonych bucikach oparte o walizkę. Zatrzymuję się przy niej. Nie zwiedzie mnie ruch jej szczęk beznamietnie, monotonnie żujących gumę. Pod przymkniętymi powiekami Olivia ukrywa tajemnicę.

Wtedy, gdy siedziałam przeziębiona i nieszczęśliwa na ławce poczekalni stacji autobusowej, wtulona w jej kąt skrywając twarz przed ludźmi i czekając na nadejście autobusu, który miał mnie zawieźć w nieznane, wtedy, gdy po raz pierwszy spytałam siebie: dlaczego? I gdy przebiegając myślą od matki do ojca, od ojca do Krzysztofa uświadomiłam sobie, że wszyscy mnie opuścili, że każdy z nich w jakiś sposób mnie zawiódł i od siebie odepchnął, wtedy poruszyło się to we mnie z większą niż dotychczas siłą: raz, drugi i trzeci, jak gdyby odpowiadając moim myślom i przecząc mojej samotności.

— O mój kochany — szepnęłam delikatnie i tkliwie, jakbym pochylała się w głąb siebie — nikt cię nie chce, nawet ja, twoja matka.

Oparłam głowę na rękę i szlochałam cicho nad tym co porywało się we mnie i co nie będąc już mną, było mną tak bardzo, że nie chcąc go, musiałam go kochać.

Drgnęłam, czyjaś dłoń dotknęła mojego ramienia.

— Olivio... — to był głos mojej matki — Olivio, Olivio chodź szybko.

Podniosłam zapłakaną, spuchniętą twarz. Moja matka pochylała się nade mną, jej włosy były mokre od deszczu. Zaczęłam płakać jeszcze rozpaczliwiej.

— Nie — broniłam się — nie, mam już bilet.

Wzięła mnie za rękę, uniosła moją walizkę. Poszłam za nią, przepychałyśmy się pomiędzy ludźmi. Przed wyjściem, przy budce telefonicznej zatrzymałam ją.

— Dlaczego? — spytałam. — I co chcesz ze mną zrobić?

— Jedziemy do domu. — Jej twarz była blada, brwi nad oczami ściągnięte, zauważyłam że miała pod płaszczem swoją domową, poranną sukienkę. — Przecież jesteś jednak naszym dzieckiem — powiedziała. — Jesteś jednak naszym dzieckiem.

Spuściłam głowę, wyszłam za nią posłusznie przez obrotowe drzwi na ulicę. Zaraz za rogiem zauważyłam nasz samochód. Ojciec stał przed samochodem, w nieprzemakalnym płaszczu, z gołą głową.

Nie spojrzałam na niego póki nie znaleźliśmy się sami w pokoju. Był to niewielki gabinet tuż przy salonie, stało tam jego biurko. Ojciec pracował tam zwykle sam, a czasem wzywał mnie albo Ralph'a na małe rozmówki jeśli zbroiliśmy coś, więc miejsce to kojarzyło mi się zawsze z pewnym strachem, poczuciem winy i już samo wejście do tego pokoju przyprawiało mnie o lekkie drżenie i niepokojące łaskotanie w nadbrzuszu.

— Chodź do mnie do gabinetu, Olivio! — zawołał.

Zeszłam wolno, jak najwolniej po schodach i stanęłam przed nim z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami. Siedział za biurkiem na wielkim, drewnianym fotelu i nie patrzył na mnie. Za nim przesłonięte lekką firanką okno było szarą plamą. Całe światło dnia pochłaniał deszcz, który gęstniał w mokry, powolny śnieg rozpaczliwy, jak sekundy milczenia, które padały pomiędzy nami. Patrzyłam na twarz mego ojca: spoza jego pleców światło stojącej lampy spływało po jego policzkach. Jego oczy były półprzymknięte i zgasłe. To ja byłam w jego oczach i ja w nich gasłam. Nie mogłam mu nic pomóc, stałam przed nim nieruchoma i pokazywałam mu siebie. Moja nieruchomość i milczenie były rozpaczliwym krzykiem, ale on nie słyszał go i nie widział. Dawno nie patrzyłam na jego twarz. Czoło uniosło się w półkoliste zatoki, a pod oczami obwisały wiotkie worki bladej skóry. Skóra jego brody zwisała, a policzki wydały mi się bardziej pociągłe niż nawet wczoraj. A może wczoraj nie przyglądałam mu się? W pogłębionych rysach jego twarzy leżały głębokie cienie cierpienia. Ale ja przecież cierpiałam także i w naszym wspólnym bólu oddalaliśmy się od siebie, gdyż on nie mógł mnie zrozumieć, chociaż wiem, pragnął tego i teraz ważył w sobie inne sprawy, do których ja nie miałam przystępu, i tak usiłując zbliżyć się do siebie, a jednocześnie oddalając, omijaliśmy się i potracaliśmy się jak ranni, dla których najważniejsze jest własne cierpienie.

Wiedziałam, że czekał aż przemówię pierwsza, bo przecież po to mnie tu zawołał, po to zamknąć kazał mi drzwi i sprawdzić raz jeszcze czy dobrze zamknięte, chciał mi dodać odwagi tym odizolowaniem. Ale moje wargi, język i gardło były zeschnięte i stałam na wprost niego nieruchoma i niema, pełna krzyku, który mnie wypełniał i bezsilna, jak czasem bezsilna byłam we śnie starając się krzyczeć gdy głos odmawiał posłuszeństwa, a krzyk mój uwięziony druzgotał mnie, więc czułam tylko wewnętrzne zapadanie się, rozpadanie i stopniowo ogarniającą mnie ssącą próżnię.

Wolałabym umrzeć — myślałam — wolałabym umrzeć. Szepnęłam:

— Przepraszam, bardzo przepraszam.

Uniósł głowę, powiedział:

— Dziecko drogie, dlaczego?

I wtedy zauważyłam, wtedy spostrzegłam, że to nie był odblask lampy na jego policzkach tylko łzy. Mój ojciec płakał.

— Tatusiu! — krzyknęłam i rzuciłam się do niego, przyklekłam przy nim, a nade mną skarżył się jego głos:

— Czym zawiniłem? Nie byłem przecież złym człowiekiem, nie zrobiłem nikomu nic złego.

— To ja — szlochałam — to ja jestem wszystkiemu winna.

Tuliłam się do niego, obejmowałam jego kolana, a jednocześnie rósł we mnie potworny lęk przed słabością mego ojca. Nie zwracał na mnie uwagi, jego ręce były bezwładne, mięśnie jego ciała sztywne, nie pochylił się ku mnie, nie objął mnie.

— To moja wina, moja wina — powtarzał. — Bóg mi nie pobłogosławił, to sprawiedliwość boska mnie kaze, nie powinienem być, nie wolno mi było... *

— Nie! — krzyczałam. — Nie mów tak!

— Wstań Olivio — powiedział — usiądź.

Podniósł rękę do oczu, jego palce drżały, przetarł palcami oczy. Spojrzał na mnie.

— I w tym co ty zrobiłaś też nie było błogosławieństwa bożego.

— Nie! — zawołałam. — Krzysztof mnie kocha. Przyjedzie, pobierzemy się. Zobaczysz!

Pokręcił głową, uśmiechnął się, a jego uśmiech przeraził mnie. Powiedział:

— Nie, nie, dziecko.

— Skąd wiesz? — szepnęłam.

Nie odpowiedział, patrzył na mnie.

— Skąd wiesz? — krzyknęłam. — Powiedz mi, skąd wiesz!

— Szarpnęłam go za rękę. — Skąd wiesz? — krzyczałam nieprzytomnie. — Powiedz mi natychmiast, zaraz mi powiedz!

Moja matka wbiegła do pokoju, a może cały czas podsłuchiwała pod drzwiami?

— Olivio — powiedziała. — Miej sumienie, twój ojciec jest chory.

— Powiedz mi! — krzyczałam.

— Uspokój się! — powiedziała — na miłość boską, nie krzycz. — Co chcesz wiedzieć?

— To ty — wskazałam na nią palcem i mimo gniewu, który mnie zaślepił widziałam, jak się cofnęła — to wy obydwie — krzyczałam — nie dopuściliście do mnie Krzysztofa! Na pewno tu był, na pewno telefonował.

— Uspokój się — powiedziała moja matka. — Nie oskarżaj nas!

Ale ja wiedziałam, Krzysztof był tu, przyjechał po mnie, a oni, moja matka pierwsza bardziej zacięta, nieustępliwa, a ojciec potakujący za nią, nie dopuścili Krzysztofa, wyrzucili go z domu.

— Powiedz mi! — rzuciłam się do niej. — Powiedz mi natychmiast!

— Ach ty szalona, nieprzytomna dziewczyno! — Moja matka odepchnęła mnie. — Uspokój się, oprzytomnij! Dobrze, powiem ci. Telefonowaliśmy do Bob'a, brata twojej koleżanki, przecież musieliśmy, chcieliśmy wiedzieć...

— Cicho — szepnął ojciec — proszę cię, czy to potrzebne?

— Tak — domagałam się. — Chcę wiedzieć.

— Jeżeli ona chce wiedzieć! — wołała moja matka. Była już purpurowa z gniewu, skrzyżowała ręce na piersiach, osłaniała się nimi przede mną.

— Chcę wiedzieć!

— Więc on jest w więzieniu — powiedziała. — Chciałaś wiedzieć.

— Nieprawda.

— Jest w więzieniu, odsiaduje karę więzienia.

— Dlaczego? — szepnęłam — O Boże, dlaczego?

— Jechał zbyt szybko, nie miał czym zapłacić, złapali go, nie miał czym zapłacić kary.

— Jechał do mnie.

— O nie, złapali go koło Texasu, nie jechał do ciebie.

— Ale wróci! — krzyczałam.

— Zostaw mnie z nią — powiedział ojciec.

Matka wzruszyła ramionami. Myślałam: zamknęli go, bał się, przeczuwał, co ja zrobię, co to będzie?

— Zostaw mnie z nią — powtórzył ojciec.

Cofnęła się do drzwi, powiedziała:

— Jak chcesz, zawsze byłeś dla niej zbyt łagodny, ją trzeba było tak trzymać. Tak trzymać! zaciśnięła rękę w pięść i pogroziła mi nią. — Jak chcesz! Ale jeżeli znów zaczniesz krzyczeć!

— Zostaw mnie z nią — powtórzył.

Zamknęła drzwi. Przez chwilę nadśluchiwalismy oboje jej kroków, wchodziła na górę. Teraz odkryje, że zabrałam jej pieniądze. Powiedziałam stojąc przed nim, palce moich rąk dygotały:

— Wzięłam matce pieniądze, wydałam tylko na bilet, ale to można przecież dostać z powrotem, to można odebrać.

— Usiądź — powiedział. — No i widzisz, jak to wszystko się zbiega, narasta, wiedzieliśmy o pieniądzach.

— Przepraszam.

Wzruszył ramionami.

— Siadaj, nie stój tak. Nie powinnaś tak długo stać.

Usiadłam, zakryłam ręką oczy, łzy wymykały mi się poprzez palce. Po raz pierwszy tego dnia pomyślał o mnie.

— Jutro wyjedziesz ze mną — powiedział.

— Tak, muszę go zobaczyć.

— Kogo?

— Muszę zobaczyć Krzysztofa.

— Nie — powiedział. — Zawiozę cię do specjalnego domu. O tamtym zapomnij.

— Gdzie mnie zawieziesz? — szepnęłam. Spojrzałam na niego. Oparty o poręcz fotela palił papierosa, dym owijał mu twarz, patrzył poprzez mnie w róg pokoju.

— Tu nie możesz zostać — powiedział. — Rozumiesz, prawda?

— Gdzie mnie zawieziesz?

— To jest taki specjalny dom dla dziewcząt, które...

— Wiem.

— Potem dziecko się gdzieś umieści. Wrócisz do szkoły.

— Nie — powiedziałam. — Nie oddam mego dziecka, nigdy nie oddam mego dziecka.

Wstał, stanął przede mną z założonymi w tył ramionami.

— No to co? — powiedział. — Tu go przywieziesz?

— Krzysztof wróci do mnie, jak tylko zobaczy dziecko wróci do mnie, pobierzemy się.

— Może — westchnął.

Odwrócił się, stanął teraz przed oknem, widziałam jego plecy i kark zarośnięty siwiejącą szczecina, widziałam brzozy na jego karku i założone w tył, zaciśnięte jedna w drugiej mięsiste, czteropalcowe dłonie.

— Nie oddam mego dziecka — powiedziałam — to moje dziecko.

Oplotłam ramionami brzuch, osłaniałam go: siebie i moje dziecko, to było wszystko co miałam, to był zastaw po który wróci Krzysztof, ale nawet gdyby nie wrócił...

— Nie oddam go — powiedziałam.

— A co Ralph? — spytał. — A co z Ralph'em? — Nie odwrócił się od okna, powtórzył kilkakrotnie:

— A Ralph? Twój brat Ralph?

Skuliłam się na krześle, płakałam tak rozpaczliwie, że tylko poprzez mgłę, z daleka słyszałam jego głos:

— Dziś się spakujesz, Ralph nie powinien się dowiedzieć.

Wyjechaliśmy następnego dnia. Tylko dzień pogodny, słoneczny, rześki ostrą świeżością przełamującej się zimy, wydawał się żyć, przemawiać i dzwięczyć pomiędzy nami przyklejonymi milcząco do siedzeń samochodu, smętnymi i wsłuchanymi w ciszę, jak ludzie w orszaku pogrzebowym. Ale ten dzień, jego jasny, perlisty akompaniament zaczął mnie zwolna zdobywać i uspakajać, wchłaniać w siebie i przenikać we mnie i wydawać mi się zaczęło, że przy takim dniu, wobec radości światła i poczynającej się daleko wiosny wszystko skończy się dobrze. Widziałam go: to był chłopiec podobny do Krzysztofa, miał jego ciemne brwi uniesione nieco ku górze, jak skrzydła dzikiego ptaka. Powiedziałam:

— Ale nikt nie może mi odebrać dziecka.

Ojciec nie spojrzał na mnie, jego oczy poza okularami w grubej, rogowej oprawie uczezione były szosy.

— Co z nim zrobisz? — powiedział.

— Będę pracowała.

— Nie masz nawet siedemnastu lat.

— Wychowam go.

— Zobaczymy — powiedział. — Nie mówmy o tym teraz.

— Nie oddam mego dziecka.

— Nie zdajesz sobie sprawy — powiedział. — Nie wiesz co to znaczy wychować dziecko.

Minęliśmy już dawno przedmieście, miasto, wieże kościoła, bank pozostały daleko poza nami, teraz tylko po obu stronach szosy szarobrunatne gałęzie zarośli i gdzieś tam zielone plamy *evergreen*.

— Ona też mnie oddała — powiedziałam — i nawet nigdy nie wytłumaczyliście mi dlaczego, nawet nigdy nie powiedzieliście mi o niej. Dlaczego mnie oddała?

Nie odezwał się, jego czoło przecinała gruba, pionowa zmarszczka, zmarszczka pogłębiła się, obniżyła w dół do nosa.

— Dlaczego mnie oddała? — szarpnęłam go za rękę. — Dlaczego nie mogła mnie zatrzymać?

— Uważaj Olivio — powiedział — czy chcesz spowodować wypadek? Czy o to ci chodzi?

— Powiedz mi — prosiłam — powiedz mi dlaczego?

— Na początku chciała.

— A potem?

— Miałaś kilka miesięcy, siedem miesięcy, byłaś wychudzona, bledziutka, długo nie mogliśmy cię oddechować.

— A ona?

— Musiała pracować.

— Nie chcesz mi powiedzieć więcej.

— Nie wiele więcej wiem. Zdaje się, że była innego wyznania.

— Jakiego?

— Nie jestem pewien.

— Jakiego?

Zwolnił, zjechał na brzeg szosy, zatrzymał samochód. Wyciągnął mapę z kieszeni, rozłożył na kolanach.

— Zdaje się, że jesteśmy już niedaleko, trzeba będzie niedługo skręcić na lewo, tak... trzeba będzie za trzy mile skręcić na lewo.

Położyłam rękę na mapie, powiedziałam:

— Proszę cię, powiedz mi.

— Zdaje się, że była Żydówką — powiedział — zdaje się, wiem tylko, że nie była...

— I zgodziła się, żebym ja...

— Tak — powiedział i zastartował motor.

Patrzyłam przez okno. Jechaliśmy jeszcze jakiś czas szosą, a potem skręciliśmy na lewo. Szosa zwężyła się, skręciła spiralą, wjechaliśmy na boczną drogę. Po obu jej stronach pola, rozrzucone drewniane domy farmerów, pola oddalały się i straciłam je z oczu, wysokie drzewa z wyciągniętymi ku niebu nagimi ramionami szły ciasnym szeregiem wzdłuż szosy. Myślałam o mojej matce. Wydawało mi się, że to ona patrzy na mnie poprzez mnie, że to jej oczy patrzą na mnie w głąb, a jednocześnie liczą grube pnie drzew przy drodze. Liczyłam pnie drzew, uciekały mi, myślałam się w rachunku, wydawało mi się, że muszę je policzyć, bo wtedy coś się sprawdzi, spełni, a potem już nie liczyłam tylko szeptałam: Mamo, mamó, mamó...

— To już pewnie niedaleko — powiedział ojciec i przez łąy dostrzegłam, że drzew już nie ma, a wjechaliśmy w ulicę przedmieścia. Była to szeroka, cicha aleja. Po jednej jej stronie było jezioro, a po drugiej otoczony ceglany parkanem stał dom. Widziałam na początku tylko jego dach. Wjechaliśmy poprzez bramę do parku. Dom był szeroki, rozłożysty, szaro otynkowany. Wie-

wiórka uskokczyła spod kół samochodu i przebiegła prędko trawnikiem, jej szary ogon mignął pomiędzy krzakami. Wysiedliśmy. Chmara ptaków porwała się z głośnym ćwierkaniem i sfrunęła przed nami na drzewa. Przeszliśmy podsieniem pod grubymi, popękanymi kolumnami. Wysokie, ciemne drzwi były otwarte, wystarczyło tylko nacisnąć klamkę.

— Wejdz — powiedział ojciec. W jednym ręku trzymał walizkę, a drugą otwierał przede mną drzwi. Drzwi skrzypnęły. To skrzypnięcie, ten zardzewiały, przenikliwy odgłos zabolął mnie tak, że przystanęłam, nie mogłam się ruszyć.

— Wejdz Olivio — powtórzył ojciec. Po jego głosie niecierpliwym już i stłumionym poznałam, że był zdenerwowany.

Weszłam. Omotał mnie półmrok hallu, zwiślał z wysokiego pułapu, jak zakurzone woale starej pajęczyny. Była to widocznie dawna rezydencja zamożnych plantatorów, bo wszystko tu wydało mi się staroświeckie, przytłaczająco ciężkie i wyolbrzymione, bałam się. Dopiero gdy weszliśmy do sąsiedniego pokoju półmrok zgasł i w padającym poprzez okno promieniu światła zobaczyłam biurko i sylwetkę siedzącej za nim kobiety. Nie widziałam jej twarzy, serce waliło mi nieprzytomnie.

— Jestem Mr. Sloan — powiedział ojciec — a to jest Olivia, telefonowałam do pani wczoraj, skierował mnie tu...

— Tak — powiedział głos. — Naturalnie panie Sloan. Jak się masz Olivio? Zaraz się tobą zajmimy. Oparłam się o ścianę i przymknęłam oczy. Słyszałam, że ktoś wchodził z korytarza do pokoju, ale nie uniosłam powiek. Było mi wszystko obojętne.

Ojciec zbliżył się do mnie, powiedział:

— Do widzenia Olivio, uważaj na siebie.

Wyszedł. Wtedy oderwałam się od ściany i wybiegłam za nim do hallu.

— Tatusiu — płakałam. Przytrzymałam się rozpiętej poły jego kurtki. — Nie zostawiaj mnie.

Już był w drzwiach, przekraczał próg tego domu, odchodził w dzień.

— No, no Olivio — szepnął zakłopotany i starał wyswobodzić się z mojej przytrzymującej go ręki.

— Tatusiu... — prosiłam.

Nie otworzył ramion, nie przygarnął mnie.

— Bądź rozsądna — powiedział.

Moja ręka opadła, nie zatrzymałam go ani przez chwilę, to był tylko materiał kurtki szorstki i bezosobowy, który przez jedną krótką minutę zaciskałam w palcach.

— Do widzenia — powiedziałam.

— Do widzenia, pomódl się.

— Jak mam się modlić? — spytałam.

Nie usłyszał już, a może nie chciał odpowiedzieć. Czułam, jak oddychał z ulgą.

— Do widzenia Olivio.

To tylko nas łączyło: widzenia: Nie byliśmy nawet jednej krwi. Ogarnęła mnie coraz bardziej potęgująca się od momentu przekroczenia drzwi tego domu — samotność. Była tak przenikliwa, że dygocząc i szczekając zębami starałam się przed nią schronić zakrywając twarz dłońmi i tuląc się do ściany hallu. Wszystkie wspomnienia ostatnich miesięcy otoczyły mnie, nacierały na mnie: morze i plaża, Krzysztofa i moje mieszkanie, twarz Sandry przed lustrem i *Indian Room*, strach przed pustką tego pokoju i pozostawiona na biurku książka: Zostawiono mnie na wyspie samotnej — płakałam. Na dziedzińcu ojciec mój zapuszczał motor samochodu. Ktoś ujął mnie za rękę, zachnęłam się, ale ręka trzymała mocno. Odwróciłam się, przez chwilę nie widziałam nic, a potem zobaczyłam najpierw ich kolorowe bluzki wzdęte poniżej pasa — były to dwie młode dziewczyny. W ich oczach, które wydawały mi się parą tych samych oczu, zobaczyłam siebie.

— My wszystkie płaczemy tu pierwszego dnia — powiedziała ta, która trzymała mnie za rękę. Nie patrzyłam już na jej twarz, mój wzrok odpoczywał na owalnym wzdęciu jej ciała.

— Nazywam się... — powiedziałam.

— To nieważne — powiedziała — czasem, jak dwie mamy takie same imiona, zmieniają je nam tutaj, a czasem wydaje mi się, że wszystkie mamy jedno imię. Twój pokój jest na pierwszym piętrze.

— Nazywam się Olivia — powiedziałam.

Poszłam za nią schodami na pierwsze piętro do pokoju, który na trzy miesiące stał się moim.

Odjeżdżały zwykle przed północą. Unosiłam głowę, słyszałam pośpiesznie kroki na korytarzu i szept. Każda chwila zbliżała mnie do tego samego, do dnia czy nocy, która będzie moją, w której ja odjadę. Myślałam: kiedy to będzie? Jak to będzie? Ale nie wiem dlaczego działo się to najczęściej na przełomie dnia i nocy w tym czasie gdy niespostrzeżenie otwierają się kwiaty, albo pękają owoce, albo kobiety zaczynają drzeć, kurczyć się i krzyczyć i szarpać we własnym bólu, jakby świadome pierwszego, tragicznego rozstania, w tym momencie, gdy opada noc i zakwita dzień, gdy umiera i rodzi się człowiek.

Dom ten, którego początkowa obcość i tajemniczość przestała mnie nieśmielać i gdy przyjrzałam mu się bliżej był starą, odremontowywaną nieustannie budowlą gdzie w staroświeckie, krągłe

linie godziły twarde, surowe nowoczesne i tanie przybudówki. Był, jak dama w peruce, ściśnięta w pasie gorsetem, która do aksamitnego serdaczka nałożyła solidne, czyste i wykrochmalone *blue jeans'y*. Korytarze i kręte korytarzyki, schody i ukryte, wąskie schodki łąbiły to wielkie, spokojne na pozór mrowisko gdzie wszystko wirowało, zmieniało się nieustannie, bo chociaż było nas zwykle około trzydziestu cyfra ta była płynna: najmniej dwie, albo trzy odchodziły co tydzień i natychmiast zjawiały się nowe tak, że nigdy wszystkich nie poznałam, chociaż spotykałyśmy się trzy razy dziennie przy wspólnych posiłkach w jadalni. Straciłam rachubę czasu, wydawało mi się czasem, że jestem tu całą wieczność i nigdy nie wyjdę, czasem, że przyszłam dopiero wczoraj i wtedy wracała do mnie rozpacz tego pierwszego dnia tutaj. Straciłam też poczucie linii, wydawało mi się, że każda młoda kobieta przeznaczona jest tą owalną linią od piersi, aż do dołu brzucha i zapominałam chwilami, jak wygląda płaski brzuch dziewczyny. A może nie spostrzegłam niczego tylko samą siebie odbitą, pomniejszoną lub powiększoną w trzydziestu zwierciadłach. Była wśród nas jedna czternastolatka, która coraz to dopadała innej zadrezczając ją swymi zwierzeniami. Zresztą prawie każda opowiadała, projektowała jak to będzie, co zrobi, co ją czeka kiedy już To, ta godzina przed którą drżałyśmy ze strachu, ale nie ośmielałyśmy się bać jej otwarcie, bo przecież nie byłyśmy oficjalnie uznane, zatwierdzone i zaaprobowane przez społeczeństwo, nie miałyśmy legitymacji do naturalnych obaw kobiet z prawdziwą na rękę obrączką, kiedy już To, granica między normalnym światem, a nami zostanie przeskoczona i staniemy się na nowo sobą.

Ale ja nie zwierzałam się, siedziałam pomiędzy nimi milcząc, albo odchodziłam do mego pokoju i albo kładłam się na łóżku, albo patrzyłam przez okno: rósł tam bardzo blisko muru stary, gęsty i szeroki krzak złotogłowiu. Rano szamotały się tam ptaki i budziły mnie. Zanim to się stanie — myślałam — złotogłów przekwitnie. Gałęzie krzaku żółkły, aż pewnego dnia pokryły się rześzystym, złotawym puchem. To wtedy przyjechała moja matka i zawołano mnie do salonu. Siedziała sztywno na krześle z wysokim oparciem zwrócona twarzą do czarnego fortepianu ustawionego pod długimi, sięgającymi podłogi oknami. Trzymała w ręku białe rękawiczki, a na głowie miała słomiany, wiosenny kapelusz. Usłyszała moje kroki, drgnęła i odwróciła się.

— Jak się czujesz, Olivio? — spytała.

Widziałam, jak się zaczerwieniła. Mój brzuch wyzwolony, bezwstydnym i sterczący wybiegł jej naprzeciw.

— Czy Krzysztof nie pisał? — spytałam.

— Usiądź — powiedziała — jest ci pewnie niezbyt wygodnie chodzić, nie powinnaś stać.

— Czuje się dobrze — powiedziałam. Nie usiadłam. — Powiedz mi, czy Krzysztof nie pisał.

— Proszę cię, Olivio, proszę cię — szepnęła — nie mówmy tu na ten temat.

Podeszłam do drzwi i zamknęłam je.

— Teraz możemy mówić — powiedziałam.

— Myśleliśmy ojciec i ja co zrobić z dzieckiem i chciałam...

— Powiedz mi — pochyliłam się nad nią — proszę cię.

— Nie pisał — powiedziała.

Odchyliła gwałtownie głowę do tyłu, aby przyjrzeć się jakimś słowom, które zrobiły wrażenie na mnie, a może, aby tylko uniknąć zbliżenia z moją twarzą. Rozciągała w palcach rękawiczki, w palcach, w ich nieskoordynowanych ruchach było jej przerażenie. Spojrzała szybko na drzwi, oceniała ich szczelność i znów patrzyła na mnie wyzywając i zachęcając moją reakcję: płacz, krzyk może. Powiedziała przecież: Nie pisał.

— Nie pisał — powiedziałam. Usiadłam obok niej na krześle i patrzyłam w żałobne skrzydło fortepianu. Myślałam: Przecież i tak wiedziałam, że mi nic nie powie. Nie powinienam była czekać, powinienam była zrobić coś sama. Naturalnie, że powinienam coś zrobić. Skąd on może wiedzieć, że tu jestem. Dlaczego nie dałam mu znać wcześniej?

— Nie martw się Olivio — powiedziała.

Myślałam: Przecież to takie proste, trzeba było tylko napisać do Bob'a. Naturalnie, zaraz napiszę do Bob'a i poproszę go. Powinno było zrobić to dużo wcześniej, ale mam jeszcze czas, mam jeszcze najmniej cztery tygodnie czasu, list będzie szedł najwyżej trzy dni, może cztery.

— To przejdzie, zapomnisz — powiedziała.

W korytarzu uderzono w gong, raz, drugi i trzeci.

— Czy musisz już iść? — spytała.

— To dzwonią na lunch — powiedziałam. — Mam jeszcze czas, nie jestem zresztą głodna.

— Powinnaś jeść. Czy dają ci tu dobre jedzenie? Płacimy im przecież.

Myślałam: Bob odpisze, no i dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej? Spytałam się czy Krzysztof chce zobaczyć dziecko. Zresztą Bob'owi nie potrzebuję wiele tłumaczyć, on wie, rozumie, nie zostawi mego listu bez odpowiedzi.

— Nie będę cię długo zatrzymywać — powiedziała — chciałabym tylko, ażebyś wiedziała, że my z ojcem myślimy o tym, dowiadaliśmy się już gdzie, jak można by umieścić dziecko.

Weźmie się go od razu ze szpitala, nie potrzebujesz go nawet widzieć. To będzie lepiej, nie zobaczysz go nawet. Podpiszesz tylko papiery.

— Nie — powiedziałam.

— Bądź rozsądna, złamiesz sobie życie.

— Nie — powiedziałam — nie oddam mego dziecka.

— Co więc chcesz ode mnie, żebym ja go wychowywała? Chcesz, żeby Ralph i wszyscy ludzie wiedzieli?

— Nic nie chcę od ciebie.

— No tak, tak zawsze mówisz, a potem, jak jest za późno przychodzisz do mnie.

Na korytarzu słychać było kroki, cały dom szumiał teraz od kroków i rozmów dziewcząt schodzących na *lunch* do przylegającej do salonu jadalni. Pukanie do drzwi. Powiedziałam: Proszę. Mrs. Reed, która miała dyżur tego dnia wsunęła głowę poprzez drzwi. W jej zmarszczkach były ślady nie przespanej nocy: odwoziła jedną z pensjonariuszek do szpitala. Po *lunch*'u kończył się jej dyżur, odejdzie do swego pokoju, aby się przespać.

— Czy zabiera pani może Olivię na *lunch* do miasta? — spytała.

Moja matka wstała. Mrs. Reed zamknęła za sobą drzwi, weszła do pokoju.

— Mamo — powiedziałam — to jest Mrs. Reed. Opiekuje się nami.

— Dzień dobry pani — powiedziała moja matka. — Dziękuję pani za opiekę nad Olivią.

— Ach — powiedziała. — Przecież nie ja jedna. — Była grubiutka i wesoła, stała pewnie na swoich krótkich nogach i przyzwyczajona była do wydawania poleceń, dlatego jej głos zabrzmiał ostrzej i głośniejsze niż potrzeba. — Czy chce ją pani zabrać na *lunch* do miasta? Jeżeli pani chce... — Spojrzała prędko na moją matkę i na mnie, wiedziała już.

— Muszę odjeżdżać — powiedziała moja matka.

— Naturalnie — powiedziała — ale niech się pani nie śpieszy, zatrzymamy *lunch* dla Olivii.

— Tłumaczę jej właśnie — powiedziała moja matka — że staraliśmy się z mężem o dom dla dziecka, dziecko będzie można umieścić i zaadoptują je.

— Tak — powiedziała Mrs. Reed — tak byłoby najlepiej. — Obejrzała się na drzwi, powinna już była być w jadalni.

— Ale ona nie chce słyszeć, nie można jej tego wytłumaczyć. — Stała przed Mrs. Reed i mięła w palcach rękawiczki. Bluzka jej kostiumu była nieskazitelnie biała, a jej szczupła, pomarszczona twarz pokryta była ceglastym rumieńcem.

— Dajmy jej jeszcze trochę czasu — powiedziała Mrs. Reed.

— Może pani jej wytłumaczy.

— Tłumaczę im wszystkim, tłumaczę im od dwudziestu lat.

Dajmy jej trochę czasu.

Myślałam: możecie tłumaczyć mi całą wieczność. Dziś napiszę list do Bob'a.

— I co? — spytała moja matka.

— Różnie — powiedziała. — Zawsze wszystko się dobrze układa, tylko jeszcze trochę czasu. Przepraszam panią, czekają na mnie w jadalni. Gdyby chciała pani rozmawiać z kierowniczką...

— Muszę już jechać — powiedziała moja matka. Nakładała rękawiczki, jej rumieniec zbladł, była teraz wściekła z gniewu, że zwróciła się do Mrs. Reed. Podniosła rękę i poprawiła dwa sztuczne kwiaty na swoim wiosennym kapeluszu.

— Do widzenia Olivio — powiedziała.

— Poczekaj — zatrzymałam ją. — Jak się czuje Ralph i ojciec?

Mrs. Reed wyszła z pokoju.

— Ralph uczy się doskonale. Nie mamy z nim najmniejszego kłopotu.

— Nic nie mówił?

— Nie wiem o co ci chodzi?

— Nie pytał się o mnie?

— Ralph myśli, że jesteś w szkole. Alice Adams idzie do szkoły pielęgniarzkiej, przyjęli ją do szkoły pielęgniarzkiej. Będzie miała dobry fach w ręku.

— Czy Ralph nie tęskni za mną?

— Czasem pyta o ciebie, ale ma teraz dużo kolegów i dużo pracuje w domu nad lekcjami.

— Ja mu to wszystko kiedyś wytłumaczę.

— Skrzywdzisz go — powiedziała. — I jego też chcesz skrzywdzić.

— Nie — powiedziałam — nie Ralph'a, wiesz o tym, nie powinnaś tak mówić. Nie powinnaś w ogóle przyjeżdżać, dam sobie radę sama.

— Nie opowiadaj głupstw, Olivio, jesteś przeczulona i znerwowana, idź teraz na *lunch*. Podeszła do mnie i pocałowała mnie w czoło. — Zastanów się nad tym co mówiłam. — Odwróciła się do drzwi. — Zastanów się — powtórzyła. — Nie masz innego wyjścia.

Wstałam i odprowadziłam ją poprzez hall aż na ganek. Był przepiękny wiosenny dzień, kwitły brzoskwinie i drzewa magnoliowe. Myślałam: dziś napiszę do Bob'a, dziś zaraz napiszę list

do Bob'a. Patrzyłam na samochód którym odjeżdżała moja matka, nie myślałam o niej.

Mrs. Reed stanęła za mną.

— Nie będę jadła *lunch'u* — powiedziałam. — Nie mogę nic przełknąć.

— Jak chcesz — powiedziała — jak chcesz, nie mam zamiaru walczyć z tobą, mam dość innych spraw na głowie. Sama wiesz co robisz, jeśli chcesz głodzić swoje dziecko, to już twoja sprawa! Odwróciłam się, stała rozkraczona, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Jej posiwiałe włosy opadały w nieładzie na czoło i policzek, jej okrągła, poliniowana zmarszczkami twarz była tuż przy mnie gotowa i łagodnie zachęcająca.

— No to... — powiedziała ostro — bo nie mam czasu na zabawy z tobą. — Ale jej oczy spoglądały we mnie, czułam łagodzące ciepło jej oczu.

Przytuliłam się do niej.

— Mrs. Reed — zapłakałam — Mrs. Reed...

Nie odtrąciła mnie, przygarnęła szorstkim ruchem moją głowę do swego dużego, pachnącego kuchnią biustu. — Cicho dziecko — powiedziała — cicho dziewczynko.

Zaczęłam pisać list do Bob'a. To wcale nie było takie łatwe, jak mi się zdawało. Do diabła, to było niesamowicie trudne. Napisałam: *Kochany Bob'ie* — siedziałam wpatrując się w pustą kartkę papieru. Bładozielone ściany mego pokoju puste były, jak moje myśli. Pokój pełen był Krzysztofa, jego twarz budziła mnie nocą, i on teraz uwielokrotniony: z plaży nadmorskiej, z urwiska nad oceanem, on w drzwiach letniego domu rodziców Sandry i on z naszego mieszkania na ostatnim piętrze, nieszczęśliwy przerażony wpatrywał się we mnie dziesiątkami oczu. Do niego powinien być ten list. Nie zastanowiłam się, że Bob przecież wie bardzo niewiele, że nawet nie wiem, co wie i czy pamięta z zeszłego lata dziewczynę, w której się podkochiwał, o której może myślał, tym bardziej cenną, bo niedostępną i że nie zobaczył mnie jeszcze, aby się rozczarować, że ja sama nie powiedziałam mu jeszcze niczego, co by tamten obraz zniekształciło i przekreśliło. Dlatego nie wiedziałam co napisać i broniłam się uciekając przed samą sobą. Nigdy nie miałam zbyt wiele odwagi. Postanawiałam i przed samym końcem, tchórzyłam. Nigdy nie mogłam sobie powiedzieć: Jestem zadowolona ze siebie, jestem ze siebie dumna, doprowadziłam nareszcie coś do końca. Może wtedy, w Nowym Orleanie, starałam się także dopełnić tę najważniejszą, niedokończoną sprawę? Nie wiem, o tym napiszę później. Teraz list do Bob'a. Był bardzo

krótki: „Kochany Bob'ie. Proszę cię znaleźć Krzysztofa, powiedz mu, że to już niedługo. Znajdź go. Proszę, proszę, bardzo cię proszę. To bardzo ważne! Daj mi znać! Tu jest mój adres i telefon. Proszę cię! Tylko ty to możesz zrobić. Napisz prędko! — Olivia”.

Nie odpisał. Myślałam. Pewnie zatelefonował do moich rodziców. Albo może Sandra! Może Sandra przekonała go: nie wtrącaj się, ta Olivia gotowa jeszcze i ciebie wpakować w kłopot. To niewdzięcznica; zmarnowała Krzysztofa. A może matka Sandry otworzyła list i podała na drobniutkie kawałki, a potem spaliła w kominku, aby nikt się nie dowiedział?

Znów spałam źle. Budziłam się o północy, myślałam: co ja zrobię? Kto przyjmie mnie do pracy z dzieckiem? Wiedziałam jednak, czułam: Krzysztof wróci, wróci, chociażby tylko dlatego, aby zobaczyć dziecko.

Tego dnia miałam dyżur w jadalni, był to już koniec maja i poruszałam się z trudem, dźwigałam samą siebie od jednego stołu do drugiego i układałam widelce, łyżki i talerze. Chciałam się położyć i zasnąć. Zaraz po obiedzie położę się i zasnę — myślałam. Rozmowa z kierowniczką Domu, która wezwała mnie kilka dni temu do swego gabinetu, — wracała. Była to wysoka i szczupła siwiejąca dama, która mrużąc swoje blade oczy starała się mnie przeniknąć, a usiłując dostrzec coś we mnie tak bardzo, nie dostrzegała nic, gdyż ja wyczułam natychmiast to jej usiłowanie i broniłam się sztywniejąc i nie odpowiadając.

- Zawołałam cię — powiedziała — aby z tobą pomówić.
- Czy moja matka telefonowała do pani? — spytałam.
- Tak — powiedziała — twoja matka martwi się o ciebie.
- Chodzi jej pewnie o to co zrobię z dzieckiem?
- Tak — powiedziała i wpatrywała się we mnie.

Milczałam. Siedziała za biurkiem, tyłem do okna i patrzyła na mnie, czekała.

Odwrociłam głowę, na lewo ode mnie, nad kominkiem wisiał obraz, po chwili dopiero zrozumiałam, że to było morze: jedna, wielka zielonawa fala i kawałek czarnej skały. To nędzny obraz — myślałam — mogłabym to namalować dużo lepiej. Dlaczego nie maluję? Czuję to przecież w sobie, czuję i widzę obrazy lepiej niż słowa. Powinnam kiedyś malować. Chciałabym teraz coś namalować, to by mi ulżyło. Wrócę do pokoju i namaluję to morze, tak jak ja je widzę.

— Nie wolno nam uciekać od odpowiedzialności — powiedziała.

— Tak proszę pani — zgodziłam się.

— Może obejrzyś sobie ten obraz kiedy indziej — powiedziała.

— Tak, proszę pani — odwróciłam się i spostrzegłam, że była już nieco zniecierpliwiona, ucieszyłam się. Wpatrywała się we mnie, a ja przytrzymywałam jej wzrok.

— To jest bardzo poważne, Olivio.

— Tak, proszę pani.

— Chciałabym cię przekonać.

Co wiesz o mnie — myślałam — że odważasz się mnie przekonywać? Powiedziałam:

— Ja wiem co robię.

— Tak? No to powiedz mi. Ciekawam jestem, jak dasz sobie radę z dzieckiem. Masz zaledwie siedemnaście lat i nie masz pieniędzy. Chcesz zmarnować dziecko i siebie. To jest właśnie ten brak odpowiedzialności! — Uderzyła dłonią w biurko i przez chwilę nie patrzyła na mnie, przyglądała się swojej rozplaszczonej na biurku ręce. Spojrzałam na obraz: była w nim rozpacz, prymitywna może, nieujarzmiona niczym rozpacz, ten obraz krzyczał, ale dopiero teraz usłyszałam jego wołanie.

— Twoja matka nie zajmie się dzieckiem — powiedziała. — Mówiła mi to. Na to nie możesz liczyć Olivio. Omawiali natomiast ze mną, twój ojciec i matka, plan adopcji. Obiecałam im pomóc.

— Nie!

— Nic nie wiesz i już mówisz: nie! Spójrz na mnie, mówiłam już, że obraz możesz sobie oglądać później. Jesteś przecież dobrze wychowaną dziewczyną. Czy to tak się rozmawia z ludźmi?

— Przepraszam.

— Jesteś bardzo trudna, Olivio — westchnęła. — Dziecko umieści się w odpowiednim domu. Będzie miało rodziców, a ty wrócisz do szkoły. Chcesz przecież skończyć szkołę, prawda?

— Nie — powiedziałam — nie oddam dziecka.

— A więc — powiedziała — zostaniesz z nim na ulicy. Wiedocznie tego chcesz. Albo może będziesz żyła z zasiłku opieki społecznej. Chcesz tego, co?

— To jest wszystko co mam — szepnęłam — to jedno co mam.

— Ach! — machnęła ręką — nie roztkliwiaj się tylko nad sobą. Weź się w garść i powiedz mi jak to sobie wyobrazasz, co chcesz zrobić?

— Wyjdę zamaż — powiedziałam.

— No tak — mruknęła — wszystkie to mówicie, a potem w ostatniej chwili jest tragedia.

— Ze mną będzie inaczej.

— Nie wyobrażaj sobie znowu, że jesteś tak bardzo inna.

— Tak, proszę pani — powiedziałam. Myślałam: nienawidzę cię.

Wstała, obciągnęła zakiet kostiumu. Pomyślałam, jak bardzo byłam jej obojętna. Rozłożyła ręce.

— Nie chcesz, żebym ci pomogła, no to...

Podniosłam się. Spojrzałam jeszcze raz na obraz. Tylko na grzebieniu fali było odrobinę białej piany, ale i ona wydała się za chwilę runąć w przepaść ciemnozieloną i czarną.

— Kto to malował? — spytałam.

Spojrzała na mnie po raz pierwszy uważniej tak, jakby chciała coś zrozumieć.

— Ona też była uparta — powiedziała. — Cały czas ślęczała nad tym obrazem, a potem odchodząc zostawiła go.

— Kto? — spytałam.

— To nieważne. Jedna z dziewcząt. Wystarczy ci to? Pomyśl teraz o sobie. Pomyśl teraz o tym co ci powiedziałam. Gdybyś chciała przyjść do mnie...

— Tak, proszę pani.

— Nie masz nic innego do powiedzenia, tylko „tak, proszę pani”. Wiem, że jesteś inteligentną dziewczyną i potrafisz więcej. Więc gdybyś chciała... A teraz możesz już iść.

Podniosłam się i odwróciłam do drzwi.

— Pamiętaj, pomyśl o tym — powiedziała jeszcze.

Nie odpowiedziałam, otworzyłam drzwi i wyszłam.

Chodziłam teraz od jednego stołu do drugiego i walczyłam z ogarniającą mnie sennością. Na dworze było ciepło i wilgotnie, to ta wilgoć osłabiała mnie i odurzała. Bałam się, że kierowniczka Domu znów mnie zawoła, ale teraz rozprawię się z nią, teraz powiem jej otwarcie co o niej myślę, nie odważy się nic mi zrobić, byłam w ostatnim miesiącu ciąży i nie ośmieli się podnieść na mnie głosu. Powiem jej co o niej myślę. Nie była wcale lepszą od mojej matki, tylko inne wydanie mojej matki, musiały dojść z sobą do porozumienia i teraz spiskowały przeciwko mnie. Ośmielała się dawać mi rady i przekonywać nie wiedząc nic o mnie, nikt o mnie nic nie wiedział, tylko ja sama, tylko ja jedna i to mnie dręczyło najwięcej: szaleństwo uczuć, które mnie dławiły i których nie chciałam, nie mogłam z nikim podzielić. Co ja zrobić? — myślałam. Byłam zbyt odurzona, senna i ociężała, aby cokolwiek planować. Właściwie to nie wyobrażałam sobie tego naprawdę, nie wyobrażałam sobie jeszcze nie mogłam uwierzyć będąc tak blisko tego, że ja, Olivia, będę miała dziecko, to jeszcze nie stało się dla mnie rzeczywistością, to tylko był sen przydługi i męczący.

Drzwi otworzyły się, zanim usłyszałam jej głos, zobaczyłam jej twarz, wiedziałam, to była kierowniczką Domu.

— Olivio! — zawołała.

— Tak, proszę pani? — powiedziałam. Sprężyłam się cała w sobie, no teraz dam jej nauczkę, nie będę ukrywała co o niej myślę: zimna, obojętna i taka sama jak moja matka.

— Olivio, powiedziała, chodź prędko, telefon do ciebie.

Telefon stał na jej biurku. Powiedziała: Ta druga linia w przedpokoju jest zajęta, więc przyjmij tutaj. Czekałam, aż wyjdzie z pokoju, ale ona usadowiła się w fotelu i zaczęła przeglądać papiery.

.....
Tę chwilę podjęcia słuchawki pamiętam, jakby od tego właśnie wszystko się zaczęło, bo potem widzę już tylko szpital i Olivie, jak wchodzi tam podtrzymywana pod rękę przez Mrs. Reed i stroskaną, zaspaną twarz Mrs. Reed i jej słowa: Trzymaj się dziewczynko, wszystko będzie dobrze, odważnie, moja droga.

.....
Podniosłam słuchawkę i odwracając się natrafiłam oczami znów na ten obraz nad kominkiem.

Tu jest także biel — pomyślałam, ale tak przełamana cieniami, że wydała mi się czarna, ona bała się zbyt wyraźnie wyrzucić tę biel.

— Hallo — powiedziałam — tu mówi Olivia. — I czekałam na głos mojej matki.

— Olivio — powiedział Bob — Olivio, przepraszam, że teraz dopiero. Czy to ty Olivio?

— Tak — szepnęłam — tak.

— Nie mogłem poznać twego głosu. Słuchaj, widziałem go.

— Tak — szepnęłam i przytrzymałam się biurka. Głowa kierowniczką Domu uniosła się i znów opuściła dyskretnie nad papierami.

— Widziałem go, słyszysz?

— Tak — powiedziałam — chwileczkę. Czy mogłabym zostać sama? — powiedziałam do niej schylonej nad biurkiem.

Podniosła się i wyszła.

— Słyszysz mnie Olivio? — pytał Bob. Jego głos był odległy i przerywany.

— Bob — szepnęłam — mów, widziałeś go naprawdę?

— Tak — powiedział. — Jest z bratem. Niedawno zaczął pracować. Nie mogłem wyrwać się wcześniej.

Pojechałem tam, mówiłem z nim. Chce zobaczyć dziecko. Napisz mi tylko wyraźnie adres szpitala, wrzuc kartkę zanim tam pójdziesz, będę się dowiadywał.

— Powiedziałeś mu...
— Tak, wszystko, rozmawiałem z nim długo, chce zobaczyć dziecko.

— Gdzie on jest?
— Prosił, żeby nie...
— Dobrze.
— Ale przyrzekł, że przyjedzie, chce bardzo zobaczyć dziecko, prosił, żeby cię pozdrowić.

— Bob, powiedz mu...
— Tak?
— Nic. Nie wiem. Jestem taka nieszczęśliwa.
— Nie martw się, Olivio, wszystko będzie dobrze, mówiłem z nim. Słyszysz, sam powiedział: że chce zobaczyć dziecko. Powiedział: Muszę zobaczyć dziecko, muszę je zobaczyć.

— Bob, nie oddałam ci jeszcze...
— Nie wspominaj nawet. Daj mi znać kiedy.
— Jak się czuje twoja matka?
— Moja matka umarła — powiedział — tak... biedactwo, męczyła się od lata, umarła.

— Jak mi przykro — szepnęłam — jak mi strasznie przykro.
— Muszę już skończyć, Olivio. Daj mi znać. Do widzenia.
Trzymałam słuchawkę w ręce, słyszałam, jak on już odłożył telefon, ale trzymałam jeszcze słuchawkę. Płakałam: Krzysztof chce zobaczyć dziecko. Położyłam słuchawkę, wyszłam z gabinetu, przemknęłam się korytarzem do mego pokoju, siadłam na łóżku. Pomyślałam: Mrs. Ashley nie żyje. Matka Bob'a umarła. Z korytarza dzwoniono już na obiad, nie podniosłam się. Myślałam: Krzysztof przyjedzie, i jednocześnie: matka Bob'a umarła. Te dwie myśli nakładały się na siebie, nawarstwiały jedna na drugą, jak ciemne tony kolorów na białą plamę obrazu nad kominkiem w gabinecie kierowniczkii Domu.

Przez łyzy widzę ten budynek. Jest więc, jakby we mgle porannej, chociaż było to przecież krótko przed północą. On nie spał, chociaż ulice puste były o tej porze dnia wykluwające się z grubej skorupy nocnej, nie pisał, i jak człowiek przed nowym napadem gorączki przytomniał na krótko, ożywał się przed nową, nocną zmianą sanitariuszów, pielęgniarek i lekarzy.

Winda zatrzymywała się na każdym piętrze i to denerwowało pielęgniarkę, która stała za oparciem fotelu na kółkach w którym siedziałam powstrzymując grymas bólu, myślałam: Oby już było po wszystkim, kiedy nareszcie będzie już po wszystkim i kiedy Krzysztof zobaczy dziecko.

— Widocznie ktoś poprzyciskał guziki na każdym piętrze —

zrzędziła — że też nic nie zrobią, aby ta winda wjechała bezpośrednio na szóste.

— Która to godzina, siostró? — spytałam.

— Będzie chyba 15 minut po północy. — Patrzy na zegarek i ja też odwracam się i patrzę na nią: stoi mocno na swoich ciężkich nogach i posapuje trochę, jest zażywna, ma czerwoną twarz i pewnie pracowała cały dzień w domu, nie wyspała się dobrze przed nocną zmianą w szpitalu. Na nosie ma okulary w stalowej, cienkiej ramce, przygląda się zegarkowi na przegubie ręki. — Dokładnie 17-cie po północy — mówi — Jak się pani czuje, Mrs. Sterling? Przez chwilę nie rozumiem do kogo się zwraca, orientuję się, to do mnie. Jestem tu Mrs. Sterling, to jest moje *code name*. Nikt nie powinien wiedzieć prawdy, chociaż każdy może się domyślać, ale oficjalnie jestem tu panią Sterling.

— Dziękuję siostró — mówię — nie jest tak bardzo źle.

— *Good girl* — posapuje pielęgniarka. — No nareszcie mamy szóste piętro.

Winda przystaje i pielęgniarka wpycha energicznie moje krzesło do hallu, hall wąski, światło w nim przyćmione. Czuję już zapach szpitala mdłący i niespokojny i czuję jego puls: drobny, urywany i niepewny, jak cienka nitka, która może przerwać się za chwilę. Boję się tego szpitala odurza mnie i przeraża.

— Mogę przejść sama — mówię i staram się podnieść.

— Jeszcze czego! — woła pielęgniarka i wpycha mnie z powrotem na krzesło. — Nie wolno pani teraz chodzić, przecież dowiozę na miejsce.

Wózek mój toczy się wzdłuż korytarza, mija zamknięte, albo uchylone tylko, osłonięte parawanami drzwi pokoiów i zatrzymuje się przed szklaną ścianą okien.

— Pani małe też tu niedługo będzie — mówi pielęgniarka — wskazuje na okno na lewo.

Zwracam głowę w tamtą stronę, poza szybą: las małych łóżeczek i śpiące w nich zawiniątka. Krzysztof zobaczy dziecko — myślę — zobaczy nasze dziecko. Może już jutro, albo pojutrze, wczoraj wieczór wysłałam kartkę do Bob'a, wczoraj, zaledwie kilka godzin temu, dałam kartkę Mrs. Reed, przyrzekła mi, jej mogłam zawierzyć.

— Tak, moje małe też tu niedługo będzie — uśmiecham się. I z tym uśmiechem wjeżdżam poprzez uchylające się przede mną drzwi, na salę.

— Przywiozłam panią Sterling — mówi pielęgniarka.

— Proszę przygotować pacjentkę, siostró — to mówi lekarz, jego głos ma nalot cudzoziemski. Nie odwracam się, nie patrzę,

chwytam mnie taki paroksyzm bólów, że zaczynam cicho płakać, skręcam się, zwijam na krześle, jęczę.

Układają mnie na stole. Chcę powstrzymać łzy, ale nie mogę. Płyną mi z kącików oczu na policzki. Jęczę. Nie wiem, jak długo leżę, jestem zagubiona w czasie i we własnym bólu, przecina mi uda, krzyż i dół brzucha, czuję ręce pielęgniarki i słyszę głos lekarza.

— Kiedy to się zaczęło?

— Mówiła, że wcześniej wieczorem, około szóstej — odpowiada pielęgniarka.

Teraz czuję dłonie lekarza na skórze mego brzucha i unoszę powieki ku pochylonej nade mną jego twarzy. Widzę tylko oczy poza okularami, oczy są ciemne i skośne, nos i usta zasłania biała maska.

— Jestem doktor Yen — mówi. — Jak się pani czuje?

— *Hallo doctor* — mówię. Myślę: to Chińczyk.

— Doktorze Martin — woła Chińczyk.

Czuję dotyk innych rąk na skórze, i chłodne dotknięcie metalowego zakończenia stetoskopu.

— Czy chce pan jeszcze osłuchać, doktorze? — mówi doktor Yen.

— Nie — odpowiada tamten.

Odchodzi. Słyszę ich przyciszony, niezrozumiały szept, słyszę, jak myją ręce. Jestem sama z moim bólem, wznoszącym i rozrywającym mnie, sama z biciem tylko mego serca. Słyszę je, jak wali głośno, w uszach, w głowie, jak pulsuje w udach i brzuchu.

— O Boże — jęczę — o Boże...

— Zrobię pani zastrzyk — mówi pielęgniarka.

Poddaję się, nie mam wyboru, jestem tylko kłębkim bólu. Czuję spadający na mnie, ogarniający mnie, gniotący i obezwładniający sen. Ból nie zanika w tym śnie, ale jestem w nim także na szczycie góry. To jest wysoka, stroma skała, stoję na jej wierzchołku, nad sobą mam niebo, bliskie i bardzo błękitne, po obu moich stronach drzewa, staram się uchwycić gałęzi drzew, gdyż góra, czuję to, zaczyna się trząść i tracę równowagę. Krzyczę ze strachu przeraźliwie, dziko, bo góra rozpęka się i lecę w tę rozpadlinę głową na dół. Spadam w czeluść, w ciemny tunel bez końca i krzyczę, wzywam pomocy, widzę przed sobą niekończącą się ciemną szczelinę. Staram się uchwycić ścian skały, ale pęd mego upadku coraz bardziej nabiera na szybkości, że nie mogę odetchnąć, nie mogę nawet już krzyczeć tylko jęczę czekając na to najgorsze, gdy głowa moja uderzy, rozstrzaska się o dno.

Mrs. Sterling — powiedziała pielęgniarka. Uczułam najpierw delikatne, a potem niecierpliwe dotknięcie palców na moim ra-

mieniu. Otworzyłam oczy, zmrużyłam je przed światłem dnia, powieki były ciężkie, opadały same. — Mrs. Sterling — musimy zrobić pani zastrzyk. Czy pani słyszy? Czy pani mnie słyszy? Otworzyłam oczy. Zobaczyłam najpierw jej prążkowany białoszary mundurek, a potem jej rękę trzymającą styrykawkę.

— Można? — nalegała.

Nie widziałam jej twarzy.

— Dziecko? — spytałam.

— Teraz muszę pani zrobić zastrzyk — powiedziała.

Skinęłam głową, spojrzałam w stronę światła: Okno, poza nim dachy domów, korony drzew jakby wyrosłe z dachów, bezpienne i niebo ciężkie od białoszarych obłoków. Czułam ukłucie igły. Powiedziałam:

— Śniła mi się góra, spadałam w przepaść.

— W porządku — powiedziała. — Nie bolało, prawda? Co się pani śniło? Góra?

— Nie teraz — powiedziałam — przedtem. Spadałam w przepaść i nic więcej nie pamiętam.

Spojrzałam na nią, była już odwrócona, jej szczupłe plecy przecięte białymi szarfami fartucha. Odsuwała ręką parawan.

— Zaczekaj! — zawołałam.

— Tak? — powiedziała nie odwracając się.

— Dziecko? — spytałam.

— Doktor Yen niedługo tu będzie — powiedziała. Nie odwróciła się, nie zobaczyłam jej twarzy.

— Zaczekaj — krzyknęłam. — Nie odchódź! Czy to jest chłopiec?

Odwróciła się teraz, zobaczyłam jej twarz, jej młode niskie czoło i rozszerzone, nieme brunatne oczy.

— Mrs. Sterling — powiedziała — przykro mi, ale dopiero zaczęłam służbę, dopiero piętnaście minut temu. Nie mogę nic pani powiedzieć, bardzo mi przykro. Doktor Yen...

— Gdzie jest doktor Yen? — spytałam.

— Jest zajęty.

— Proszę go zawołać!

— Doktor Yen będzie tu w ciągu godziny.

— Chcę zobaczyć doktora! — krzyknęłam. — Dlaczego nie powiedział mi natychmiast o dziecku?

— Dobrze, dobrze — szepnęła — niech się pani nie denerwuje. Jak mógł powiedzieć, przecież pani spała. Podeszła i poprawiła mi poduszkę. — Cicho, teraz powinna pani zasnąć, doktor Yen przepisał ten zastrzyk. Bądź dobrą dziewczynką i zaśnij trochę, kochanie — pogładziła mnie po ręce. Odrąciłam jej rękę.

— Czuję się dobrze — powiedziałam. To nie była prawda.

Czułam się okropnie, cały dół brzucha obolały, szumiało mi w głowie, powieki opadały. — Czuję się dobrze — powtórzyłam. Usiłowałam podnieść głowę, spojrzeć na nią. Nie było jej już, parawan poruszał się, falował lekko potrącony jej ramieniem. Leżałam patrząc przed siebie, oczy zamknęły się same.

— Muszę zobaczyć doktora Yen — myślałam. — Muszę zobaczyć zaraz doktora, dlaczego nie zawołali doktora?

Z korytarza urywki rozmów, skrzypienie wózka, zapach jedzenia. Walczyłam ze snem.

— *How are you?* — powiedziała Murzynka.

Spojrzałam na nią, była gruba, w niebieskim fartuchu, wniosła na tacy *lunch* i postawiła go przy moim łóżku. Odwróciła się nie czekając na moją odpowiedź.

— Hej! — krzyknęłam — proszę zawołać doktora Yen!

— Niech pani zadzwoni na pielęgniarkę — powiedziała. Mówiła wolno z południowym przyspiewem. — Przyniosłam *lunch*.

— Nie chcę jeść — powiedziałam. — Możesz to zabrać! Chcę zobaczyć doktora Yen.

— Jedzenie dobrze pani zrobi, powinna pani jeść — powiedziała. — Powiem pielęgniarce, żeby tu przyszła.

— Dziękuję — szepnęłam. Zapach jedzenia mdlił mnie. Zamknęłam oczy. Obudziła mnie pielęgniarka. Była to ta sama młoda dziewczyna, jej oczy były wystraszone i nieme.

— Tak? — powiedziała — co mogę dla pani zrobić?

Zobaczyłam wizytówkę z jej nazwiskiem przypiętą do fartucha: Miss Shirley Mc Cord.

— Miss Mc Cord — powiedziałam — muszę zobaczyć doktora Yen, umieram ze strachu o moje dziecko.

Proszę... — rozplakałam się — muszę go zobaczyć.

— Spokojnie kochanie — powiedziała — doktor Yen jest na sali porodowej. Nie mogę mu w tej chwili przeszkadzać. Czy mam mu przerywać? Niech pani sama powie, czy mogę mu przerywać teraz?

— Niech się pani tylko dowie o dziecko. Powinno być już tam w tym dużym pokoju gdzie stoi tyle małych łóżeczek, niech się pani dowie.

— Mnie tam nie wolno wchodzić — powiedziała — zresztą nie wszystkie dzieci idą tam od razu. Jak tylko doktor Yen skończy natychmiast przyjdzie tu do pani. Niech pani spróbuje zjeść trochę.

— Nie, muszę się natychmiast dowiedzieć.

— Spokojnie, moja droga, niech się pani nie rusza. Porożrywa

pani szwy. Może chociaż kilka łyżek rosółu? Może soku z pomarańczy? Ja panią nakarmię.

— Nie — powiedziałam. — Nic nie chcę, chcę się tylko dowiedzieć.

— Wszystkiego się pani dowie, kochanie — powiedziała.

Odwrociłam głowę.

— Może pani zabrać tacę — powiedziałam.

Zabrała tacę i wyszła. Leżałam i patrzyłam w sufit, a potem w okno, zaczął padać deszcz, w pokoju poszarzało, deszcz spływał po szybie dziesiątkami drobnych strumyczków.

— O Boże — myślałam. — O Boże dlaczego ona nie chciała mi nic powiedzieć?

Deszcz był ciężki, nasilał się. Zamknęłam oczy, nie widziałam deszczu, ale słyszałam, jakby ktoś garściami rzucał piasek o szybę. Czułam ten deszcz w sobie, każde uderzenie kropli było osobnym bólem, zasnęłam w tym bólu, pod deszczem dokuczliwym, malenkich bólików odczuwając je we śnie, mimo snu. Obudził mnie doktor Yen. Stał przy moim łóżku i patrzył na mnie. Zdjął okulary, przetarł je chusteczką, nałożył i jego oczy powiększyły się pod tymi okularami, mimo to jednak pozostały tylko skośnymi, ciemnymi szparami, ciemnymi jak przepaść w którą leciałam we śnie.

— Olivio — powiedział — ujął moją rękę — przykro mi bardzo, Olivio.

— Nie! — krzyknęłam. — Nie! Nie! — Wyrwałam rękę, zakryłam nią sobie oczy.

— Staraliśmy się — powiedział. — Przez kilka godzin, aż do teraz prawie robiliśmy wszystko co tylko możliwe.

— Och — jęczałam. — Och Boże... — Nie mogłam płakać.

Doktor Yen usiadł na brzegu mego łóżka, pielęgniarka stała pod ścianą, jej brunatne oczy były szkliste i przerażone.

— Gdyby nawet przeżył — mówił doktor Yen — to to kilkugodzinne niedotlenienie mózgu...

— Dlaczego? — jęczałam — dlaczego? — Nie słuchałam jego tłumaczeń, piersi bolały mnie od suchego płaczu, dygotałam.

— Olivio, jesteś młoda, będziesz jeszcze miała dzieci.

— Nie! — krzyczałam. — Nie! Wy nic nie rozumiecie, nikt nic nie rozumie.

— Nurse! — powiedział doktor Yen.

Zbliżyła się i podała mu strzykawkę.

Nie chciałam nikogo widzieć. Wyrzucałam z pokoju matkę moją i ojca, którzy przyjechali tego samego dnia i próbowali ze mną rozmawiać. To było pewnie na trzeci dzień. Leżałam wpatrując się w okno i on, niezauważony, nieusłyszany przeze mnie

wśliznął się do pokoju i stanął przy moim łóżku. Wyczułam go zanim zobaczyłam, ale nim odwróciłam się, powiedział:

— Olivio, czy mógłbym zobaczyć dziecko?

Spojrzałam na niego: był w białej koszuli bez krawata, a w rękę trzymał bukietek tanich róż które kupił pewnie u ulicznego sprzedawcy. Położył kwiaty na łóżku.

— Odejdź — powiedziałam.

Cofnął się przerażony moim głosem i spojrzeniem.

— Chciałaś przecież. — Czy pozwolisz mi zobaczyć dziecko?

— Wyjdź stąd — powiedziałam.

— Olivio — szepnął — kochanie, przecież to nasze dziecko, czy mógłbym...

— Zabiłeś go! — krzyknęłam. — Zabiłeś go, ty moja matka i ojciec. Nigdy go nie chciałeś! — Wynos się — krzyczałam. — Wyjdź stąd natychmiast! Podniosłam się na łóżku i rozdygotana, spłakana wskazałam mu ręką drzwi.

— Wynos się! Porwałam jego nędzny bukiet kwiatów i rzucałam w niego. — Wyjdź stąd! — krzyczałam. Krzyczałam tak głośno, że aż *nurse'a* wbiegła przerażona do mego pokoju. Widziałam tylko jeszcze tył jego głowy i jego plecy w białej koszuli.

Ukryłam twarz w poduszkę, wgryzłam się zębami w poduszkę.

— Kris, Kris — płakałam — Kris, dlaczego?

Ktoś dzwonił na pielęgniarkę długo, uporczywie, ktoś dzwonił głośno, ten dzwonek był nade mną, tuż przy mojej głowie, we mnie.

— Przestańcie dzwonić! — krzyczałam. — Przestańcie narzeczcie dzwonić!

Krótkie i pełne udręki są dni człowieka zrodzonego z kobiety. Jako kwiat wzrasta i jak kwiat jest ścięty. Niby cień przemyka i jak cień ginie. O drzewo, ty zrąbane nawet żyjesz nadzieją nowego pędu, a nowa wiosna obdarzy cię zielenią młodej gałęzi, ale on pada i ginie, a duch jego ulatuje. Dokąd?

Jak fala, którą morze wyrzuca tak pada człowiek i ślad po nim wysycha. Więc jeśli umrze, jeżeli padając wyda ostatnie tchnienie, czy ożyje na nowo?

(Według Księgi Hioba)

Dzwonek telefonu świdrował mi czaszkę, dobierał się do centrum świadomości. Nie otwierając oczu wyciągnęłam rękę, podniosłam słuchawkę.

— *Yea?* — mruknęłam. Mój głos był zaspany i ciężki.

— Słuchaj-no — zaskrzeczał Randy — Co się tam u ciebie dzieje? Dlaczego nie odpowiadasz?

— Idź do diabła — powiedziałam — śpię.

— No, to lepiej się obudź!

— O zamknij się, zamknij się do diabła!

— No, no uważaj lepiej! Na dole jest policja, złaż zaraz! Chcą z tobą mówić!

Usiadłam na łóżku, spojrzałam na moją rękę, zegarek galopował na dygocącym przegubie dłoni, jak jeździec na spłoszonym koniu. Była godzina za 15-cie piąta.

— Co oni chcą? — szepnęłam — czego oni się mnie czepiają?

— To już ci sami powiedzą.

— Wywal ich, Randy, głowa mi pęka.

— Ty, Olivia — mówił prędko przyciszonym głosem — nie urządza żadnej hecy, zwałaj zaraz na dół, to poważna granda.

Zsunęłam nogi na podłogę, łydki mi drżały, zaczęłam szczekać zębami, kręciło mi się w głowie.

— Nie mogę zejść teraz — powiedziałam — jestem nieubrana i właśnie brałam prysznic, jestem cała namydlona. Mam tak zejść nago? Co?

— No to dalej, śpiesz się!

— Acha.

— Śpiesz się, słyszysz! — powiedział.

— Dobra — mruknęłam. Odłożyłam słuchawkę. Stałam boso na podłodze, przytrzymywałam się łóżka. Przedwieczorne, blade światło, ostatnie zamglone spojrzenie umierającego dnia gasło w rogach pokoju. Głowa opadała mi na ramię. Muszę wziąć prysznic myślałam. Podeszłam do drzwi, sprawdziłam czy zamknięte. Zwolna wracała do mnie świadomość i pamięć ostatnich godzin. Przez te drzwi wywaliłam Melvina, zamknęłam je za nim na klucz, to była druga po południu. O pierwszej wróciłam stamtąd, o jedenastej miałam to spotkanie, ale już przed tym spotkaniem, zdecydowałam się. Ukłękłam przed komodą, otworzyłam szufladę, sprawdziłam ręką ampułki, leżały owinięte w watę pod kłębkami pończoch. Jeszcze nie — myślałam — muszę się najpierw wykąpać i ubrać. Wyjęłam z szafy moją jasnoróżową sukienkę, położyłam ją na łóżku, weszłam do łazienki. Rzuciłam bieliznę na posadzkę, włożyłam gumowy czepek, odkręciłam kurek prysznicu, weszłam do wanny.

Myślałam: mogą czekać! Niech czekają, niech ich weźmie jasna cholera, niech zdechną w tym czekaniu oni i Randy i ten cały hotel! O Boże — płakałam — powinnam się modlić i nie mogę. Powinnam coś zrobić, powinnam komuś to wszystko wytłumaczyć! Prysznic był ostry. Trzeźwiałam pod nim. Myślałam: A jeśli przyjdą tu? Nie, nie ośmielią się tu przyjść, będą czekać! A jeśli przyjdą tu i będą mnie pytać? O co mnie będą pytać?

Kilkakrotnie już miałam do czynienia z policją. Zaczęło się od Krzysztofa. On był początkiem. Woda zbierała się w wannie, prysznic zmył moje łyzy. Zakręciłam kurek prysznicu, palce moich rąk drżały. Usiadłam w wodzie. Mimo ciepła wody, dygotałam. Uspokój się — mówiłam głośno — i tak ich nie zobaczysz. Uspokój się, nikogo już nie zobaczysz. Prędzej tylko, tylko prędzej! Nie mogłam się ruszyć, siedziałam skurczona w wannie, obejmowałam ramionami kolana. To wracało, jak światło i gasło. Obracający się reflektor tak wychwytyuje śmigający samolot, to moja pamięć tak wychwytywała i naświetlała obrazy. Oślepiąca teraźniejszość i rozświetlała przeszłość. Naświetlenia te trwały ułamki sekund i strzęp obrazu tylko wystarczał, aby cała sytuacja wróciła na nowo.

Ojciec. Podnosi się od stołu. W uszach dźwięczy dzwonek telefonu. Nie dadzą zjeść mówi ojciec. Wychodzi do kuchni.

Hallo? — pyta. Wraca do pokoju i spogląda na mnie. Wstaje zanim zdąży powiedzieć: Do ciebie, Olivio.

To było późną jesienią, w sześć miesięcy po urodzeniu się i śmierci dziecka. Telefon zadzwonił akurat wtedy, gdy siedzieliśmy przy obiedzie.

Ojciec podszedł do telefonu, wrócił i spojrzał na mnie, jego spojrzenie było przenikliwe i sięgało poza mnie, jakby już odga-
dywał i starał się tym spojrzeniem odgadnąć czy ja wiem, ale nie wiedziałam, a jednak czułam i poderwałam się natychmiast zanim powiedział:

— Do ciebie Olivio.

Jego spojrzenie szło za mną zatroskane i ciężkie. Podeszłam do telefonu, stał na małym stoliku w kuchni, a kuchnia pachniała jedzeniem i leniwym, domowym ciepłem.

— Czy to Miss Sloan? Czy to Miss Olivia Sloan?

— Tak, to ja — powiedziałam. — Tak, tu mówi Olivia Sloan.

— Tu sierżant policji, czy pani mnie słyszy. Zły odbiór, czy pani mnie słyszy?

— Słyszę powiedziałam i serce zaczęło mi bić tak mocno, że musiałam je przytrzymać ręką.

— Czy znany jest pani Krzysztof...

— Tak — powiedziałam — tak, znam go. Czy coś się stało? Znam go, naturalnie.

— Pani nazwisko i adres były w jego notesie...

— Czy stało się coś? — szeptałam — czy on...? — Sięgnęłam ręką do drzwi między pokojem i kuchnią i zatrzasnęłam je.

— Miał wypadek — mówił sierżant policji. — Chcieliśmy kogoś zawiadomić, pani adres był w jego notesie. Czy to pani krewny?

— Gdzie on jest? — spytałam.

— Dzwonię z Rock County Hospital — powiedział. — Przywieźliśmy go tutaj może 10 minut temu.

— Ach Boże — jęknęłam. — Ach mój Boże. Jak on się czuje, czy to...?

— To jest raczej poważne — powiedział. — Czy pani przyjedzie?

— Tak — powiedziałam — tak. To jest ten szpital przy drodze 36-tej?

— Niech się pani śpieszy — powiedział — ale ostrożnie, potworna pogoda, czy tu też tak leje? Niech pani uważa.

— Zaraz — powiedziałam — natychmiast jadę. Dziękuję panu.

— W porządku — powiedział. — Uważać na drodze, jest ślisko.

Położyłam słuchawkę. Rzuciłam się do drzwi, wpadłam przez nie do pokoju i nie patrząc na nich: Ralph'a, matkę i ojca niespokojnych, pochylonych poprzez stół ku mnie i milczących, porwałam z szafy płaszcz i zaczęłam go naciągać gwałtownie.

— Muszę jechać — powiedziałam — muszę natychmiast jechać.

— Na miłość boską! — jęknęła matka. Wstała od stołu, skrzyżowała przed sobą ręce. — To wszystko co zbudowała w ciągu sześciu miesięcy, cała żmudna jej struktura przerabiania i urabiania mnie, waliła się. Widziała to i stała pełna rozpacz i grozy, jak człowiek, którego praca rozpada się w gruzy i wali mu się pod nogi. Jęczała: Na miłość boską, na miłość boską, Olivio. Co znowu, dlaczego, co się stało?

Przez 6 miesięcy byłam potulna i posłuszna. Ujarzmiła mnie, trzymała mnie mocno w swoich robotnych, czerstwych dłoniach i wydawało mi się nawet, że coś się pomiędzy nami zaczyna pomiędzy mną złagodniałą, a właściwie na wpół umarłą i pomiędzy nią triumfującą i silną. Zdałam egzaminy jako eksternistka i otrzymałam dyplom ukończenia szkoły. Ojciec wynalazł mi pracę w laboratorium, jeździłam z nim codzień samochodem do miasta i wracałam razem do domu, a na urodziny dostałam w prezencie używany samochód.

— Muszę jechać — powiedziałam — muszę natychmiast wyjeżdżać.

— Ralph! — powiedział ojciec — idź do swego pokoju!

— Olivio! — zawołał Ralph — gdzie musisz jechać?

— Ktoś miał wypadek — powiedziałam — moja koleżanka. Muszę jechać do szpitala.

— Ralph! — krzyknął ojciec. — Słyszałeś!

— Na miłość boską — jęczała matka — kto znowu miał wypadek?

— Nie zatrzymujcie mnie, błagam was, nie zatrzymujcie mnie — prosiłam.

Ojciec podbiegł do mnie, położył swoją rękę na mojej ręce przytrzymującej już klamkę.

— Powiedz! — szepnął.

— To on — powiedziałam.

— Ach — powiedział — znów on. Nie powinnaś jechać. Kto to telefonował?

— Tatusiu — powiedziałam — proszę cię. To była policja, sierżant policji, powiedział, że powinnam się śpieszyć.

— Może trzeba, abym pojechał z tobą?

Zawahał się i ja zawahałam się także, spojrzałam na niego, był mi teraz potrzebny, ale nie miałam odwagi go prosić.

— Może powinienem... — powtórzył.

— Nie Phil — powiedziała matka — nie, ja cię nie puszcę. Spuścił głowę, wahał się, zawsze wahał się w obecności mojej matki.

— Nie puszcę cię na tę pogodę, dopiero niedawno miałeś grypę. Olivia jest znów uparta.

Otworzyłam drzwi, wiatr z deszczem uderzył mnie w twarz.

— Do zobaczenia — powiedziałam.

— Olivio — powiedział ojciec — uważaj, proszę cię, uważaj.

Odwrociłam się, spojrzałam na niego, jak zwykle uniknął mego otwartego spojrzenia. Stał w rozpiętej u szyi koszuli, zawsze czystej, zawsze nieskazitelnie wyprasowanej, szanowany businessman, człowiek do którego zwracano się nieraz po radę i z którego zdaniem liczono się w jego małym światku, mój ojciec, który nie umiał mi pomóc.

— Dobrze, będę uważać. Ale nie wiem kiedy wrócę, nie wiem co się tam stało.

— Wracaj prędko — zawołała matka — ostatecznie to nie twoja sprawa, myślałam, że skończyłaś już z tym, nie powinnaś jechać.

— Do widzenia — powiedziałam i zatrzasnęłam drzwi.

Biegłam do samochodu przedzierając się przez wiatr, było ciemno, drzewa szumiały i pierwsze opadłe liście wirowały w powietrzu. Zastartowałam samochód, ręce dygotały mi, uchwyciłam mocno kierownicę, konieczność koncentracji zwolna uspakajała mnie. Myślałam: Kris, Kris miał wypadek, jest w szpitalu. Niech się pani śpieszy, niech się pani śpieszy — powiedział sierżant policji. Dlaczego kazał mi się śpieszyć? O Kris — szeptałam — mój najdroższy. Wiedziałam teraz, że ani przez chwilę nie przestałam go kochać, że cokolwiek się stanie zawsze poderwę się na jego zawołanie, należałam do niego i on był już częścią mnie samej. Boże — modliłam się — uratuj go. To jest raczej poważne, niech się pani śpieszy, niech się pani śpieszy... Prędzej — szeptałam — prędzej... prędzej...

Prędzej — szeptałam. Siedziałam skurczona w wannie i nie mogłam się poruszyć. Drżałam, miałam gęsią skórę na ramionach i piersiach, to woda w wannie ostygła. Wstałam, puściłam gorący prysznic, rozgrzałam się pod nim, wytrzeźwiałam. Wyszłam z wanny i okręciłam się ręcznikiem. Myślałam: na dole jest policja, nie mam wiele czasu, bo przyjdą tu jeszcze. Spojrzałam na zegarek, był wciąż na moim ręku mokry od wody, zapomniałam

go zdjęć, wskazywał godzinę piątą, przyłożyłam go do ucha, nie chodził. Wyjęłam z szuflady biustonosz i halkę. Nie mogłam zapiąć biustonosza, palce moje dygotały. Usiadłam na łóżku i patrzyłam półprzytomnie na moją rozłożoną na łóżku jasnoróżową sukienkę, którą dopiero wczoraj wykupiłam z pralni chemicznej. Była świeża i jasna, tylko w tym miejscu gdzie materiał dotykał łydki pozostała ciemniejsza plama po cocktail'u. Ta plama gęstniała i ciemniała. Widziałam ją na bandażu, którym obwiązana była głowa Krzysztofa.

Rock County Hospital był około 50 mil od naszego domu, prawie, że w połowie drogi między domem moim, a miastem w którym jeszcze rok temu mieszkalam z Krzysztofem. Spotkaliśmy się na połowie drogi, ale teraz mnie do niego prowadził policjant.

— Miss Sloan? — zapytał. Czekał na mnie w hallu.

— Gdzie on jest? — szepnęłam.

— Znaleźliśmy to — powiedział — stąd wzięliśmy pani adres. — W wyciągniętej ręce trzymał oprawny w czerwoną skórę mały notesik.

— Jak on się czuje? — szeptałam.

— Chodźmy — powiedział. — To tu zaraz. — Czy pani jest siostrą?

— Nie — szeptałam — mieliśmy się pobrać. — Szłam przy nim zataczając się ze strachu i nagłego zmęczenia, wyziewy mdłe i drażniące, przerażające zapachy szpitalnych ścian i dezynfektorów biegły mi naprzeciw.

— Narzeczoną?

— Tak — szepnęłam. — Jak on się czuje? Dlaczego pan nic nie mówi?

Pielęgniarka wyszła zza uchylonych drzwi.

— To ona? — spytała.

— Tak — powiedział policjant.

— Proszę — powiedziała. Położyła mi rękę na ramieniu. — Spokojnie, spokojnie. To tu.

Wbiegłam do pokoju. Lekarz stał przy łóżku, odsunął się. Zobaczyłam głowę Krzysztofa, przechyloną na bok, obandażowaną, z przesiakającą poprzez bandaż krwią. Rzuciłam się ku niemu i odsunęłam. W kąciку półotwartych ust krzepła strużka ciemnej krwi. Jego oczy były otwarte, ciemne i matowe. Zasłoniłam oczy rękami, jęczałam: Kris, Kris... o Boże...

— Kilka minut temu — powiedział lekarz.

Pielęgniarka ujęła mnie pod ramię.

— Spokojnie kochanie — powiedziała — niech pani to

powącha — podsunęła mi wate pod nos — niech pani stara się to powąchać.

W kąciку ust Krzysztofa zaschła krew, jego głowa zwisała bezwładnie z poduszki, poduszka i prześcieradło były poplamione krwią. Spojrzałam na lekarza, widziałam twarz jego przez mgłę. Pielęgniarka trzymała moje ramię.

— Bardzo mi przykro — powiedział — bardzo mi przykro. Nie odzyskał przytomności, to był bardzo ciężki wypadek. Czy on nie miał rodziny? Czy nie trzeba kogoś zawiadomić?

— Brat — szepnęłam. Zęby mi szczękały, nie mogłam płakać.

— Nie miał rodziców? — spytała pielęgniarka.

— Nie — szepnęłam — jego rodzice nie żyją.

Spojrzałam na nieruchomy kształt na łóżku, ręka Krzysztofa o długich, wąskich palcach i obciętych krótko paznokciach, brunatna jeszcze od letniego słońca, mocna i wrażliwa leżała na prześcieradle. Podeszłam i dotknęłam jego ręki, ale to dotknięcie, ten pierwszy brak odpowiedzi jego ciała, ta ponura, chłodna i tragiczna obcość uderzyła mnie tak, że odskoczyłam i zapragnęłam nagle uciekać, tylko uciekać przed siebie, uciekać stąd byle dalej, byle nie czuć tego, nie widzieć, bo dopiero w tym momencie zetknięcia mego ciała z jego nieruchomą ręką zrozumiałam, że to już nie Krzysztof i że on nie żyje, że on już nie żyje.

— Gdzie jest ten brat? — spytał lekarz. — Jak się można z nim skomunikować?

— Nie wiem — płakałam — nie wiem.

— Niech się pani uspokoi — powiedziała pielęgniarka — niech pani spokojnie pomyśli. Chodźmy do poczekalni. Może pójdziemy do poczekalni?

— On nie żyje — płakałam — on już nie żyje.

— Chodźmy do poczekalni — powiedziała pielęgniarka.

Wyszliśmy poprzez hall do poczekalni, policjant stał tam, trzymał czapkę w ręku.

— Szkoda — powiedział — taki młody człowiek. Niech pani siądzie — podsunął mi fotel. Może wody?

— Przyniosę jej kawy — powiedziała pielęgniarka. — Kawy i proszek, doktor powiedział, żeby dać pani proszek.

Usiadłam na fotelu. Policjant pochylił się nade mną.

— Trzeba będzie zawiadomić rodzinę — powiedział. Kogo mam zawiadomić?

Lekarz wszedł do poczekalni.

— Podobno jest jakiś brat jego — powiedział. — Gdzie on jest? Czy ma pani adres?

— Nie wiem — powiedziałam.

— To co zrobimy? — powiedział lekarz.

— Znam adres jego przyjaciela — powiedziałam — on będzie wiedział.

— Czy może pani zatelefonować? — spytał lekarz.

— Nie — szepnęłam — nic teraz nie mogę.

— Gdzie mieszka ten przyjaciel?

— Zaraz — powiedziałam — zaraz sobie przypomnę.

— A jak się nazywa?

— Bob Ashley.

— Tak — powiedział policjant — i nie może sobie pani przypomnieć adresu.

— Pamiętam telefon — powiedziałam — tak, na pewno pamiętam telefon. — Podałam mu numer telefonu.

— Czy mogę coś zrobić jeszcze? — spytał lekarz.

— Nie — szepnęłam — już nic nie można zrobić. Jak to się stało? — spytałam.

— Będę tu niedaleko, gdyby mnie pani potrzebowała — powiedział lekarz.

— Jak to się stało? — zwróciłam się do policjanta.

— Za szybka jazda — mruknął. — Sygnalizowaliśmy, jechał pewnie 90-ką. Był pijany, rozbił się na drzewie przy skřęćie z 15-ki na 36-tą.

— W którą stronę jechał? — spytałam.

— Jechał z miasta — powiedział.

Pochyliłam głowę, zaczęłam znów płakać. Wiedziałam: jechał do mnie.

Nurse'a przyniosła mi kawę i proszek.

— Niech to pani połknie — powiedziała — to dobrze pani zrobi.

— Pójdę zatelefonować — powiedział policjant.

— Niech pani postara się wypić kawę — powiedziała pielęgniarka.

— Nie mogę nic przełknąć — szepnęłam.

— To był pani narzeczony?

Skinęłam głową.

— Nie cierpiał długo — powiedziała.

— Jechał do mnie — szepnęłam — wiem, że jechał do mnie.

Położyła mi rękę na ramieniu.

— Biedak — szepnęła — jechał do narzeczonej, śpieszył się.

Spojrzałam na nią, była to młoda dziewczyna, pewnie myślała o swoim chłopcu, jej oczy były pełne żalu i troski. Odwróciłam głowę, w ciemnej szybie okiennej odbijały się głowy dwóch stojących w poczekalni lamp, one też, jak dwoje ogromnych, żółtawych oczu tej nocy, przyglądały mi się z współczuciem.

Policjant wrócił, powiedział:

— Rozmawiałem z tym kolegą. Zaraz zawiadomi brata i sam tu przyjedzie. Mówił, żeby pani na niego zaczekała.

— Tak — powiedziała pielęgniarka — niech pani lepiej teraz nie wraca sama.

Westchnęła. Spojrzała na pełną filiżankę, którą postawiła przede mną na stoliku.

— Niech pani lepiej na niego zaczeka — powtórzyła i wyszła.

Wsunęłam rękę do kieszeni płaszcza i natrafiłam palcami na ten czerwony notesik, który dał mi policjant, położyłam go na kolanach. Okładka była zniszczona, ale w środku był tylko mój adres. Widocznie Kris nosił ten mój gwiazdkowy prezent stale przy sobie.

Policjant palił papierosa.

— Jeszcze ciągle pada — powiedział.

Pochylił się nagle i podniósł coś z podłogi, coś co leżało tuż u moich nóg.

— To wypadło z tego notesu — powiedział i podał mi fotografię.

Była to moja fotografia znad morza, z naszych jedynych, wspólnych wakacji. Spojrzałam na nią krótko, przez łyzy, włożyłam między kartki i zamknęłam notes.

Przesunęłam dłonią po mojej różowej sukience, plama irytowała mnie. Wstrętna świnia — mruknęłam — mógł chociaż wyjąć z ręki kieliszek, wiedziałam, że się nie wypierze. Która to godzina? — przestraszyłam się. Świadomość czasu i gorączka pośpiechu wracały do mnie. Spojrzałam na mój zegarek na ręku: wskazywał niezmiennie godzinę piątą. Czas stanął — przestraszyłam się — czas się dla mnie kończy. Zaczęłam się gorączkowo ubierać. Wsunęłam halkę, zapięłam biustonosz. Z nagłą decyzją szarpnęłam szufladę komody, otworzyłam i znów zamknęłam. Stałam dygocąc niezdecydowana, szukałam jakiegoś wytłumaczenia, czegoś czym mogłabym uzasadnić opóźniającą się, opuszczającą mnie odwagę. Jeszcze chwilę, muszę wszystko zrobić tak, jak chciałam, nie wolno mi niczego zapomnieć, jeszcze ten list, tylko list i koniec. W szufladzie był poplamiony pomadką papier z nadrukiem „Hotel Rivoli”. Szukałam pióra w torebce, w szufladzie, znów wróciłam do torebki, miałam przecież pióro, znalazłam je zaplątane między drobiazgi torebki. Przysunęłam sobie krzesło do komody. Muszę napisać list — myślałam — muszę prędko napisać list. Policzki mi pały, ręka trzymająca pióro drżała, czułam omdlenie w nogach. Tylko ten list — myślałam. Ale nie wiedziałam już teraz do kogo mam napisać list. Do rodziców? Nie. I nie do Ralph’a, nie, nie mogę nic pisać do Ralph’a. Muszę jednak coś wytłumaczyć, muszę coś po sobie zostawić, tylko kilka słów, jakieś samousprawiedliwienie, wytłumaczenie, że przecież nie byłam taką, że nie jestem całkowicie zupełnie taką za jaką mnie będą chcieli uznać.

Siedziałam przy komodzie, nad pustą kartką papieru z nadrukiem „Hotel Rivoli” i chociaż wszystkie sprężone mięśnie mego ciała nagliły mnie do pośpiechu, nie mogłam się śpieszyć. Mój czas już stanął i nie umiałam go mierzyć. Myśli moje wracały

niezmiennie do początku tego dnia i przebiegając go chyłkiem zatrzymywały się spłoszone na brzegu chodnika, tuż przy młodym, wiosennym klonie. Zaczęłam pisać:

„Stałam na brzegu chodnika i patrzyłam na tę dziewczynę. Taksówkarz minął mnie i dostrzegłam nawet, ale jakby poprzez mgłę, że kiwał na mnie, otworzył drzwiczki i mruknął coś pod nosem, bo przecież przywoływałam go przed chwilą ruchem ręki, a teraz stałam obojętna wobec niego i mojej niedawnej decyzji, urzeczona nią, wpatrzona w nią stojącą tuż przy zieleniejącym klonie...

Pisałam tak szybko, tak gwałtownie, że ręka zaczęła mnie boleć i omdlewać.

...Jutro już pewno wszystko będzie w gazecie razem z moją fotografią, kopią tej, która stoi na półce przy łóżku. Może dopiero pojutrze? A może nie wszystko? Nie wiem jeszcze, nie zdecydowałam się. Nie wiem...”

Spojrzałam na moją fotografię, stała na małej, brunatno lakierowanej półce nad łóżkiem. To nie byłam ja. To była dziewczyna z przystanku autobusowego. A jednak byłam nią, byłam nią tak niedawno i mogłabym być nią dzisiaj, muszę do niej wrócić chociażby na krótko, chociażby tylko teraz. Muszę jakoś wytłumaczyć, że to ja także, bo przecież to moja fotografia, ta sama, która wypadła na podłogę szpitalnej poczekalni z czerwonego notesiku Krzysztofa.

Nie usłyszałam ich kroków, usłyszałam je dopiero tuż pod drzwiami. Zmięłam zapisaną kartkę papieru, wsadziłam ją pod biustonosz, rzuciłam się nieprzytomna ze strachu i pośpiechu do szuflady, szarpnęłam ją.

— Otwieraj Olivia! — powiedział Randy.

Mocowałam się z szufladą, zatrzasnęłam ją uprzednio i teraz nie ustępowała, szarpałam ją raniąc sobie palce, nareszcie, otworzyłam, poczułam pod palcami strzykawkę i jednocześnie usłyszałam przekręcany w zamku klucz.

— Miss Sloan? — spytał obcy głos. Ich kroki były tuż blisko, zatrzymały się.

Randy podbiegł z tyłu i narzucił na mnie szlafrok, byłam ciągle jeszcze w halce i biustonoszu. Wypuściłam z rąk strzykawkę, zamknęłam szufladę, odwróciłam się. Stało ich dwóch, dwóch policjantów i Randy.

— Olivia Sloan? — spytał policjant.

— *Sure* — mruknęłam. — Kto wam pozwolił tu wejść?

Okryłam się szlafrokiem.

— Siadaj tu — zasapał policjant. Był gruby i ciężki, jego czarne, spocone włosy przylegały do czaszki w tym miejscu, gdzie

przycisnęła je czapka. Miał czerwonawą, mięsistą twarz i ostre, czarne oczy, jeden z tych policjantów z włoskiej dzielnicy. Jego spojrzenie przytrzymało mnie mocno.

— Tu, na tym krześle — powiedział — nie tam, tutaj!

Postawił krzesło na środku pokoju. Usiadłam, przytrzymałam rękami kolana, starałam się być spokojna.

— Nazwisko?

— Olivia Sloan.

— Alias?

— Lili Conti.

— Conti przez „C” czy przez „K”?

— Wszystko jedno, może być przez „C”.

— No więc?

— Przez „C”.

— W porządku. Zawód?

— Tancerka. Ale teraz... Czy mogę się ubrać?

— Nie teraz. Miałas dość czasu, żeby się ubrać. Gdzie pracujesz?

— Mieszam „drinki” w Clubie Sea Breeze.

— Na ulicy Południowej?

— Tak, 1789 South Street.

— Ile masz lat?

— W sierpniu skończę dwadzieścia.

— Acha. W porządku. Stan cywilny?

— Niezamężna.

— Adres?

— Tu.

— Co to znaczy tu?

— W hotelu Rivoli.

Zapisał. Podniósł głowę i przypatrywał mi się. Rozejrzał się po pokoju szybko, jego wzrok zatrzymał się poza mną, patrzył na komodę i na jej zamknięte szuflady.

— Jenkins! — powiedział.

— *Yes sergeant?* — Drugi policjant, który dotąd zasłaniał sobą drzwi wyprostował się.

— Sprawdźcie szuflady komody.

— *Yes sir.* — Jenkins ruszył się, był to potężny chłopisko, podłoga kołysała się pod nim.

— Tam jest tylko moja bielizna — szepnęłam.

— Bielizny ci nikt nie zabierze — powiedział sierżant — nie szukamy kobiecych majtek. Co?

Randy zarechotał usłużnie. Stał w kącie i nie patrzył na mnie. Policjant przesunął się koło mnie, odwrócona plecami nie widziałam go już, słyszałam, jak otwierał szufladę. Spojrzałam na Ran-

dy'ego, patrzyłam tak, że musiał odczuć mój wzrok, zacisnęłam pięści, myślałam: Ty cholerny gówniarzu, ty cholerny gówniarzu, zamorduję cię. Ścisnęłam pięści, ścisnęłam w nich głowę Randy, wierałam mu się paznokciami do mózgu: — Żebyś zdechł — myślałam — żebyś padł trupem na miejscu za swoją cholerną ładą. Kolana mi drżały, założyłam nogę na nogę, szlafrok zsunął mi się z kolan.

— Gdzie mieszkasz stale? — spytał policjant.

— Co? — powiedziałam.

— Pytam się gdzie jest twoje stałe miejsce zamieszkania? Gdzie jest twój dom?

— Tu — powiedziałam.

Słyszałam, jak Jenkins otwierał drugą szufladę.

— Jakto nie masz rodziców?

— Nie — powiedziałam. — Moi rodzice umarli, zginęli w wypadku kiedy byłam bardzo mała. Wychowywała mnie babka, ale ona też umarła kilka miesięcy temu.

— Mhm — mruknął. — Mhm.

— Tak — powiedziałam. — Od najmłodszych lat musiałam pracować i utrzymywać moją chorą babkę, a teraz i ona umarła. Więc...

— W porządku, w porządku... — przerwał mi. Naturalnie musiał mi teraz przerwać, nie mógł się narażać na niebezpieczeństwo roztkliwienia się, bronił się przed zagrażającą mu może falą współczucia, musieliśmy: ja i on pozostać dobrze ukryci w swoich własnych rolach. Był pewnie tym surowszy i bardziej służbisty im łagodniejszy i może pod pantoflem żony w swoim domowym, prawdziwym życiu, jego twarz i dobrze wypasione ciało zdradzały go. Ja i ten prymitywny, badający mnie policjant, zapisujący skrzętnie moje zeznanie, byliśmy podwójni tylko Randy był całkowity, tak zżarty sam w sobie, że nie miał nic do ukrycia, ani też nic czego by tkliwie chronił. Randy i jemu podobni, ci, w których nie było już nic ludzkiego. Podrapał się po głowie.

— Kiedy po raz ostatni widziałas Lee Fisher'a? — spytał.

— Lee Fisher'a? — powiedziałam. — Co on ma ze mną wspólnego? O co wam właściwie chodzi?

— Sierżancie — powiedział Jenkins — znalazłem to.

Chciałam zamknąć oczy i nie patrzeć, patrzyłam i czułam i widziałam, jak przesunął się koło mnie i stanął obok sierżanta.

— W porządku, Jenkins — powiedział. — Co to jest? — zwrócił się do mnie. Trzymał w ręku strzykawkę i ampułki. Wypełniały zaledwie jego dłonie.

— Moje lekarstwo — szepnęłam.

— Acha — mruknął. — Zabierzemy je z sobą. Kiedy po raz ostatni widziałas Fisher'a?

— Chyba przedwczoraj — powiedziałam.

— Co robiłaś dziś rano na trzecim piętrze?

Spojrzałam na Randy'ego, stał w kącie pokoju i przyglądał się czubkom swoich butów.

— Pukałam do jego drzwi, ale nie było odpowiedzi.

— O której godzinie pukałaś do jego pokoju?

— To było chyba około 9,30.

— To wcześniej, jak na ciebie.

— Tak, musiałam dziś wstać wcześniej.

— Po co pukałaś do drzwi?

— Należy mi się od niego forsa. Chciałam, żeby mi oddał moją forszę, należy mi się od niego 35 kawałków.

— Co zrobiłaś później?

— Potem, jak pukałam do drzwi Fisher'a?

— Tak.

— Zjechałam na dół i kupiłam sobie papierosy, potem wróciłam do mego pokoju.

— I byłaś tu cały czas?

— Nie, potem zwołałam taksówkę i pojechałam do miasta. Miałam spotkanie w mieście.

Policjant spojrzał na Randy. Randy skinął głową nie podnosząc jej.

— Tak — mruknął — wyszła z hotelu o 10,30.

— Czy Fisher dał ci już wtedy pieniądze?

— Nie, przecież powiedziałam, że mi nie otworzył drzwi. Czasem śpi, jak zabity, albo może go wcale nie było. Dlaczego?

— Co cię łączyło z Lee Fisher'em?

— Jakto co mnie łączyło? Jest agentem teatralnym. Wprowadził mnie do Klubu.

— Jak dawno go znasz?

— Około roku.

— To znaczy znałaś go jeszcze zanim tu się sprowadziłaś?

— Tak — powiedziałam — znałam go przedtem. Dlaczego?

Randy spojrzał na mnie, jego czerwone, szczurze oczy po raz pierwszy spojrzały na mnie, dwaj policjanci, sierżant i Jenkins też spojrzeli na mnie.

— Lee Fisher został zamordowany — powiedział sierżant.

— Na miłość boską — jęknęłam. Zastłoniłam rękami oczy. — Na miłość boską.

— Ubieraj się — powiedział policjant. — Zejdiesz z nami na dół.

Randy podszedł do łóżka, zdjął z niego sukienkę i rzucił mi

ją na kolana. Zsunęła mi się z kolan, moja różowa, świeżo wy-
czyszczona sukienka leżała teraz na brudnej hotelowej podłodze.

— Mam się ubierać przy was? — szepnęłam.

— Jak możesz się rozbierać przy wszystkich — mruknął Randy.

— Zamknij się! — krzyknęłam. — Nie wolno ci, nie masz prawa mnie obrażać!

— Cicho! — powiedział policjant. — Nikt cię nie obraża.

— On mnie obraża! — krzyczałam. — Żebym ja nie powiedziała czegoś o tobie i „*goof balls*”, żebyś lepiej nie powiedziała jaki to *junk* trzymasz pod swoją ladą w portierni!

— Dalej — powiedział policjant — włącz do łazienki i nałóż sukienkę. Tylko prędko i bez głupstw. Pochyliłam się i podniosłam sukienkę, wydawało mi się, nie wstanę, kolana ugiwały się pode mną. Wstałam. Weszłam do łazienki i włożyłam sukienkę. Przyjrzałam się w lustrze, byłam zupełnie biała, prędko roztarłam szminke na policzkach, umalowałam usta i przypudrowałam twarz, przygładziłam szczotką moje sztywne platynowe włosy. Utniełam je wkrótce po poznaniu Lee Fisher'a.

Moje włosy nie poddały się szczotce, pozostały sztywne, tysiące wykrzykników na mojej głowie. Byłam wściekła na moje włosy, zawiodły mnie, wszystko we mnie zawodziło. Nie otaczały mnie (bo tak widziałam się w myśli) łagodną, platynową chmurą, ale wyrwały się na wszystkie strony, jak bandy ulicznych wulgarnie i podrzywające cynicznie. Gwizdały na mnie i podśmiewając się rzucały w moją stronę brudne dwuznaczniki. Odwróciłam się od lustra nie mogłam na siebie patrzeć, nienawidziłam swojej twarzy i swoich rąk.

To nie ja — przekonywałam się — to nie jestem naprawdę ja.

— Prędejsz tam! — zawołał sierżant. — Cóż to zaczynasz kąpiel od nowa?

— Już idę — powiedziałam.

Spojrzałam na zegarek. Wskazywał godzinę piątą, zapomniałam, że czas stanął. Potworne to uświadomienie sobie własnej bezsilności wobec czasu. Pomyślałam: Lee Fisher skończył się. Cholerny gówniarz skończył się. Spojrzałam jeszcze raz w lustro, przestraszyłam się swojej twarzy, moja twarz była okrutniejsza, prawdziwsza niż myśli i słowa, był w niej dziki, upiorny triumf. Cholerny gówniarz — pomyślałam — może mi jeszcze narobić kłopotu. Wyszłam z łazienki, powiedziałam: To okropne z Lee Fisher'em, to rzeczywiście okropne.

— Hm — mruknął policjant — weź płaszcz.

— Gdzie mnie prowadzicie? — szepnęłam.

— Na razie zjedziesz na dół.

Winda była mała i zawsze brudna, zaśmiecona niedopałkami, staliśmy ciasno przy sobie, nikt się nie odzywał. Jenkins wyszedł pierwszy, potem ja, za mną sierżant i Randy.

— W drugiej poczekalni nikogo nie ma — powiedział Randy.

— W porządku — mruknął sierżant. — Chcę zatelefonować i potem pójdziesz jeszcze tam ze mną.

— Tak jest sierżancie — powiedział Randy.

— Która to godzina? — spytałam.

— Szósta trzydzieści — powiedział Jenkins.

— Jak długo to potrwa? Muszę iść do pracy.

— Nie wiem — powiedział sierżant — może godzinę, a może trzy.

Za ladą portierni stała kobieta o zielono malowanych powiekach, spojrzała na mnie krótko i spuściła głowę. Przeszliśmy koło drzwi wejściowych, paliły się już reklamy po przeciwległej stronie ulicy, na rogu stała dziewczyna z dwoma marynarzami, przechylała się do tyłu, a jeden z nich ciągnął ją za rękę. Małym korytarzykiem wchodziło się z hallu do poczekalni.

W korytarzyku było ciemnawo. Zjełczałe zapachy jedzenia podskoczyły mi do gardła. Na lewo, w poczekalni siedział stary Smithy, nikt go nie spostrzegł. Był, jak mebel. Zmięty kapelusz zsunięty na nos i oczy i wyświechtana deszczówka. Nie obchodził mnie, tak jak i ja jego nie obchodziłam, był pod działaniem *dope* i mogłabym tu tańczyć nago, albo leżeć na podłodze z rozplątanym brzuchem, nie zainteresowałby się.

— Jenkins — powiedział sierżant — poczekacie tu z nią.

— Wskazał na drugą pustą poczekalnię. Przeciąg wpadł przez otwarte drzwi i podszczypane nim odklejone tapety, skoczyły.

— Chodźmy — mruknął do Randy.

Obejrzałam się: nie pojechali windą, zeszli na dół, pewnie do *basement*'u hotelowego gdzie był bar-kawiarnia. Tam spotykałyśmy się zwykle wszystkie, te które mieszkały w Rivoli i te, które zatrzymywały się tu tylko przelotnie. Randy pętał się wo-koło wielkich, grubych nóg sierżanta, przyglądał swoje rzadkie, tłuste włosy, a tył jego głowy znów wyskoczył jak krótka, niebezpieczna maczuga. Jego kark był krwawy z podniecenia. Żebyś padł trupem na miejscu — myślałam — żebyś poskręcał kulasy ty cholerny gówniarzu! Zerknęłam na Smithy: jego twarz była twarzą mumii. Zgnijesz — pomyślałam — zgnijesz zanim się wykończysz. Wykończ się wywłoko, wykończcie się wszyscy, idźcie do jasnej cholery, zapadnijcie się razem z tym przeklętym hotelem!

— Chodź tu — powiedział policjant — siadaj.

Siadłam na wyleniałej kanapie, za oknami bulgotała ulica.

— Co chcecie ze mną zrobić? — spytałam.

— Hm? — spytał, ukrył ręką ziewnięcie.

Wyrznęłabym go pięścią w nos, gdybym się nie bała. Siedział tu na wprost mnie i ośmielał się ziewnąć podczas gdy ja skręcałam się ze strachu, bolał mnie brzuch i kolana uderzały o siebie. Wyjął z kieszeni pudełko papierosów.

— Może mi pan dać papierosa? — spytałam.

— *Sure* — powiedział, podał mi pudełko i podsunął zapalniczkę.

— Dziękuję — mruknęłam. — Co chcecie ze mną zrobić? Muszę na 10-tą iść do pracy.

Wzruszył ramionami, był wielki i muskularny, ten przedpo-topowy fotel o porwanych sprężynach ugiął się pod nim i skrzy-piał.

— Nie wiem — powiedział — sierżant tu niedługo będzie.

— Ja z tym nie mam nic wspólnego, nie wiem o co wam chodzi.

— Znałaś zamordowanego.

— No to co, że go znałam? Pełno ludzi go znało.

— Sierżant tu niedługo będzie.

Oparłam głowę o fotel, zaciągnęłam się dymem papierosa, głowa ciążyła mi, zakręciło mi się w głowie, ogarnęło mnie nagle przeraźliwe, okrutne zmęczenie, wypełniało mnie, aż do czubków paznokci. Gdybym mogła zasnąć! Ale przecież znałam go i to było w tej chwili ważniejsze niż wszystkie zmęczenia mego życia.

Zobaczyłam go po raz pierwszy tej nocy. A może to nie była już ta sama noc tylko dwie noce bliźniacze połączone i przepołowione mostem śmierci. Po moście tym przeszłam, aby go zobaczyć. Czekał tam na mnie, jego nieruchoma, upudrowana twarz była maską, jakby już ostygła za życia. Wygolone brwi nad oczami, w których nigdy nic nie mogłam zobaczyć, jego usta były zacięte i wąskie. Wtedy jeszcze tańczył z rozpostartymi ramionami podobny w swoim czarnym fraku do krążącego uparcie nie-toperza. Tylko czubki jego stóp żyły, uśmiechał się i podniecał tylko czubkami swoich stóp, cały w nich skupiony, im poddany, ograniczony i zaklęty w palce swych nóg obutych w ciemne, baletowe pantofle.

To było tej nocy, której umarł Krzysztof. Siedziałam w poczekalni szpitalnej, nie piłam kawy, płakałam i czekałam na Boba.

— Olivio — powiedział Bob. Jego głos stłumiony zabrzmiał tak samo, jak wtedy poprzez zamknięte drzwi pokoju w letniej rezydencji jego rodziców. Siedziałam z rękami bezwładnie zwisającymi na kolana. Podeszedł szybko i ujął obie moje ręce.

— Biedna, kochana Olivio — szepnął.

Jego ręce były ciepłe i nieco wilgotne, twarz pochylona nade mną w kontraście do tamtej twarzy Krzysztofa obcej już i prze-rażającej i odgradzonej ode mnie korytarzem szpitalnym i ścianą, a przecież obecnej i wpatrzonej we mnie ciemnymi, matowymi oczyma, twarz Bob'a pulchna dobrotliwa i zaczerwieniona od chłodu była żywą twarzą.

— Chodźmy stąd — szepnęłam — nie mogę tu ani chwili dłużej wytrzymać.

— Chciałbym go jeszcze tylko zobaczyć — powiedział — czy chcesz...

— Nie — przerwałam mu — ja tu zaczekam.

— Jak się czujesz? — spytał.
Wzruszyłam ramionami.
— To straszne — szepnął — to straszne.
— Idź tam — powiedziałam — czy dałeś im adres jego brata?
— Telegrafowałem do niego.
W drzwiach zatrzymał się jeszcze i spojrzał na mnie.
Starałam się uśmiechnąć.
— Idź tam — powiedziałam — ja już nie mogę.
Wstałam, chodziłam po poczekalni czekając na niego, wszystko tu raniło mnie: kształt mebli i lamp, ciche światło i kroki na korytarzu. Oszaleję — myślałam — muszę zaraz stąd wyjść, bo oszaleję.
Wrócił. Staliśmy na wprost siebie. Nie mogłam się odezwać, potrzymałam na niego.
— To straszne. — Skrzywił się, jakby przełknął coś gorzkiego i ten smak gorzki i cierpki pozostał mu na języku i wargach. — Chodźmy — powiedział.
Szliśmy korytarzem stąpając na palcach. Ulica podbiegła wilgotna i czarna, światła szpitalne pływały w kałużach wody.
— Czy może chcesz zobaczyć się z jego bratem? — powiedział.
— Powinien niedługo przyjechać, można zostawić wiadomość w szpitalu. Stał niezdecydowanie przed szklanymi, obrotowymi drzwiami.
— Nie — powiedziałam — nie chcę go zobaczyć. To nie miałyby sensu.
— Czy chcesz może napić się kawy? Może wstąpimy gdzieś i napijesz się kawy?
— Wszystko mi jedno — powiedziałam — zawieź mnie gdzie chcesz.
Ujął moje ramię i szliśmy schyleni pod deszczem.
— Tu jest mój samochód — powiedziałam — pamiętaj tu muszę wrócić.
Liście strącone wiatrem i deszczem leżały na chodniku.
— Uważaj Olivio — powiedział — o mało co nie upadłaś, teraz łatwo się pośliznąć.
Przytrzymał mocniej moje ramię. Latarnie przyglądały nam się przez łyż. Oparłam się o niego.
— Już niedaleko — szepnął. — Napijesz się kawy, i jeśli chcesz odwiezę cię do domu. Nie powinnaś teraz prowadzić sama.
— Nie chcę teraz wracać do domu — powiedziałam.
Otworzył mi drzwiczki samochodu, przyglądałam się, jak sadowił się za kierownicą, nie patrzył na mnie.
— Bob — szepnęłam — nie powinnam ci robić tyle kłopotu.

To już nie pierwszy raz, zawsze byłeś taki dobry.

— Ale — szepnął — nie ma o czym mówić. — Pochylił się nad kierownicą i patrząc na niego zauważyłam jak ukrywał uśmiech zakłopotanej szczęśliwości, niepasujący do jego niedawnej żałobnej powagi. Siedziałam tu zamknięta z nim razem w dusznawym zapachu jego samochodu, który był zapachem jego ubrań: wilgotnego płaszcza i przepoconej koszuli i jego oddechu. Ręce Krzysztofa leżały obojętnie na prześcieradle szpitalnym delikatne i mocne. *A może chciałbyś kupić kwiat, ale ja sprzedać nie mogę. Lecz jeśli chcesz pożyczyć do czasu, gdy Daffodil rozwiąże swój żółty kapturek przed drzwiami wioski.*

— Nie płacz Olivio — powiedział. Wyciągnął rękę i położył mi ją na ramieniu.

— Jedźmy już — powiedziałam.

Jeśli chcesz pożyczyć ci Aż do tego czasu Ale ani na godzinę dłużej.

— Nie wytrzymam tu ani chwili dłużej — powiedziałam — jedźmy. — Cofnęłam ramię i jego ręka opadła ale czułam jej zbyt ciepłe i zbyt wilgotne dotknięcie.

— Nie daleko stąd jest kawiarnia, powinna być jeszcze otwarta — powiedział.

— Nie — powiedziałam — nie chcę kawy. Chcę się upić. Muszę się upić, nie mogę dłużej o tym myśleć. Cały czas widzę go przed sobą, widzę go na tym łóżku. Muszę się upić, inaczej oszaleję.

Położył ręce na kierownicy i zaskoczył samochód. Szosa polakierowana deszczem, jak obły, gruby tułów węża i mrugające oczy domów przedmieścia. Mówił coś do mnie, ale nie słuchałam, ruch samochodu kołysał mnie. Po chwili zrozumiałam, że mówił o swojej matce i żalił się.

— Przestraszyłem się jej — powiedział — tego co się z nią stało.

— Tak — szepnęłam — bardzo mi przykro.

— Była zawsze taka łagodna — mówił — a jej twarz w tym momencie zastygania i gaśnięcia przestała być ludzką twarzą, potem znów wyglądała łagodnie...

— Nie mów już — szepnęłam — chcę się upić.

— Dobrze — powiedział. Spojrzał na mnie. — Dobrze kochanie — szepnął.

— Bob, on jechał do mnie. Wiem teraz na pewno, że jechał do mnie.

— Możliwe.

— Czy nie wierzysz, że jechał do mnie? Ty go znałeś, rozmawiałeś z nim.

— Nie wiem czy go znałem. Wydawało mi się, że go znam, a potem zawsze robił coś takiego, że nie mogłem nic zrozumieć.

— Policjant mówił, że jechał w stronę mego domu...

— Pewnie — powiedział — bardzo możliwe. Był przecież zakochany w tobie, martwił się tym wszystkim.

Zagryzł wargi, jechał milcząco wpatrzony w drogę.

— Trudno było nie być zakochanym w tobie — szepnął.

Wyciągnęłam rękę i pogładziłam go po policzku.

— Jesteś dobrym chłopcem, Bob.

Przytrzymał prędko moją rękę, a gdy wyrwałam ją, objął mnie w pól.

— Biedna Olivia — szepnął mi do ucha, dotknął niezgrabnie wargami mego ucha i policzka — biedna Olivia, musisz to strasznie przeżywać.

Wjechaliśmy do miasta, oświetlone reklamy barów migały przed nami i poza nami.

— Chodźmy już gdzieś — powiedziałam. Siedziałam blisko niego i było mi ciepło i sennie.

— Zawsze chciałem cię spotkać — powiedział. — Nie przypuszczałem, że w takiej chwili, w takich okolicznościach.

— Chodźmy gdzieś — powtórzyłam.

— Jakies trzy mile stąd jest „Klub Karuzela”, ktoś mi kiedyś o nim wspominał.

— Wszystko jedno — powiedziałam. Wyjęłam z torebki lusterko i umalowałam usta, przycesałam włosy, moje długie, ciemne włosy zwilgotniały i opadały aż do ramion. Zerknęłam na Bob'a, wpatrzony w szosę, jego profil przypominał mi profil Sandry. Siedzę tu z Bob'em, bratem Sandry i pozwalam mu obejmować się w pól uciekając od Krzysztofa.

— Mam ochotę na drinka — powiedziałam — na mocnego, dobrego drinka.

— Tam zwykle są występy — powiedział — *streap-tease*.

— Wszystko mi jedno — mruknęłam. — Nigdy tego nie widziałam, ale właśnie dziś mogę zobaczyć. Wszystko mi jedno.

To była drewniana szopa. Rachityczne schodki skrzypiały wesołym, drwiącym półśmieszkim. Wewnątrz był półmrok ponabijany kolorowymi lampkami. Muzyka dzwoniła ogłuszająco, na podium ktoś tańczył. Bob pomógł mi zdjąć płaszcz.

— Dwie osoby — powiedział do kelnera. Pochylił się ku mnie, dotknął policzkiem moich włosów.

— Chcesz tu zostać? — szepnął.

— W porządku — mruknęłam. — Wszystko mi jedno. Napiję się i możemy jechać.

Szliśmy za kelnerem, przeciskaliśmy się między stolikami,

dymem papierosowym i muzyką głośną i dudniącą, stoliki półkolem otaczały scenę.

— Czego się napijesz? — spytał Bob.

— Wszystko mi jedno — powiedziałam. Czułam się okropnie, chciałam stąd uciekać. Gdzie mogłam uciec? Dokąd? *Cyraneczka* — myślałam — *cyranka A to wiośło plusnęło wiośło mego kochanka Odplynął Mój miły odplynął przede mną I już nigdy na pewno Nie wróci.*

— Martini?

— Dobrze, Martini.

Na scenie tańczył mężczyzna. Był we fraku i baletowych pantaflach, niewysoki, szczupły, nieruchoma twarz, wirował, jak szalony na czubkach swych palców.

Kelner przyniósł kieliszki.

— Nasza przyjaźń, Olivio — Bob podniósł kieliszek.

Skinęłam głowę, starałam się uśmiechnąć, wypiałam szybko, odstawiłam kieliszek. Ręce tancerza, rozczapierzone palce w białych rękawiczkach zataczały łuki wokoło głowy i bioder.

— Jeszcze — powiedziałam.

Kelner podszedł, przyniósł nowe kieliszki.

— Hej — zatrzymał go Bob — kto to taki? Jest dobry, bardzo dobry? Dobry, prawda Olivio?

— Lee Fisher — powiedział kelner. — *The Toe Dancer.*

— Dobry — uśmiechnęłam się. W głowie zaczynało mi szumieć, przyjemne ciepło promieniowało od brzucha ku piersiom i udom. Rzadko kiedy piłam, nigdy w lokalach publicznych. Przy sąsiednim stoliku mężczyzna obejmował dziewczynę, śmiała się i opierała mu głowę o ramię. Bob wyciągał rękę i przykrył nią moją opartą o poręcz krzesła dłoń.

— Jak się czujesz, Olivio? Lepiej?

Spojrzałam w jego blade, rozpromienione oczy, widoczne ślady piegów na rozpalonych policzkach, nieśmiałe, wyczekujące rozchylenie ust.

— Jesteś podobny do Sandry — powiedziałam — jesteście podobni.

Cofnął rękę, ale ja przysunęłam bliżej krzesło i pociągnęłam jego ramię, tak, że objął mnie w pół.

Tancerz uklonił się, oklaski były krótkie, tylko przy jednym stoliku ktoś klaskał i krzyczał: Bravo Lee! Twarz tancerza nie drgnęła, jego uśmiech był uśmiechem woskowej lalki, przerażał.

— Olivio, kochanie — szepnął Bob. Czułam ciepło jego ręki poprzez sukienkę.

— Chcę jeszcze jednego drinka — powiedziałam.

— Chcesz? — spytał się. — Naprawdę?

— *Sure* — powiedziała — *Sure*, jestem tylko troszeczkę pijana, ale jeszcze nie dość.

Na scenę wysunęła się linia dziewcząt, było ich osiem. Poruszały się leniwie falując biodrami w długich, kolorowych spódnicach. Przy wzrastającym tempie muzyki odrzucały stopniowo najpierw rękawiczki, potem spódnice, bluzki, aż zostało ich osiem nagich z cekinami tylko osłaniającymi czubki piersi i trójkąty między nogami.

Piłam Martini i kręciło mi się w głowie, nagie uda dziewcząt i ich obnażone brzuchy wirowały mi przed oczami. Za nami ktoś gwizdał, Bob objął mnie silniej, było mi gorąco, odsunęłam krzesło, ale pozwoliłam mu trzymać moją rękę.

— Olivio — szeptał — zawsze byłem w tobie zakochany.

— To pocałuj mnie — powiedziała i nadstawiłam mu policzek.

Pocałował mnie tak uroczyście, że zaczęłam się śmiać, nie mogłam powstrzymać śmiechu, aż zamilkłam nagle i to wróciło znów do mnie: *Do czasu gdy Daffodil Rozwiąże swój żółty kapturek przed drzwiami wioski I aż Pszczoły z koniczyny rzędów Wyciągną nektar i wino Jeśli chcesz pożyczę ci Aż do tego czasu Ale ani na godzinę dłużej. Ani na godzinę dłużej. Ani na godzinę dłużej.*

— Chodźmy — powiedziała. Bob nie usłyszał mnie, bo właśnie dziewczęta skończyły i oklaski zagłuszyły mój szept. Muzyka grała dalej i kilka par zaczęło się kręcić na luźnej przestrzeni pomiędzy stolikami.

— Chcesz może zatańczyć? — spytał. — Nie, może nawet nie powinienem, przepraszam cię...

— Owszem chcę — powiedziała — ale ani na godzinę dłużej.

— Możemy zaraz potem wyjść — powiedział.

— Ale ani na godzinę dłużej — upierałam się. Wstałam, byłam już pijana. Przesunęłam się za Bob'em w stronę parkietu pomiędzy stolikami. Tancerz siedział tam blisko, pozostał w swoim fraku, tylko zdjął białe rękawiczki, palił papierosa i obserwował tańczących, jego wyskubane brwi pociągnięte były czarną szminką. Bob objął mnie, mimo swojej tuszy tańczył dobrze i lekko, kręciło mi się w głowie, mijały mi nadal przed oczyma nagie biodra dziewcząt i mimowoli naśladowałam ich ruchy. Tancerz przyglądał mi się, otwarcie i spokojnie zimnym, oceniającym spojrzeniem. Nawet tańczące pary zaczęły się nam przyglądać.

Jego brat już tam pewnie jest. Przyjechał. Wchodzi do pokoju. Nieruchoma ręka na prześcieradle, skrzepnięta krew w

kąciku ust, oczy ogromne, ciemne, matowe, bez białek. O Kris, Kris... Kris. Baletmistrz przygląda mi się. Co on widzi? Dlaczego mi się przygląda?

— Patrz, jak ci się przyglądają Olivio, świetnie tańczysz.

Może jego brat czeka na mnie? Co on wie o mnie? Powinnam tam być! Powinnam zaczekać. Będę czekał, będę zawsze czekał na ciebie. Nie czekałam, uciekłam. Mnie jeszcze nikt nie kochał, nawet moja matka... nawet ona oddała mnie. O, Kris, o Boże, Kris. Jechałeś do mnie, do mnie. Moje biodra falują. Tańczący odsunęli się, ustawili w koło, przyglądają się, klaskają. Bob zażenowany.

— Olivio, widzisz, przyglądają ci się, Olivio świetnie tańczysz.

O wynoście się wszyscy, idźcie do diabła.

— Chodźmy już — powiedziałam — kręci mi się w głowie.

— Tak, naturalnie, jak chcesz.

— Jestem pijana, kręci mi się w głowie.

Wróciliśmy do stolika.

— Jak się czujesz? — spytał Bob.

— Chodźmy już stąd — powiedziałam. Kręciło mi się w głowie.

Baletmistrz podszedł do naszego stolika.

— To było dobre — powiedział.

— Pan był dobry, doskonały — powiedział Bob.

— Przestaję już tańczyć — mruknął — rzadko kiedy tańczę.

Podniosłam głowę, spojrzałam na niego, patrzyliśmy przez chwilę na siebie oceniając się.

Zmrużył jedno oko.

— Gdyby pani kiedyś szukała pracy...

— Nie szukam pracy — powiedziałam — już idziemy.

— Będziemy tu jeszcze dwa tygodnie — powiedział — potem jedziemy dalej. Potrzebujemy tancerki *to dance in the line*. Jedna z dziewcząt odchodzi.

— Nie jestem tancerką Mr...

— Fisher, Lee Fisher, tu jest moja wizytówka.

— Chodźmy Bob.

— Bardzo mi było przyjemnie pana poznać, Mr. Fisher — powiedział Bob.

Wstałam, kręciło mi się w głowie. Jak wygląda jego brat? Podobny do matki? Matka kochała go więcej niż Krzysztofa, jej ulubieniec. Zginęła sama, samotnie w swoim pokoju, dusiła się, krzyczała o pomoc. Kogo wzywała? Tamtego? Krzysztofa? Co ten Fisher chce ode mnie? Dlaczego mi się przygląda? *To dance in the line. To dance in the line?*

Zachwiałam się, Bob podtrzymał mnie.

— Jak się czujesz?

— Dobrze, ale chodźmy już.

— Dobranoc Mr. Fisher, był pan doskonały, pewnie jeszcze tu przyjedziemy.

Nigdy — myślałam — nigdy już. Nic mi to nie pomogło. Jestem pijana, a mimo to widzę wszystko wyraźnie, jego oczy patrzą na mnie ze wszystkich stron, jego ręka leży na każdym stoliku. Będę czekał, będę zawsze czekał na ciebie.

Przesuwaliśmy się ku wyjściu, tamten stał i patrzył za nami. Odwróciłam się, kiwnął mi ręką, przeraził mnie ten gest, jakby swoimi palcami uchwycił mnie. Nie powinnam się była odwracać. Bob podał mi płaszcz. Drewniane schodki skrzypiały pod naszymi stopami, mżył deszcz. W samochodzie pozwoliłam się objąć Bobowi, położyłam mu głowę na ramię. Myślałam: To Sandra! Przeklęła mnie. Po co do mnie przysłała? Zaczęła mi się zwierzać, wciągnęła mnie w to wszystko. To nie moja вина. To ona. A jednak to ja ją rozdzieliłam z Krzysztofem. Gdybym wtedy nie zaczęła, może to teraz by się nie stało. Jeździłby do nich co rok na wakacje, pomogliby mu skończyć *college*. To nie moja вина. Nie. Wyrzuciłam go ze szpitala. Już raz chciał przyjść do mnie. Wyrzuciłam go. To nie moja вина, gdyby tak nie postąpił, gdyby mnie nie zostawił!

— Gdzie chcesz teraz jechać, Olivio?

— Nie wiem, nie pytaj mi się, nic nie wiem.

— Bardzo się podobałaś temu tancerzowi. Uroczo tańczyłaś.

— Jestem taka nieszczęśliwa. Myślałam, że się upiję i będzie lepiej, jestem taka nieszczęśliwa.

— Nie płacz kochanie.

— Chyba pojedę do domu.

Nie odpowiedział. Gładził mnie po włosach, drugą ręką trzymał kierownicę, było mi ciepło i wygodnie, płakałam.

— Nic mu już teraz nie pomożesz, już teraz nic nie poradzisz. To był szalony chłopak. Nie jego вина. Miał takie pokręcone dzieciństwo. Właściwie wcale nie miał domu.

— To moja вина.

Odsunęłam się od niego. Skuliłam się na brzegu siedzenia, kręciło mi się w głowie, było mi niedobrze. To moja вина, nie powinnam go była wtedy wyrzucać ze szpitala. Ręka na prześcieradle, półotwarte usta, plama krwi na bandażu oplatającym głowę. Kiedy on umarł? W momencie mego przyjścia? Kilka minut przed moim przyjściem?

— Nonsens — powiedział Bob — nie opowiadaj głupstw. To nie jest twoja вина. Niczyja вина, wypadek. Czy bardzo źle się czujesz?

— Okropnie — powiedziałam — nie będę mogła prowadzić samochodu.

— Czy mam cię odwieźć do domu?

— Jesteś dobrym chłopcem.

— Tylko tyle?

— Jesteś bardzo dobry, dziękuję ci.

Przyhamował, zjechał na brzeg szosy, przystanął. Deszcz znów walił o szyby, było bardzo ciemno. Minęły nas światła samochodu, twarz Bob'a wyskoczyła podcięta światłem, pochylona ku mnie.

— Co się stało? — szepnęłam.

— Tam pozwoliłaś mi cię pocałować.

— Ach, tam. Tak. Czy coś się stało?

— Tam byli ludzie. Czy teraz...?

— Jeżeli chcesz — powiedziałam — jeżeli to ci sprawi przyjemność.

Odwróciłam twarz, nadstawiłam mu policzek.

— Nie pocałujesz mnie?

— Jedźmy już — powiedziałam.

— Czy mam cię odwieźć do domu?

— Nie wiem — szepnęłam — nie wiem, jak ja przeżyję tę noc.

— Może gdzieś tu przenocujesz w motelu i odwiozę cię rano.

— Może. Wszystko mi jedno. Może gdzieś przesiedzę tę noc i wrócę rano. Kręci mi się w głowie. Dziękuję ci, że jesteś ze mną, nikt by tego tak nie zrozumiał.

— Potworna noc na jazdę, ślisko, mamy jeszcze jakieś siedemdziesiąt mil. Może trzeba by się gdzieś zatrzymać?

Nie odpowiedziałam. Widziałam już siebie wracającą do domu: matka w szlafroku, schodzi na dół, przeciera oczy. No i co Olivio? Co tam się takiego stało? A więc jechał pijany? Ale chyba nie wpłatałaś swego nazwiska w żaden protokół policyjny! Idź teraz na górę, umyj się i staraj się zasnąć.

— Może trzeba by się gdzieś zatrzymać? — szepnął.

— Tak — powiedziałam. — I zatelefonuję do domu.

— Powiesz, wytłumaczysz, że droga jest bardzo śliska.

— Tak — powiedziałam. Myślałam: nie mogę wracać do domu, nie mogę teraz wracać do domu i położyć się do łóżka i myśleć i widzieć to znów przed sobą. I odpowiadać na pytania.

— A więc zatrzymamy się?

— Nie pytaj mnie. Nie pytaj mnie o nic. Zatrzymaj się gdzie chcesz. Kręci mi się w głowie, jestem chyba pijana, nie mogę tak wracać do domu.

— Oprzyj się o mnie — powiedział — postaraj się trochę zdrzemnąć.

Otworzyłam oczy, gdy zajechaliśmy przed motel.

— Zaczekaj — powiedział — zaraz wrócę i dowiem się też skąd będziesz mogła zatelefonować, może mają telefony w pokojach. Trzasnęła drzwiczkami, widziałam, jak szedł skulony pod deszczem, szeroki i niezgrabny w stronę czerwonej, neonowej reklamy z napisem „Office”. Siedziałam w zamkniętym samochodzie i bałam się ruszyć. Gdy zniknął za drzwiami biura ogarnęła mnie panika, chciałam biec za nim. Patrzyłam przez szybę na moknące w deszczu drewniane kabiny rozrzucone w rzadkim, przydrożnym lesie. Widziałam nieruchomy kształt Krzysztofa pod prześcieradłem i jego matowe, wpatrzone we mnie oczy. Jego brat już tam jest. Co oni z nim teraz zrobią? Na wpół ukryte pod bandażem gęste, czarne, zrosnięte nad nosem brwi. Będę czekał, będę zawsze czekał na ciebie. Nie! Już teraz nie! Już nie teraz!

— O Bob — szepnęłam gdy wrócił. — Bob dlaczego tak długo?

— Mam klucze — powiedział — zaraz cię podwiozę pod twojąabinę — dyszał — nie byłem długo, śpieszyłem się. Będziesz mogła zatelefonować z pokoju. — Podjechaliśmy pod drzwi drewnianej kabiny, biała farba obłaziła z drzewa. — To tu — powiedział. Otworzył drzwi, wszedł pierwszy i zapalił światło.

Weszłam za nim, drzwi trzasnęły, kabina otoczyła mnie natchmian czterema białymi malowanymi ścianami, jak ściany szpitalnej separatu. Dwie lampy paliły się pod szerokimi, ciemnymi abażurami: na komodzie i przy łóżku, na stoliku: biblia i telefon. Siedziałam na łóżku, zamknęłam oczy, nie widzieć tych ścian.

— Pomogę ci zdjąć płaszcz — powiedział.

Siedziałam obojętnie, gdy ściągał ze mnie płaszcz. Powiesił ostrożnie płaszcz na wieszaku.

— Dlaczego się nie położysz? — szepnął. — Połóż się odpocznij.

Wzruszyłam ramionami. Siedziałam skurczona na łóżku, łokcie oparte o kolana, opierałam podbródek o zaciśnięte w pięść dłonie. Już go chyba nie ma w pokoju, już go pewnie stamtąd wynieśli. *W tym życiu co trwa godzinę. W tym życiu co szybko się toczy...*

— Nie siedź tak, Olivio, wyglądasz taka nieszczęśliwa — szeptał Bob'a był bliższy, poczułam jego ręce na moich stopach. — Masz takie zmarznęte stopy, zdejmę ci buciki.

Kiwnęłam głową: dziękuję.

Zdjął mi buciki, słyszałam, jak ostrożnie położył je przy łóżku. Nie patrzyłam, czułam jak stopy moje rozgrzewają się w jego rękach. Uniósł moją jedną, a potem drugą nogę położył delikatnie na łóżku.

— Teraz lepiej prawda? Teraz ci wygodniej?

Przesunął ręką po mojej nodze, czułam drżenie jego palców. Nie otwierałam oczu, moje nogi rozprężyły się pod dotknięciem jego ręki. Gdzie go zabiorą z tego pokoju? Dokąd go stamtąd zabiorą? I już nie zobaczę. Nigdy. Kris... Kris...

— Leżysz na brzegu łóżka. Nie wygodnie ci tak, połóż się wygodniej, Olivio. Podłożył mi poduszkę pod głowę, uniósł moją głowę, zatrzymał rękę na moich włosach, przesunął ręce aż ku szyi.

— Powinnaś się rozebrać — szeptał — powinnaś się rozebrać i starać się trochę przespać.

— Tak — szepnęłam — powinnam, ale nie mogę się ruszyć, kręci mi się w głowie.

Kręciło mi się w głowie, leżałam w gęstej mgle, bałam się otworzyć oczy, bałam się spojrzeć na ten pokój, który przypominał mi tamten. *W tym życiu co szybko się toczy Jak wiele, powiedz, jak mało jest w naszej mocy?*

— Pomogę ci się rozebrać. Nie możesz tak spać w sukience. Pomniesz całą sukienkę. Niewygodnie ci tak. — Jego ręce przesunęły się z mojej szyi na kark, szukał zapięcia sukienki.

Natrafił palcami na zamek sukienki, czułam, jak powstrzymywał dygotanie palców. Leżałam obojętnie na brzegu łóżka nie opierając się, ale i nie poddając. Pokój wokoło mnie szumiał. Jak morze. Jak ocean. Olivio, dlaczego chcesz się topić już zaraz na początku?

— Szumi mi w głowie — powiedziałam.

— Zaraz zaśniesz, to przejdzie. — Ściągnął mi sukienkę z ramion. Jego ręce duże i silne, które starał się, aby były jak najłżejsze, najdelikatniejsze dotykały moich obnażonych ramion, osłoniętych biustonoszem tylko piersi, brzucha pod nylonową halką i gołych ud, gdy ściągał ze mnie sukienkę ostrożnie i uważnie, jakbym była ze szkła i z mgły tylko, jakbym mogła pod silniejszym dotknięciem skruszyć się i rozwiać. Odszedł i słyszałam, jak znów systematycznie i nieśmiało układał sukienkę moją na brzegu krzesła czy łóżka, nie wiem, nie otwierałam oczu, nie mogłam otworzyć oczu, ale skóra moja od szyi, aż do stóp zaczynała rozpalać się i płonąć wbrew mnie samej, świadoma i pamiętająca, obudzona tamtymi dotknięciami i jak ciało moje zaczynało prężyć się i nabrzmiewać, jak sztywniały koniuszki piersi, a nerwy moje i mięśnie przekrwione i dygocące zaczynały mnie przerastać i panować nade mną, nad moimi myślami coraz bardziej zamglonymi, coraz słabszymi. Będę czekał, będę zawsze czekał na ciebie. Nie. Już nigdy. Już nigdy.

— Leżysz tak niewygodnie na brzegu łóżka, Olivio.

— Kręci mi się w głowie — powiedziałam — boję się otworzyć oczy. Kręci mi się w głowie, nie mogę się ruszyć.

Pochylił się, podniósł mnie łatwo, bez wysiłku, położył na środku łóżka.

— Teraz zaśniesz — szepnął.

Ale ja jedną ręką chwyciłam go nagle za szyję i otwierając oczy zobaczyłam ten pokój, nie twarz Bob'a, tylko ten pokój biały i napierający na mnie. Wyciągnęłam drugą rękę i pociągnęłam za łańcuszek stojącej przy łóżku lampy.

Obudziłam się. Było ciemno. Siadłam gwałtownie na łóżku. To mój sen obudził mnie: wchodziłam znów do tamtego pokoju, a Krzysztof z głową obandażowaną, z pustymi oczami wpatrzony we mnie podniósł się i wyciągnął do mnie swoje nieruchome, przerażające ręce. Zaczęłam uciekać i ten strach obudził mnie. Dopiero po chwili usłyszałam ciężki, sapiący oddech Bob'a i przypomniałam sobie, zrozumiałam co się stało.

Zerwałam się. Zaczęłam po omacku, nieprzytomnie, potykając się o meble szukać kontaktu. Zapaliłam światło, zbierałam drżącymi rękami porozrzuconą na podłodze bieliznę, porwałam sukienkę i niecierpliwie, dygocząc i płacząc rzuciłam się do drzwi łazienki.

Byłam trzeźwa. Wiedziałam teraz. Gryzłam palce z wściekłości. Stałam pod gorącym prysznicem płacząc głośno. Ubierałam się nie patrząc w lustro, nie mogłam na siebie patrzeć. Wróciłam do pokoju i dopiero teraz spojrzałam na Bob'a. Spał mimo światła, odwrócony na bok, z twarzą wtuloną w poduszkę. Chciałam go potrząsnąć za ramię, ale cofnęłam się.

— Bob! — zawołałam — Bob!

Otworzył oczy i zmrużył je przed światłem, policzki nabrzmiące od snu.

— Olivio — szepnął — kochanie.

— Ubieraj się — powiedziałam. — Chcę zaraz wracać do domu!

Spojrzał na mnie niespokojnie, jego łagodny uśmiech zastygł.

— Jeszcze noc — powiedział.

— Chcę wracać do domu! — zawołałam. — Chcę natychmiast wracać!

— Przepraszam cię — powiedział — wydawało mi się...

— Wydawało ci się tylko — mruknęłam — tylko ci się wydawało. Jeżeli się nie ubierzesz zaraz, wezmę twój samochód i pojedę.

Uniósł się na łóżku.

— Co ci się stało? — szepnął — co ci się nagle stało? Przecież...

— Byłam pijana — powiedziałam. — Wyjdę do łazienki, żebyś się mógł ubrać.

— Dobrze — powiedział — jak chcesz.

Wyszłam do łazienki i zamknęłam za sobą drzwi. Oparłam twarz o drzwi, głowa pękała mi z bólu. Nienawidzę się — szeptałam — nienawidzę się za to.

— Jestem gotowy — powiedział.

Wróciłam do pokoju, nie patrzyłam na niego.

— Olivio — powiedział — zdawało mi się, że to ty... nie chciałem cię obrazić.

— Powiedziałam ci już, że byłam pijana. Jedźmy. Narzuciłam płaszcz i otworzyłam drzwi kabiny. Deszcz już nie padał. Z daleka błyszczała zielona reklama motelu i czerwony, neonowy napis: *Office*. Było przejmująco, dotkliwie chłodno.

— Zawieź mnie przed szpital — powiedziałam — tam gdzie zaparkowałam samochód.

Zastartował samochód. Wjechaliśmy na szosę, była pusta, po obu jej stronach stały więdnące, usypiające jesienne drzewa, biegły za samochodem i wskazywały na mnie ciemnymi kikutami gałęzi.

— Wierz mi — szepnął — że nie chciałem cię obrazić. Zachowałem się okropnie, przepraszam cię.

— Nie obraziłeś mnie — mruknęłam — to ja. Obraziłam samą siebie. Nie ma o czym mówić.

— Olivio, spotkamy się jeszcze, prawda?

Nie odpowiedziałam.

— Słuchaj — odwrócił się do mnie — czy chcesz, żebyśmy się pobrali? Czy chcesz zostać moją żoną?

— Uważaj na drogę — powiedziałam.

— Czy naprawdę nic do mnie nie czujesz?

— Nic — powiedziałam — przykro mi bardzo, nic.

Odwiozł mnie, aż pod szpital. Zaparkował swój samochód i odprowadził mnie aż do drzwi samochodu. Na ulicy przechadzało się dwóch policjantów.

— Uważaj — powiedział Bob — jedź ostrożnie.

Policjanci zatrzymali się.

— Słusznie — powiedział jeden z nich — niech pani jedzie ostrożnie. Drogi są śliskie, tego wieczora mieliśmy poważny wypadek.

— Dziękuję — powiedziałam — naturalnie będę jechała ostrożnie.

— Zatelefonuję jutro dowiedzieć się, jak się czujesz — powiedział Bob.

— To nie ma sensu.

Policjanci odeszli. W wilgotnej ciszy ulicy ich kroki dudniły na chodniku.

— Może jutro będziesz myślała inaczej — powiedział.

Otworzyłam drzwiczki samochodu. Spojrzałam na budynek szpitalny. Mogłam patrzeć już na ten budynek, byłam spokojna, szepnęłam: *jak wiele, powiedz jak mało jest w naszej mocy*.

— Co mówisz? — Bob pochylił się ku mnie.

Westchnęłam: — Nic. Tak tylko. Nie miej do mnie żalu.

— Zupełnie nic? — szepnął. Jego szept był błagalny. — Naprawdę nic?

— Jesteś dobrym chłopcem Bob — powiedziałam — dziękuję za podwiezienie.

Stał i patrzył, jak startowałam samochód, minęłam go nie odwracając głowy. Muszę coś z sobą zrobić — myślałam — muszę coś zrobić z sobą.

Deszcz ustał. Palce obejmujące kierownicę posiniały mi z zimna, opony samochodu ślizgały się na szosie. W światłach reflektorów trawa połyskiwała białym nalotem, a wyżej, wzdłuż szosy korony drzew popychane wiatrem trzęsły się i chichotały niby głowy wyzwolonych po niedawnej *Halloween* wiem, które tu, na skrajach drogi zbiegły się i przystanęły wyczekując na mój przejazd. Wzdrygnęłam się. Włączyłam ogrzewanie. Patrzyłam wprost przed siebie, fala ciepła z radiatora utuliła mój strach. Ale tamto wróciło znów: Krzysztof nieruchomy na łóżku. Nie ma go już — szeptałam — już koniec, koniec wszystkiego, koniec mojego życia. Powstrzymywałam się, aby nie płakać, połykałam łzy, z oczami skupionymi na szosie jechałam do domu. Co ja zrobię? — myślałam. — Co ja teraz ze sobą zrobię?

Dojechałam wczesnym ranem. Blade światło na parterze, czekali na mnie. Położyłam głowę na kierownicy, łzy, które starałam się powstrzymać przez całą tę noc, uderzyły we mnie. Szlochałam głośno. Czekali na mnie.

— Olivio! — zawołała moja matka — Olivio!

Stała w drzwiach wejściowych, jej wypatrujący profil kiwał się w smudze świetlnej, wyszła na próg, jej długi, zielony szlafrok pociągnął się za nią.

— Olivio!

Poderwałam się, trzasnęłam drzwiami, biegłam ku niej spragniona jej pocieszenia, jej zrozumienia.

— Mamo — szlochałam — Mamo! — Dopadłam do niej, przytuliłam mokry policzek do jej ramienia.

— Nie krzycz tak! — usunęła się.

Spojrzałam: światło z korytarza na cofającym się przede mną profilu mojej matki.

Spuściłam głowę: światło na oszronionym trawniku.

— Wejdz — mówiła — tylko cicho, cicho, bo jeszcze obudzisz Ralph'a.

Wyprostowałam się, wytarłam palcami łzy, weszłam do pokoju.

Ojciec zza drzwi gabinetu. Jego kąpielowy płaszcz w brunatne i czerwone pasy, twarz ojca przybliży się i oddala, ramiona wyciągają się i cofają. Twarz matki odwrócona, palec na ustach: ci-cho... ci-cho.

Ciepło domu na ramionach, na policzkach, to mnie rozrzewnia, płaczę, chcę płakać, muszę płakać, a oni stoją wobec mojego płaczu bezradni, cofając się i zbliżając, niezdecydowani, z palcem na ustach, pytający, ale i obawiający się zadać pytanie, ich szlafroki zamiatają podłogę. Bezradni. Patrzą na mnie. Mój płacz ponad nimi, wokoło nich, ich nie dosięga. Co ja zrobię? Co ja ze sobą zrobię? Na parapecie okiennym wydrążona, żółta dynia z wygasłą już w jej wnętrzu świeczką. Patrzę na tę dyniową, szczerzącą zęby maskę. Krzysztof nie żyje — myślę — zabił się. Płacz mój cichnie. Zdmuchnięty.

— Olivio — szepcze ojciec — tak długo...

Siadam na fotelu, boli mnie głowa i piersi, mój płacz szaleje we mnie, a niewyzwolony — boli.

— Powiedz coś — szepcze matka.

Milczę. Podchodzi, podsuwa się na bezpieczną odległość, jej głos nabiera koloru.

Dzień przeciera się za oknem.

— Przyjeżdżasz po całej nocy i tak — bez słowa! Powiedz coś! Nie masz wytłumaczenia?

— Co się stało? — pyta ojciec. — Przybliży się o krok, słyszę szuranie jego nocnych pantofli. — Co to było? Co się stało?

Wpatruję się w okno, siedzę nieruchomo, myślę: Co ja zrobię? Nie chcę tu zostać. Co ja zrobię?

— Nie spaliśmy całą noc! — jęczy matka — mogłaś chociaż zatelefonować!

— Chciałam...

— Ach, chciałaś! Ty zawsze chcesz! Nic więcej tylko dobre chęci, na tym się wszystko zawsze u ciebie kończy. Jak to tak można! Nie spaliśmy, ojciec zmęczony, ja mam migrenę. A ty chciałaś! Chciałaś!

— Co się stało? — szepce ojciec — Olivio — potrząsa mnie za ramię. — Olivio, powiedz coś.

— Nie możesz się odezwać? Nie możesz odpowiedzieć? — woła matka.

Podnoszę głowę, odrywam wzrok od okna, patrzę na nich,

w moich oczach jest rozpacz, gardło jest raną, usta zeschnięte poruszają się, patrzę na nich, nie mogę mówić, szepczę, szepczę tak, że przybliżają się, pochylają głowy, aby zrozumieć, powtarzam, wciąż to samo od początku, raniącym szeptem, wpatrzona w nich błagam o ratunek, szepczę: On... zabił się... nie żyje... on zabił się...

Milczą, wyprostowują się. Twarz matki nieruchoma, drgają zmarszczki na czole ojca.

— Nie żyje! — krzyczę — Krzysztof nie żyje!

— Opanuj się — szepcze matka — ciszej, ciszej...

— Nie mogę! — krzyczę. — Nie mogę się opanować!

Zatyka mi usta, palce jej dłoni na moich wargach, policzku, ściska mi twarz palcami, duszę się. Skrzeczy mi do ucha:

— Musisz się opanować! Cicho, na miłość boską, cicho...

Ralph śpi i jeszcze się obudzi, jeszcze tego potrzeba...

Odrzucam jej rękę, odrzucam ją od siebie, walę głową o oparcie fotela.

— Całe moje życie skończone!

Głos matki poza mną dostojny, opanowany:

— Łaska boska, to łaska boska dla niego i dla ciebie, to był szalenciec, wykolejony. To łaska boska...

Podrywam się z fotela, rzucam ku niej, moja ręka zaciśnięta w pięść ponad jej głową.

— Łaska boska? Łaska? Tak? — cofa się przede mną, potyka zaplątana w szlafrok, dyszę postępuję za nią, jeszcze chwila uderzę ją. — Nie ma żadnej łaski, słyszysz! Nie ma żadnego Boga!

— Olivio! — woła ojciec. Chwyta, zatrzymuje, wygina ku tyłowi moją wyciągniętą rękę. — Opamiętaj się, nie bluźnij, zastanów się... staraj się to przyjąć...

Wyrrywam mu się, wyszarpuję rękę i walę na oślep pięściami, rzucam się na niego. — Och ty... ty podły, ty wstrętny! Czy to łaska boska, że zabraliście mnie mojej matce? Że umarło moje dziecko? Że teraz Krzysztof? Teraz on też... Słyszysz, twój Bóg mnie zdradził, zostawił mnie! Zostawił...

— Jak śmiesz! — krzyczy matka, a ojciec złamany w pół, pokorny tyłem się cofa do ściany, opiera o ścianę, ręce złożone w geście pokory, uległy, porażony, przerażony, wlepiony w ścianę, na ścianie rozpląszczony szepcze:

— Boże zmiłuj się, Boże ukrzyżowany zmiłuj się nad nami...

Ta pokora jego pokornie uległa, ta niewrażliwość spokorniała, spłaszczanie, rozciągnięcie na ścianie, gotowość do ukrzyżowania batem mnie smagnęły, aż skoczyłam i szłam, zbliżałam się do nich, dłonie w pięść zaciśnięte, pół-słępa, pół-obłąkana dygotałam, dreszcz mną wstrząsał zęby obnażał mi grymas, szczęki bolały

od skurczu, stopy, jak dwa szcudła drewniane uderzały o podłogę. Matka rękami osłania się przede mną:

— Oszalała... oszalała...

A na ścianie ojciec spłaszczony jęczy:

— Boże ukrzyżowany zmiłuj się nad nami.

— Ukrzyżowany? — krzyknęłam. — A ja trzy razy umarłam!

Zabrał mi rodziców, zabrał mi dziecko, zabrał mi Krzysztofa...

— Milcz! — krzyknął ojciec.

Matka wyskoczyła, osłoniła sobą ojca.

— Nie zbliżaj się do nas!

Spłaszczeni na ścianie, nieruchomi, porażeni, patrzyli na mnie, ich oczy okrągłe ze strachu. Przystanęłam, znieruchomiałam, ramiona moje opadły, cichłam, uciszałam się, ale ona jedną ręką mnie odpychając, drugą zakryła oczy i jęknęła: Nie zbliżaj się — odwróciła się do ściany i krzyknęła: — Nie mogę na nią patrzeć, nie mogę na nią patrzeć!

— To pójdę — tupnęłam nogą — to sobie pójdę!

— Boże — jęczała — o mój Boże...

Sprężyłam się i rzuciłam do drzwi, szarpnęłam, kopnęłam, wiatr porwał drzwi chyboczące, trzasnął nimi, znów porwał i trzasnął, biegłam, drzwi łomotały za mną i furtka ogrodowa trzasnęła. Łzy mnie oslepiały i wściekłość i pośpiech nagły zaczął we mnie bulgotać. Byle prędzej, jak najprędzej i coraz dalej, uciekać. Dalej od tego domu, dalej od tego co się stało wczoraj, tej nocy, przed chwilą. Uciekać! Drzwi trzasnęły po raz ostatni. Zatrzasnęły się. A ja już dopadłam samochodu, zastartowałam, ruszyłam, pisnęły opony, drzwi domu mignęły przed oczami i oni — czyżby wyglądali? — w drzwiach obydwójce przerażeni, nieruchomi w drzwiach już uchylonych spokojnie znieruchomiałych, jak oni wobec mego ruchu, mego szału, mego pośpiechu. Pędziłam, uciekałam, a tak, jakbym gdzieś głowę w dół, gdzieś w ciemną szczelinę, w rozpadlinę skalną, już nie sama, to pęd mnie ponosi, pęd mnie porywa, spadam i naprzód pędzę. A dzień i wiatr, dzień szaroniebieski, wiatr ostry przez otwarte okno i pierwszy słoneczny promień zza horyzontu — we mnie. Jeszcze mnie przynaglają, jeszcze popychają, prędzej! Pędzej, bo już dzień. Obsuwam się, głową lecę w dół. Cofają się przede mną, zjeżdżają na bok samochody przerażone tym moim szaleństwem, trąbią za mną i krzyczą. I nagle — noga sama na hamulec, zgrzyt hamulców przede mną ciemna plama, potężny nos ciężarówki. Podskoczył samochód, uderzył, opadłam głową na kierownicę.

— Ej ty, szalona! Szalona czy pijana? — szofer ciężarówki potrząsał mnie za ramię.

Uniosłam głowę, szumiało mi w głowie, kręciło mi się w głowie, twarz szofera zamazywała mi się w oczach.

— Stało się coś? — krzyczał. — Stało ci się coś?

— Nie... — jęknęłam — nie, wszystko w porządku...

— Zwariowałaś! — wrzeszczał. — Gdybym cię w porę nie zobaczył, gdyby to ktoś inny nie ja w drzazgi byś poszła razem z twoim samochodem. — Przyglądał mi się, głos jego miękł. — Możesz się podnieść? Spróbuj. — Pomógł mi wyjść z samochodu, chwiałam się na nogach, oparłam o niego.

— No — poklepał mnie po ramieniu — no, w porządku, stoisz, porusz się, dobrze, możesz chodzić, nic cię nie boli?

Pokręciłam głową.

— W porządku.

— Cud boski, w ostatniej chwili zahamowałem, gdyby tak kto inny nie byłoby co zbierać. To tylko szok, szok tylko, przejdzie ci. Oddychaj głęboko. Lepiej? O cholera, cholera, ale byłby wypadek! Zobaczmy czy twój wóz jeszcze chodzi. Błotnik tylko wgięty, zobaczymy czy motor pracuje. Siadaj tam — komendował, pchnął mnie na tylne siedzenie, sam rozsiadł się za kierownicą. Rozcierałam czoło, szum, zawrót głowy zwolna ustępował. Przede mną kierowca *truck'u* próbował zastartować mój samochód. Wyszedł z wozu, otworzył maskę, majstrował coś w jej wnętrzu, znów wrócił za kierownicę.

— Jasna cholera — mruczał — smarkata zabiera się do prowadzenia, śmierć na szosie.

— Chodź tutaj — powiedział — włącz do mojej szoferki, podciągnę cię na stację, woda cieknie, trzeba będzie sprawdzić chłodnicę, i świeca, zdaje się świeca nawaliła.

Weszłam posłusznie po wysokim stopniu ciężarówki, opadłam na siedzenie szoferki, patrzyłam obojętnie, jak tamten krzątał się, wyciągał łańcuch, przymocowywał mój samochód do tyłu ciężarówki. Co ja zrobię? — myślałam. — Co ja teraz zrobię? Nie mogłam wracać do domu. Nie, nie po tym co się stało. A więc dokąd pojedę? Gdzie?

— No — mruknął szofer — w porządku, przyczepiłem go, dwie mile stąd jest stacja i mechanik, odstawię cię tam. Hej — ujął mój podbródek, odwrócił twarz ku sobie, poczułam przesycony tytoniem oddech — taka ładna dziewczyna, taka młoda dziewczyna i o mało co, mało co, tfu, do jasnej, ciężkiej cholery! Gdzie żeś tak pędziła?

— Co? — jęknęłam.

— Gdzie żeś tak leciała, jak opętana?

Odwrócił się ode mnie, zastartował samochód. — No? Gdzie cię tak ponosiło?

Spojrzałam na niego poprzez ramię, nie obchodził mnie. Miał mocne szczęki i szerokie połyskujące zęby i kanciastą, ogorzałą twarz *cowboy'a*, gryzł w zębach papierosa, przeżywał jeszcze niedawny wypadek, mruzczał: o mały włos, poszłaby o mały włos. No i co? — spytał — co to było?

— Jechałam do mojej chorej matki. Jest w szpitalu.

— A... ach. Już byś jej nie zobaczyła. O mały włos! Miałas szczęście, że to ja, nie kto inny, nie byłoby co zbierać. Do jakiego szpitala?

— Rock County Hospital.

— O! Czekaj, tam się ktoś rozbił niedawno. Co ja mówię niedawno, wczoraj! Słyszałaś o tym? Jakiś chłopak, śmierć na miejscu, zawieźli go do tego szpitala. Słyszałaś o tym?

— Nie.

— Powinnaś czytać takie rzeczy, jakbyś przeczytała, to może byś tak nie pędziła, on też tak szybko jechał. Miałas szczęście. Co jest twojej matce?

— Miała operację.

Co ja zrobię — myślałam. — Co ja zrobię?

— Co to za operacja?

— Co?

— Pytam się na co ją operowali?

— Nie pamiętam nazwy. Jakaś kobieca operacja i telefonowali, żebym przyjechała.

— Może *Hysterectomy*? Moja żona miała to niedawno.

— Tak — zgodziłam się — tak, to to.

— Nie martw się — powiedział — przeżyje. Nie trzeba było tak pędzić.

Wjechaliśmy na dziedziniec stacji benzynowej. Szofer wyskoczył, odciągnął łańcuch.

— Hej, nie ma tam nikogo? — zawołał w kierunku garażu.

Mechanik wyszedł przez szklane drzwi stacyjnego biura, przeciągał się, ziewał.

— Zimno dziś! — krzyknął.

— Chodź tu! — powiedział szofer — trzeba będzie zreperować jej wóz.

Z wysokości szoferki patrzyłam obojętnie jak we dwóch pochylali się nad otwartą maską mego samochodu, rozmawiali półgłosem. Zeszłam ostrożnie po stopniach, głowa bolała mnie jeszcze, zbliżyłam się do nich.

— Można będzie coś zrobić? — spytałam.

Mechanik wyprostował się, spojrzał na mnie, mruknął:

— *Sure*, zrobi się. Trzeba będzie zalutować chłodnicę i zmienić świece.

Kiwnęłam głową, odeszłam, poszukałam oczami toalety, była z boku budynku. Weszłam tam, umyłam twarz, przycesałam włosy i umalowałam usta. Spojrzałam do portmonetki, miałam tam tylko kilkadziesiąt centów. Przeraziłam się. Nie mam pieniędzy, co ja zrobić? Co ja teraz zrobić? Wyszłam na dziedziniec, zbliżyłam się do mechanika.

— *Mister* — powiedziałam — zapomniałam pieniędzy, zostawiłam pieniądze w domu, śpieszyłam się, zapomniałam.

Kierowca i mechanik spojrzeli na siebie, na mnie, znów na siebie.

— Zatelefonuję do ojca, żeby przysłał pieniądze, ale teraz muszę jechać, muszę jechać. Co zrobić?

— Hm — mruknął mechanik — czy masz przy sobie licencję?

Wyjęłam z torebki prawo jazdy, podałam mu go.

— Olivia Sloan — przeczytał. Przyglądał mi się. — Mówisz, że zapomniałaś pieniędzy w domu?

— Jej ojciec odesłał — powiedział szofer — śpieszyła się do chorej matki w szpitalu.

Poszedł do biura, aby odnotować numer licencji i moje nazwisko.

Odesłał mu pieniądze — myślałam — jakoś mu to odesłać.

Kierowca ciężarówki zbliżył się do mnie.

— Masz chociaż na kawę? — spytał.

— Nie odpowiedziałam. Myślałam: co ja zrobić? Co się ze mną teraz stanie? Muszę dostać pracę, jakąś pracę, wszystko jedno co. Nie mogę tam wrócić.

Kierowca wyciągnął z kieszeni zmiętego dolara.

— Masz.

Przyjęłam nie patrząc na niego, kiwnęłam głową.

— To mi pomoże.

— Masz jeszcze na telefon — powiedział i wrzucił mi do ręki dziesięciocentówkę.

Klepnął mnie w plecy, roześmiał się: No, dziękuj Bogu! O mały włos i nie byłoby co zbierać.

— O.K. — powiedziałam.

— Jak się czujesz?

— W porządku.

— Muszę już jechać. Prowadź ostrożnie, nie martw się o matkę. I na drugi raz to już tak się nie uda.

Spojrzałam na niego. Był to wysoki, silny mężczyzna, który równie dobrze galopowałby na koniu jak i na swojej potężnej, sapiącej ciężarówce. Nie obchodził mnie, chciałam się go już pozbyć.

— Zatelefonuję do ojca — powiedziałam. Stał i przyglądał mi się. — Dziękuję — mruknęłam.

Odwróciłam się i poszłam w kierunku budki telefonicznej. Usłyszałam, jak startował motor, gwizdał. W ręku trzymałam jeszcze zmiętego dolara i dziesięciocentówkę. Wyjęłam z torebki kartkę papieru, sprawdziłam numer. Zatrzymałam się, zawahałam.

Przedemną wzdłuż szosy chwiały się krwawe, jesienne korony klonów, jeden czerwony liść podrzucony wiatrem uderzył o szklane drzwi budki telefonicznej. Pchnęłam drzwi, wrzuciłam dziesięciocentówkę do automatu, nakręciłam numer.

— Jeszcze piętnaście centów — odezwała się telefonistka.

— Zaraz — powiedziałam. Wyszperałam w torebce trzy pięciocentówki, wrzuciłam do automatu, czekałam na sygnał. Serce waliło mi, ogarnęła mnie przejmująca, nieprzyjemna fala ciepła. Sygnał. Czekałam. Ręka mi drżała, zęby uderzały o siebie. Nie mam innego wyboru — myślałam — nie mam nic innego. Drgnęłam. W słuchawce odezwał się głos chrapliwy, zaspany:

— Mówi Lee Fisher.

— Co? — ziewnął policjant — co mówisz?

— Trzeba coś zrobić — powiedziałam. — Siedzę już tu godzinę. Jak to długo jeszcze?

Odsunął mankiet munduru, spojrzał na swój wielki, nikłowy zegarek.

— Dwadzieścia minut — mruknął — dopiero dwadzieścia minut. — Ziewnął.

Przez szybę hotelowej poczekalni pełzały ku mnie węże neonów: czerwone i zielone, pralnia chemiczna, towarzystwo pożyczkowe, bar, *lunchroom*. Smithy tkwił nieruchomo w fotelu. Zamrożony. Nieprawda. On nie zdechnie. *Junk* przeżarł go już. Stał się jego sercem i mózgiem. Zwalniał tempo jego życia. Ten gad pożyje długo. Przeklęty *old junky*. Gdybym mogła, jak on nie myśleć i zamrozić się od środka. Obudzić się, jak to wszystko już przejdzie. Obudzić się na moim dzieciennym łóżku. Matka zawołała: Olivio, złaż-no prędzej na śniadanie! Powinnam tam wrócić i zacząć jeszcze raz wszystko od nowa. Inaczej. Jeszcze raz od początku? Zabrali mi strzykawkę, cholerni gówniarze. Zabrali mi cały ładunek, który by mnie uwolnił.

Kroki sierżanta i krocзки Randy. Podniosłam głowę. Falowali tu ku mnie. Żołądek podskoczył mi aż do gardła, skurczył się, uda zaczęły dygotać. Jenkins poderwał się.

— Siadajcie Jenkins — powiedział sierżant. Runął na krzesło. Ooo-h — przeciągnął się. Przetarł ręką spocone czoło. Przysunął krzesło bliżej do mnie. Dotykał niemal moich kolan. Pot i szorstki zapach munduru.

— Powiedziałaś, że znałaś Lee Fisher'a około roku.

— *Yes sir* — powiedziałam.

— Możesz to określić dokładniej?

— Spróbuję.

Jego ciemne, okrągłe oczy łakomego ptaka zatrzymały się na moich ustach.

— No? — powiedział — spróbuj. — Wyjął chustkę z kieszeni, przetarł szyję i podbródek. Wyciągał szyję jak ptak, dziobał mnie swoim spojrzeniem.

— No, dalej!

— To było w listopadzie.

— Tak. Teraz mamy kwiecień, 63. Kiedy w listopadzie?

— W listopadzie, zaraz... w listopadzie 61 roku.

— Acha. — Otworzył notes, oparł go na kolanach, zapisał. — I wtedy zaczęłaś dla niego pracować?

— Tak — powiedziałam. — Zaangażował mnie do tej wędrowniej trupy.

— Wędrowniej trupy?

— Tak. Jeździliśmy od Kanady, aż do Miami.

Zapisał. Nie podnosząc wzroku od notesu spytał szybko:

— Co cię łączyło z Fisher'em?

— Nic! — krzyknęłam. — Powiedziałam już raz, że nic mnie z nim nie łączyło.

— No, no! Spokojnie — warknął. — Uważaj, nie podnoś głosu.

— *Yes sir* — powiedziałam. — Powtarzam tylko, że mnie nic z nim nie łączyło. Był agentem teatralnym. Ale dlaczego mam odpowiadać na te wszystkie pytania? Nic nie zrobiłam. Chcę iść do pracy, trzymacie mnie już dwie godziny.

— Nie zapominaj, że musieliśmy czekać na ciebie. Jak nic nie zrobiłaś, to nic ci nie będzie. I nie rozdziawiaj za bardzo buzi. Lepiej będzie, jak będziesz odpowiadała spokojnie.

— *Yes sir* — powiedziałam. — Ale ja nic nie zrobiłam, ja z tym nie mam nic wspólnego.

— To się okaże.

— Mam prawo zawołać swego adwokata.

— Pewnie. Masz prawo. Ale teraz jeszcze adwokat nie jest ci potrzebny. Może później. Później będziesz sobie mogła zawołać adwokata. Nikt ci nie broni. Powtarzam, o ile adwokat będzie ci potrzebny.

— *Yes sir*.

— Kiedy tu przyjechałaś?

— Tu?

— No tu, do tego miasta?

— Pod koniec stycznia.

— Tego roku?

Randy stał oparty o ścianę, przyglądał się swoim butom. Cholerny gówniarz, cwany, stary handlarz narkotyków, jemu nic

nie robią, opłaca się. Cholerny gówniarz, żeby padł trupem na miejscu! Jego lichy krawacik przekręcił się i odkrywał koszulę z brakującym guzikiem. Cholerna, brudna świnia, spodnie ma sztywne od moczu, czuć go z daleka. Kapelusz Smithy tkwi za nim nieruchomo, jak kapelusz stracha na wróble w bezwietrzny dzień. Och kiedy to się już skończy!

— Tak, w styczniu tego roku — powiedziałam.

— I byłaś wtedy... spodziewałaś się wtedy?

Spuściłam głowę.

— Byłaś wtedy w ciąży?

— Tak — szepnęłam.

— I pracowałaś?

— Tak. Musiałam przecież z czegoś żyć. Musiałam zarabiać pieniądze.

— W porządku. Pytam się tylko czy pracowałaś?

— *Yes sir*.

— Dla Lee Fisher'a?

— Nie. On już wtedy nie był dyrektorem tej trupy. Był tylko agentem teatralnym. Przestałam dla niego pracować już pod koniec zeszłego roku.

— A może już cię nie chciał?

— Już wtedy nie było tego zespołu. Kontrakt się skończył.

— Gdzie pracowałaś wtedy?

— Jak tu przyjechałam?

— Tak. Pracowałaś w tym samym klubie „See Breeze”?

— Nie, tu pracuję dopiero od dwóch miesięcy. Przedtem tańczyłam.

— Gdzie?

— W „Blue Moon”. I jeszcze w innym klubie, ale nie w tym stanie.

— Jak długo byłaś w „Blue Moon”?

— Od grudnia aż do końca stycznia.

— A więc nie przyjechałaś tu w styczniu, tylko w grudniu.

— *Yes sir*, w grudniu, przepraszam, zapomniałam.

— Nie rozumiem. Byłaś w ciąży i tańczyłaś. Kiedy więc urodziło się dziecko?

— Dziecko urodziło się w lutym, tańczyłam aż do końca stycznia.

— Jakto? — powiedział — przecież już byłaś w przedostatnim miesiącu i tańczyłaś?

— *Yes sir*. Tańczyłam do końca stycznia, nie rozbierałam się zupełnie, nosiłam gorset i nie bardzo było widać.

— A gdzie jest teraz to dziecko?

— Jest w bezpiecznym miejscu — powiedziałam. — Więcej nie powiem. To już moja sprawa.

Policjant westchnął. Otarł pot z karku i szyi chusteczką i spojrzał na Randy.

Randy skinął głową, powolne, uroczyste skiniecie. Podśluchiwał wszystkie moje rozmowy telefoniczne i wiedział.

— O.K. — mruknął policjant. — A czy Lee Fisher był ojcem twego dziecka?

Roześmiałam się.

— Możesz zresztą nie odpowiadać na to pytanie.

— Ale owszem, mogę! Nie! Nie był.

— Dlaczego się śmiałaś?

— Może się pan spytać Randy. Śmiałam się z tego pytania. Czy nie wolno mi się śmiać!! Czy pan znał Lee! Nie? Ale Randy go znał. Randy znał go dobrze.

Jenkins wstał z fotela i spojrzał na stojącego pod ścianą Randy. Przesłonięty wielkim ciałem policjanta Randy dygotał na swoich szurzących łapkach i milczał. Sierżant spojrzał na niego i znów odwrócił się ku mnie.

— Randy nie chce panu powiedzieć. Lee był pederastą.

— A więc nie był ojcem?

— Do cholery! — krzyknęłam. — O co jeszcze będziecie mnie tu posądzać?

— Uspokój się — powiedział — nikt cię nie posądza. Zamknij buzię i nie krzycz!

— *Yes sir* — powiedziałam. Byłam teraz czerwona ze wściekłości, ale wolałam być cicho, wolałam go nie rozdrażniać.

Zamknął notes, schował go do kieszeni. Podniósł się ciężko z fotela.

— Jenkins — powiedział — zaczekajcie tu z nią jeszcze.

— *Sir* — szepnęłam — jak długo?

— Już pewnie niedługo. Potem pojedziesz z nami na posterunek, trzeba będzie załatwić pewne formalności. Możesz zatelefonować, że nie przyjdiesz dziś do pracy.

Znów dygotanie kolan i ból brzucha. Patrzyłam, jak oddalali się korytarzem, zabierali ze sobą coraz więcej wiedzy o mnie, znikomej, powierzchownej. Przetarłam rękami twarz i oczy. Byłam zmęczona. Drzwi od drugiego skrzydła hotelu, do którego wchodziło się poprzez poczekalnię i gdzie były „apartamenty”, otworzyły się. Zapach smażonego mięsa i kartofli i stukocik wysokich, cienkich szpilek. To Neal. Spojrzałam na nią kątem oka. Nie zwróciła na mnie uwagi, albo może wolała mnie nie zauważyć. Wychodziła na wieczorny spacer i prowadziła na smyczy swego małego, białego pudła. Jej

blond peruka sterczała, jak wielka kopa siana, jej chude ciało opięte w biały kostium ze spódnicą odsłaniającą kolana. Jej ostry, wypięty kuper podrygiwał, jakby dławiała się nieustanną czkawką. Wąchała kokainę, a teraz będzie w kropce, bo nie będzie jej mogła kupować od Lee. Ostry zapach perfum biegł krótko w ślad za Neal i zgasł zaraz pod naporem kuchennych odorów. Po tem wszystko się rozlało w mdłe, ciężkie powietrze, w duchotę hotelu Rivoli.

— Gdzie oni poszli? — szepnęłam.

— Taaak? — ziewnął Jenkins. — Co takiego?

Podniosłam się, wyprostowałam, mięśnie zdrętwiały mi od siedzenia na pękniętych sprężynach fotelu. Podeszłam do okna.

— Gdzie oni poszli? — spytałam.

— Pewnie sierżant poszedł coś załatwić — powiedział.

— Co?

— Pewnie ma jakiś interes do załatwienia.

— Pewnie — mruknęłam.

Odsunęłam firankę i spojrzałam przez szybę. Neal przechodziła przez jezdnię, trzymała pieska pod pachą. Neal lubi forszę, idzie poszukać sobie faceta z forszą. *A guy who has a role on.* Nie będę telefonować, i tak jeszcze nikogo nie ma. I tak mnie wyleją. Zaraz potem wrócę do domu. Popracuję gdzieś jeszcze ze dwa miesiące i nazbieram dość forsy, żeby wrócić do domu. Och, nic mi się nie chce. Tylko zasnąć. I nie obudzić się. *I wish I was dead.* Samochody sunęły jezdnią, jeden za drugim. Rekiny. Pomarańczowa taksówka zatrzymała się przed hotelem. Mężczyzna i dziewczyna. Co to za dziewczyna? Miriam? Nie znam jej. Co się stało z Melvin'em? Co się stało z tym idiotą, wyleciał, jak wściekły. Powiedział, że wróci. Niech go diabli wezmą. Taksówka ruszyła dalej, odjechała w kierunku stacji kolejowej. Przyjechałam na tę stację. Pociąg spóźnił się, były zasypane śnieżne. Niedaleko stąd mieszkanie Melvin'a. Długo kręcił tą taksówką. Mógł od razu jechać do mieszkania. Było zimno, okropnie zimno, nie miałam zimowego płaszcza, czuję to zimno w sobie. Zamrożona bryła śniegu. Chce mi się płakać kiedy myślę o tym. Przytuliłam czoło do szyby, ulica rozmywała się w moich oczach. Przełamywały się i załamywały, rozmywały krwawe i zielone łązy neonów.

Zapaliły się światła reflektorów na kurtynie.

— *Ladies and gentlemen, Miss Lili Conti! The star of our show!*

Teatr był starym, zakurzonym, obdrapanym drewniakiem. Wymiona niegdyś ozdobnych balkonów sterczały po obu stronach sceny. Bar, tuż przy orkiestrze opasywał scenę lekko zgiętym ramieniem.

To było pod koniec maja, a może na początku czerwca? Nie pamiętam dokładnie daty tego dnia. To nie jest zresztą takie ważne. Powiedzmy, ostatni tydzień maja, bo tak potem mówiłam: ostatni tydzień maja. Lato tam było wczesne i upalne i nagle, akurat kilka dni przedtem wylęły się chmary moskitów i atakowały miasto i wciskały się wszędzie. Rozpylania i siatki w oknach pomagały mało. Wszędzie te dręczące, uporczywe, kąśliwe bzykania. To nie odstraszało turystów, zaczynali już zjeżdżać i wypełniali sobą to miasto całe w pajęczynach koronek i zalegali wąskie uliczki pod których balkonami błąkały się wieczorem fantastyczne cienie hiszpańskich piratów, a w małych ogródkach otoczonych wysokimi murami drzemał zakłęty czar starych francuskich i hiszpańskich romansów.

Już od pół roku jeździłam z trupą Lee Fisher'a. Zatelefono wałam do niego po tamtej nocy z Bob'em. Musiałam wtedy gdzieś wyjechać. Musiałam coś z sobą zrobić. Zaangażował mnie tego samego dnia i obiecywał nawet, że zostanę gwiazdą. Wiem teraz dobrze, że nigdy nie będę tancerką. Gdyby nie tamten wypadek z Pat nie doszłoby do mego samodzielnego występu. Ale wtedy miałam jeszcze zapał. Ćwiczyłam całe przedpołudnia. Lee uczył mnie. Stawałam przed nim nago i kurczyłam i rozkurczałam mięśnie w takt jego miarowego uderzenia dłońią o stół, i wobec jego twarzy nieruchomej, płaskiej, zawsze dobrze wygolonej.

Tylko jego szczęki grały pod skórą policzków, papieros zwisał niezmiennie z kącika ust. Bolały mnie wszystkie mięśnie, nie mogłam zasnąć nad ranem, gdy wracałyśmy z klubów, albo teatrzyków do hotelu. Zresztą rzadko kiedy wracałam bezpośrednio do hotelu. Po występach przysiadalam się do stolików i bawiłam gości. Zaczęłam wtedy pić i piłam coraz więcej. Wtedy też, wkrótce po poznaniu Lee utleniłam moje włosy. Lee wskazywał nam stoliki, mówił: Pójdiesz tam, przysiądziesz się do tamtego stolika. Często zabierałam gości do mego hotelu, wynajmował pokój, a ja potem przychodziłam do niego. Robiło to się tylko z tymi o których Lee mówił, że mieli forszę. Później nauczyłam się sama rozpoznawać kto mógł mieć grubszą forszę, a kto tylko tyle, że starczało mu na kilka drink'ów. Lee zwykle dostawał połowę, czasem trochę mniej, jak udało mi się go oszukać, bo zwykle domyślał się, wiedział. Rano płakałam, ale coraz rzadziej, coraz mniej. Myślałam: czekajcie, niech no tylko zostanę gwiazdą, wtedy będę mogła przebierać. A tymczasem tańczyłam w linii. Razem z siedmioma innymi. Od początku grudnia, aż do końca maja przetańczyłam od północnej Kanady, aż do Zatoki Meksykańskiej zatrzymując się w większych miastach, przeważnie w portach, tam był najlepszy *business*. I rozbierałyśmy się na scenie w zależności od tego, jak udało się Lee załatwić z policją i jaka była akurat w tym mieście atmosfera. Czasem mogłyśmy się rozbierać tylko do cekinowych majtek i biustonoszy, a czasem, jak wszystko było *clear* i policja nie następowała nam na pięty, rozbierałyśmy się zupełnie. To zresztą mogło się zmienić z dnia na dzień. Wtedy, jak ja przystąpiłam do nich, Pat została „gwiazdą”, bo akurat ich najlepsza tancerka puściła ich kantem, dlatego Lee mnie przyjął. Pat niewielka, ciemna, miała pewnie sporo meksykańskiej krwi i prawdziwy talent. Ona jedna z nas tylko umiała tańczyć. A już, jak zaczęła się pod koniec wieczoru rozkręcać i wirować i przy dobrej komitywie z policją, albo i policyjnej nieświadomości, pokazywać siebie na wskroś, widownia gwizdała i szalała.

Nie wiem dlaczego Pat zaczęła tańczyć i robiła te wszystkie świństwa na scenie i dlaczego każda z nas przyłączyła się do Lee, a potem do kogo innego i dlaczego wybrałyśmy akurat ten rodzaj życia, ten właśnie rodzaj zarobku. Wiem tylko o sobie, ale i o sobie wiem bardzo niewiele, bo gdy, wydaje mi się, że już się trochę znam i postanawiam, jak zwykle „coś z sobą zrobić”, wymykam się samej sobie i zaskakuję samą siebie niespodziewaną decyzją. Tak, jakby wiele rzeczy działo się naokoło mnie i decydowało o mnie, a mało we mnie samej, chociaż ja, ta inna, ta prawdziwa Olivia, istnieję i tylko przemawiam tak słabo i tak

cicho, że nikt nie słyszy mego głosu i nikt nie pomoże mi usłużyć i zrozumieć samej siebie.

Węc to stało się pod koniec maja. Zjechaliśmy na południe, turyści oblegli już miasto i było ich wszędzie pełno, tak, jak wszędzie pełno było wylęgających się wariacko moskitów. Tańczyliśmy dwukrotnie wieczorami: raz o dziesiątej i raz o dwunastej. Po pierwszym opadnięciu kurtyny Pat ledwie-że wróciła do garderoby. Garderoba była ciasna, obijałyśmy się jedna o drugą, komary wlatywały przez stale niedomknięte drzwi. Położyła się wprost na podłodze, a po jej śniadych udach zaczęły się wic drobne nitki bardzo ciemnej krwi. Skręcała się z bólu i jęczała. Ktoś zawołał Lee. Wpadł do garderoby, jego wąskie zielonożółtawe kocie oczy zaraz przychwyciły jęczącą na podłodze dziewczynę. Odrzucił papierosa, przydeptał go nogą.

— *All out!* — krzyknął. — Wynosić się!

Rzuciłyśmy się wszystkie do drzwi, ale zanim zdążyłam wyjść, powstrzymał mnie.

— Olivia!

Wróciłam i stanęłam pod ścianą. Dygotałam ze strachu.

Lee w białej sztywnej koszuli i fraku pochylony nad obnażonym, skręconym ciałem Pat.

Mała kałuża krwi zbierała się już wokoło jej ud na podłodze.

— Cóżes sobie narobiła, ty k... — syczał? Nie mogłaś uważać?

Pat nie odpowiadała, płakała i jęczała.

— Zostań tu — powiedział do mnie — idę zatelefonować po ambulans. I ubieraj się w zieloną suknię, będziesz dziś tańczyła zamiast niej.

— *Yes Lee* — szepnęłam.

Gdy wyszedł uklękłam obok Pat.

— Daj mi ręcznik — jęknęła. — I przykryj mnie.

Rzuciłam jej ręcznik i zdjęłam z wieszaka jej bieliznę i sukienkę. Położyłam przy niej.

— Pat — starałam się ją pogłaskać po rękę — czy mogę ci jakoś pomóc?

— Idź do diabła — warknęła — nie dotykaj mnie.

Odsunęłam się, a ona znów zaczęła jęczeć i płakać. Stałam tam, aż przyjechało dwóch ludzi, wzięli ją na nosze i przykryli kocem. Lee wszedł do garderoby.

— Ubieraj się! — krzyknął. — Jeszcze nie jesteś gotowa?

— O.K. — mruknęłam.

— Co? — powiedział. — Tylko O.K.? — Podeszedł do mnie, położył mi ręce na ramionach, jego palce były wąskie i twarde, raniły, jak druty. — Daję ci szansę, i tylko O.K.?

— Tak Lee — powiedziałam — dziękuję. Co się stało Pat? — szepnęłam.

— Nie twój zas... interes! Ciesz się, że masz okazję i nie zmarnuj jej. — Rzucił niedopałek na podłogę, przydeptał nogą, dostrzegł plamę krwi i wzdrygnął się, splunął z obrzydzeniem. Zdjęłam z wieszaka zieloną suknię z błyszczącej lampy.

Lee stanął przede mną, jego twarz tak blisko, że czułam przesycony alkoholem oddech.

— Słuchaj — powiedział. — Ruszaj się! Nie tańczysz na popołudniowym przedstawieniu w *Sunday School*. Masz dupę z drzewa! I pokazuj co masz między nogami. Myślisz, że przyszli tu patrzeć na twój goły brzuch tylko! Twoja jedyna okazja, słyszysz?

— *Sure Lee* — szepnęłam. — *Sure*. Nie zrobisz ci zawodu.

Przeczucie tego wieczoru było już we mnie. Przypominam sobie teraz, że od kilku dni byłam niespokojna. To chłodne promieniowanie gwiazd, moich gwiazd, które poza mną i nade mną ułożyły się we wróżebną konfigurację drażniło koniuszki moich nerwów. Więc kiedy Lee wyszedł z garderoby, stanęłam przed lustrem i westchnęłam do samej siebie: wiedziałam. Często przedtem i potem mówiłam do siebie: wiedziałam, ale dopiero fakt dokonany, jak odślonięcie zapisanej karty, uświadamiał mi, że wiedziałam, ale tylko nie wiedziałam, że wiem.

Drżałam z podniecenia. Nie pomyślałam ani przez chwilę o Pat. Nie obchodziła mnie. Obawa przed Lee spłynęła ku tyłowi czaszki tam gdzie tłoczą się myśli, uczucia i obrazy jak bezrobotni aktorzy pamiętający cierpliwie raz odegrane role. Na błądą z wściekłości twarz Lee, na jego zwężone, zielonawo-żółte gotowego do skoku kota oczy, spuściłam kurtynę. Myślałam: A jednak dotrzymał przrzeczenia. Lee daje mi szansę. Będę występowała solo. Jestem gwiazdą.

Gorączka sceny obejmowała mnie tkliwie niespokojnymi, rozpalonymi dłońmi, poddawałam się tej pieśszczocie, topniałam w niej. Nałożyłam suknię, poprawiłam *make-up*, naciągnęłam długie, poza łokcie, zielone, błyszczące rękawiczki. Stanęłam przed lustrem, piłam samą siebie upijałam się sobą.

— Gotowa? — zawołał Lee.

— Gotowa — powiedziałam.

Stałam za kulisami, moja szyja i kark były wilgotne z upału, a jednak dygotałam. Wstrząsały mną raz po raz mocne, gwałtowne dreszcze.

— *Ladies and gentlemen. The star of our show! Miss Lili Conti!*

Przeszedł obok mnie, syknął: Ruszaj się! — i pchnął mnie na scenę.

Zaczekałam na trzecie uderzenie bębna. Weszłam. Doszłam do połowy sceny. Oklaski. Słabe i oczekujące. Może spodziewali się Pat i wielu było rozczarowanych. Sękaty marynarz przechylił się poprzez balkon, oceniał mnie. Reszta widowni była ciemnoszarą plamą. Przeszłam wzdłuż sceny falując biodrami. Muzyka hałaśliwa i monotonna, odurzająca, jak flet zaklinacza węży. Poddawałam się muzyce, falowałam w niej. Wciąż chodząc wzdłuż sceny zsunęłam prawą rękawiczkę, odeszłam w głąb i odrzuciłam ją za kulisy. Lee podchwycił ją. Nie spojrzeliśmy na siebie. Wróciłam na brzeg sceny. Zsunęłam wolno lewą rękawiczkę, odwróciłam się bokiem i uniosłam suknię aż do kolan. Odrzuciłam rękawiczkę.

Wyrzuciłam w górę oba ramiona. Poddawałam się. I widziałam samą siebie: linię ramion, szyi i piersi, wcięcie talii i krągłość bioder. Widownia przycichła, czułam jej napięcie, krew jej, bo widownia była jednym tylko zbiorowym ciałem odbierającym i odbijającym mnie, podcięta wyrzuceniem moich ramion zaczynała już ruszać drobnym truchcikiem, uderzenia bębna były jej pulsem. Chodziłam wzdłuż sceny odwołując moment rozpięcia sukienki. W połowie sceny zaczęłam zwolna rozluźniać zamek. Suknia opadła, przestąpiłam przez nią, jak przez zieloną, błyszczącą kałużę. Odrzuciłam. Muzyka nabrzmiewała, głośniejsza, szybsza. Teraz! Piersi poddane ku przodowi, biodra zataczają łuki coraz szybciej, szybciej. Mięśnie brzucha prężą się i rozluźniają, pępek podjeżdża w górę, ześlizguje się ku dołowi. Odwracam się tyłem ku widowni, mięśnie pośladków pracują, czuję pot spływający mi po karku. Rozgrzewam się, płonę w świetle reflektorów, w wirującym szaleństwie własnego ciała. Zdzieram przezroczyste, zielone majtki, osłania mnie tylko wąski, zielony, cekinowy trójkąt. Zrzucam przezroczysty biustonosz. Na uderzenie bębna odwracam się twarzą do widowni. Oklaski. Widzę ich, przestają być plamą. Z balkonu wychyla się rozplomieniony marynarz, gdyby mógł dosięgnąłby mnie ręką.

— Ślicznotko! — woła.

Mój brzuch i uda pracują. Odwracam się, ściągam błyszczący trójkąt i zostawiam go na jednym udzie tylko. Coraz bardziej zbliżam się do widowni, tańczę na samym brzeжку sceny. Odrzucam cekinowe napierśniki. Orkiestra gra coraz szybciej. Półprzysiad, rozłożone szeroko uda. Podrywam się. Znów wiruję, palę się, przeginam, dotykam ręką, całym ciałem niemal barowego, opasującego scenę drewnianym ramieniem kontuaru.

I nagle wszystko we mnie gaśnie, sztywnieję, tylko mięśnie moje drgają wbrew mnie samej. *Widzę go.* Oparty łokciami o bar, wpatrzony we mnie. Uchwycone nad czo-

łem ciemne, gęste brwi, jak skrzydła ptaka. Kosmyki czarnych włosów opadają mu na czoło. Rozchylone na wilgotnych zębach usta. Rozpięta na szerokiej, spalonej słońcem piersi biała, sportowa koszula. Patrzy na mnie oczami Krzysztofa. Zatrzymałam się. Jego skośne, zajmujące niemal połowę twarzy oczy spotkały się z moimi oczami. Tylko na chwilę, tylko na jedną sekundę, ale to wystarczyło, abym uświadomiła sobie, że jestem zupełnie naga na scenie nędznego teatryku wobec oczu Krzysztofa. Uśmiechnął się i odpowiedziałam mu uśmiechem nie tym odsłaniającym zęby przeznaczonym dla widowni, ale zakłopotanym i przepraszającym. Chciałam się otulić moim uśmiechem, okryć nim, ale on tego nie zauważył. Jego uśmiech ześliznął się na moje nagie piersi, na trójkąt brzucha i ud. Teraz powinnam się odwrócić, tyłem do widowni, pochylić się nisko i w rozkroku i półprzysiadzie dotknąć dłońmi desek sceny. Ale zamiast tego stoję na środku sceny, a moje biodra jak rozpędzone wahadło zegara falują wbrew mnie samej coraz wolniej, wolniej. Kłaniam się szybko, niezręcznie, wybiegam ze sceny, oklaski gonią mnie. Lee czeka na mnie w przejściu do garderoby.

— Olivia!

Nie odwracam się. Chwyta mnie za przegub ręki, jego uścisk jest miazdzący.

— Tak, Lee? — mówię.

— Nieźle. Ale dlaczego nie zrobiłaś ostatniej figury? O dwunastej tańczysz drugi raz. Teraz trzeci stolik w pierwszym rzędzie.

— O dwunastej?

— Ty tańczysz o pierwszej, o dwunastej zaczyna się drugie przedstawienie.

— Muszę trochę odpocząć. Za pół godziny. — Myślę: Boże, a jeżeli on już wyszedł?

— Trzeci stolik w pierwszym rzędzie. Zrozumiałaś?

— *Sure Lee, sure*, za małe pół godzinki.

Wpadłam do garderoby, narzuciłam sukienkę. Może jeszcze zdążę — myślałam — może on tam jeszcze jest. Szłam tak, jak poruszają się we śnie lunatycy, poruszana i pociągana niezrozumiałą dla mnie siłą, albo, jak morze, którego zielone stopy biegną na milczące wołanie księżycy. Siedział jeszcze przy barze, trzymał w ręku szklankę i śmiał się z błazeńskich popisów dwóch starych, pokracznych aktorów, których grube kawały znałam już na pamięć. Jeden z nich w szlafroku i siwej peruce podpierał się laską i odgrywał stetryczyka, lubieżnego staruszka, drugi w zmiętym kapeluszu i kraciastej marynarce był pośrednikiem, który miał mu wyszukać kandydatkę na żonę.

Chłopiec przy barze śmiał się, nie dostrzegł mnie. Podeszłam

blisko, położyłam mu rękę na ramieniu. Drgnął, odwrócił się. Zamknęłam oczy pod jego spojrzeniem.

— Chodź — szepnęłam.

Przechylił się, dotknął policzkiem moich włosów.

— Nie mam forsy, siostrzyczko — roześmiał się. — Jestem zupełnie spłukany.

— Chodź — powtórzyłam — chodź prędko.

Spojrzał na mnie uważniej, jakby zaczynał rozumieć, ale roześmiał się znów, odrzucał nawet możliwość zrozumienia. Nie czekałam, aż się odezwie.

— Chodź, to ważne — szeptałam — proszę cię, będę czekała na ulicy. Wyjdź za mną, nie ze mną.

— Czy nikt się jeszcze nie zgłaszał? — skrzeczał błazen-staruszek.

Nie widziałam, ale wiedziałam, że przykładał teraz wielką tubę do ucha w którą drugi błazen podrygując odkrzykiwał:

— Już jest, jest pierwsza kandydatka, już się zgłosiła i hm... i... czy mam ją dokładnie przeegzaminować?

Przesuwałam się nieznacznie ku drzwiom, bałam się odwrócić, serce waliło mi nieprzytomnie, płakałam i śmiałam się. Czułam, że on podnosi się znad baru, że idzie za śladem mego szeptu zaintrygowany, zdziwiony. Portier przychwycił mnie kątem oka, wykałaczka podrygiwała w jego zepsutych zębach. Przystanęłam przed wejściem, chwyciłam głośno oddech. Nad wąską uliczką ujętą w koronkowe balkony dojrzewała gwiazdzista, letnia noc.

— Jestem — powiedział — bardzo zaszczycony wyborem, ale przysięgam ci, że nie mam grubego portfelu.

Nie odwracając się, poszukałam jego ręki.

— Chodźmy stąd — szepnęłam — prędko.

Minęła nas grupa turystów, mieli przewieszone przez ramiona aparaty fotograficzne. Zatrzymali się przed teatrzykiem, wahali się: wejść, czy nie.

Prowadziłam go bocznymi uliczkami, opustoszałymi już, w kierunku *French Market*.

Ujął palce mojej ręki i przycisnął je. Na zegarze katedry Św. Ludwika była za dwadzieścia pięć minut dwunasta. Trzeci stolik w pierwszym rzędzie? Zrozumiałaś? Ty tańczysz o pierwszej, o dwunastej rozpoczyna się drugie przedstawienie.

— Jesteś urocza — powiedział — a ja mam pustą kieszeń. I taka tajemnicza. Czy chcesz mnie porwać siostrzyczko? — Nie dostaniesz dobrego okupu. Przysięgam ci, że nie jestem wiele wart.

Szliśmy Aleją Piratów, tuż przy murze, pod baldachimem balkonów. Zatrzymałam się przy latarni, tam, na skrzyżowaniu

Alei Piratów i Chartres Street jest latarnia ozdobna i urocza, jak wszystko w tym mieście. Odwróciłam się i musiałam podnieść głowę, aby spojrzeć na niego.

— Przepraszam cię — szepnęłam. — Chciałam tylko zobaczyć twóją twarz.

Moje oczy były pełne łez. Lee? Do diabła z Lee! Nie będę teraz myśleć o Lee. Nie mogę teraz o tym myśleć.

Pochylił się. Jego twarz i tamta twarz, dwie nałożone na siebie, dwie przeobrażone w jedną zbliżyły się ku mnie. Patrzyłam, jak głęboka pionowa zmarszczka zarysowała się pomiędzy zrośniętymi brwiami, jak ciemniała rozbawiona przeźroczystość oczu.

— Co ci jest dziewczynko?

— Chciałam się przekonać — szepnęłam — czy nie jesteś tym, którym myślałam, że jesteś.

— O to ciekawe. Mam sobowtóra. I gdzie on jest?

Patrzyłam na twarz, odnajdywałam zagubioną linię ust i podbródka. Ta twarz była więcej niż przypomnieniem, z każdą sekundą zyskiwała sobie swoje własne prawa, nakładała się żywą farbą na znikający pod nią szkic.

— Gdzie on jest? — powtórzył. — Rzucił cię? Puścił cię kantem? Wróci, nie martw się, wróci! Nagle, obiema rękami przyciągnęłam do siebie jego głowę. Od dłoni poprzez całe ciało przebiegł mnie dreszcz, wstrząsnął mną. Pocałowałam go pierwsza. Całowaliśmy się nieprzytomnie i długo nie zwracając uwagi na spóźnionych przechodniów.

— Jesteś słodka — szepnął — zakręciłaś mi w głowie. I niech się dzieje co chce! Chodźmy gdzieś. Chodźmy gdzieś na *drink'a*. Starczy mi jeszcze na dwa drinki. Jutro siądę tu gdzieś pod murem w Alei Piratów i namaluję turystę.

— Jesteś malarzem?

— Nie! — roześmiał się — nie jestem tym prawdziwym z wielkim talentem i szkołą. Ale może nie gorszym od tych, co się tu kręcą i naciągają gości na portrety. Nie dziewczynko, podobno mam być inżynierem, ale nie wiem jeszcze kiedy i czy naprawdę nim będę. Zresztą to nieważne, mówmy o tobie. A więc ten osioł puścił cię kantem?

— Puścił mnie kantem — powiedziałam — wypiął się na mnie.

Wzięłam go pod rękę i przytuliłam policzek do jego ramienia.

— Taką śliczną dziewczynę — powiedział. — Taką śliczną dziewczynę! Widzę cię ciągle, jak tam tańczysz na tej scenie. Powiedz mi, co ty czujesz rozbierając się tak przy wszystkich? Szliśmy przed siebie, blisko siebie, przystając co kilka kroków i całując się na środku chodnika pod granatowym łukiem nieba,

albo oparci o stare mury uskrzydłonych kamieniczek. Minęliśmy katedrę. Na wieży kościelnej zegar wskazywał północ. Trzeci stolik w pierwszym rzędzie. Zrozumiałas?

— Co czujesz rozbierając się na scenie?

— Nienawidzę tego — szepnęłam — chciałabym z tym skończyć.

Szliśmy ulicą St. Ann. Zatrzymał mnie w kwadracie świetlnym padającym z górnego okna domu.

— Czy można na ciebie spojrzeć? — powiedział. — Czy teraz mnie będzie wolno zobaczyć twoją twarz? Można?

Uśmiechnęłam się. Spojrzeliśmy na siebie po raz pierwszy. To ja po raz pierwszy tej nocy zaczęłam go dostrzegać.

— Nie przypominasz mi nikogo — powiedział. — Zupełnie nikogo. Jesteś sama dla siebie. Zaskakująco urocza. Jakiego koloru masz oczy? Zielone? Prowadziłaś mnie gdzieś. Gdzie chcesz mnie zaprowadzić zielonooka nimfo? W jaką zasadzkę chcesz mnie wciągnąć? Przysięgam ci jestem spokojnym, skromnym chłopcem. Nie mścij się na mnie za tamtego. Muszę przyznać, że jestem mu trochę wdzięczny za to podobieństwo, chociaż do czasu. Podobieństwa męczą, a bliźniacy mają zwykle kompleksy. No więc tak bardzo jestem nim? Przyglądasz mi się. Czy zauważyłaś coś nowego?

— Nie — roześmiałam się — nie jesteś już tak bardzo tamtym.

— Śmiesz się dziewczynko! Chciałbym cię namalować uśmiechniętą. A więc gdzie chcesz pójść, na drinka?

— Nie — powiedziałam — chodźmy na kawę.

Pocałował mnie.

— Mówisz, że mieliśmy dość drinków? — szepnął. — Bo ja jeszcze nie. Jestem dopiero podchmielony i mamy przed sobą całą noc. Taka cudowna noc. Nie czuję nawet komarów.

Ulicą St. Ann wyszliśmy wprost z *Vieux Carré* na *French Market*. Kawiarnia była oświetlona. Turyści obsiedli stoliki. Z daleka już pachniało kawą i świeżymi *doughnuts'ami*. Z portu, znad Mississippi ciepły wiatr nawiewał chmury komarów.

Tańczysz o pierwszej, o dwunastej rozpoczyna się drugie przedstawienie. *Sure Lee, sure*, będę za małe pół godzinki.

Usiedliśmy na wprost siebie przy stoliku, trzymaliśmy się za ręce.

— O czym myślisz dziewczynko?

— Cudowna noc — szepnęłam — cudowna noc.

Spojrzałam na niego, starał się zatrzymać mój wzrok, tak, jak zatrzymał moje ręce.

— Powiedz mi o sobie — poprosił. — Jak dawno tańczysz? Czy pochodzisz stąd? Z tego stanu?

— To nieważne — szepnęłam.

— To powiedz mi chociaż o tym, którego ci przypominam. To był straszny łobuz? Tak? Chciałaś mi dać w mordę za niego i dlatego wyprowadziłaś mnie do ciemnej ulicy. Ale w końcu zrobiło ci się mnie żal? Tak? Więc zamiast trzepnąć mnie w twarz, mnie niewinnego chłopca, pocałowałaś mnie? No i ja nawet nie wiem, jak się nazywasz. Lili? czy tak cię zapowiadali?

— Kawa? — spytał kelner. Był chudy, ginął w fałdach swego białego, płatającego się wokół nóg fartucha i giął się ze zmęczenia. Zegar wydzwonił godzinę wpół do pierwszej.

— Dwie kawy i sześć *doughnuts*. Co ja mówię sześć! Osiem!

— Osiem *doughnuts* — powiedział kelner i dwie kawy.

Grupa turystów wysiadła z samochodu. Mężczyźni byli w słomianych, meksykańskich kapeluszach i kwiatowych koszulach, kobiety w shortach, ich opalone skóry połyskiwały w świetle kawiarni. Skóra moich ramion była biała, nie byłam jeszcze w tym roku na plaży.

— No więc jak się nazywasz, kochanie? Nie mogę przecież mówić do ciebie stale: dziewczynko.

— Nazywam się Olivia — powiedziałam.

— Olivio.

— Tak?

Kelner przyniósł białą kawę w grubych filiżankach i gorące, osypane miałkim cukrem *donaty*.

„Meksykańczycy” przeciskali się koło naszego stolika hałaśliwi i roześmiani.

— Masz łagodne imię i pasuje do twoich zielonawych oczu. Ale przecież nie wybieramy sobie sami imion. Wskakujemy w nie, jak w gotową skórę i wydaje się nam czasem, że powinniśmy się do nich dopasować. Nazywam się David.

— David — szepnęłam. — Nie chciałam cię uderzyć. Od początku chciałam cię pocałować.

— Tak? — powiedział. — A więc jeszcze go kochasz?

— Dlaczego o to pytasz?

— Jestem teraz z tobą. I nie chciałbym być kim innym, chciałbym być też trochę sobą. Zwykła męska zazdrość, nie lubimy nawet dzielić wspomnień.

Pochyliłam się ku niemu, dotknęłam włosami jego policzka. Poprzez szuranie krzesłami, zgrzyty zaparkowanych samochodów, krzyk i śmiechy mówiłam mu wprost do ucha gorącym, drżącym szeptem:

*A może chciałbyś kupić kwiat?
Ale ja sprzedać nie mogę
Lecz jeśli chcesz pożyczyć
Do czasu, gdy Daffodil
Rozwiąże swój żółty kapturek
przed drzwiami wioski
I aż Pszczoły z koniczyny rzędów
Wyciągną nektar i wino —
Jeśli chcesz pożyczę ci
Aż do tego czasu
Ale ani na godzinę dłużej.*

Odsunęłam się od niego. Oparłam o krzesło.

— Olivio — powiedział. — Co ty tu robisz? W tym nocnym klubie, w tej budzie? Dlaczego zostałam *streap-tease*? Nie mogę tego zrozumieć.

— Zarabiam — powiedziałam — lubię to.

— Przed chwilą powiedziałaś, że nienawidzisz tego. Zawsze wyobrażałam sobie, że...

— Masz rację — przerwałam mu — słusznie sobie wyobrażałeś. Czasem lubię, czasem nienawidzę. Dlaczego nie pijesz kawy?

— Zdumiewasz mnie — powiedział — z każdą chwilą jesteś bardziej urocza. Wydaje mi się, że nie istniejesz, że to tylko moja wyobraźnia. I dlatego chcę cię dotykać i obejmować, bo wydaje mi się, że to nie prawda.

— Czy masz może papierosa? — spytałam.

— Nie palę — powiedział. — Ale zaraz — podniósł się. — Zaraz ci kupię.

— Nie — położyłam mu rękę na ramieniu — nie, to nieważne. Nie odchodź.

Podniosłam filiżankę kawy, starałam się pić. To nie pomagało. Skóra mojej twarzy i szyi zaczynała już płonąć.

— David — szepnęłam — pocałuj mnie.

Przechylił się poprzez stół i dotknął wargami moich włosów. Powiedział:

— Czy chcesz pójść ze mną...? — Jego głos drżał, rozpoznałam już to ochryple, tamowane drżenie.

— Nie — powiedziałam — nie pójdę z tobą do hotelu. Nie z tobą.

— Nie — szepnął prędko. Myślałem, że może chciałabyś się przejechać. Mam niedaleko stąd zaparkowany samochód. Może nad jezioro Pontchartrain? Tam będzie chłodniej. Byłaś tam kiedyś? Widziałaś *Lake Pontchartrain*? — Mówił szybko nie

patrzac na mnie — 40 mil długie, 25 mil szerokie. Pojedziemy? To niedaleko stąd, tylko pięć mil. Pojedziemy?

— Wszystko mi jedno — powiedziałam — tylko nie do hotelu.

— Tu są okropne komary — mówił — chodźmy!

Podniosłam się, czułam jego pośpiech, jego wzrastające podniecenie.

Wyszliśmy z kawiarni i szliśmy *Canal Street* wtuleni w delikatny aksamit nocy.

— Muszę jutro wyjeżdżać — powiedział — mam letnią praktykę koło Memphis. Ale zobaczymy się jutro przed południem, dobrze? Spotkamy się tu na kawie?

Zatrzymałam się pierwsza przed jego samochodem.

— Skąd wiedziałś? — zdziwił się.

— Chłopcy podobni do ciebie mają zwykle *convertible* i kłopoty z motorem.

— Jesteś urocza — powiedział. — Ale nie mam kłopotów z motorem i... nie mówmy o chłopcach. Nazywam się David.

— David — powtórzyłam. — Nie zapomniałam.

Jechaliśmy nie patrząc na drogę. Zamknęłam oczy, pęd powietrza rozwiewał mi włosy, chłodził twarz. Objęłam go jedną ręką za szyję.

— Cudownie — szeptałam — jestem taka szczęśliwa.

Wjechaliśmy między wille podmiejskie, powietrze pachniało młoda, letnią zielonością, chłodny, orzeźwiający wiatr znad jeziora tamował nam oddech. Kiedy otworzyłam oczy, jechaliśmy już nadbrzeżnym bulwarem. Wychyliłam się i patrzyłam na jezioro, było ogromne jak morze. Gwiazdy i dalekie światła mostu pływały w nim, jak wielkie meduzy.

David zaparkował samochód. Wyszłam pierwsza i stanęłam na trawniku twarzą do jeziora. Poczułam jego oddech na swoich plecach. Objął mnie i zeszliśmy stromym wałem aż nad brzeg wody. Brzeg był skalisty. Fale nadbiegały ciężkie, ciemne, spienione i rozpryskiwały się głośnym szumem o kamienie. Czułam krople wody na skórze. Jezdnia była słabo oświetlona, na ławkach, wzdłuż bulwarów siedziały jeszcze tu i ówdzie przytulone do siebie pary.

Było już bardzo późno. Zgasły nawet kolorowe neony Wesołego Miasteczka na odległym, piaszczystym brzegu jeziora. Delikatny chłód topniejącej nocy nasiąkał zapachem wilgotnej trawy i bzu. Odwrócił mnie ku sobie. Poprzez jego ramię widziałam dalekie, drobne jak cekiny nocne światła miasta.

— Tu więc mnie przywiodłaś, nad brzeg jeziora. Rusałko. A może naprawdę jesteś zielonooką rusałką. Wabisz niewinnych

marynarzy i potem wykręcasz się na pięcie. Muszę stale upewniać się, że jesteś prawdziwa. Spójrz na mnie, dlaczego patrzysz poza mną?

Uśmiechnęłam się.

— Patrzę na ciebie, David.

— I co widzisz?

— Tylko ciebie.

Twarz Lee uderzyła mnie nagle, przebiegł mnie dreszcz, wstrząsnęłam się. Ty tańczysz o pierwszej, o dwunastej zaczyna się drugie przedstawienie.

— Zimno ci Olivio?

Przytuliłam się do niego. Szliśmy przed siebie, piasek chrząścił pod stopami. Ginęły światła miasta, za wysokim wałem nabrzeżnym chował się rząd śpiących, zadumanych latarni. Księżyc wypływał blady i niepełny, jak na wpół opadły kwiat dmuchawca.

Odchodziliśmy coraz dalej, w coraz gęstszą ciemność. Muzyka wody była we mnie, odpowiadałam jej coraz gwałtowniej i namiętniej. Położyłam się na piasku i przyciągnęłam go do siebie.

— Spójrz na mnie — szepnął — nie jestem nikim innym.

Jego twarz była nade mną. Dotykałam palcami jego włosów, czoła, policzków.

— David — szepnęłam — nie jesteś nikim innym.

Wracaliśmy wolno, ociągając się i przystając. W samochodzie objął mnie.

Jechaliśmy przez uśpione, pachnące przedświtem i wiosennymi kwiatami ulice. Palmy stały na brzegach alei, jak gwardia olbrzymów w pióropuszech na głowach.

Uśmiechałam się, czułam swój uśmiech, wypełniał mnie leniwym, słodkim zmęczeniem.

— Jutro o dwunastej na *French Market* — powiedział. — Czy mam ci zabrać pantofelek, żebyś nie znikła, Kopciuszk?

— Przyjdę — szepnęłam — chyba, że...

— Nie ma żadnego „chyba” — przerwał — muszę się dowiedzieć więcej o tobie. Przecież to się nie może tak skończyć. Chyba... że chcesz, że naprawdę chcesz, żeby się tak skończyło. Jaki to wiersz deklamowałaś mi wtedy w kawiarni? Co chciałaś przez to powiedzieć? Czy zawsze tak deklamujesz wiersze? Nie znam się na poezji. Wszystkie wiersze wywietrzały mi z głowy. Wszystko dziś wywietrzało mi z głowy, jestem pełen ciebie tylko. Więc jaki to był wiersz, dziewczynko?

— Pamiętam tylko trzy wiersze — powiedziałam. — Przypomnę sobie ten drugi.

— Drugi, rusalko? Ten drugi jest na zakończenie?

Przytuliłam się bliżej do niego i szeptałam:

W Życiu co trwa godzinę
W tym Życiu co szybko się toczy
Jak wiele — powiedz — jak mało
Jest w naszej mocy.

— Dlaczego ty tam tańczysz, Olivio?

— Inaczej nie spotkałabym cię.

— Prawda — powiedział. — Masz rację. Czy uwierzysz mi, że byłem tam pierwszy raz, że po raz pierwszy widziałem *burlesque*? Nie wiem dlaczego poszedłem. Głupia ciekawość tylko. Nie przypuszczałem przecież. Nie wyobrażałem sobie. I dlatego nie mogę sobie wyobrazić, że ty...

— Odwieź mnie tylko do Burgundy Street, David — powiedziałam. — Nie chcę, żebyś odwoził mnie przed sam hotel.

— Ażebym się nie dowiedział gdzie mieszkasz? Dwunasta już wybiła, Kopciuszk. A może dopiero przeobrażasz się o wschodzie słońca? Olivio, wydajesz mi się nierealna, jak sen jednej nocy.

— Zobaczmy się — powiedziałam. — Jeszcze dziś. Myślałam: Lepiej żeby mnie nie odwoził pod hotel. Lepiej nie. Gdybym mogła zostać z nim jeszcze dłużej! Lepiej nie. Wsiadę teraz. Czułam twarz David'a. Była ciepła, aksamitną przytulnością nocy.

— O dwunastej na *French Market*. Muszę zobaczyć cię w pełnym świetle dnia, wtedy uwierzę, że to nie był sen.

— David — powiedziałam — czy zawsze tak pięknie przemawiasz do dziewcząt?

— Żadna z nich nie deklamowała mi poezji. Co to za trzeci wiersz, rusałko?

Na zegarze katedry św. Ludwika dochodziła godzina wpół do czwartej. Kolorowe kamieniczki całe w falbankach balkonów, o oknach przesłoniętych długimi okiennicami, spały nocnym, przedrannym snem. Niebo blade już przed inwazją dnia, a z pustych ulic, z zakamarków i zagłębień murów smukłe palce przedświt wygarniały ostatnie cienie nocy.

— Ten trzeci jest smutny. O wypie.

— Nie powiesz mi go na pożegnanie?

— Nie. Jak się znów spotkamy.

— A co mi powiesz?

— David.

— Tylko tyle?

— Do zobaczenia.

— Do dwunastej, rusałko. Będę myślał o tobie, Olivio.

W hallu, na dole paliło się słabe, nocne światło. Pusto. Wbiegłam szybko schodami na drugie piętro. Ciężki, ciepły zaduch śpiącego hotelu, trzeciorzędного hoteliku z łazienkami wspólnymi

dla lokatorów każdego piętra. Łazienka była tuż przy moim pokoju. Weszłam, spojrzałam w lustro. Uśmiechnęłam się do mojej twarzy. Lustro odpowiedziało mi uśmiechem rozmarzonym i sennym. Wyszłam z łazienki, stanęłam przed drzwiami mego pokoju, wsunęłam klucz do zamku. Drzwi otworzyły się od wewnątrz. Zanim zdążyłam krzyknąć, wciągnął mnie. Upadłam twarzą na podłogę pomiędzy butelki po piwie i niedopałki papierosów. Jęknęłam, uniosłam głowę ostrożnie bojąc się spojrzeć. Poznałam jego stopy. To on, Boże, to on! Uniosłam się na łokciach. Moje kolano krwawiło. Stał w bladym zielonawo-żółtym kręgu lampy, rozkraczony, rozpięta koszula, papieros obwisał w kąciку ust.

— Lee — szepnęłam.

— Chodź tu! — warknął.

Podniosłam się dygocząc, przytrzymując ręką bolące kolano, czułam popiół papierosów na wargach.

— Blżej! — powiedział.

Posunęłam się o krok ku niemu, łydki omdlewały mi, trzęsłam się.

Podszedł i uderzył mnie kantem dłoni w kąt szczęki poza uchem. Szybko. Raz, drugi i trzeci.

Zatoczyłam się, chwyciłam się rękami za głowę.

— Zostaw mnie! — krzyknęłam. — Zostaw mnie!

Chwycił mnie za włosy i rzucił o podłogę. Szkło butelki przecięło mi policzek. Jęczałam. Staralam się podczołgać bliżej drzwi. Tylko bliżej drzwi, otworzyć drzwi, wypaść na korytarz. Kopnął mnie w głowę, w plecy, w łydki.

— Zostaw mnie! — jęknęłam — zabijesz mnie!

Staralam się podczołgać bliżej drzwi. Rzucił się do drzwi i przesłonił je sobą. Zamknął je na klucz. Podczołgałam się do komody, skurczyłam w kącie pomiędzy komodą, a łóżkiem. Usta miałam pełne krwi, krew ciekła mi z policzka i z rozciętej wargi. Podarta na piersiach i kolanach sukienka. Osłaniałam się strzępami sukienki, płakałam:

— Czego chcesz ode mnie?

— Kurwa — mruknął. — Miałaś okazję zostać gwiazdą. I przesłałaś.

— Zostaw mnie! — krzyknęłam. — Zostaw mnie!

Chwycił mnie jedną ręką za włosy, a drugą zakrył mi usta.

— Słuchaj ty dziwko, jak będziesz krzyczała, zabiję cię. Słyszysz, krótko i skończone. Poderwałam się. Całą siłą wzięłam się zębami w jego rękę, którą zakrywał mi usta. Wyrwał rękę. Uderzył mnie pięścią w nasadę nosa. Upadłam oghuszona, ale zerwałam się. Błyskawicznie porwałam z komody popielniczkę. Zamachnęłam się. Wykręcił mi rękę, wyrwał popielniczkę, pchnął

mnie na ścianę. Wściekłość i ból oślepiały mnie. Porwałam się, rzuciłam z zakrzywionymi wściekłością palcami. Wykręcił mi rękę, kopnął w krzyż. Rzucił na podłogę. Leżałam półprzytomna, nie miałam siły się ruszyć. Płakałam, oddychałam szybko, głośno, nie mogłam chwycić powietrza.

— Chcę wracać do domu — jęknęłam. Ostrożnie, przesłaniając twarz ręką spojrzałam na niego.

Stał nade mną. Jego wąskie, kocie oczy zmrużone. Uśmiechał się. Oglądał pięści swoich rąk. Zakrzwawione.

— Wracaj — powiedział. — Masz pieniądze? Dużo dał ci ten facet z którym poleciałś w nocy? Splunął.

— Nienawidzę cię. — Jęknęłam. — Nienawidzę cię.

Pochylił się spokojnie i uderzył mnie w twarz. Walił mnie po głowie, po twarzy, po piersiach. Zwijalam się na podłodze ogłuszona, obolała, półprzytomna, jęczałam, nie mogłam nawet już jęczeć. Przyłgnęłam policzkiem do jego nóg, objęłam dygocącą ręką jego nogi.

— Lee, proszę cię, błagam cię, przestań. Przepraszam, przepraszam.

Wyprostował się. Odepchnął nogą moje obejmujące go ręce. Podeszedł do umywalki. Mył ręce, namydlał i mył znów. Przygłodził włosy przed zawieszonym nad umywalką lustrem. Nie odwracając się, powiedział:

— Za trzy dni będziesz tańczyła w linii. Twój kontrakt kończy się za trzy miesiące. Możesz potem iść na złamanie karku. Ale teraz nie próbuj bo ci go wcześniej złamię.

Podeszedł do drzwi. Otworzył i zamknął je bezszelestnie. Wyszedł. Leżałam nie śmiejąc się poruszyć, nadśłuchiwałam jego kroków, leżałam z uchem przy podłodze. Podczołgałam się do drzwi. Podniosłam się przytrzymując się ściany. Jęczałam przy najmniejszym poruszeniu. Spuściłam zamek drzwi. Upadłam na kolana przy drzwiach, łzy płynęły po mojej obolałej, zbitej twarzy. Podniosłam dygocącą pięść do góry. Zaciśnęłam zęby.

— Zabiję cię — zgrzytnęłam pomiędzy zębami — zabiję cię ty skurwysynu.

.....

Zaciskam zęby, gdy patrzę na nią. Leży na łóżku w strzępach swojej wieczorowej różowej sukienki, jej ciało jest posiniaczone, twarz obrzmiała, ze spuchniętej dolnej wargi krew spłynęła i zakrzepła na brodzie i szyi. Jej podbite, przekrwione oczy nie są oczami Olivii. Przez szpary w okiennicach syczy się pierwsza smuga słoneczna i pada na jej mokre od łez policzki. Wszystkie nasze siostry są z nami, zbiegły się solidarnie tego poranku i tulą się lękliwie do ścian pokoju gdzie na pokrytej farbą tapecie poko-

lenia lokatorów pozostawiały czarne, brunatne i krwawe plamy po rozgniecionych moskitach.

Olivia Spod Krzaku Azalii. W jej oczach postać mojej matki płynącej w górze ponad wierzchołkami drzew: świerku i jabłoni i postać ojca niosącego na rękach błękitne zawiniątko niby motyla o szafirowych skrzydłach.

Olivia Zakochana w Miss Ruth.

Olivia w Dzień Swych Trzynastych Urodzin.

Olivia Samotna w Szkolnej Sypialni.

Olivia Zakochana w Krzysztofie.

Olivia w Szpitalu.

Więc to tak? — szepczą. — Czy mamy się ciebie wyprzeć? Wydziedziczyć cię? Czy też może część odpowiedzialności spada na nas?

— Mamo — szepcze Olivia — gdzie jesteś? Kim jesteś?

— Gdzie jesteś, mamo? — pytają. Która z naszych twarzy jest twoją twarzą?

.....
Dopiero około południa zwlokłam się z łóżka i umyłam twarz, ręce i posiniaczone ciało. Spojrzałam na siebie w lustrze i rozpłakałam się głośno. Bałam się wyjść z pokoju, nie chciałam, aby mnie ktokolwiek zobaczył. Położyłam sobie mokry kompres na głowę i na twarz i starałam się zasnąć. Wentylator pod sufitem bezskutecznie walczył z potęgującym się upałem. Przez szpary w oknie i drzwiach przeciskały się komary. Nie miałam siły aby się od nich opędzać. Zapadałam w krótki nerwowy sen i ukąszenia komarów budziły mnie, podrywały. Otwierałam oczy i patrzyłam na sufit, na ściany na których plamy po rozgniecionych moskitach tworzyły fantastyczne mapy nieznanych mi lądów. Myślałam o mojej matce. O tej prawdziwej, której nigdy nie znałam. O której nikt mi nigdy nic nie powiedział. A ponieważ nie wiedziałam o niej nic, była jedyną do której mogłam się zwrócić i znaleźć wszystko, spodziewać się wszystkiego. Myślałam także, że muszę coś z sobą zrobić, zmienić i przeinaczyć moje życie. Postanowiłam odłożyć wszystkie zarobione pieniądze i po trzech miesiącach wrócić do domu.

Lee przyszedł drugiego dnia po południu. Wszedł bez pukania, miał swój własny klucz do mego pokoju. Stał obojętnie na środku pokoju.

Skurczyłam się na łóżku. Sparalizowana ze strachu bałam się oddychać. Kilka ukośnych smug światła padając przez szpary zamkniętych okiennic przekreślało sylwetkę Lee.

— No? — mruknął. — Wytrzeźwiałaś?

Wtuliłam się w kąt między ścianę i łóżko. Jęknęłam. Bolały

mnie ramiona i nogi, usta miałam pełne gorzkiej śliny. Podszedł do okna, szarpnął okiennice, światło uderzyło mnie w twarz, zakryłam rękami oczy.

— Złaż z łóżka — powiedział. — Stań tu przede mną.

— Nie mogę — jęczałam — wszystko mnie boli. Nie mogłam spać. Nic nie jadłam.

— Mam silne nogi? Co? I nie mam takich słabych rączek? Wiesz coś o tym teraz. Dalej, stawaj tu! Muszę cię zobaczyć.

Zwlokłam się z łóżka i stanęłam przed nim. Kręciło mi się w głowie. Dygotałam.

— Zdejm koszulę — powiedział.

Zsunęłam koszulę z ramion i stałam przed nim naga, mrużyłam oczy pod naporem światła, łzy spływały mi po policzkach.

Przyglądał mi się. Chłodnym, spokojnym wzrokiem obserwował moje ciało, zatrzymał się na twarzy.

— O.K. — powiedział. — Jutro będziesz tańczyła. — Odwrócił się. Podniosłam z podłogi koszulę. Nałożyłam ją. Siadłam na łóżku, podkurczyłam pod siebie nogi.

— Jutro wieczór — powtórzył.

— Nie — rozplakałam się. — Nie. Zostaw mnie.

— Każ sobie przynieść lód — powiedział. — Będziesz przykładała lód do twarzy.

— Czuję się okropnie — płakałam. — Nie mogłam zasnąć. Teraz też nie zasnę.

Podszedł do mnie i chwycił mnie za ramię. Zanim zdążyłam krzyknąć poczułam ukłucie igły. Chciałam się wyrwać, ale przytrzymał mnie kolanem. Wyprostował się, w rękę trzymał pustą strzykawkę.

— Co zrobiłeś? — jęknęłam. — Co mi teraz zrobiłeś? Teraz umrę, otrułeś mnie!

— Zamknij się! — warknął. — Nic ci nie zrobiłem. Będiesz po tym spała, jak nowonarodzone dziecko.

Zaczęło mnie ogarniać mocne, obezwładniające ciepło.

— Co to było Lee? — spytałam.

— *Dope* — powiedział — morfina. Nauczę cię zastrzykiwać sobie pod skórę.

Wyciągnęłam się na łóżku, przeciągnęłam się.

— Ach — szepnęłam — ach to to.

— Jak się obudzisz, zadzwoni na pokojówkę, przyniesie ci jedzenie. Miałaś mały wypadek samochodowy. Rozumiesz?

— *Sure Lee* — szepnęłam. Moje obolałe ciało rozprężyło się, oddychało z ulgą. Podszedł do drzwi, odwrócił się spojrzał na mnie.

— Ten facet — powiedział — był tam wczoraj. Dopytywał

się o Lili Conti. O Olivie. Staralam się unieść głowę, twarz Lee skrzywiona uśmieżkiem zamazywała mi się w oczach.

— Powiedzialem mu, że się pomylił. Nigdy takiej nie było. Powiedzialem mu grzecznie, żeby lepiej poszedł swoją drogą.

— Ach — jęknęłam — ach wszystko mi już jedno.

— Jutro będziesz tańczyła. I żebyś się nie spóźniła, słyszysz?

— *Sure Lee* — szepnęłam — nie spóźnię się.

Słyszałam, jak zamknął drzwi. Wyszedł. Leżałam obojętnie, pokój otulał się wokoło mnie, ściany kołysały się łagodnie. Z kąta pokoju spojrzały na mnie dalekie, jakby spoza mgły oczy David'a. Olivio, wydajesz mi się nierealna, jak sen jednej nocy. Fale jeziora podpływały na brzeg, odpływały szemrząc usypiająco. Zamknęłam oczy. Ręka Davida na moich powiekach. Dlaczego ty tam tańczysz, Olivio? Za trzy miesiące wrócę do domu, odłożę pieniądze i wrócę do domu. Wtedy coś będę musiała z sobą zrobić. Może będę pracowała w laboratorium, a może pójdę do *college*. Muszę coś... Jak tylko to się... muszę coś... muszę...

— Już idą — powiedział Jenkins.

Odwrociłam się od okna. Jak tylko to się skończy, zaraz wracam do domu. Jak tylko to się skończy z tą przeklętą policją. I muszę coś z sobą zrobić, muszę coś...

— Tak, już wracają — powtórzył. Stał twarzą zwrócony do korytarza i do głównego wejściowego hallu. Pochylił się prędko, zgasił papierosa w popielniczce i wyprostował służbiście. Stałam przed nim. Drgnęłam, cofnęłam się i znów patrzyłam, wysunęłam ostrożnie głowę zza jego ramienia. W głębi hallu stał Melvin? Ujęty w białe-czarne ramy dwóch policjantów. Obok sierżant i Randy. Ale Melvin! Stał tam z rękami opuszczonymi przed sobą. Dłonie dziwnie połączone razem. Stał z pochyloną głową. Zmiazdżony, zgnieciony, jakby przejechała go jego własna taksówka. Ręce! Patrzyłam na jego ręce. Chwycił mnie znów mdlący skurcz brzucha. Chciałam się cofnąć. Stałam i zza ramienia Jenkins'a patrzyłam na dłonie Melvina. Na rękach miał kajdanki. Podniósł nagle głowę. Spod swego *tupée* spojrzął na mnie, dostrzegł mnie, jego dolna, gruba warga drgnęła. Cofnęłam się, kapelusz Smithy wyświechtany i nieruchomy mignął mi przed oczami. Melvin? Melvin! Przytrzymałam się ręką poręczy fotelu.

— Może mi pan dać papierosa? — szepnęłam. Usiadłam na fotelu, było mi mdło.

— Sierżant już tu idzie — powiedział Jenkins.

Kroki zbliżały się. Nadśluchiwałam: ciężkie kroki sierżanta i drobne, usłużne kroczyki Randy. Nie było innych kroków. Przetarłam ręką czoło, było wilgotne.

— Gdzie ona jest? — spytał sierżant.

— O tu, siedzi — powiedział Jenkins.

— Acha, no tak — mruknął. — Chodź tutaj.

— *Yes sir.* — Podniosłam się, podeszłam. Kątem oka poprzez

ramię spojrzałam szybko w głąb korytarza. Melvin? Nie było go tam już. Ale część jego, rozsypane fragmenty łamigłówek: *tupée*, gruba dolna warga, która zadrżała na mój widok, iskra spojrzenia, którym mnie rozpoznał i ręce. Ręce złożone razem, — były tam jeszcze, wirowały w powietrzu. Resztki Melvin'a.

Sierżant zwałił się na kanapę, sapał.

— Siądź tu. — Wskazał mi krzesło.

Jenkins przysunął krzesło. Sierżant wyciągnął notes.

— Znasz Melvin'a Wineport?

— Szofera taksówki?

— *Sure*. Tego samego na którego patrzyłaś przed chwilą.

Skinęłam głowę: — Znam go.

— Kiedy rozmawiałaś z nim po raz ostatni?

— Kiedy z nim rozmawiałam?

— Tak. Kiedy mówiłaś z nim po raz ostatni ?

— Dzisiaj.

— I był dziś w twoim pokoju?

Randy stał oparty o ścianę. W kręgu sierżanta. W zasięgu jego protekcyjnej ważności; wyciągnęłam rękę, wskazałam palcem na Randy.

— On go tam wpuścił!

— Przychodził dawniej — mruknął Randy.

— Nie pozwoliłam ci nikogo wpuszczać do mego pokoju! — zawołałam.

— Dość — powiedział sierżant. — Odpowiadaj na pytania. Był dziś w twoim pokoju?

— Tak.

— Co chciał od ciebie?

— Chciał, żebym mu zapłaciła za przejazdy. Byłam mu winna pieniądze za jazdy taksówką.

— Posłałaś go do pokoju Fisher'a. Dlaczego?

Podniósł głowę znad notesu. Patrzył na mnie. Jego wielka twarz spalonego buldoga przytrzymała mnie. Nie mogłam odwrócić oczu. Poprzez oczy gorące krople ołowiu spływały aż do przetyku. Nie mogłam otworzyć ust.

— No? No więc?

— Tak — powiedziałam. — Melvin chciał forszę, a ja nie miałam. To powiedziałam mu, żeby poszedł do Lee i przyniósł mi te 35 kawałków. Należało mi się trzydzieści pięć kawałków od Lee.

— Przecież mówiłaś, że już nie pracowałaś dla niego. Za co ci się należało?

— To był jeszcze stary dług. Odebrał moje pieniądze z Klubu „Blue Moon”.

— Przecież nie pracowałaś już w tym klubie.
— Tak, ale to było jeszcze w styczniu jak...
— Jak co?
— Powiedzieli mi potem, że Lee odebrał moje pieniądze, jak...
jak byłam w szpitalu.

— Kiedy poznałaś Wineport'a?

— Melvin'a?

— Tak.

— To było... w grudniu.

— Kto cię z nim zapoznał?

— Powiedziałam już, że był szoferem taksówki. Nic więcej o nim nie wiem. Poznałam go w taksówce. Mam już dość tych pytań. Trzymacie mnie tyle godzin. Nic nie jadłam. Jestem głodna, powinnam pójść do pracy. Nic nie zrobiłam. Nie muszę na to wszystko odpowiadać. Mam prawo zawołać swego adwokata.

— Nie podnoś głosu — mruknął. — Masz prawo zawołać adwokata, ale jeszcze nie teraz. A może adwokat nie będzie ci potrzebny. Skąd wiesz, że będzie ci potrzebny adwokat?

— Nie wiem.

— No widzisz. Nie wiesz. Pojedziesz z nami na posterunek policji. Nie wydaje mi się, żebyś mogła dziś pójść do pracy. I nie masz powodu unosić się. Nic ci przecież nie zarzucamy.

— *Yes sir* — powiedziałam.

— A więc mówisz, że spotkałaś Wineport'a przypadkowo, że nikt cię z nim nie zapoznał?

— *Yes sir*. To prawda.

— Poznałaś go w grudniu zeszłego roku, jak tu przyjechałaś.

— Tak.

— W porządku. — Zamknął notes. Podniósł się.

Ulicą pędził ambulans. Jego rozpaczliwy, ogłuszający sygnał przed oknami hotelu, jego opętańczy ryk, jak skarga zranionego robota, uderzył o szyby, uderzył we mnie, zadrżałam i długo jeszcze drgały we mnie jego oddalające się, cichnące sygnały. Spojrzałam na sierżanta. Dopiero teraz zauważyłam, że jego prawy policzek przecinała ukośna blizna. Wypadek? Jaki wypadek? Co to mnie obchodzi? Niech już sobie idzie do diabła. Na posterunek policji? Wszystko mi jedno. To się przecież kiedyś musi skończyć. Melvin? Wpakował się. Po co się pchał? Pchał się od początku. To nie moja wina.

— Jenkins — sapnął sierżant. — Zaczekacie tu z nią jeszcze. Przyśle samochód i zabierzecie ją na posterunek.

— *Yes sir* — wyprostował się Jenkins.

Randy uważniony rósł w cieniu policjanta. Zalatuje swoimi sprawkami, jak stary ser. Nie czujecie tego? Nie starczyłoby mu

życia, gdyby miał odsiadywać za wszystko. Pomacał mnie wzrokiem ostrożnie, jak nikt nie widział. Powaga urzędowa na jego wąskim, sklepionym czółku. Odwrócił się i drobi przymilnie za ciężką pupą sierżanta.

— Hej, Randy!

Przystanął: — Co?

— Przyślij mi paczkę „Lucky’s”.

Wstałam z krzesła, patrzyłam, jak się kolebali korytarzem. W hallu skrećili na prawo.

Wyszli na ulicę? Podeszłam do okna. Odsunęłam firankę. Trzech marynarzy stało na rogu, palili papierosy. Chce mi się palić. Siąść na fotelu, wyciągnąć nogi, zapalić papierosa. I mocnego drink’a. To się przecież jakoś skończy. Potem do domu i coś muszę z sobą zrobić.

— No to już niedługo pojedziemy — powiedział Jenkins.

— Już mi wszystko jedno — mruknęłam.

— Co takiego?

— Jestem zmęczona.

— No to usiądź. Już niedługo.

Siadłam na fotelu. Donald, nocny portier, pomocnik Randy siedł tu. Niósł paczkę papierosów. Donald jest chudy, stary i bardzo czarny. Jego oczy poza okularami sterczą, jak dwa wypukłe kasztany.

— Miss — powiedział — przyniosłem papierosy.

— Dziękuję ci, Donald — powiedziałam. Wyjęłam z torebki 50 centów i dałam mu. — *Keep the change*. Skłonił się: — *Thank you, Miss*.

Wiem co myśli o mnie, ale właśnie dlatego zatkałam mu gębę napiwkiem. Czarny małpiszon, nie lepszy od Randy, handluje *dope* na własną rękę. Jego usługą, pokorniotka brązowa koszula powędrowała z powrotem korytarzem. Zaraz zawoła go ta zielono uszmiękowana wydra za kontuarem: — No i co Donald? Jak ona wygląda? — Ma porządnego pietra, nie? Trzęsie tyłkiem ze strachu? Ja coś czułem — powie Donald. — To już było w powietrzu.

Zapaliłam papierosa. Jenkins ziewał. Spojrzał na swój nikłowy zegarek.

— Za dziesięć minut powinni tu być. No może trochę dłużej. Na posterunku wszystko się wyjaśni. Pojedziesz ze mną na posterunek, ale to już nie powinno być długo.

— Możesz mnie zabierać gdzie chcesz — mruknęłam.

Przyłożył dłoń do swego wielkiego ucha. Co takiego?

— Ach, jestem śpiąca — ziewnęłam. Zamknęłam oczy. Oparłam głowę o fotel. W głowie mi szumiało.

Jechałam pociągiem. Kołysanie pociągu usypiało. Przyćmione światło. Okna otulone śniegiem. Pociąg włókł się, przystawał, zaspasy śnieżne, grudzień. Jechałam do tego miasta. Nie znałam go. Znałam tylko nazwę i nazwę hotelu w którym mieszkał Lee. Jechałam na spotkanie z Lee. Jechałam tu, ażeby mi zrobili skrobankę. Byłam w siódmym miesiącu ciąży.

Zapachy pociągu: żelaza i przegrzanego powietrza, oddechów drzemiących ludzi i wygasłych papierosów, plastikowych obić foteli, zmiętych papierów, skórek po pomarańczach, kwaskowaty odór potu i wędnącej wody kolońskiej. W tym pudle podłużnym zamknięta. Uwięziona. Uwożona. W odwrotną stronę. Nie po trzech miesiącach. Po siedmiu. Nie po trzech. Nikogo, ażeby się poradzić. Nikogo to nie obchodziło. Kogo to mogło obchodzić? Nie mogłam wrócić do domu. Nie mogłam znów, po raz drugi tak wrócić do domu. Był tylko Lee. Lee, pomóż mi. Błagam cię, Lee poradź coś. Co ja zrobię? Wszystko co powiesz, wszystko czego zażadasz, tylko poradź mi, pomóż mi.

Na szybach oddech zimy. Wzburzona rzeka nocy bulgocze za oknami i dosięga mnie, przenika, unosi, szarpie mną, rozrywa mnie. Sama wśród tego żywiołu, sama przeciwko niemu. Pociąg turkocze: Olivio dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego to zrobiłaś? To będzie kosztowało. Grubsza forsa. Pomóż mi Lee, błagam cię, pomóż mi, poradź coś. Znam lekarza, który to robi. Nie teraz, nie masz dość pieniędzy. Ja też nie mam zamiaru robić tego za darmo. Za to się płaci głową. Spróbuj pisać jedno słowo, tylko spróbuj pisać.

Przedłużył mi kontrakt. Zabierał połowę moich pieniędzy i wszystkie te, które dostawałam od klientów. Z południa zaczęliśmy się przesuwac na północny wschód. Tańczyliśmy coraz to

w innym mieście. Business nie był dobry. Mieliśmy pecha. Policja zamykała lokale. Pod koniec listopada Lee rozwiązał zespół. Powiedział, żebym przyjechała do tego miasta za trzy tygodnie i zatelefonowała do niego ze stacji. Przez trzy tygodnie pracowałam w barze. Nie było widać. Nosiłam szeroką spódnicę i ścisnęłam się mocno gorsetem.

Każdy obrót kół zbliżał mnie do tego, każda przejechana mila przybliżała mnie do spotkania z Lee. Do pozbycia się mego dziecka. Leżało w ciemnym tunelu mego ciała, samotne i oczekujące, świadome tylko mego ciepła, oddychało moim oddechem, karmiło się moją krwią. Dziecko David'a i moje. Nie mogę teraz o tym myśleć. Nie teraz. A później zapomnę. Jakby wcale tego nie było. Postaram się zapomnieć. Będę musiała zapomnieć. Pociąg kołysał miękko. Przegrzany oddech wagonu, niezdrowy, jak oddech chorego w gorączce przy moim uchu, na mojej twarzy: Dlaczego to robisz, Olivio? Co ty robisz? Co ty robisz? Robię to, co mi się podoba. A co zrobiłabym z dzieckiem? Zawieźć go do domu? Do mojej matki? Muszę to zrobić. Nie ma innego wyjścia.

Byłam znużona, powieki opadały, starałam się nie spać, patrzyłam w odległy punkt wagonu, przejście-korytarzyk między wagonami. Stamtąd oderwał się cień, skośne oczy przypłynęły do mnie pierwsze, ciemne szpary oczu pochyliły się nade mną. Przykro mi bardzo, Olivio. Nie! — zawołałam. — Nie, to nieprawda! Pochylił się nade mną, przysiadł na brzegu fotela, ciemna plama włosów, wąska szpara oczu poza okularami. Przykro mi bardzo, Olivio. Aż do teraz robiliśmy wszystko co możliwe. Och Boże — jęczałam — Boże...

— Bilet — powiedział konduktor.

Odsunęłam się, wyjął bilet zatknięty za poręcz fotelu.

— Niedługo dojeżdżamy — powiedział. — Cztery godziny spóźnienia.

— Po której stronie jest peron?

— Po prawej — powiedział. Przeszedł. Zapalił światło w wagonie. Pasażerowie zaczęli zdejmować walizki. Poderwałam się, spojrzałam przez okno. Dalekie światła miasta przebijały się poprzez śnieg. Włożyłam mój luźny, nieprzemakalny płaszcz. Zdjęłam walizkę z bagażnika, stanęłam w kolejce do wyjścia. Pociąg zgrzytnął, zahamował, cofnął się gwałtownie.

— To jeszcze nie stacja — powiedział ktoś — jeszcze kilka minut.

Pociąg ruszył ostrożnie i ciężko, dobijał. Hotel Rivoli. Zatelefonuj ze stacji. Poszukałam w torebce 10 centów na telefon, włożyłam za rękawiczkę. Pociąg przystanął. Przez otwarte drzwi buchnął trzeźwiący, ostry oddech zimy. Posuwałam się w kolejce

do wyjścia. Na peronie śnieg topniał w błoto. Nagły wiatr poderwał mi płaszcz, chłód betonu uchwycił za stopy. Wzdrygnęłam się. Pojechałam ruchomymi schodami na górę. Przystanęłam, rozglądałam się. Strumień pasażerów rozplýwał się, wsiąkał w halę stacyjną. Niepowstrzymane nocą i śnieżycą życie szurało, tupotało, miały mnie podniesione kołnierze kurtek i płaszczy. Na zegarze stacyjnym dwadzieścia minut po północy. Cztery godziny spóźnienia. Środkiem poczekalni i pod ścianami, drewniane ławy. Dalej rząd budek telefonicznych. Poszłam w tamtą stronę obojętnie, wolno. Pośpiech ocierał się o mnie. Śmiech i nawoływania, urywane rozmowy wokoło mnie. Szłam w wydrążonym przed samą siebie tunelu. Weszłam do budki telefonicznej, zamknęłam drzwi, w książce wyszukałam numer telefonu. Nakręciłam numer.

— Hotel Rivoli — powiedział Donald. Pamiętam jego głos, to on wtedy miał nocny dyżur.

— Chcę mówić z Mister Lee Fisher — powiedziałam.

Nie odpowiedział od razu. Jego głos ostrożny, spojrzenie zza węgła przyczajone, oceniające: — Kto pani jest Miss? Kto to mówi?

— Olivia, proszę powiedzieć, że mówi Olivia.

— Olivia? W jakiej sprawie pani dzwoni, Miss?

— Wystarczy powiedzieć, że mówi Olivia.

— Tak, Miss. Ale zdaje mi się, że go nie ma. Sprawdź.

— Proszę, bardzo proszę niech pan sprawdzi. Umówiłam się z nim.

— Sprawdź.

Wyciągnęłam z torebki papierosa. Sparzyłam się zapalką. Nie chce podejść do telefonu. Zostawił mnie. Zabrał moje pieniądze i zostawił mnie.

— Miss?

— Tak?

— Nie ma go w pokoju.

— Czy nie zostawił żadnego polecenia? Gdzie go mogę teraz zastać?

— Gdzie? — zapiał. — Ale kto pani jest Miss?

— Słuchaj, jestem z jego trupy. Lee Fisher jest moim agentem. Tańczyłam dla niego. W jego zespole. Czeka na mnie i będzie wściekły, jak mi nie dasz jego adresu. Wiesz, że Lee potrafi być wściekły. Chcesz się mu narazić?

— Niech pani spróbuje Klub „Blue Moon” — powiedział.

— Gdzie to jest? — krzyknęłam.

— Nie mam czasu teraz, Miss. Będzie w książce telefonicznej.

— Podaj mi numer telefonu!

— Jest w książce telefonicznej — powtórzył. Powiesił słuchawkę.

Rzuciłam papierosa na podłogę, przydeptałam nogą. Szukałam w książce telefonicznej. Jest! Siedzi w klubie. No pewnie. Lee nie siedziałby w hotelu o tej porze. Połączyłam się z Klubem „Blue Moon”. Czekałam długo zanim podniesiono słuchawkę.

— Lee Fisher? — dopytywał męski głos. Nie mogłam zrozumieć o kogo mi chodziło.

— Lee Fisher — powtarzałam. — Lee, agent teatralny.

— Acha, Lee, *the toe dancer*. Sprawdzę.

Zaciskałam rękę na słuchawce, ręka drętwiała mi. Przez drut przeciekała ku mnie znajoma mieszanina muzyki i szmeru głosów. A jeżeli go nie ma? Wezmę taksówkę i pojadę do tego hotelu. Już po kilku godzinach miało być po wszystkim. Jeszcze jeden dzień! Nie przeżyję już ani jednego dnia dłużej. Nie mogę już dłużej czekać.

Głos Lee zachrypiał w słuchawce: — *Yeah?*

— To Olivia — powiedziałam. — Przyjechałam. Jestem na stacji.

— Ach to ty — mruknął. — Czekaj tam.

— Czy...?

— Czekaj tam — przerwał. — Przyjadę.

— Kiedy?

— Jak przyjadę, to będę.

— Lee, słuchaj Lee...

Powiesił słuchawkę.

Wyszłam z budki telefonicznej. Po odejściu pociągu ruch przygaśł. Nieliczni, oczekujący na spóźnione pociągi podróżni drzemali na ławkach. Poszłam do kobiecej poczekalni. Spieszyłam się, chciałam się odświeżyć zanim przyjedzie Lee. Umyłam ręce, stanęłam przy lustrze i poprawiałam włosy. Lustro odbijało siedzącą na fotelu matkę z dzieckiem na ręku. Chłopczyk spał z głową wtuloną w jej zgięte ramię. Patrzyłam na nią, na zgięcie ramienia, na głowę dziecka bezpiecznie opartą. Zauważyła mój wzrok, uśmiechnęła się. Wiedziała. A może wydawało mi się, że wiedziała. Malowałam wargi, patrzyłam. Jej proste włosy zwisały na ramiona, szczupła blada twarz prostej dziewczyny. Czy ona też? Czy i ona? Chłopiec obudził się, zapłakał. Wyjęła z torby podróżnej butelkę z mlekiem, przyłożyła mu do ust.

— Był głodny — powiedziałam.

— Pewnie — westchnęła — czekamy już chyba ze trzy godziny. Jest głodny i śpiący, biedactwo. Przeszłam do głównej poczekalni, usiadłam na ławce na wprost wejścia, wtuliłam się w róg ławki. Już kiedyś tak czekałam. Wtedy padał deszcz. Olivio,

chodź szybko. Przecież jesteś naszym dzieckiem, przecież jednak jesteś naszym dzieckiem. Lee przyjdzie zaraz, zawiezie mnie do doktora, który mi To zrobi. Co on ze mną zrobi? Co oni ze mną zrobią? Czy moja matka też chciała się mnie pozbyć? Byłam więc zawieszona pomiędzy życiem i śmiercią zanim jeszcze odczułam życie, zanim łyknęłam pierwszy jego haust. Dlaczego się zdecydowała? Dlaczego ja żyję? Może bała się, tak, jak ja? A może mnie kochała? Nie znając mnie jeszcze, kochała mnie już? Nie mnie. Tamtego. Mego ojca. Nie mogę urodzić tego dziecka. Jutro będzie koniec, po wszystkim i zapomnę. Nigdy nie zobaczę jego twarzy. Chciałam tylko zobaczyć twoją twarz. David, chciałam tylko zobaczyć, przekonać się czy nie jesteś tym... Ta twarz będzie ze mną. Czy, które nigdy nie zobaczą światła będą mnie śledziły całe życie. Czy teraz mnie będzie wolno zobaczyć twoją twarz? David, gdzie jesteś? Nigdy cię już nie zobaczę. Pójdę i rzucę się pod pociąg. Nikt nie zauważy. Odejdę daleko poza ścianę nocy i śniegu i położę się na szynach. Pociąg przejedzie. Tylko chwila i nic nie będę wiedziała. Wszystko się skończy. A jeżeli jest Bóg? Jeżeli patrzy i widzi mnie i słyszy i czuje? Dlaczego zostawił mnie samą? Boże, mojej prawdziwej matki i Boże moich rodziców jeżeli jesteś... jeżeli jesteś...

— No? — powiedział Lee — jesteś gotowa?

Drgnęłam, cofnęłam się przed odorem alkoholu. Kołnierz jego płaszczu podniesiony, ramiona ośnieżone.

— Prędej! Nie mamy dużo czasu! Telefonowałam do niego. Czekaj.

— *Sure Lee.* Już idę.

Wstałam. Poszłam za nim. Walizka ciążyła mi, własne moje ciało było ciężarem. Przetarłam ukradkiem łzy w kącikach oczu. Elektryczne światło stacyjnych lamp atakowało mnie. Byłam ranna, nie mogłam się bronić, jęczałam z bólu. Otworzył drzwi na ulicę, energiczna łapa wiatru dała mi ogłuszający policzek. Zachwiałam się, przystanęłam przed drzwiami.

— Lee — szepnęłam.

— Odwrócił się, pochylił niecierpliwie nade mną.

— Co?

— Zaczekaj.

— Nie ma czasu. Czego chcesz?

Postawiłam walizkę. Nie spojrzałam na niego. Posadzka poczekalni zabłocona, ze śladami topniejącego śniegu, nogi Lee ostre, wąskie, mocne. Szepnęłam patrząc na jego stopy.

— Nie.

— Co? Nie masz forsy? Ja już część dałem. Pójdiesz później do „Blue Moon”. Mówiłem z nimi.

Otworzył drzwi. Obca ulica spojrzała na mnie spod warkoczy śniegu. Pociągnęłam go za rękaw płaszcza.

— Lee — szepnęłam — Lee, nie mogę tego zrobić.

Jego stopa podskoczyła do góry, but oparty obcasem o posadzkę godził we mnie drapieżnym szpicem, jak pazurem. Przytuliłam się do ściany, jej bezpieczny chłód przygarnął mnie.

— Idiotka... — syknął.

— Lee — szeptałam — postaraj się zrozumieć, ty nie możesz tego zrozumieć. Widzisz, moja matka... moja prawdziwa matka... ja jestem adoptowana Lee... nie wiem, jak ci to wytłumaczyć... nie mogę... nie mogę tego teraz zrobić.

— Jedziesz czy nie? Decyduj się.

— Nie, Lee zrozum...

— Żebyś nie telefonowała za godzinę. Wywalę na zбитy łeb. Twoja ostatnia szansa.

— Nie Lee... — płakałam.

— Nie rozmazuj się idiotko. Zrobiłem ze siebie durnia.

— Lee — płakałam.

— Zamknij mordę!

— Przepraszam cię Lee... siedziałam tu, myślałam i moja matka...

Szarpnął mnie za ramię. Spojrzałam na niego. Uśmiechał się.

— Chcesz zobaczyć twoją matkę? Co? Znam ją. Patrz! Tu! Czeka na ciebie. — Pchnął mnie — Ty też taka będziesz! — Wyskoczył na ulicę.

Uderzyłam o coś, o kogoś, miękki i cuchnący kształt.

— Przepraszam — powiedziałam.

Znad kosza ze śmieciami, gdzie grzebała pochylona, wyprostowała się, zamazana w moich ślepych od łez oczach, stara żebraczka. Na siwych, potarganych włosach przekrzywiony słomkowy kapelusz. Wypłowiełe róże, zmokłe i zmięte obwisały na nim. Jej długa, czerwona, złachmaniona suknia sterczała nierównymi strzępami spod brudno-zielonego płaszcza. Biała od pudru, z czerwonymi kołami rózu na zoranych zmarszczkami policzkach, twarz zmęczonego kłowna, twarz zgorzkniałej, apatycznej pijaczki o ustach nierówno zasmarowanych pomadką, pytająca z niepewnym cieniem uśmiechu zbliżyła się, nacierała na mnie. Poprzez żółto-czarne kikuty zębów uśmiechnęła się okaleczającym, drwiącym uśmieszkiem. Krechy jej czarnych brwi podjechały w górę w przymilnym, oczekującym zdziwieniu. Ze zwiędłych, przerosłych tłuszczem fałdów skóry wypłynęły blade i mętne, jak dwie błotne, podeszczowe kałuże jej szarawe, przekrwione oczy. Spojrzała na mnie. I nagle w tych nieżywych oczach płaskich, bez dna i świa-

ła zabłysło coś: cienki promyczek zrozumienia, ostry i żądliwy jak jad zdychającego owada.

Jęknęłam. Cofałam się zupełnie nieprzytomna ze strachu i rozpacz, ale ona posunęła się za mną urzeczona mną i wpatrzona we mnie, jakby dostrzegła w mojej postaci cień znajomy, obraz dawno utracony i jakby moje, niespodziewane przed nią zjawienie się obudziło coś, rozdarło bielno, którym od lat zarosła. Wyciągnęła swoją brudną rękę i zakrzywionych, zamazanych czerwonym lakierem paznokciach.

— Miss — zaskrzeczała konfidencyjnie. — Miss — pochyliła się za swoją ręką, która już dosięgała mego płaszcza. — Kilka groszy na buteleczkę. *I need a bottle, Miss...*

Wyrwałam się, chociaż przecież mnie nie dotknęła. Odskokczyłam. Biegłam w głąb poczekalni uciekając od niej: od jej oddechu, od jej cuchnących, pretensjonalnych łachmanów i od spojrzenia. Jej wzrok wyszukał jej własną część we mnie.

— Boże drogi — dyszałam. Zatrzymałam się, nie mogłam złapać oddechu. Postawiłam walizkę. Ostrożnie, szybko obejrzałam się wstecz czy mnie nie goni. Ale ona pchyłona znów nad wysokim, drucianym koszem pełnym odpadków i papierów grzebała w nim skrętnie obydwoma rękami. Tylko jej słomkowy kapelusz chwiał się na siwej, rozkudłanej głowie. Teraz! skorzystać z jej nieuwagi, przemknąć się, uciec. Wszystko jedno gdzie. Uciec od niej i od Lee. W śnieg obcego miasta, w bezbrzeżne jezioro nocy. Gdzie? Rozglądałam się bezradnie. Podróżni drzemali na ławkach, kolejarz przeszedł, minął mnie. Krzyczałam, ale mój krzyk był niemy. Dźwięk mego głosu zamierał u progu gardła. Podniosłam walizkę. Ruszyłam prędko, chyłkiem przed siebie. Oglądnełam się. Wyprostowała się. Patrzyła za mną? Nie, patrzyła na drzwi, boczne drzwi wejściowe za którymi zniknął Lee. A może Lee tam stoi? Zaraz wróci? Przebiegłam obok kas biletowych i kiosku z gazetami. Runęłam w szklaną ścianę głównych drzwi. Przystanęłam na ulicy. Czerwone i zielone nocne oczy miasta przyglądały mi się ciekawie poprzez zasłonę śniegu. Kilka taksówek, grube, zaspane robaki przycupnęły przy krawężniku. Dziedziniec stacyjny był pusty. A jeśli ona mnie dogoni, a jeżeli Lee zaczajony dopadnie mnie znienacka? Dygotałam z zimna i ze strachu. Puszysty, leniwy śnieg osiadał na kołnierzu mego płaszcza. Szczękałam zębami, strach przebiegał drobnymi igielkami po kręgosłupie. Podniosłam rękę, zawołałam:

— *Taxi!*

Taksówka zacharczała, ruszyła, podjechała na wprost mnie. Dopadłam drzwiczek, szarpnęłam je.

— Prędej — szepnęłam — śpieszę się.

Szofer wychylił się poprzez okno, był w grubej kraciastej kurtce, nacisnął klamkę drzwiczek.

Staralam się podnieść walizkę, wypadła mi z dygoczących rąk, ześliznęła się na jezdnię.

— Spokojnie, Miss — powiedział kierowca. Wyszedł z taksówki, podniósł walizkę i umieścił ją na podłodze samochodu.

— Dziękuję — szepnęłam. — Jedźmy już. — Potknęłam się o stopień taksówki, zachwiałam. Podtrzymał mnie. Pomógł mi wsiąść.

— Spokojnie — powtórzył. Stał wciąż w otwartych drzwiczkach i patrzył na mnie.

Upadłam na siedzenie.

— Jedźmy już, jedźmy... — prosiłam.

— Zdążymy na czas — powiedział. Zatrzasnął drzwiczki. Usiadł za kierownicą i obserwował mnie w lusterku.

— Dokąd? — spytał.

— Zaraz — szepnęłam — zaraz, ale niech pan już rusza, niech pan jedzie przed siebie, prędzej.

Wyjechaliśmy z dziedzińca stacyjnego. Na wprost mnie i na tle nieba oświetlona tarcza wielkiego, ulicznego zegara-reklamy wskazywała godzinę drugą rano. Zatrzymał się w rozwidleniu dróg.

— Dokąd jedziemy? — spytał.

Zakrywałam ręką usta, aby nie słyszał mego płaczu. Zduszonym, urywanym głosem starałam się coś powiedzieć.

— Gdzie? przechylił się ku mnie — Dokąd?

— Zawieź mnie gdzie chcesz — jęknęłam — zawieź mnie gdzie ci się podoba...

Płakałam tak głośno, że musiał to zauważyć mimo szumu i pochrapywania motoru. Nie odpowiedział. Ruszył wolno przed siebie. Dopiero po kilku minutach podjechał do krawężnika jezdni. Zahamował. Przetarłam ręką szybę, spojrzałam przez okno. Była to jakaś boczna, zarosła śniegiem ulica, tylko samotna latarnia z pokornie zwieszoną głową, jak głowa zatopionego w modlitwie pokutnika o oczach rozszerzonych żarliwym, fanatycznym ogniem oświetlały biel śniegu nienaruszoną jeszcze ludzką stopą i tylko śnieg spływający z nieba, jak drobne płatki łaski błyszczał w jej żółtawym świetle uroczystą, przedranną ciszą.

Szofer wyłączył motor, zapalił światło. Oparty łokciami o poręcz fotelu przyglądał mi się.

— Masz jakiś kłopot, co? Masz jakiś solidny kłopot — powiedział.

Podniosłam głowę, poprzez łzy starałam się zobaczyć jego twarz. Jego zmęczone, nieco wyłupiaste oczy, jak dwie pożytko-

wane niebiesko i czerwono meduzy opływały mnie z przyjazną wyrozumiałością. Z jego kwadratowych, silnych ramion, z cierpliwego wyczekiwania na moją odpowiedź, której domyślał się, którą bez usłyszenia jeszcze przyjmował naturalnie, chętny, wydawało mi się do podtrzymania mojej zapłakanej bezradności płynęła ku mnie ciepła, ludzka troskliwość.

— Jestem strasznie nieszczęśliwa — szepnęłam — strasznie...

Jego wystająca grdyka podskoczyła w górę raz i drugi, jakby już zadławił się jabłkiem, albo może tylko przełknął łzę współczucia.

— No nie martw się — powiedział — taka ładna dziewczyna, jak ty nie będzie długo nieszczęśliwa.

Westchnęłam.

— No to gdzie mam cię zawieźć?

Wzruszyłam ramionami, zaczęłam znów płakać.

— Pokłóciłaś się z mężem? Z rodzicami?

— Nie — płakałam — nie...

— No, nie będziemy tu tak stać przecież!

Drgnęłam, wydawało mi się, że wyczułam w jego głosie zniecierpliwienie. Przestraszyłam się. Wytarłam chusteczkę oczy, podniosłam głowę i spotkałam jego badawczy, penetrujący mnie wzrok. Miał okrągłą, dobrotliwą twarz, ciemne włosy przylegały ze sztuczną układnością do szerokiej czaszki. Gruba dolna warga obwisała, drgała, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć i wstrzymywał się, czekał. Miał chyba ponad trzydziestkę i był już przedwcześnie zmięty, zużyty ciężką pracą, jak wydręczeni pogonią za *overtime* robotnicy, jak ludzie pracujący na dzienną i nocną szychkę, których młodość nie zaczyna się nigdy, a zbyt szybko, gorzkie dzieciństwo twardnieje w przedwczesną, żylastą dojrzałość.

— Jestem bardzo spragniona — powiedziałam. — Chciałabym się napić piwa. Czy moglibyśmy podjechać do baru? Chciałabym się napić trochę piwa.

— O tej porze? — zawahał się.

— Ale przecież znasz to miasto. Jakiś bar na pewno będzie otwarty.

— A ty nie znasz tego miasta?

— Nie. Jestem tu pierwszy raz.

— Pierwszy raz? Acha, to pewnie kłopot z jakimś mężczyzną?

Nie odpowiedziałam.

— Spróbuję w porcie — powiedział. — Tam może być coś otwarte.

— Dziękuję.

Odwrócił się nagle. Jego wystająca grdyka biegła niespokojnie.

— Wiesz co, przesiądź się tu koło mnie. Będzie ci cieplej. Termostat tu lepiej grzeje. — Nie czekając na moją odpowiedź wychylił się i otworzył drzwiczki. Wstałam posłusznie. Wyciągnął do mnie rękę gestem takim, jakby zapraszał mnie do tańca. Przeskoczyłam wał śniegu. Puściłam jego rękę, była szorstka i wilgotna, drżała. Wsunęłam się na przednie siedzenie, siedziałam nieruchomo, sztywno patrząc przed siebie.

— Taka ładna dziewczyna — powiedział. — Sama w nocy w obcym mieście. Dobrze jeszcze, że trafiłaś na mnie. — Szybkim, ukośnym zerknięciem podchwycił odbicie swojej twarzy w lusterku. Jego ciężkie o grubych, krótkich palcach ręce objęły pieszczotliwym ruchem koło kierownicy. Przeciągnął po niej dłońmi zanim zastartował motor. Delikatny uśmieszek przycupnął w kącikach jego mięsistej, niedomykającej się wargi. Jechaliśmy przez puste ulice. Skulone pod czapami śniegu rzędy kamieniczek spoglądały za toczącą się taksówką nielicznymi przedwczesnymi lub spóźnionymi światłami okien. Te oświetlone bursztynowym światłem okna uciekające przede mną lub wypatrujące mnie z daleka wydawały się zaglądać mi aż do serca. Zaczęła mnie ogarniać bolesna, rozpaczliwa tęsknota za domem.

— Mówisz, że w ogóle nie znasz tego miasta? — powiedział.

— Słucham? — szepnęłam.

— Spałaś? — zdziwił się.

— Nie, zamyśliłam się tylko.

— A więc nie znasz tego miasta, ale może słyszałaś coś o nim?

— Nie — powiedziałam cicho. Szum taksówki kołysał mnie, było mi ciepło. Zapach przepoconej kurtki szofera nie raził mnie. Powiedziałam, aby zrobić mu przyjemność: — A co to za miasto?

— To jest bardzo specjalne miasto — mówił. — Nawet nie wiesz gdzie jesteś. Bogate miasto, dzikie. Stąd, z tego portu szły największe transporty ostryg i zboża na Środkowy Wschód. Tu powstały pierwsze w kraju linie kolejowe. Marynarze rzucali tu forsy i chcieli się zabawić. Jest taka ulica, biegnie wzdłuż portu. Ma światową sławę. Monumental Street. To miasto już w zeszłym stuleciu zaczęło być Mekką albatrosów. Wyglódzony podróżnik wilk morski szedł się tu zabawić i puszczać dolary. Spytaj się marynarzy o *Blok*. Spytaj się kogo chcesz o *Blok*. Nie słyszałaś?

— Może — szepnęłam — wydaje mi się teraz, że może słyszałam. — Rozpięłam płaszcz. Ciepłe powietrze rozgrzewało mi zmarznęte, przemoczone nogi. Taksówkarz podsunął mi pudełko papierosów: Zapalisz?

— Nie, dziękuję.

Zapalił papierosa, poprawił się na siedzeniu, jakby wyprostował, nieznacznym ruchem dotknął swoich włosów.

— Powiem ci, że jeszcze teraz turyści przyjeżdżają tu, żeby to zobaczyć. Dziewczęta, wiesz. Mało to razy woziłem tych ludzi. Przesyceni, wszystko widzieli, wszędzie byli i tu jeszcze szukają podniety.

Odwróciłam głowę, spojrzałam na jego profil. Jego głos nie pasował ani do twarzy, ani do grubo ciosanej sylwetki.

— Nie mówisz, jak zwykły taksówkarz — powiedziałam.

Spojrzał na mnie. Jego twarz promieniała szerokim, triumfującym uśmiechem.

— Zauważyłaś — powiedział. — Od początku wiedziałem, że jesteś inteligentną dziewczyną.

— Słuchaj, zapamiętaj sobie nie ma zawodowych taksówkarzy. Są ludzie, którzy stali się taksówkarzami z przypadku. Czy ty myślisz, że dorastający chłopak marzy o zawodzie *cab drivera*? Poskrob trochę powierzchnię tych zatrzymujących się na twoje skinienie facetów co cię za marnego dolara przewożą z jednego końca miasta na drugi, i co tam znajdziesz? Wywalenie z pracy, drugi zawód w czasie dnia, studia wieczorne. A zawsze coś tam będzie nie jak trzeba. Zawiedzione nadzieje, plany, które diabli wzięli, albo pokieraszowali ludzie. Jakies *frustration*. Ciepłej ci tutaj?

— Tak — powiedziałam — dziękuję.

Taksówka podskoczyła na szynach kolejowych. Przejechaliśmy dziedziniec jakiejś fabryki ze stertami częściowo pokrytego śniegiem żelastwa. Domy były rzadkie, niskie, uliczki nierówne i wąskie. Wiatr, pewnie od portu, nabrał na sile, szalał wściekle waląc tumanami śniegu o szyby i rzucając taksówką.

— Pogoda! — mruknął szofer. — Tutaj marny kierowca ugrzązłby już z dziesięć razy. No ale niedaleko już. Widzisz to światło? Tu! — dotknął mego ramienia. — Widzisz?

— Tak — powiedziałam. Napotkałam jego wzrok tuż blisko mojej twarzy. Cofnęłam się.

Zatrzymał się przed narożnym domkiem. Z okien tawerny blade światło padało na brudny, zdeптany nogami śnieg na chodniku.

— *Short Guy* trzyma *business* otwarty — powiedział. — Nie radziłbym ci tu wchodzić samej. To murzyńska knajpa. Tragarze okrętowi przepijają tu wszystko u tego małego faceta. A on sam jakiś mieszaniec, ani Murzyn, ani biały, ale daje sobie radę. Tu nieraz bywały porządne awantury. No to jesteśmy na miejscu. Będziesz miała swoją butelkę piwa.

Sięgnęłam do torebki i dałam mu dolara.

— Zaraz będę — powiedział. — Zmiał dolara w rękę, trząsnął drzwiami. Wyszedł. Patrzyłam, jak przechodził przez chodnik: krępy, trochę zgarbiony, jego krótkie nogi dźwigały szeroki korpus poszerzony jeszcze watowaną, kraciastą kurtką. Mimo wiatru i zimna był z gołą głową. Zniknął za drzwiami tawerny. Wyjęłam z torebki puderniczkę. Starałam się spojrzeć na moją twarz, ale zamiast własnej twarzy zobaczyłam tamtą: zżartą zmarszczkami, bezzębną, z cynicznym, wiedzącym uśmieszkiem i plamami różu i pudru na obwisłych policzkach. *I need a bottle, Miss*. Drżącymi palcami zatrzęsnęłam puderniczkę, wrzuciłam ją do torebki. Odychałam szybko, przerażona patrzyłam wprost przed siebie przez okno. Jej twarz leciała do mnie z wiatrem, rozwiane, śnieżne kosmyki jej włosów uderzały o szyby, jej przekrwione oczy wdierały się we mnie poprzez szkło. Odwróciłam głowę, sięgnęłam do torebki po papierosa, zapaliłam. Dym odgrodził mnie od niej. Ja mu za to zapłacę. Ja już mu za to zapłacę. Jak to się skończy. Jakoś się to przecież skończy.

Kroki kierowcy zachręściły na śniegu. Otworzył drzwiczki. Wiatr wpadł przed nim. Podmuch wiatru uderzył mnie w twarz. Taksówkarz zatrzęsnał drzwiczki. Rozparł się na siedzeniu. Wyciągnął z kieszeni dwie butelki.

— Kupiłem także gin — powiedział.

— Dobrze — powiedziałam. — Ile?

— Gin kupiłem sam. Pojedziemy do mnie do domu. To nie daleko. — Przechylił się, dotknął mnie krótkim pytającym spojrzeniem.

Nie odwróciłam się, patrzyłam przed siebie. Skinęłam głową. Ruszyliśmy.

— Jedziemy! — powiedział Jenkins.

Siedziałam nieporuszona. Papieros tlił się pomiędzy moimi palcami. Dopalał się, jak dzień ten żarzący się ognikami reklam poprzez szare od kurzu firanki hotelu Rivoli. Byłam zmęczona, wydręczona, senna.

— Jedziemy! — powtórzył.

Uniosłam głowę z wysiłkiem, jakbym unosiła cały ciężar tego dnia, cały ciężar mego życia niby ołowianą szpulę filmu zwiniętą i ukrytą w chłonnych centrach pamięci mego mózgu i jakbyin teraz dopiero zdała sobie sprawę z przerastającego moje siły balastu tych niespełna dwudziestu lat.

Przede mną stał człowiek w szarym, sportowym ubraniu i rozpiętej pod szyją kolorowej koszuli. Jego oczy były zmrużone, twarz zamknięta. *Plain cloth policeman*. Detektyw. Obok niego Jenkins, poprawił pas, przestępował z nogi na nogę.

— No dalej — mruknął — już jedziemy. Nie zasypiaj.

Wstałam. Rzuciłam papierosa na podłogę, zdusiłam go obcasem. Przyglądałam sukienkę. Była zmięta od długiego siedzenia, iskra papierosa wypaliła dużą, okrągłą dziurę w różowym, dopiero wczoraj wyczyszczonym materiale. Spojrzałam obojętnie na to puste, obrzeżone ciemno miejsce, kawałek mego nagiego ciała prześwitywał przez nie. Ruszyłam za detektywem. Jenkins szedł za mną. Czułam, że włosy moje obłuźniły się i opadały na twarz i na szyję. Podniosłam rękę, aby je poprawić, ale ręka moja opadła. Nieruchomy, jak rzeźba z kutego żelaza, Smithy tkwił zamrożony na fotelu wpatrzony we własne miraż. Szłam patrząc w podłogę. W hallu Randy przechylony przez ladę portierni rejestrował nowych gości. Słyszałam jego głos i widziałam zwisającą rękę. Mignęła mi przed oczami ściągnięta rzemieniem walizka sięgająca kolan rozmawiającego z Randy gościa. Gdy przecho-

dziłam rozmowy zamilkły. Zdeptana, zbrudzona popiołem i niedopałkami papierosów posadzka hotelu prowadziła mnie, aż do wyjścia. Przez uchylone zawsze drzwi wyszliśmy na ulicę. Orzeźwiający, chłodny wieczór dojrzewającej wiosny musnął mi policzek, jak skrzydło spłoszonego ptaka. Zwolna podniosłam oczy, spojrzałam przed siebie: na chodnik, na jezdnię. Sunął nią korowód samochodów. Drgnęłam nagle, wyprostowałam się, wychyliłam: jezdnią szybował biały *convertible*. Serce zaczęło mi bić nieprzytomnie, chciałam krzyknąć, pobiec. Bo ona tam była. To była ona! Z rozwianymi włosami biała i błękitna, promieniejąca i roześmiana, oparta o ramię swego chłopca i w niego wpatrzona mijała mnie dziewczyna z przystanku autobusowego. Minęła mnie zbyt szybko, abym mogła podbiec i jeszcze raz spojrzeć jej w oczy. Chciałam tylko zobaczyć jej oczy i powiedzieć coś do niej, krzyknąć, może ostrzec ją, zawołać: Spójrz na mnie! Znikła. Poprzez łązy spojrzałam na niebo. Jego ciemno szafirowe powieki były szczelnie zamknięte. Tylko blady, niepełny księżyc, jak delikatny kwiat dmuchawca odpowiedział mi smętnym, zadumanym wzrokiem.

— Zostawili mnie... — szepnęłam.

Ja też jestem wyspą — powiedział księżyc. — Może kiedyś byłem soczystym kwiatem mleczu, jak słońce, a teraz tylko dmuchawcem. Zdmuchnij mnie, zdmuchnij mnie jeśli potrafisz. Zdmuchnij mnie. Na szczęście.

— Miss Sloan — powiedział detektyw. Dotknął mojego ramienia.

Spuściłam głowę.

— *Yes sir* — szepnęłam — już idę.

Część druga

SPRAWA OLIVII SLOAN

Dnia 13-go lutego br. Mrs. Mc. Conner, *social worker* ze szpitala Św. Magdaleny zatelefonowała do naszej Agencji prosząc o pomoc dla 19-letniej dziewczyny, której dziecko, chłopiec, urodziło się wczoraj. Dziewczyna ta, powiedziała pani Mc. Conner nie ma stałego miejsca zamieszkania ani w naszym mieście, ani też w naszym Stanie i dlatego agencji społeczne miejska i stanowa nie będą jej mogły udzielić pomocy.

— Mam nadzieję, że będzie ją pani mogła przyjąć — powiedziała Mrs. Mc. Conner — chodzi o umieszczenie dziecka w *foster home* i o znalezienie dla niego rodziców, którzy by je zaadoptowali.

— Dlaczego zgłosiła się w ostatniej chwili? — spytałam.

— Nie wiem. Przyjechała wczoraj po południu. Ktoś ją przywiózł taksówką i była już w bólach porodowych. Chłopiec urodził się w godzinę później. Zdrowy, śliczny chłopiec. Duży, ważył 8 funtów i trzy uncje.

— To nie będzie takie łatwe — powiedziałam. — Chwileczkę, muszę się zastanowić.

Wszystkie miejsca w *foster homes* naszej Agencji, podobnie, jak i w innych były już zajęte i z góry zamówione. Nieślubne matki zgłaszały się zwykle w 6-tym, 7-mym, albo i nawet w 3-cim miesiącu ciąży.

— Ja wiem — powiedziała Mrs. Mc. Conner że sprawiam pani kłopot. Biedaczka, jest zrozpaczona. Nie ma tu nikogo. Wydaje mi się bardzo potrzebuje pomocy.

— Dobrze — powiedziałam — przyjadę. Muszę ją zobaczyć i porozmawiać z nią. Nie mogę jej przyjąć bez wstępnego wywiadu.

— Naturalnie. To zrozumiałe. Dziękuję bardzo. Zaraz ją zawiadomię. Kiedy pani przyjedzie?

— Dziś po południu. Jak ona się nazywa?

— Olivia Sloan.

Czy może mi pani coś o niej powiedzieć?

— Ma 19-cie lat. Jest wdową.

— Dziewiętnastoletnia wdowa?

— Tak.

— To ciekawe. Co się stało z jej mężem?

— Nie znam szczegółów. Ale wydaje mi się, że ona panią zacieka. Inteligentna, śliczna dziewczyna. I ona naprawdę potrzebuje pomocy.

— Od jak dawna jest w naszym mieście?

— Powiedziała, że od grudnia.

— Z czego się utrzymywała?

— Powiedziała, że jest tancerką. O której będzie pani mogła przyjechać?

— Będę o czwartej.

Tego samego dnia po południu pojechałam do szpitala Św. Magdaleny. Jest to nieduży, prywatny szpital w centrum miasta. Wbrew swojej nazwie nie jest szpitalem katolickim. Jest to fundacja jakiejś zamożnej, nieżyjącej już obywatelki tego stanu, która, o ile pamiętam, życzyła sobie, aby szpital był pod wezwaniem Św. Magdaleny. Już po wyjściu na ulicę zaczęłam żałować, że zdecydowałam się na przyjęcie tego spóźnionego zgłoszenia. Pogoda była potworna, deszcz ze śniegiem walił mi prosto w twarz, samochód nie chciał zastartować, a potem ślizgał mi się na jezdni, o mało co nie zderzyłam się z przejeżdżającą ciężarówką. Mieliśmy jedyne miejsce wolne w jednym z naszych *foster homes* dopiero dziś opróżnione po dziecku, które umieściliśmy u adoptującego go małżeństwa. Dlaczego się tak od razu zdecydowałam? — myślałam. — Może trzeba było odesłać Mrs. Mc. Conner do innych agencji? I może narazić tę dziewczynę na dłuższe czekanie? Każdy dzień, każda godzina w takim stanie może spowodować nieodwracalne zmiany. Dziewczyna potrzebuje pomocy. One wszystkie potrzebują pomocy. Nie wiem dlaczego, ale czasem wydaje mi się, jakby decyzja formułowała się we mnie bez udziału mojej woli niemniej przeze mnie akceptowana.

Zaparkowałam samochód na bocznej ulicy i wpadłam do szpitala przemarznięta i zmokła. Gabinet Mrs. Mc. Conner jest tuż przy wejściu. Nad drzwiami tabliczka: *Social Service*.

— Punktualnie — przywitała mnie Mrs. Mc. Conner.

Wysoka, pulchna, rozgrzana i świeża w swoim białym fartuchu wstała zza biurka i wyciągnęła do mnie rękę.

— Niech mi pani da płaszcz. Powieszę go tutaj.

— Diabelska pogoda — powiedziałam. — Jak będę miała

kiedyś dość pieniędzy i czasu będę w zimie wyjeżdżała na Florydę.

— Czasu! — roześmiała się. — W naszym zawodzie nigdy nie ma czasu. Nawet na urlop. Ale nie zmieniałaby pani tego zawodu?

— Dziś tak! Na położenie się do łóżka pod elektrycznym kocem i z dobrą książką.

— Ale kiedy indziej to chyba nie?

— Nie — powiedziałam. — Chyba nie.

— Chodźmy, zaprowadzę panią do Olivii.

Pojechałyśmy windą na trzecie piętro. Przeszłyśmy długi korytarz, skręciłyśmy na prawo.

— Tu — powiedziała Mrs. Mc. Conner.

Wprowadziła mnie do pustego pokoju.

— Będzie tu pani z nią mogła swobodnie porozmawiać. Zaraz ją przyprowadzę.

Wyszła. W pokoju paliła się stojąca lampa. Jej światło padało na fotel i zasłane łóżko. Za oknem było szaro, deszcz ze śniegiem uderzał o szyby. Stałam pod oknem, patrzyłam na drzwi, którymi wejść miała moja nowa klientka. Dziewiętnastoletnia wdowa — myślałam. Moja wybraźnia zaczynała już pracować. Zamyśliłam się. Drgnęłam. Wchodziły do pokoju. Mój zmysł obserwacyjny, jedno z narzędzi naszego zawodu, wyszkolony i czujny sprężył się i szybki, jak rakietą wybuchnął, rozświetlił, obrysował, ujął w ramy postać zbliżającej się do mnie dziewczyny. Była ładna, bardzo ładna, urodą zwracającą uwagę, nieco wyzywającą. Wysoka, o szerokich, prostych ramionach, spod krótkiego różowego szlafroka, który przytrzymywała ręką wystawały jej długie, muskularne nogi, należała do tych wysportowanych, prosto trzymających się młodych kobiet, pewnych swego wdzięku i swej fizycznej sprawności. Jej platynowe włosy były nieporządnie upięte na szczycie głowy i te włosy... nie wiem, kolor, czy sposób uczesania wydawały mi się nie pasować do całości postaci. Jej ręce szarpały nerwowo szlafrok, starała się panować nad sobą. Stała na środku pokoju i jej początkowa pewność siebie, opadła.

— Olivio — powiedziała Mrs. Mc. Conner — to jest Mrs. Bask. Przyjechała, aby z tobą porozmawiać.

Wyszła. Zamknęła za sobą drzwi.

Spojrzałam na Oliwię. Odpowiedziała mi spojrzeniem pytającym i niepewnym. Było to także spojrzenie inteligentne i oceniające. Uśmiechnęłam się. Mój uśmiech był zapraszający, mówił: Nie bój się, nie przyszedł, aby cię sądzić. Odpowiedziała mi uśmiechem. Jej ogromne, zielone oczy roz błysły, pełne, różowe wargi odsłoniły długi rząd wilgotnych kształtnych zębów. Uśmiech

zapalił jej policzki, czoło i szyję. Był to uśmiech zbyt szybki, zbyt promienny, jakby świadoma była jego wartości i działania na innych. Byłam pod urokiem jej uśmiechu, ale mój zmysł obserwacyjny zanotował jego szybkość, a intuicja, drugie narzędzie mego zawodu, nakazała ostrożność. Dziewiętnaście lat — pomyślałam. — Tylko dziewiętnaście lat?

Powiedziałam:

— Usiądź Olivio. A może wolałabyś się położyć?

— O nie! — powiedziała. — Siadę na fotelu.

Jej głos był niski, melodyjny, dostrzegłam w nim nutę westchnienia.

Usiadła na fotelu leniwie i wolno, Skrzywiła się trochę, pokryła to zaraz uśmiechem.

Jej lekki szlafrok rozchyłał się na kolanach. Nie przykryła kolan.

— Jak się czujesz? — spytałam.

— Doskonale — powiedziała. — Teraz, już naprawdę dobrze. Poród był bardzo lekki.

Patrzyła na mnie, czekała.

— Olivio — powiedziałam. — W czym mogłabym ci pomóc?

Pochyliła głowę. Jej włosy były platynowo blond, ale od skóry odrastały już ciemne pasma. Przy pochyleniu na szyi tworzyły się dwie podłużne fałdy.

— Widzi pani — powiedziała — ja nie mogę zatrzymać tego dziecka. Chciałabym, aby ktoś go zaadoptował. To znaczy że... lepiej dla niego i dla mnie. Chodzi mi o to, żeby miał ojca i matkę. Czy pani może się tym zająć? Mrs. Mc. Conner mówiła, że pani może mi pomóc.

— W czym?

— No przecież — spojrzała na mnie zdziwiona — w umieszczeniu dziecka.

— W adopcji twego syna?

— Tak — powiedziała — tak.

— Jak on się nazywa?

— Jak ma na imię?

— Tak.

Zaczęła czerwienić się od szyi, rumieniec podchwycił jej policzki, mocno zarysowane, zdecydowane łuki brwi zmarszczyły się nad czołem, zastanawiała się. Spojrzała na mnie szybko, badawczo, jakby chciała stwierdzić czy zauważyłam jej zmieszanie.

— Krzysztof? — szepnęła. Nie! — zawołała. Uniosła przy tym dłonie na wysokość twarzy, jakby chciała coś od siebie odepchnąć. — David! — Opuściła dłonie na kolana. Różowy

szlafrok rozchylił się, widać było jej czarny, koronkowy biustonosz. Znowu spojrzała na mnie:

— Może mieć dwa imiona, prawda?

— Naturalnie.

— David-Krzysztof. Jak to brzmi? Ładnie?

— Czy te imiona — spytałam — mają dla ciebie jakieś specjalne znaczenie?

Spuściła głowę, milczała.

— Możesz nie odpowiadać jeżeli nie chcesz.

Jej oczy wydawało mi się, były wilgotne, ale może był to tylko odbłask lampy, bo gdy uniosła głowę były to znowu suche, promiennie uśmiechnięte oczy.

— Mój dobry znajomy tak się nazywa. Bardzo go lubię, więc dlatego. Ale imię i tak zostanie zmienione?

— Po adoptowaniu dziecka rodzice mają prawo do zmiany imienia.

— Tak — szepnęła — tak, słusznie. Przecież on z nimi zostanie. Nie ze mną. Widziała go pani?

— Nie jeszcze.

— Jest śliczny — szepnęła. Zamknęła oczy, odrzuciła głowę do tyłu. — Jest taki uroczy. — Jej głos był wilgotny, nie płakała jednak tylko myśli jej szybkie, jak skrzydła spłoszonej cmy dzurcały cienie na twarz jej, na zmrużone zazdrośnie powieki, na drgające delikatnie policzki.

— Olivio — powiedziałam — dlaczego nie chcesz zatrzymać swego dziecka?

— Nie chcę? — wykrzyknęła. — Nie mogę. Chciałabym, ale to niemożliwe.

— Dlaczego?

— Przecież nie mogę wziąć go do domu moich rodziców.

— Nie możesz?

Skrzywiła się. Zanotowałam jej skrzywienie niecierpliwe, chociaż opanowane. Dotknęłam widocznie czegoś co ją zabolowało. Dotknęłam świadomości, trzymając skalpel przy niezabliźnionej ranie, czekałam.

— Nie! Oni nie wiedzą o tym. I pani im o tym nie powie? — Przechyliła się ku mnie, starała się wyczytać z mojej twarzy co myślę. Nie dowierzała mi. — Pani im nie da znać o tym? Nie może im pani powiedzieć! Nie, na miłość Boską, niech im pani nie mówi!

— Nie bój się — powiedziałam. — Nie powiem. Nic nikomu nie powiem, chyba, że mnie upoważnisz.

— Och — odetchnęła — dziękuję. Bałam się.

— Nie masz zaufania do ludzi.

— Skąd pani wie?

— Nie wiem. Wydawało mi się, że mi nie ufasz. Miałaś prawo mi nie ufać. Czy myślisz, że możesz mi zaufać teraz?

— Tak — powiedziała. Nie było to jednak „tak” przekonujące.

— Dlaczego oni o tym nie wiedzą?

— Moi rodzice?

— Tak.

Jej oczy i twarz były teraz poważne, skupione, ale i powleczone jakby szkłem, którego nie mogłam przeniknąć. Słyszałam więc jej głos, ale mój skalpel obijał się o szkło, nie mogłam jej przeniknąć i nie chciałam skrzywdzić.

— Widzi pani — powiedziała — to dziecko, David-Krzysztof, jest moim drugim dzieckiem. Mam syna i moi rodzice go wychowują. Po śmierci mego męża moi rodzice zajęli się dzieckiem. Pani mi nie wierzy?

— Słucham, staram się zrozumieć. W jakim wieku jest ten chłopiec?

— Zaraz — zamyśliła się. — W czerwcu powinien skończyć dwa lata.

— Kiedy umarł twój mąż?

— Zginął, został zabity w wypadku.

— Musiałaś to bardzo ciężko przeżyć.

— Tak. To było w zeszłym roku w listopadzie.

— I już w sześć miesięcy później zaszłaś w ciążę?

Wzruszyła ramionami.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem, jak to wytłumaczyć. Ale oni się o tym nie mogą dowiedzieć!

— Czy możesz mi powiedzieć dlaczego tak bardzo nie chcesz, aby twoi rodzice się dowiedzieli?

— Mój ojciec ma chore serce, nie przeżyłby tego.

— Kochasz swego ojca.

— Bardzo.

— A matkę?

— Ona... ale naturalnie bardzo ją kocham.

Zanim jej zielonawe źrenice zamknęły się przede mną, zdążyłam spojrzeć w nią.

— Czasem — powiedziałam — oczekujemy od najbliższych więcej niż sami możemy im dać.

— Nie zawsze zgadzałam się z moją matką — szepnęła.

Czekałam. Trzecim narzędziem mego zawodu jest cierpliwa umiejętność słuchania.

— ...to nie znaczy, że... ja jej nie kocham. Ale my jesteśmy

dwa przeciwne typy... dwa no zupełnie krańcowe. Moja matka jest taka szczupła... ja, widzi pani, zawsze muszę się pilnować, teraz też. I ona tak umie wszystko spokojnie przyjmować. Czasem już nie wytrzymałam... Proszę pani ja... mnie moi rodzice zaadoptowali.

— Zaadoptowali cię.

— Tak. I właściwie nic nie wiem o tej...

— O kim?

— O tej... tej kobiecie.

— O twojej matce?

Uśmiechnęła się. — Nigdy tak głośno jej nie nazwałam.

— Czy jest w tym coś złego?

— Nie, ale nigdy nie mówiło się o niej w domu. Dopiero, jak skończyłam trzynaście lat. To było straszne, wtedy pierwszy raz dowiedziałem się o niej, o mnie...

— Ostatnio częściej myślałaś o niej, prawda?

— Myślałam. Dlaczego?

— Może dlatego, że doszłaś do tego samego punktu w którym żeście się rozstali.

— Oddała mnie.

— Co wiesz o niej, że starasz się ją sądzić?

Zakryła twarz rękami: — Och Boże — jęknęła — to wszystko jest takie trudne.

Czekałam, aż się uspokoi, nie chciałam ją pocieszać, nie przyszłam, aby się nad nią litować, aby obcierać łzy, których nie chciała mi pokazać. Podniosła głowę nagłym, zdecydowanym ruchem, spojrzała mi prosto w oczy:

— Proszę pani, ja chciałabym, żeby to byli dobrzy ludzie, nie tacy dobrzy na pokaz, na zewnątrz, ale naprawdę. Żeby go kochali. Żeby go nie adoptowali dlatego, żeby uratować małżeństwo, albo zastąpić jakieś dziecko, które stracili...

— Kogo zastąpiłaś, Olivio?

— Ja? Moja matka miała córkę, umarła i ja nigdy nie byłam już taka dobra, jak tamta. Od początku byłam złą, jak tylko pamiętam, jak tylko poszłam do szkoły, wszystko było złe. Byłam złym przykładem dla Ralph'a, byłam najgorsza... Czy może mi pani dać papierosa?

Podawałam jej papierosy. Zapaliła gwałtownie, zaciągnęła się dymem. Patrzyła w okno. Myślała, twarz gniewnie skrzywiona odbiegła już ode mnie, jej myśli kuliły się trwożliwie zasłaniając przede mną.

— Powiedz mi o sobie, Olivio.

— Słucham? — uśmiechnęła się — co mam powiedzieć? Kiedy się urodziłam?

— Wiesz dobrze co.

Wyprostowała się na fotelu: — Nie, nie wiem.

— Kto jest ojcem twego dziecka?

— Widzi pani — przeciągnęła się — on miał się ze mną ożenić. Byliśmy zaręczeni. To znaczy byliśmy zaręczeni, żeby się zaręczyć. I potem on się dowiedział, że ja się spodziewam tego dziecka. I... skończyło się. Odszedł.

— Zaręczyłaś się tak szybko po śmierci twego męża?

Wzruszyła ramionami.

— Gdzie on jest teraz?

— Nie wiem.

— Olivio, ile ty masz lat?

— W sierpniu skończę dwadzieścia.

— Jakie masz wykształcenie?

— Skończyłam *High School*. Ale jak to wszystko się skończy wrócę do domu i pójdę do *college*.

— Nazwisko twoich rodziców?

— Czy to potrzebne?

— Tak. Potrzebne.

Zastanawiała się.

— Proszę pani, ja... nie powiedziałam, że wróciłam do nazwiska panieńskiego. Moi rodzice byli przeciwni temu małżeństwu i mój ojciec chciał, żebym zmieniła nazwisko, to znaczy... żebym wróciła do nazwiska panieńskiego. Moja matka ma na imię Krystyna, ojciec Filip.

— Czy to nazwisko zostało zmienione legalnie?

— Ale oczywiście.

— Będzie mi potrzebny ten dokument i świadectwo zgonu twego męża. Czy mogłabyś mi dostarczyć te dokumenty?

— Tak.

— Czy naprawdę? Czy nie myślisz, że możesz mieć z tym trochę kłopotu i że może ja mogłabym ci pomóc?

— Nie, proszę pani, napiszę do domu, przysłą mi. Z tym nie będzie kłopotu.

— Kim jest ojciec twego dziecka?

— Inżynierem.

— Jak się nazywa?

— David.

— David?

— Wolałabym nie podawać nazwiska.

— Dobrze, jeżeli nie chcesz.

— Czy chce pani wiedzieć coś więcej o nim?

— Tak. Ale nie teraz. Muszę ci jeszcze zobaczyć. Chciałabym ci pomóc Olivio. Od ciebie zależy czy będę ci mogła pomóc.

— Ale naturalnie, proszę pani, prosiłam już przecież, żeby pani umieściła w jakimś domu.

— Chciałabym tobie pomóc. Ty potrzebujesz pomocy. Z czego żyjesz teraz? Z czego się utrzymywałaś? Gdzie wrócisz po wyjściu ze szpitala?

Skrzywiła się. Założyła nogę na nogę, paznokcie u nóg miała polakierowane na jaskrawo czerwony kolor.

— Mam tu znajomych — powiedziała.

— Jakich?

— No... znajomego, ale niech pani nie myśli, między nami nic nie ma. Normalny znajomy. Zatrzymał dla mnie to mieszkanie. Ale jak tylko poczuję się lepiej wracam do domu.

— Z czego się utrzymywałaś?

— Ja jestem tancerką. Nie jakąś nadzwyczajną. Tańczę w linii.

— Co to znaczy?

— No w rzędzie, w linii, razem z innymi dziewczętami tańczymy w nocnych klubach.

— Co to za rodzaj tańca?

— *Strip-tease*.

— Ale z czego utrzymywałaś się ostatnio, ostatnie kilka miesięcy?

— Tańczyłam.

— Tańczyłaś?

— Tak. Aż do ósmego miesiąca. Potem już nie mogłam. — Wzruszyła ramionami. — Ale nic nie było widać.

Od kaloryfera pod oknem promieniowało suche, obozwładniające gorąco. W pokoju było duszno. Olivia patrzyła na mnie wyczekująco.

— Tu jest adres mego biura — powiedziałam — napisałam ci datę *appointment*, za dziesięć dni, przyjdź, będę czekała na ciebie.

Wzięła kartkę i schowała ją do kieszeni szlafroka.

— Dobrze, proszę pani.

— A to jest papier upoważniający naszą Agencję do wzięcia twego dziecka ze szpitala. Przeczytaj i jeśli się zdecydujesz, podpisz. Pamiętaj, to nie jest zrzeczenie się dziecka. Na zrzeczenie się masz jeszcze czas. Masz dość czasu, aby się dobrze zastanowić. — Podałam jej blankiet i pióro. Pochyliła się nad papierem, czytała. Podpisała lekko. Przeciągnęła się na fotelu uśmiechnięta i uspokojona.

— Bardzo pani dziękuję.

— Proszę, do zobaczenia. — Podeszłam do drzwi. Odwróciłam się. Stała przy lustrze i poprawiała włosy.

— Olivio — powiedziałam — wiem o tobie tylko to co chciałaś mi powiedzieć.

Odsunęła się od lustra. Zaskoczona zawiązywała szlafrok.

— Dlaczego? — szepnęła.

— Widzisz, rozstanie z dzieckiem to nie sprawa jednego dnia, to rozdarcie, które będziesz pamiętała całe życie.

— To co mam zrobić? — szepnęła. — Przecież nie mogę go zatrzymać?

— Możesz razem ze mną myśleć o jego przyszłości. Przeszłością twego dziecka będzie to co mi o sobie powiedziałaś.

— Powiedziałam pani.

— Powiedziałaś.

— No więc — uśmiechnęła się — nie mam nic więcej do powiedzenia. — Rozłożyła ręce, stała wyprostowana i pewna siebie odgradzona ode mnie swoim promiennym spojrzeniem, jak kurtyną, której nie chciała odsłonić.

— Jesteś bardzo samotna, Olivio. Polubiłam cię, chciałabym ci pomóc.

Jej ramiona opadły, oczy zwilgotniały, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, wyciągnęła rękę, jakby mnie chciała zatrzymać długą, mocną rękę o czerwono pomalowanych paznokciach. Czekałam.

— O czym myślisz? — spytałam.

— O, że za bardzo utylam.

— Możesz to naprawić.

— Tak, muszę schudnąć.

— Na to potrzeba dużo siły woli.

— O tak. Zobaczę.

— Zastanów się.

— Kiedy go pani zabierze?

— Umówię się z Mrs. Mc Conner. Najprawdopodobniej za trzy dni. A my zobaczymy się za 10 dni?

— Tak proszę pani.

Wyszłam na korytarz. Wstąpiłam jeszcze do *nursery*, aby zobaczyć dziecko. Pielęgniarka przyniosła go. Trzymała go na rękach i pokazywała mi przez szybę w drzwiach.

— Wspaniały chłopak! — zawołała.

Dziecko było silne, o szerokiej klatce piersiowej, jego różowe pomarszczone nóżki fikały w powietrzu. Miał całą chmurę ciemnych włosów na głowie.

— Takie włosy! — śmiała się pielęgniarka. — I już reaguje na światło, niech pani zobaczy! David-Krzysztof zwracał swoje niewidzące oczy w kierunku sufitowej lampy. Do światła. Mrs. Mc. Conner czekała na mnie w swoim gabinecie.

— No i co? — spytała.
— Weźmiemy dziecko — powiedziałam. — 16-go rano.
Dobrze?
— W porządku. Co pani o niej sądzi?
— Nie wiem jeszcze. Nie ufa mi. Wydaje mi się, że nie mówi
prawdy.
— Może później powie.
— Nie wiem. Bardzo zamknięta w sobie. Ktoś ją porządnie
skrzywdził.
— W każdym razie dziękuje za pomoc.
— Proszę bardzo. A jeszcze chwileczkę! Powiedziała, że jest
wdową?
— Tak.
— I nic więcej nie mówiła o swoim mężu? Nie mówiła, że
zmieniła nazwisko?
— Nie. A więc zmieniła nazwisko?
— Niech pani to jeszcze sprawdzi.
— Naturalnie.
Wyszłam na ulicę, było już zupełnie ciemno, ale ociepliło się,
deszcz padał leniwy, gruby i ciężki. Przyjdzie czy nie przyjdzie?
— myślałam. Zrozumiała mnie na pewno, ale czy przyjdzie?

Dnia 24-go lutego, br.

Olivia nie przyszła na umówione ze mną spotkanie. Tego
samego dnia, późno po południu zatelefonował mężczyzna. Chciał
mówić ze mną w sprawie Olivii. Nie podał swego nazwiska, jego
głos był inteligentny, wyczułam w nim ton opanowywanego pod-
niecenia. Powiedział, że Olivia przyjść nie może i prosi o spot-
kanie w przyszłym tygodniu. Spytałam, jak się czuje Olivia. Od-
powiedział wymijająco, że lepiej, ale jeszcze nie zupełnie dobrze.
Naznaczyłam jej godzinę i datę spotkania w przyszłym tygodniu.
Gdy spytałam kto mówi, odpowiedział: znajomy, po prostu zna-
jomy.

Dn. 2-go marca.

Olivia przyszła na spotkanie z godzinnym opóźnieniem.
Była ubrana w czarne, pomięte spodnie, buty na niskich ob-
casach i gruby, ciemny sweter zachodzący wysoko na szyję. Mimo
tego niedbałego ubrania był w niej swoisty wdzięk wyzywającej,
nonszalanckiej elegancji. Włosy miała upięte starannie, a usta

lśniące od tłustej, jasno-różowej pomadki. Usiadła na fotelu, oddychała szybko, jakby śpieszyła się, może biegła. Siedziałyśmy na wprost siebie, ja za biurkiem, a ona oparta jedną ręką o fotel, drugą o moje biurko oświetlona jaskrawym, marcowym słońcem brunatnej, pączkującej wiosny. Jej twarz była skupiona, napięta, ręka oparta o biurko drżała lekko.

— Miałaś trudności z dotrzymaniem terminu naszego spotkania — powiedziałam.

Uniosła głowę, spojrzała na mnie, cofnęła rękę z biurka i splotła dłonie razem, jakby chciała powstrzymać ich drżenie.

— Myślałam... — powiedziała.

— Często powzięcie decyzji zmusza nas do dłuższego myślenia.

Jej splecione dłonie zacisnęły się, uderzyła nimi o kolana, pochyliła głowę, jakby sobie przytakując i jakby decyzja podjęta przez jej podświadomość, a później myśli, zaakceptowana została reakcją jej mięśni zanim jeszcze zdołała wyrazić ją w słowach. Czułam, że chce mi coś powiedzieć, waha się, zastanawia. Czekałam.

— Proszę pani — powiedziała — ja wszystko skłamałam. — Mówiła teraz szybko, jednym tchem, jakby chciała uwolnić się od rozpierającego ją naporu słów, i jakby to zwierzenie było od dawna już przygotowane, nauczone na pamięć, jak rola aktorki, która przezwycięża treść pierwszego występu skoro już podniosła się kurtyna. Wydawało mi się, że rozsunałam, uniosłam tę kurtynę.

— Potem co powiedziała mi pani w szpitalu, że to co powiem o sobie będzie przeszłością dziecka i że ode mnie także zależeć będzie jego adopcja, myślałam i zdecydowałam się powiedzieć prawdę. Ja nigdy nie byłam mężatką. Moje pierwsze dziecko było też dzieckiem nieślubnym i... umarło. Wtedy rodzice moi pomogli mi, byłam w domu dla nieślubnych matek. Ale teraz nic nie wiedzą. Nie chcę ich skrzywdzić po raz drugi i nie chcę, żeby myśleli, że jestem taka...

— Jaka?

Zastanawiała się. Wiedziała co chciała mi powiedzieć, ale musiałam jej pomóc wypowiedzieć to, czego nie chciała.

— Zupełnie zepsuta, nic nie warta.

— Czy ty tak myślisz o sobie?

Wzruszyła ramionami: Nie wiem. Jestem zupełnie wytrącona z równowagi, zagubiona.

— Zagubiona w czym?

— We wszystkim.

— A co chciałabyś znaleźć?

— Nie wiem. Jakieś wyjście.

— Czasem człowiek nie może znaleźć samego siebie. Nie ma odwagi na samego siebie spojrzeć.

— Ja chyba nie mam odwagi.

— Miałaś odwagę tu przyjść i powiedzieć mi prawdę. Dlaczego?

— To dla niego, dla dziecka.

— Czy nic nie chcesz zrobić dla siebie?

— Nie wiem. Ja niezawsze jestem taka sama. Czasem staram się być dobra i robię tak, jak powinno się robić i chcę, zaczynam wszystko zmieniać, a czasem coś mnie porywa i znów się zmieniam. Nie wiem właściwie co mi jest, co jest ze mną.

Wyjęła z torebki paczkę papierosów i położyła przed sobą.

— Spróbujmy razem spojrzeć na ciebie Olivio.

— Jak? — Wyjęła papierosa z paczki i włożyła do ust. Przechyliłam się i podałam jej zapalnik, zapaliłam papierosa.

Przestrzeń pomiędzy nami skurczyła się.

— Powiedz mi o sobie Olivio.

Uśmiechnęła się: — Od czego mam zacząć?

— Zaczynaj od swego dzieciństwa, od tego co wydaje ci się w nim najważniejsze.

Spoważniała, przychyłona ku mnie paliła w milczeniu papierosa, zmarszczyła czoło, zastanawiała się.

— Moi rodzice adoptowali mnie — powiedziała.

— Powtarzasz to po raz drugi, dlaczego? Czy to cię aż tak bardzo boli, Olivio?

Skinęła głową. Nie odpowiedziała.

— Czy oni — szepnęła — mu o mnie powiedzą?

— Tak. Nie wszystko, ale powiedzą.

— Kiedy mu powiedzą? Co? Jak mu powiedzą o mnie?

— Powiedzą mu, jak tylko nauczy się rozumieć. Będą mu mówili stopniowo, przez dłuższy czas. Będą się starali łączyć słowo „kocham”, ze słowem „adopcja”. Nie będzie to dla niego szokiem, wzrośnie w tym. Powiedzą mu, że byłaś inteligentną, śliczną dziewczyną i że go kochałaś, że nie mogłaś go zatrzymać i że ciężko ci było z nim się rozstać, że chciałaś dla niego więcej niż mogłaś mu ofiarować, będą mówili, jesteśmy jej wdzięczni, bo gdyby nie ona nie byłbyś naszym synem.

Niedopalony papieros tlił się w popielniczce. Oparta łokciami o biurko Olivia płakała. Jej ramiona w grubym, ciemnym swetrze wstrząsało ciche, głębokie łkanie.

— Co ci to przypomina, Olivio, dlaczego płaczesz?

Podniosła głowę, widziałam ją poprzez jej szeroko otwarte

oczy, pozwalała mi zajrzeć w siebie, odczuwała mój wysiłek zrozumienia jej.

— Dla mnie to był szok — powiedziała — dowiedziałam się o tym w dzień moich urodzin, w dniu gdy skończyłam trzynaste lat. Wydawało mi się, jakby mnie osądzili, jakby wydali na mnie wyrok, że już do nich nie należę, że nigdy nie należałam. I zawsze czułam, że oni wiedzieli, że ja będę zła, że będę tak samo nic nie warta, jak moja matka. Zawsze byłam nieznosna, zawsze byłam trudna, ale chyba zaczęło się to wtedy, jak się urodził Ralph

— Ralph?

— Mój brat — rozjaśniła się — kocham go bardzo.

— Opowiedz mi o nim.

Zaczerwieniła się, palce jej dłoni zatrzepotały, uśmiechnęła się, był to bezradny trochę, łagodny uśmiech, matka tak spogląda na niemowlę oczarowana i zaskoczona ogarniającym ją uczuciem.

— Och — szepnęła — on jest wspaniały, jest nadzwyczajny... dobry i zdolny...

Obserwowałam te nagłe w niej przemiany, szybkość łez i uśmiechu i pewnie złości. Jej impulsywność kierowała nią, odruchy jej były niewspółmiernie szybsze w stosunku do myślowych decyzji.

— Ale na początku byłam zazdrosna — roześmiała się — okropnie zazdrosna, chciałam go zadusić. A potem to przeszło. — Zamyśliła się.

— Mówiłaś, że zaczęłaś być trudna, kiedy urodził się Ralph, a teraz mówisz, że to tylko było na początku, a potem przeszło.

— Tak. Ale potem to już nie było o Ralph'a. Tylko.. wydawało mi się, że byłam, jakby niepotrzebna. Nie wiem co to jest, mnie każdy po pewnym czasie zostawia, odsuwa się ode mnie.

— Każdy?

Skinęła głową. Sięgnęła po papierosa, zapaliła, paliła szybko patrząc w przestrzeń poza mną.

— Każdy? — powtórzyłam. — Kto?

— Krzysztof — szepnęła nie patrząc na mnie. Jej głos był odległy, jakby odpowiedziała sobie samej nie mnie.

— Ojciec twego pierwszego dziecka?

Skinęła głową.

— Czy mogłabyś opowiedzieć mi o nim?

Spojrzała na mnie krótko i niechętnie. Zdecydowanym ruchem zgasiła papierosa w popielniczce. Poprawiła się na fotelu, odsunęła od biurka.

— Czy to wszystko jest potrzebne?

— Chciałabym ci pomóc — powiedziała — dlatego chciałabym cię poznać.

— Pomóc mnie? — roześmiała się. — Przecież pani chce pomóc w umieszczeniu mego dziecka.

— Tak. Ale tobie chciałabym pomóc przede wszystkim.

Wzruszyła ramionami.

— Co mi pani może pomóc? W czym?

— Widzisz, Olivio, wydaje mi się, że jesteś bardzo zagubiona, nie wiesz co z sobą zrobić, nie wiesz właściwie kim jesteś.

— Ach to — mruknęła. — Melvin też mi mówił, że jestem zagubiona.

— Kto to jest Melvin?

— Znajomy, pomógł mi, jak tu przyjechałam.

Mieszkasz z nim?

— To nie jest to, co pani myśli. Po prostu znajomy. Studiuję wieczorem.

— To on telefonował?

— Tak.

Spojrzała na mnie. Jej wzrok był bystry, skupiony, twarz chłodna, ani śladu niedawnych łez i miękkiego uśmiechu.

— To co mam zrobić?

— Ten rodzaj życia zniszczy cię. Powinnaś pójść w innym kierunku, znaleźć inną pracę.

— Jaką pracę?

— Pomogę ci. Może w biurze, może w laboratorium, może w szpitalu, jesteś inteligentną dziewczyną...

— *Straight job?* — roześmiała się. — Zwykła praca? — Odrzuciła głowę do tyłu, przechyliła się na fotelu, jej śmiech nie dźwięczał, uderzał głucho o ściany pokoju. — Pochyliła się ku mnie, oparła łokciami o biurko, spojrzała w twarz wyzywająco — Od 9-tej do 5-tej? Tak? Zwykła praca?

— Tak — powiedziałam. — Zwykła praca.

— Nie! — podniosła ramiona do góry, trzepnęła dłońmi o kolana. — Nie, ja się do tego nie nadaję.

— Myślisz, że już się nie nadajesz.

— Nie — śmiała się — nie! Od 9-tej do 5-tej — powtarzała rozbawiona.

— Ile ty masz lat Olivio? — spytałam.

Spojrzała na mnie zdziwiona: — Mówiłam już, dziewiętnaście.

— Za dziesięć lat już nie będzie tak łatwo.

Spoważniała: — Nie rozumiem. Dlaczego?

— Czy przyjrzałaś się kiedyś samej sobie krytycznie w lustrze, tak, jakbyś patrzyła nie na siebie, ale na kogoś obcego. Czy porównywałaś swoją twarz z twarzą przeciętnej dziewiętnastoletniej dziewczyny?

— Myślałam czasem o tym — szepnęła.

— Spójrz kiedyś na taką dziewczynę, a potem pomyśl o sobie. Milczała, pochyliła głowę. Jej sztywno upięte włosy rozluźniły się, podniosła rękę i poprawiła opadający kosmyk.

— Nie byłam zawsze taka — powiedziała. — Kiedy poznałam Krzysztofa nie miałam jeszcze szesnastu lat. A on miał 20, skończył akurat pierwszy rok *college*. Jego rodzice nie żyli, ojciec umarł na atak serca, a matka spaliła się w pożarze. Poznałam go u koleżanki na wakacjach. I już... zostałam z nim. A potem, jak powiedziałam mu, że spodziewam się dziecka... — rozpląkała się. — Nie mogę o tym mówić...

— Rozumiem — powiedziałam.

Pląkała cicho, odwrócona ode mnie, oparta czołem o fotel. Czekałam, aż się uspokoi. Wyprostowała się, spojrzała na mnie poprzez łzy.

— Czy naprawdę pomoże mi pani znaleźć pracę?

— Tak — powiedziałam — o ile naprawdę będziesz chciała.

— Nie wiem jeszcze czy chcę tego naprawdę.

— Przyjdź do mnie w przyszłym tygodniu, dam ci adresy, a tymczasem przeglądaj ogłoszenia w gazetach.

Wydawało mi się, że mnie nie słucha, siedziała zamyślona.

— Jak on się czuje? — spytała.

Uśmiechnęłam się.

— Czekałam na to pytanie.

— Myślałam cały czas tylko bałam się spytać. Kiedy będę mogła podpisać papiery? Chciałabym, żeby już był z tymi ludźmi, ze swymi rodzicami.

— Będiesz mogła podpisać pod koniec tego miesiąca. Chcę cię jeszcze zobaczyć w przyszłym tygodniu.

Wstała, obciągnęła na sobie sweter.

— Czy nie masz innego ubrania, Olivio?

— Mam — zaczerwieniła się — tylko wszystko jest jeszcze w pralni.

— Czy masz pieniądze?

— Tak — skinęła głową — jeszcze mi starczy.

Stała przede mną w swoich czarnych, obcisłych, zbyt obcisłych spodniach, w luźnym swetrze, dziewczyna za której wyzywającą innością oglądają się na ulicy, w jej oczach było nieśmiałe wyzwanie.

— Nie odpowiedziałam na twoje pytanie, Olivio, David-Krzysztof jest zdrowy, czuje się dobrze.

— Och — odetchnęła — dziękuję. — Podeszła nagle do mnie, zdecydowanym, szybkim ruchem oparła się łokciami o biurko, pochyliła blisko. — Chciałabym bardzo... bardzo wiedzieć co to za ludzie, jak go pani umieści... czy powie mi pani?

— Tak — powiedziałam.

— Czy mi pani przyrzeka, że mi pani powie? To dla mnie bardzo ważne. Nie uspokoję się jeśli nie będę wiedziała, że on już gdzieś jest bezpieczny i że... będzie szczęśliwy. Potem, jak już podpiszę to zrzeczenie i jak on już tam będzie, czy mi pani powie?

— Tak, powiem ci. Przyrzekam.

Uśmiechnęła się.

— Będę w przyszłym tygodniu o tej samej porze.

— Do zobaczenia — powiedziałam.

— Dziękuję pani — szepnęła. Odwróciła się i wyszła szybkim krokiem z pokoju.

Dnia 9-go marca,

Olivia nie przyszła na spotkanie. Nie telefonowała.

10 marca.

List do Olivii. Zapytuję co się z nią dzieje, proszę, aby przyszła 13-go marca.

13 marca.

Brak wiadomości od Olivii. Telefon do Olivii.

Olivia mieszkała w jednym z trzypiętrowych, wąskich *rooming houses*, na bocznej ulicy blisko handlowej sekcji śródmieścia. Była to ulica czwartorzędnych, często podejrzanych hotelików, które wydzierżawiały zatechłe „apartamenty”.

Było wczesne popołudnie. Kobiety głos odebrał mój telefon.

— Hallo?

— Czy mogę mówić z Olivią? — spytałam.

— Zaraz ją zawołam, nie wiem czy jest w domu.

Olivia widocznie mieszkała na trzecim piętrze. Słyszałam kroki i głos:

— Oliviaaaa! Ej, Oliviaaa! Telefon!

Przerwa, znów kroki postępujące wyżej na górę i głos:

— Oliviaaaa! Oliviaa! Ktoś telefonuje do ciebie!

Długo czekałam zanim podeszła do telefonu, słyszałam jej kroki i głos dopytujący: Kto to telefonuje? Mężczyzna czy kobieta?

- Kobieta — odpowiedziała ta, która przyjęła telefon. Olivia podniosła słuchawkę.
- Hal-lo? — jęknęła, jej głos był zaspany, ciężki.
- Olivio — powiedziałam — czekałam na ciebie.
- Nie mogłam przyjść. — Słyszałam, jak ziewnęła.
- Mam dla ciebie adresy, umówiłam ci spotkanie w pośrednictwie pracy. Co się z tobą dzieje?
- Nie mogłam przyjść.
- Dlaczego?
- Oddałam ubrania do pralni.
- Nie masz za co wykupić?
- Już wykupiłam.
- Kiedy możesz przyjść?
- Kiedy tylko pani zechce mnie zobaczyć.
- Przyjdź dzisiaj.
- Dziś nie mogę.
- Kiedy możesz?
- Słyszałam kroki, trzask zamykanych drzwi, telefon był najwidoczniej blisko wejścia, Olivia odpowiadała krótko, ściszonego głosem, czułam że była skrepowana.
- W przyszłym tygodniu — szepnęła.
- Siedemnastego o pierwszej?
- Tak. Będę na pewno, dziękuję pani.
- Do zobaczenia.
- Do widzenia.

17-go marca.

Olivia nie przyszła. Postanowiłam zatelefonować i pójść do niej. Zatelefonowałam.

Męski głos odpowiedział, że nie ma jej w domu.

— Kiedy będzie? — spytałam.

— Nie wiem — odpowiedział.

18-go marca.

Zatelefonowałam wcześniej rano. Telefon przyjęła kobieta.

— Zobaczę czy jest w swoim pokoju — powiedziała.

Słyszałam jej kroki, jak wstępowała na górę, uderzenia pięścią w drzwi i nawoływanie:

— Olivaaaa! Ej, Olivaaaa! Telefon!

Wróciła. Hallo — powiedziała — nie odpowiada, nie ma jej w domu.

Tego samego dnia wysłałam list polecony: Mam gotowe papiery, możesz podpisać. Zatelefonuj natychmiast.

23-go marca.

List wrócił. Notatka listonosza: adresat wyprowadził się, nie pozostawił nowego adresu.

24-go marca.

Zatelefonowałam. Włączyła się telefonistka: O jaki numer pani chodzi? Podałam numer telefonu i adres. — Telefon wyłączony — powiedziała.

— To niemożliwe — zawołałam. — Niech pani jeszcze raz sprawdzi.

— Adres ten co pani podała, telefon został wyłączony.

— Ale przecież telefonowałam tam dopiero kilka dni temu.

— *Sorry* — powiedziała — *telephon disconnected*.

Muszę ją odnaleźć, myślałam, jeśli nie podpisze podania do sądu David Krzysztof nie będzie mógł być adoptowany. W książce telefonicznej wyszukałam adresy nocnych klubów, telefonowałam. Wszędzie ta sama odpowiedź: nieznana, nie pracuje tutaj. Ostatnia ewentualność: telefon do jej rodziców. Wahałam się, przyrzekłam, że dochowam jej tajemnicy, ale mój instynkt ostrzegał mnie, aby działać szybko. Poprzez zamiejscowego operatora połączyłam się z mieszkaniem rodziców Olivii. Poprzez odległość przeszło tysiąc mil przybiegł do mnie ściszony ale wyraźny głos matki Olivii.

— Hallo? Hallo?

Czy to Mrs. Sloan? — spytałam.

— Tak, to ja. Kto mówi? — jej głos był zdecydowany, suchy, ale wyczułam w nim lekkie zaniepokojenie.

— Mówi Mrs. Bask, *social worker* z agencji społecznej. Mamy posadę dla pani córki, Olivii. Chciałabym ją o tym zawiadomić, ale nie mamy jej obecnego adresu.

— Czy coś się stało? — spytała. — Czy Olivia jest w jakimś kłopotcie? Nie, nie ma jej w domu, miałam tylko od niej kartkę kilka dni temu, przysłała kartkę na moje urodziny. — Niepokój w jej głosie potęgował się, mówiła jednym tchem. — Czy jest w jakimś kłopotcie? Czy znów ma jakiś kłopot?

— Nie — powiedziałam — wszystko w porządku, widziałam ją niedawno, tylko nie zapisałam jej nowego adresu, moja wina, zapomniałam zapisać jej nowy adres.

— A więc wszystko w porządku — Nie narobiła jakiś nowych głupstw? Hallo? Hallo? Czy naprawdę nie ma żadnego kłopotu?

— Nie — powiedziałam. — Niech się pani nie niepokoi, starałam się jej tylko pomóc znaleźć lepszą pracę.

— Och... — odetchnęła. — Och, niepokoiłam się, mój mąż taki zdenerwowany. Stale zapowiadała, że przyjedzie do domu, pisze, że niedługo przyjedzie do domu.

— Może powinna dłużej zostać w domu.

— Tak pani myśli?

— Myślę, że byłoby dobrze. Potrzebny jej dom i... matka.

Przez chwilę nie odpowiadała mi.

— Hallo! — zawołałam.

Jej głos wrócił do mnie inny, bardziej miękki, stroskany:

— Mieliśmy z nią tyle kłopotu. Przyjeżdża na tydzień, nie może usiedzieć na miejscu. Niech pani jej pomoże, niech pani ją przekona.

— Staram się. Potrzebny mi jej nowy adres.

— Hotel Rivoli — powiedziała — pokój numer 405.

— Dziękuję.

— Co myśmy z nią przeżyli! Zupełnie nie wiem co robić. Jak tylko przyjedzie, zaraz wprowadza zamieszanie, już czasem wolę... Niech jej pani pomoże, ona jest taka trudna.

— Może był jakiś powód, że stała się trudna.

— To nie moja wina! — krzyknęła. — Robiłam wszystko co mogłam.

— Jak się czuje pani syn?

Głos rozpromienił się, wydawało mi się, że poprzez odległość widzę jej uśmiech.

— To wspaniały chłopiec, wspaniały chłopiec.

— Olivia bardzo kocha swego brata.

— Tak — powiedziała — wiem.

— Dziękuję pani. Dziękuję za adres.

— Chwileczkę! — zawołała. — Niech jej pani nie mówi, że ja... że to ja, że ja coś mówiłam.

— Nie — powiedziałam — nie powiem.

Powiesiłam słuchawkę. Przed sobą miałam adres Olivii: Hotel Rivoli pokój numer 405. Hotel Rivoli, ten hotel! Jej matka naturalnie nie wie co to za hotel. A może powinnam jej była powiedzieć, aby tu przyjechała? Nie, to niczego by nie zmieniło. Przyrzekłam, że nie powiem jej rodzicom. Połączyłam się z hotelem Rivoli.

— Hotel Rivoli — zaskrzeczał męski głos.

— Czy mogę mówić z Olivią Sloan?

Nie odpowiedział od razu, zastanawiał się.

— Kto to mówi? — spytał ostrożnie.

— Znajoma.

— Co za znajoma?

— Czy to Miss Sloan pyta o moje nazwisko?

— Miss Sloan? Eche, znajoma? — głos krztusił się ironicznym śmieszkiem. — Nie ma jej w pokoju — odburknął.

— Zaraz — powstrzymałam go — czy nie wie pan kiedy będzie? To ważne, dzwonię w sprawie pracy.

Zastanawiał się. Wyczuwałam jego przyczajone, podejrzliwe milczenie.

— Hallo? — powiedziałam. — Czy Miss Sloan nie mówiła kiedy wróci?

— Ja jej nie pilnuję — mruknął. Powiesił słuchawkę.

A więc jest w hotelu Rivoli, ale ktoś nie chce mnie do niej dopuścić. A może to Olivia nie chce ze mną mówić? Dlaczego? Nie podoba mi się głos tego mężczyzny, on wie o niej więcej niż ja, albo też ona w jakiś sposób od niego zależy.

Przez kilka następnych dni próbowałam połączyć się telefonicznie z Olivią. Zawsze ta sama zdawkowa odpowiedź: Nie ma jej, nie wiadomo kiedy wróci. Napisałam list, list nie został odesłany, a więc Olivia odebrała go. Co się z nią dzieje? — myślałam. Chciałam już zawiadomić policję, spróbowałam jeszcze raz.

30-go marca wcześniej rano zatelefonowałam, tym razem kobiety głos odebrał telefon.

— Pokój 405 — powiedziałam.

— Łączę — odpowiedziała.

Serce zaczęło mi walić mocno, byłam zdenerwowana, a więc byłam zaangażowana w tej sprawie bardziej niż przypuszczałam. Długo nikt nie podchodził do telefonu, wreszcie:

— Yea? — ciężkie, jakby wyrwane z głębokiego snu. To był głos Olivii.

— Olivio — powiedziałam — co się z tobą dzieje? Martwiłam się o ciebie.

— Nie mogłam przyjść.

— Czy zapomniałaś już o swoim dziecku? Czy naprawdę nic cię on nie obchodzi?

— Nie — szepnęła — myślę o nim, tylko nie mogłam przyjść.

Nie pytałam jej dlaczego nie mogła przyjść, wiedziałam, że mi nie odpowie.

— Słuchaj — powiedziałam — czy chcesz na zawsze zostawić go w *foster home*? Czy nie chcesz, ażeby miał dom i rodziców? A może chcesz go zabrać? Może mam ci go przynieść tu, do hotelu?

— Nie — powiedziała — nie mogę, chciałabym, ale nie mogę go zabrać.

— A więc co chcesz zrobić?

— Zdecydowałam się — powiedziała. Jej głos był przytomniejszy, chociaż jeszcze ociekał sennością i był to jakby głos człowieka wynurzającego się spod wody, zmęczony, zdyszany jeszcze.

— Przyjdę podpisać papiery. Kiedy mogę przyjść?

— Papiery są gotowe. Czekam na ciebie.

— Przyjdę w przyszłym tygodniu.

— Tyle razy nie przysłaś. To przecież nie chodzi o mnie, to już nawet nie o ciebie, zaczynam wątpić czy naprawdę chcesz zrobić coś dla swego dziecka.

Usłyszałam jej stłumiony płacz. Czekałam.

— Ja wiem co pani o mnie myśli — szepnęła.

Milczałam.

— Ale teraz przyjdę — powiedziała energicznie. — Teraz na pewno przyjdę. Kiedy mam przyjść?

— 6-go kwietnia o 11-tej rano.

— Będę punktualnie — powiedziała.

6-go kwietnia.

Był to soczysty, jasno-zielony dzień słonecznej, budzącej się wiosny. Po ostatnich deszczach drzewa ulicznych klonów pokryły się seledynowym, wilgotnym puchem. Przyszła punktualnie. Weszła do mego pokoju uroczyście i chłodno, wyprostowana, a jej czerwony, luźny płaszcz kwitł niby korona wczesnego tulipanu. Jej platynowe włosy lśniły świeżym lakierem. Była w niej zdeteminowana, chłodna powaga. Wydała mi się obca, skupiona w sobie, odległa, jakbym widziała ją przez powiększające szkło lunety tylko, nie czując jej obecności. Jej oczy były zamknięte przede mną. Usiadła na fotelu.

— Zdecydowałam się — powiedziała. Jej usta, ani żaden muskuł jej twarzy nie drgnęły, a tylko jej mocne, duże ręce o czerwono polakierowanych paznokciach obracały się niespokojnie skubiąc brzegi zapiętego pod szyję płaszcza.

— Czy jesteś pewna? — spytałam.

Wzruszyła ramionami. Założyła nogę na nogę, jej stopy w pantoflach na cienkich, wysokich szpilkach drżały.

— Nie mam innego wyjścia — szepnęła. — To wszystko co mogę dla niego zrobić.

— Olivio — powiedziałam — martwiłam się o ciebie.

Spojrzała na mnie nie widząc mnie. Wyjęła papierosa z to-

rebki, zapaliła, zaciągnęła się dymem. Uśmiechnęła się lekko, jakby z cieniem ironicznego niedowierzania.

— Przepraszam — powiedziała — naprawdę nie mogłam przyjść. Pracuję.

— Gdzie? — spytałam.

— W nocnym klubie.

— Co robisz?

— Mieszam drinki i... czasem trzeba się przysiąść do gości do stolika, ostatnio mieliśmy duży ruch, był jakiś zjazd i dużo różnych businessmanów przychodziło do lokalu.

— Co robisz, jak przysiadasz się do stolika?

— Ech — machnęła ręką — trzeba opowiadać kawały, żeby się śmieli.

— I pijesz?

— Trochę.

— Znow to samo.

— Widzi pani — przechyliła się ku mnie — tak najprędzej zarobię pieniądze, żeby wrócić do domu. Nie robię już nic...

Telefon przerwał naszą rozmowę. Sekretarka powiedziała:

— Przepraszam, że pani przerywam, ale jakiś mężczyzna już po raz drugi telefonuje i dopytuje się kiedy Miss Sloan skończy.

— Olivio — powiedziałam — jakiś mężczyzna pyta się o ciebie.

— To Melvin — skrzywiła się — niech mi da spokój.

— Hallo — powiedziałam — Miss Sloan będzie jeszcze zajęta, proszę mu powiedzieć, żeby nie czekał. — Powiesiłam słuchawkę.

— Wspominałaś mi o nim — powiedziałam — co on chce od ciebie?

— Mam go dość — mruknęła — chcę się od niego odczepić.

— Ale jednak mówisz mu o wszystkim, wiedział, że tu będziesz.

Przydusiła papierosa w popielniczce. Mruknęła:

— Płacę się za mną, opowiada, że się we mnie kocha, chce się ze mną żenić. Mam go dość.

— Masz go dość?

— Pani nie rozumie — powiedziała. Spojrzała na mnie, jej oczy były zwężone gniewem, uderzyła pięścią o biurko. — Mam dość wszystkich mężczyzn. Nienawidzę ich. Och — zgrzytnęła zębami — mogłabym zamordować!

— Aż tak?

— Tak. Teraz chyba tylko kobiety. Zresztą mam w ogóle wszystkiego dość. — Spojrzała w okno poza mną. Słońce oświecało jej twarz. Miała łzy w oczach, walczyła ze łzami.

— Co się z tobą dzieje Olivio?

— Może kiedyś pani powiem.

— Ja wiem, że nie chcesz mi powiedzieć. Wydawało mi się, że masz do mnie trochę zaufania przecież powierzasz mnie, powierzasz tej agencji którą reprezentuję, znalezienie domu dla swego dziecka.

— To nie to — szepnęła. Spojrzała na mnie, jej oczy były pełne łez i znów przez tę jedną sekundę zobaczyłam ją, dosięgłam. — Ja pani wierzę. Naprawdę. Ja wiem, że pani chce dobrze. Ja przecież czuję, że pani chce mnie zrozumieć. — Zasłoniła twarz rękami. — Tylko...

— Tylko co?

— Już jest za późno.

— Co ty opowiadasz, Olivio, za późno! Masz dopiero dwiętnaście lat.

Westchnęła. Wytarła oczy rękami.

— Ja wiem, myślałam o tym.

— O czym?

— Że mogłam być, jak inne, a nie jestem.

Pochyliła głowę, siedziała przygarbiona, postarzała, znów obca, zamknęła w sobie.

— Chciałabym teraz podpisać — szepnęła.

Podalał jej papiery, akt zrzeczenia się dziecka. Przeczytała uważnie, odłożyła.

— Jestem gotowa — powiedziała.

Zatelefonowała po notariusza, którym jest jeden z pracowników naszej Agencji.

Przyszedł. Olivia spokojnie, z nieruchomą twarzą i ręką podpisała przy nim dokument zrzeczenia się dziecka. Przyłożył pieczęć na krawędzi mego biurka.

Siedziałyśmy dłuższą chwilę w milczeniu. Przez otwarte okno słyszać było wyraźnie ćwierkanie wiosenne ptaków. Odwróciłam się do okna, purpurowy kardynał przysiadł na gałęzi drzewa, kołysał się na niej, przekrzywił główkę i nagle, w pośpiechu rozpiął skrzydła, odleciał.

— Muszę już iść — powiedziała. Wstała, położyła obie ręce na krawędzi mego biurka.

— Wróć do domu, Olivio, wróć, jak najszybciej.

— Tak — powiedziała — tak.

— Chciałabym coś dla ciebie zrobić, chciałabym ci pomóc.

Patrzyła na mnie długo, jakby mnie badając.

— Czy powie mi pani o jego rodzicach? Czy powie mi pani, że jest w tym domu? Ja naturalnie nie chcę nazwiska, tylko, że on już tam jest i co to za ludzie.

— Tak, powiem ci. Zatelefonuję, albo napiszę, żebyś przyszła. Przyjdiesz?

— Tak — powiedziała — przyjdę. Dziękuję pani. — Odwróciła się. Przy drzwiach przystanęła jeszcze. — Czy mi pani przyrzeka? — spytała cicho.

— Że zawiadomię cię o Davidzie-Krzysztofie?

Skinęła głową.

— Tak — uśmiechnęłam się — naturalnie.

— Czy pani przyrzeka? — powtórzyła. Było to jak wyzwanie. Patrzyła na mnie intensywnie jakby mi chciała powiedzieć coś więcej, uzyskać obietnicę niezwyklej dla niej wagi, a przecież był to tylko mój obowiązek, nie potrzebowała wymagać tego ode mnie.

— Przyrzekam ci — powiedziałam.

— Dziękuję — szepnęła.

Jej czerwony płaszcz mignął w drzwiach wyjściowych. Patrzyłam długo w te drzwi siedząc nieruchomo za biurkiem. Co ja jej przyrzekałam? — myślałam. — Czego chciała ode mnie Olivia?

21 kwiecień.

David-Krzysztof umieszczony w domu adoptującego go małżeństwa.

Przez kilka następnych dni próbowałam się skontaktować się z Olivią. O różnych porach dnia telefonowałam do hotelu Rivoli. Zawsze ta sama odpowiedź: Nie ma jej. Nie wiadomo kiedy wróci. Wysłałam listy, początkowo list zwykły, później polecony. Listy nie zostały zwrócone. Zostały doręczone Olivii. Nie chciała więc, albo nie mogła odpowiedzieć.

Dnia 27 kwietnia przeczytałam w lokalnej gazecie wzmiankę o mającym się odbyć procesie.

*Proces O Morderstwo Agenta Teatralnego
rozpoczyna się dnia 5-go maja*

„45-letni agent teatralny, Lee Fisher, został zamordowany dnia 6-go kwietnia br. w swoim pokoju w hotelu Rivoli. Policja zatrzymała Melvin'a Wineport, 40-letniego, nieżonatego szofera tak-sówki... Prokurator...”

Następnego dnia rano zatelefonowałam do prokuratora, którego nazwisko znalazłam w gazecie.

— Chciałam pana prosić o pomoc — powiedziałam. Wymieniłam moje nazwisko i zawód.

- Słucham — powiedział — w czym mogę pani pomóc?
— Czy nie jest panu znane nazwisko Olivii Sloan?
— Olivia Sloan? — zastanawiał się. — Dlaczego?
— Pracowałam z nią, muszę ją zobaczyć w sprawie jej dziecka.
Czy mógłby mi pan ułatwić spotkanie?
— Olivia Sloan, alias Lili Conti?
— Tak.
— Jest jednym ze świadków w procesie Fisher'a. Dostała wezwanie. Szukamy jej. Niech pani przyjdzie na rozprawę.

5 maj.

Dzień był pogodny, niebieski. Ciężki, szary gmach sądu wra-
stał sześcioma łapami kolumn w asfaltowe serce miasta. Spłoszone
gołębie ulatywały przed nadjeżdżającymi samochodami i siadały
na gzymsach budynku. Szerokimi, płaskimi schodami weszłam do
przedsionka. Było jeszcze wcześnie, drzwi sali w której miał odbyć
się proces, zamknięte. Długi, nierówny ogonek ciekawych cisnął
się pod chłodnymi, marmurowymi ścianami przedsionka. Dym
cygar i papierosów polatywał nad tą grupą do której coraz to ktoś
dołączał, aż stali się tłumem szemrzącym, szepczącym, kołyszącym
się w takt ruchu miasta niby w takt melodii pełnej dysonansów,
załamania. Kręcili się wśród nich zawodowi reporterzy rozbiegani,
gadatliwi, pewni siebie, klepali przyjacielsko po ramieniu dyżu-
rującego policjanta i nawoływali się po imieniu. Były młode
dziewczęta umalowane, sztywne w wiosennych bawełnianych su-
kienkach, podobne do nastraszonych, sztucznych, papierowych
kwiatów. Szukałam wśród nich Olivii. A przyglądając się z bliska
ich twarzom odkrywałam, że były to kwiaty z wystaw sklepowych
wypłowiałe od słońca i przyprószone kurzem ulicy. Były pier-
siaste, ugorsecione kobiety chwiejące się na wysokich szpilkach,
kapiące sztuczną biżuterią o ostrych spojrzeniach spod ciężkich,
pogrubiałych tuszem rzęs, o zielonych i niebieskich powiekach.
Przyszły posłuchać procesu Lee Fisher'a. Znały go widocznie,
obracały się w kręgu jego życia. Podeszłam do policjanta, przed-
stawiłam mu się.

— Rozmawiałam z prokuratorem — powiedziałam. — Chcę
się zobaczyć z Olivią Sloan. Jest świadkiem w tym procesie.

— Czy nie ma jej tu? — spytał.

— Nie.

— Może jeszcze przyjdzie.

Olivia nie przyszła.

Dopiero po dłuższym czekaniu otworzono drzwi sali sądowej.

Dyżurujący przy drzwiach policjant wpuszczał ostrożnie po jednej osobie tylko wypytując kim jest i dlaczego chcą być obecne na rozprawie. Usiadłam w drugim rzędzie ławek. Sala była obszerna, kwadratowa. W głębi potężny pulpit sędziowski z białego marmuru obramowywały dwa sztandary, gwiazdzisty amerykański i sztandar naszego Stanu. Z tyłu, za mną, ławki wypełniały się szybko, przede mną miejsca zajęli reporterzy. Oglądałam się, wstawałam, wypatrywałam Olivii. Nie było jej.

— Proszę powstać! — zawołał woźny. — Wysoki Sąd!

Weszło ich dwóch otoczonych dworem urzędników. Siwy Sędzia o okrągłej, czerwonej twarzy zajął miejsce na prawo. Był ciężki, posapywał, poprawiał rogowe, w grubej oprawie okulary. Sędzia przewodniczący był chudy i czarny, szerokie, krótkie, krzacaste brwi zwisały nad skośnymi nieco, ciemno płonącymi oczami. Był chudy, wysoki, ciężkie fałdy togi płatały mu się wokoło nóg. Wśliznął się za pulpit. Jego ostro zakończone, szpiczaste uszy sterczały, jak dwie czułe anteny. Miał wąską chudą twarz. Spojrzał obojętnie na salę, przechylił się do Siwego Sędziego. Szeptali.

Drzwi w głębi, po lewej stronie otworzyły się niemal równocześnie, ale teraz dopiero zauważyłam oskarżonego. Siedział zwrócony tyłem do sali, przy długim stole, na wprost pulpitu sędziowskiego. Widziałam jego szerokie plecy i ciemne, gładko zaczesane włosy, oparty łokciami o stół tkwił nieruchomo. Natomiast siedzący obok niego adwokat coraz to zwracał ku niemu głowę, porozumiewał się szeptem z nim, albo też z siedzącym po drugiej stronie oskarżonego obrońcą.

Odwracałam się co chwilę szukając Olivii, nie było jej. Rozprawa już się zaczęła. Prokurator, widocznie ten z którym rozmawiałam przez telefon, stał pomiędzy stołem a pulpitem sędziowskim.

Prokurator: Świadek, posterunkowy Jenkins! Proszę podać swoje nazwisko.

Jenkins: Calvin Jenkins, posterunkowy z Centralnego Dystryktu.

Prokurator: Panie Jenkins, czy został pan wezwany dnia 6-go kwietnia br. w godzinach popołudniowych do hotelu Rivoli?

Jenkins: Yes sir.

Prokurator: Proszę dokładnie opowiedzieć Sądowi co się stało tamtego popołudnia.

Jenkins (trzymając notatki w ręce, głos mu drży): Ja... mam tu to wszystko spisane. Czy mogę przeczytać? (Patrzy w stronę Czarnego Sędziego).

Czarny Sędzia: All Right. Może sobie pan pomóc notatkami.

— *Jenkins:* Więc... tego dnia, to jest... 6-go kwietnia o godzinie 3-ciej 15 po południu, ktoś z hotelu Rivoli zatelefonował na posterunek policji, że coś się stało w pokoju Nr 321. W dwie minuty później byłem w hotelu. Portier Randy, to jest... Mr. Randolph Samlin starał się otworzyć drzwi pokoju Nr 321. Były zamknięte, pukał przedtem. Otworzył drzwi własnym kluczem. W pokoju na łóżku zobaczyłem ciało zamordowanego mężczyzny. Zawolałem mojego zwierzchnika.

Prokurator (pokazuje Jenkinsowi fotografie): Panie Jenkins, proszę nam powiedzieć co przedstawia ta fotografia?

Jenkins: To jest fotografia ciała zamordowanego mężczyzny, którego...

Prokurator: Czy rozpoznaje pan w nim tego samego mężczyznę, którego zobaczył pan dnia 6 kwietnia o godzinie 3-ciej 20, w pokoju Nr 321 w hotelu Rivoli?

Jenkins: Yes sir.

Sędziowie oglądają fotografie.

Prokurator: Następny świadek. Proszę podać swoje nazwisko.

Na podium wszedł ciężki, ciemny mężczyzna, policjant, z widoczną szramą przecinającą skośnie jeden policzek.

Świadek: Antonio Sartori, sierżant policji z Centralnego Dystryktu.

Prokurator: Sierzancie Sartori, proszę powiedzieć Sądowi co stało się dnia 6 kwietnia br. w godzinach popołudniowych w hotelu Rivoli.

Sierżant: Dnia 6-go kwietnia o g. 3-ciej 25 posterunkowy Jenkins zatelefonował do mnie informując mnie o sprawie w hotelu Rivoli. Przyjechałem natychmiast. Tam spotkał mnie zarządzający hotelem Mr. Samlin.

Czarny Sędzia: Czy Mr. Samlin jest zarządzającym czy portierem?

Sierżant: Your Honor, Mr. Samlin jest zarządzającym w czasie nieobecności właściciela. Właściciel wyjechał do Europy.

Czarny Sędzia: To znaczy właściciela hotelu nie było?

Sierżant: No, Your Honor.

Czarny Sędzia: W porządku, proszę mówić dalej.

Sierżant: Randy... to jest Mr. Samlin zaprowadził mnie do pokoju...

Rozglądnęłam się po sali, Olivia nie przyszła. Wstałam i zbliżyłam się do dyżurującego przy drzwiach policjanta.

— Czy świadek Olivia Sloan nie przyszła?

— Czy ma pani nakaz jej aresztowania?

— Nie, chcę się tylko z nią zobaczyć, prokurator obiecał mi ułatwić spotkanie.

— Może jest w pokoju świadków, niech pani sprawdzi w czasie przerwy.

Wróciłam na miejsce. Zeznawał lekarz który przeprowadzał autopsję zamordowanego.

Lekarz (czyta)... sekcja wykazała szereg obrażeń i zranień głowy.

Prokurator: Doktorze, czy może nam pan powiedzieć co spowodowało te obrażenia?

Lekarz: Tak. Obrażenia spowodowało tępe narzędzie. Przyczyną śmierci był krwotok domózgowy i dróg oddechowych.

Lekarz pokazuje fotografie. Sędziowie oglądają.

Prokurator: Doktorze, pokażę panu teraz rysunek narzędzia, którym został zamordowany Lee Fisher.

Obrońca: Protestuję!

Czarny Sędzia: Przychylam się do protestu obrońcy.

Obrońca: Czy mogę zadać jedno pytanie, Your Honor?

Czarny Sędzia: Proszę.

Obrońca: Doktorze, kiedy według pana zawodowej opinii, sądząc na podstawie *rigor mortis* nastąpiła śmierć zamordowanego Lee Fisher'a?

Lekarz: Mniej więcej około 8 do 9-ciu godzin przed przywiezieniem zwłok do prosektorium.

Prokurator: Świadek Donald King. Proszę podać swoje nazwisko.

Szczupły, nieduży Murzyn w ciemnej koszuli wchodzi na podium. Mówi bardzo cicho.

Donald: Donald King, windziarz w hotelu Rivoli.

Siwy Sędzia (przykłada rękę do ucha): Proszę powtórzyć nie słyszę.

Donald powtarza.

Prokurator: Panie King, kiedy po raz ostatni widział pan zamordowanego Lee Fisher'a?

Donald: Mr. Fisher przyszedł o 3-ciej 15 rano i poszedł na górę do swego pokoju, potem zeszedł jeszcze na dół do *coffee shop* i znów około 4-tej wszedł na górę.

Prokurator: Czy znany jest panu Melvin Wineport?

Donald: Yes sir.

Prokurator: Proszę wskazać na niego palcem.

Donald wskazuje oskarżonego.

Prokurator: Panie King, kiedy w dniu 6-go kwietnia widział pan oskarżonego?

Donald: Widziałem go trzy razy tego dnia. Raz około 8-mej rano, drugi raz w południe i później, jak był aresztowany.

Prokurator: Panie King, proszę nam powiedzieć co oskarżony Wineport robił w hotelu o 8-mej rano? Czy mieszkał w tym hotelu?

Donald: Nie, on nigdy w hotelu nie mieszkał. Chciał iść na górę, powiedział, że umówił się z Olivią Sloan. Powiedziałem, że jest za wcześnie i że go nie zawiozę.

Prokurator: Co oskarżony Wineport zrobił wtedy? Czy poszedł schodami na górę?

Donald: Nie pamiętam, mogłem nie zauważyć.

Prokurator: Mr. King, więc pan przypuszcza, że oskarżony mógł dostać się na górę schodami?

Obrońca: Protestuję.

Czarny Sędzia: Przychylam się do protestu obrońcy.

Ogłoszono przerwę. Sędziowie, ławnicy i oskarżony podnieśli się z miejsc. W pewnej chwili oskarżony zatrzymał się, odwrócił, spojrzał na salę, jakby kogoś szukał. Jego okrągła, mięsista twarz o wydatnej dolnej wardze była bez wyrazu. Jego nieco wyłupiaste, blade oczy przesunęły się po sali dotykając każdego miejsca, spuścił głowę, odwrócił się. Jego schludna, biała koszula i przegładzone, lśniące ciemne włosy znikły za drzwiami w głębi sali sądowej.

Podeszłam do prokuratora, stał przy stole, dyskutował z potężnymi drabami w cywilnych ubraniach. Rozpoznałam w nich cywilnych policjantów.

— Proszę pana — powiedziałam — obiecał mi pan, że będę mogła porozumieć się z Olivią Sloan.

— Ach tak — przypomniał sobie. — Zaraz! Niech pan sprawdzi — zwrócił się do jednego z detektywów czy nie ma jej w pokoju świadków?

— Nie ma — powiedział detektyw — szukamy jej. Ma zeznać po południu. Wysłaliśmy po nią samochód policyjny.

— Czy wie pan gdzie ona jest?

— Znajdę ją — powiedział detektyw — niech się pani nie martwi. Będzie tu.

Po piętnastuminutowej przerwie sala zapełniła się.

— *Silence!* — krzyknął woźny. — *This honorable Court will now resume hearing!*

Sala powstała. Weszli: sędziowie, ława przysięgłych, oskarżony i adwokaci. Zajęli swoje miejsca.

Prokurator: Świadek Samlin!

Nieduży, przygarbiony, patrzący spode łba człowiek o wydłużonej czaszce wszedł na podium.

Prokurator: Proszę podać swoje nazwisko.

Świadek: Randolph Samlin. Jestem administratorem i jak trzeba portierem i zastępuję również zarządzającego, kiedy on wylatuje, to jest wyjeżdża...

Śmiechy na sali.

Czarny Sędzia wali młotkiem w pulpit: Proszę o zachowanie powagi!

Prokurator: Panie Samlin, proszę powiedzieć Sądowi co stało się dnia 6 kwietnia po południu w hotelu Rivoli?

Randy: Mr. Fisher prosił, aby go obudzić o godzinie 2-giej po południu. Telefonowałem kilkakrotnie, ale nie było odpowiedzi.

Prokurator: Czy w momencie wychodzenia z windy zauważył pan obecność kogoś innego na korytarzu 3-go piętra?

Randy: Yes sir.

Prokurator: Czy widzi pan na sali osobę, którą pan wtedy zauważył?

Randy: Tak.

Prokurator: Proszę wskazać palcem.

Randy wskazuje palcem na oskarżonego: To ten.

Prokurator: W którym miejscu korytarza zauważył pan oskarżonego?

Obrońca pochyla się do oskarżonego, szepczą.

Randy: Był zwrócony do mnie plecami, siedł w odwrotnym kierunku. Zawołałem na niego...

Czarny Sędzia: Gdzie dokładnie zauważył pan oskarżonego?

Randy: Tuż przy schodach, Your Honor, schody są w przeciwnym kierunku do windy końca korytarza.

Czarny Sędzia: Proszę zeznawać dalej.

Randy: Zawołałem na niego i spytałem czy był w pokoju Fisher'a. Odwrócił się i odpowiedział.

Prokurator: Co panu odpowiedział?

Randy: Użył nieprzyzwoitego wyrażenia.

Czarny Sędzia: Proszę powtórzyć.

Randy (cicho): Powiedział, Your Honor, powiedział... „Ten skurwysyn spił się na śmierć i już się chyba nie podniesie”.

Siwy Sędzia: Co powiedział? Proszę powtórzyć głośniej!

Randy (zażenowany) powtarza.

Chichoty na sali.

Czarny Sędzia uderza młotkiem w pulpit: Proszę o ciszę!

Prokurator: Panie Samlin, czy oskarżony mówił coś jeszcze do pana?

Randy: Nie. Zeszedł schodami na dół. Pukałem jeszcze do

pokoju, waliłem pięścią. W drzwiach nie było klucza. Wiedziałem, że Mr. Fisher jest w pokoju, bo nie wychodził z hotelu.

Prokurator (do sędziego): Nie mam więcej pytań. (Sędzia kiwa głową) *Prokurator* (do obrońcy): Pana świadek. Proszę.

Obrońca: (wstaje) Panie Samlin, proszę nam powiedzieć skąd pan wiedział, że Mr. Fisher nie wychodził z hotelu?

Randy: Nie było klucza w dyżurce.

Obrońca: Mr. Fisher mógł zabrać klucz z sobą.

Randy: Nie.

Obrońca: Mr. Samlin, skąd był pan taki pewien, że Fisher nie wziął z sobą klucza? Dlaczego nie otworzył pan własnym kluczem pokoju tylko wołał policję? Czy pan się już czegoś s p o d z i e w a ł ?

Prokurator: Protestuję!

Czarny Sędzia: Przychylam się do protestu prokuratora. (Do Obrońcy): Proszę inaczej sformułować pytanie.

Obrońca: Panie Samlin, co pana łączyło z zamordowanym Fisher'em?

Randy: Nic. Był naszym stałym gościem.

Obrońca: Czy nie handlował pan z nim narkotykami?

Prokurator: Protestuję!

Czarny Sędzia: Przychylam się do protestu prokuratora.

Obrońca: Jeszcze jedno pytanie, Your Honor.

Czarny Sędzia: Proszę.

Obrońca: Panie Samlin, czy jest panu wiadome, że niejaka Olivia Sloan posłała dnia 6 kwietnia około godziny 2-giej po południu Melvina Wineport po pieniądze do pokoju Lee Fishera?

Randy: Nic o tym nie wiem.

Czarny Sędzia: Gdzie jest świadek Olivia Sloan?

Prokurator: Posłaliśmy po nią, Your Honor, powinna tu być lada chwila.

Obrońca (do Donalda): Nie mam więcej pytań. Dziękuję. (do sędziego): Powołuję świadka Gordona Nortis.

Wysoki, tęgi mężczyzna wszedł na podium.

Obrońca: Pana nazwisko i zawód?

Nortis: Gordon Nortis, właściciel garażu taksówek.

Obrońca: Panie Nortis, jak długo zatrudniał pan oskarżonego Wineport?

Nortis: Dokładnie rok i trzy miesiące.

Obrońca: Proszę powiedzieć Sądowi jakie jest pana zdanie o oskarżonym jako pracowniku.

Nortis: Był dobrym, sumiennym pracownikiem. Tylko kilka razy ostatnio spóźnił się do pracy, mówił, że ma egzaminy, chodził wieczorem na uniwersytet.

Obrońca: W jakich godzinach pracował oskarżony?

Nortis: Przeważnie w nocy, między godziną 10-tą i 7-mą rano, albo między 11-tą w nocy i 8-mą rano.

Obrońca: A w nocy z dnia 5-go na 6 kwietnia br.?

Nortis: Tak, pracował tej nocy.

Obrońca: Czy zauważył pan ostatnio zmianę w usposobieniu, albo zachowaniu oskarżonego?

Nortis: Pracował normalnie, spóźnił się tylko kilka razy, mówił, że jest trochę zmęczony egzaminami.

Obrońca: Dziękuję. Nie mam więcej pytań. Powołuję świadka Olivie Sloan.

Olivia Sloan! — powtórzył dyżurujący policjant. Otworzył drzwi prowadzące z sądowego przedsionka na salę. Głowy ludzi zgromadzonych na sali odwróciły się od pulpitu sędziowskiego. Szła wolno między szpalerem ławek w kierunku marmurowego, sędziowskiego stołu. Spojrzenia posuwały się za nią, odprowadzały ją aż na podium. Była ubrana w ciemne, obcisłe spodnie i ciemną, luźną wiatrówkę. Oczy wpatrzone przed siebie wydawały się nie dostrzegać nikogo. Jej białe włosy, widocznie upięte w pośpiechu, opadały nieporządnymi kosmykami na szyję i ramiona. Była bardzo blada, ani śladu szminki, stąpała niepewnie, jakby odurzona, albo tak porażona strachem, że każde poruszenie mięśni sprawiało jej widoczną trudność. Weszła na podium. Spuściła głowę, jej ręce, które złożyła przed sobą, dygotały.

Obrońca: Proszę powiedzieć nam swoje imię i nazwisko.

Olivia: (szepcze coś ledwie dosłyszalnie).

Czarny Sędzia (przechylił się): Nie słyszę.

Olivia: Olivia...

Siwy Sędzia (przyklada rękę do ucha, przechylił się): Jak, jak się nazywasz?

Szepty na sali.

Czarny Sędzia uderza młotkiem w pulpit: Proszę o ciszę! (do Olivii): Spokojnie, powiedz nam swoje nazwisko, nie denerwuj się.

Olivia (zakrywa twarz rękami) Nie wiem... nie wiem... ja nic...

Siwy Sędzia: Pytam tylko o twoje nazwisko, uspokój się, mamy czas.

Olivia (podnosi głowę) Yes sir.

Czarny Sędzia: No więc?

Olivia: Nazywam się...

Czarny Sędzia: Nazywasz się Olivia Sloan, tak czy nie?

Olivia: Yes sir, ja się tak nazywam.

Obrońca: Miss Sloan, czy znany jest pani Melvin Wineport?

Olivia: Yes sir.

Obrońca: Proszę wskazać go palcem jeśli znajduje się na tej sali.

Olivia wskazuje palcem Melvin'a.

Obrońca: Od jak dawna zna pani oskarżonego?

Olivia: Od grudnia.

Obrońca: Od grudnia zeszłego roku?

Olivia: Yes sir.

Obrońca: Czy dnia 6 kwietnia posłała pani oskarżonego do pokoju Lee Fisher'a?

Olivia (cicho): Powiedziałam, żeby poszedł i przyniósł mi od niego pieniądze.

Obrońca: Paczkę czy pieniądze?

Olivia: Yes sir, paczkę z pieniędzmi.

Czarny Sędzia: Co to były za pieniądze?

Olivia: Lee był mi winien pieniądze.

Obrońca: Co robiła pani w nocy z dnia 5-go na 6-go kwietnia?

Olivia: Pracowałam w Klubie aż do 4-tej rano.

Obrońca: A potem?

Olivia: Wróciłam do hotelu i poszłam spać.

Obrońca: Miss Sloan, dlaczego wysłała pani oskarżonego do pokoju Fisher'a?

Olivia (szepcze).

Czarny Sędzia: Nie słyszę, proszę mówić głośniej.

Olivia (zwraca się do sędziego): Potrzebne mi były pieniądze.

Obrońca: Dlaczego nie poszła pani sama po pieniądze?

Olivia milczy.

Obrońca: Miss Sloan, dlaczego nie chciała pani pójść sama po pieniądze?

Olivia (cicho): Bałam się.

Czarny i Siwy Sędzia równocześnie. Dlaczego się bałaś?

Olivia: Yes sir.

Czarny Sędzia: Dlaczego bałaś się pójść po pieniądze, które ci się należały?

Olivia: Bałam się... że... mi nie odda.

Obrońca: Dlaczego posłała pani po pieniądze oskarżonego Wineport'a a nie na przykład portiera?

Olivia: Byłam winna Melvin'owi pieniądze za przejazdy tak-sówką.

Obrońca pochyła się do oskarżonego. Szepczą.

Czarny Sędzia: Za co Lee Fisher był ci winien pieniądze?

Olivia: Był moim agentem i wziął pieniądze, które mi się

należały od właścicielki Klubu. Wziął od niej pieniądze, jak byłam w szpitalu.

Czarny Sędzia: W szpitalu?

Olivia: Yes sir.

Siwy Sędzia (przechyla się, poprawia okulary, przygląda się Olivii): Dlaczego byłaś w szpitalu?

Olivia: Byłam...

Czarny Sędzia (przykłada rękę do ucha, wychyla się). Nie słyszę.

Olivia: Miałam...

Czarny Sędzia: Podejdź tu bliżej.

Olivia schodzi z podium, podchodzi do Czarnego Sędziego. Szepcze. Czarny Sędzia kiwa głową. Olivia wraca. Czarny Sędzia pochyla się do Siwego Sędziego, szepczą.

Czarny Sędzia: Czy obrońca chce zadać jeszcze jakieś pytania świadkowi Olivii Sloan?

Obrońca pochyla się do oskarżonego, szepczą.

Obrońca: No, Your Honor. Nie mam już żadnych pytań (do Olivii). — Dziękuję.

Czarny Sędzia: Odraczam rozprawę do dnia następnego.

Woźny: Proszę wstać! Sala powstaje, sędziowie, ława przysięgłych, oskarżony i adwokaci odchodzą. Ludzie opuszczają salę. Z bocznych drzwi jeden po drugim wysuwają się świadkowie.

Długo czekałam na Olivię. Szła przez pustoszejącą salę, ze spuszczoną głową, nie zatrzymując się, nie oglądając na nikogo. Nie zauważyła mnie. Dopiero w przedsionku sądowym, tuż przy drzwiach prowadzących na ulicę przychwyciłam ją.

— Olivio!

Drgnęła, zatrzymała się. Zwróciła ku mnie twarz bladą, zmęczoną, bez uśmiechu.

— Ach — westchnęła — to pani.

— Chodź — powiedziałam. Wzięłam ją za rękę i pociągnęłam w pusty kąt hallu. Oparła się o gładką, chłodną ścianę z szarego marmuru. Dochodziła już godzina piąta po południu. Jej twarz była w cieniu. Cisza wpływała zwolna do gwarnego niedawno budynku sądu. Wyjęłam z teczki fotografie, podałam jej. Wzięła je w obie ręce, pochyliła się nad nimi. Podeszła kilka kroków w kierunku uchylonych na ulicę drzwi. Patrzyła, przyglądała się fotografiom dziecka. Widziałam ją z profilu. Zamknęła oczy, ale w wygiętych na kształt kołyski dłoniach leżały trzy małe fotografie David'a-Krzysztofa.

— Kiedy? — szepnęła.

— Kilka dni temu.

— Czy może mi pani powiedzieć?

— Matka jest podobna do ciebie, ma zdolności malarskie.

— A ojciec?

— Ma ukończone wyższe studia. Jest wysoki, dobrze zbudowany, ma szerokie, czarne, zrośnięte nad nosem brwi. To są młodzi ludzie, pełni ekspansji życiowej. On jest ich jedynym dzieckiem. Zawsze pragnęli mieć syna.

Oddała mi fotografie i stała ze zwieszonymi wzdłuż ciała ramionami, ze spuszczoną głową, zamyślona.

— Tak jest lepiej — westchnęła. — Lepiej dla niego.

Uniosła nagle głowę, spojrzała na mnie, szepnęła:

— Dziękuję pani.

Na jej bladą, niepociągniętą szminką twarz padał cień otwartych drzwi sądu, a może był to tylko cień głębokiej, skupionej powagi, której nigdy przedtem nie zauważyłam u niej tak wyraźnie?

— Olivio — powiedziałam — może jednak będę ci mogła jakoś pomóc?

— Dobrze — skinęła głową — przyjdę.

Czułam, nie przyjdzie i już jej nie zobaczę i że powinnam teraz coś zrobić, coś jej powiedzieć na zakończenie, ale nie wiedziałam co. Stałam patrząc bezradnie, jak odchodziła, jak przestępowała próg drzwi. Zatrzymała się, odwróciła.

— Proszę pani — powiedziała. — On tam będzie szczęśliwy. — W jej głosie było pytanie.

— Tak — powiedziałam — będzie mu tam dobrze.

Nie odchodziła, patrzyła na mnie, patrzyła tak, jakby chciała mnie przeniknąć, odczytać moje myśli, jej oczy pociemniały z wysiłku.

— Poznałam ich — powiedziałam. — Mam do nich zaufanie. Możesz być spokojna. Wierz mi. Wierz mi, Olivio, on tam będzie szczęśliwy. To była słuszna decyzja, to była bardzo słuszna decyzja.

Jej usta zadrgały, twarz przełamała się słabym uśmiechem, jej długie, zielonawe oczy zwilgotniały.

— Ja pani wierzę — szepnęła — dziękuję. — Zaczęła biec szybko schodami na dół.

— Olivio! — zawołałam — Olivio! — biegłam za nią. Wiedziałam już teraz co chciałam jej powiedzieć. Jeszcze nie jest za późno. Muszę ją dogonić.

Stała już na chodniku, blisko jezdni. Popołudniowy, wzmożony ruch uliczny opływał ją, ginęła w nim. Podniosła rękę i krzyknęła coś do mnie. Nie usłyszałam.

— Co? — Co mówisz? — odkrzyknęłam. — Krzyknęła drugi

raz przykładając rękę do ust. Szum samochodów zagłuszył jej głos. Rozdzielił nas tłum wychodzących z biur ludzi. Widziałam jeszcze przez chwilę jej jasne włosy i ciemną wiatrówkę, a potem znikła.

Za mną potężny budynek sądu, przede mną — ruchliwy ocean przechodniów i samochodów. Czerwony odblask zachodzącego słońca rozświetlił szyby smukłego, prującego niebo wieżowca po przeciwległej stronie jezdni.

Wracałam wolno ulicą do garażu w którym zaparkowałam mój samochód. Czułam się źle, zmęczona, zniechęcona. Ciężko mi to przykre, dręczące uczucie niezadowolenia z samej siebie. Nie umiałam jej pomóc — myślałam. — Nic o niej nie wiem. Nie zdobyłam jej zaufania. I nie dosłyszałam nawet głosu. Nie usłyszałam jej głosu.

Atlantic City - Nowy Orlean - Floryda - Baltimore
Kwiecień, 1963 - Sierpień, 1964

WYKAZ WYDAWNICTW «BIBLIOTEKI KULTURY»

(z wyjątkiem pozycji wyczerpanych)

1. Witold GOMBROWICZ .. *Transatlantyk i Ślub*
4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?*
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota (Poezje)*
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy*
15. Graham GREENE *Moc i chwała*
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkem (Francja 1940-1944), 2 tomy*
25. Daniel BELL *Praca i jej gorycze (Kult wydajności w Ameryce)*
26. Jan WINCZAKIEWICZ *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*
30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
31. Stanisław REMBEK *W polu*
33. Simone WEIL *Wybór pism*
34. Albert CAMUS *Człowiek zbuntowany*
35. James BURNHAM *Rewolucja manadziarska*
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb (1943)*
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriljane widrodiennja (Antologia)*
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii (Seria „Dokumenty”. Zesz. 5)*
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa (Seria „Dokumenty”. Zesz. 6)*
43. Jan KOWALIK *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”.*
45. Wacław LEDNICKI *Glossy Kraszińskiego do apologetyki rosyjskiej*
46. Abram TERC *Sąd idzie*
ANONIM *Co to jest realizm socjalistyczny?*
47. Tibor DERY *Niki*
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy błąd (Seria „Dokumenty”. Zesz. 7)*

50. Czesław MIŁOSZ *Rodzinna Europa*
51. Gustaw HERLING
GRUDZIŃSKI *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-
CHMIEŁOWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia*
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi*
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ha-
dziackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry (Seria „Dokumenty”. Zesz. 8)*
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOŁKOSZ *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska*
Róża LUKSEMBURG .. *Rewolucja rosyjska (Seria „Dokumenty”.
Zesz. 9)*
63. Bogdan CZAYKOWSKI i
Bolesław SULIK *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej*
67. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
68. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
69. Abram TERC *Fantastyczесkie powieści*
70. I. IWANOW *Jest' li życie na Marsie?*
71. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz. I*
72. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
73. Józef CZAPSKI *Na nieludzkiej ziemi*
74. Czesław MIŁOSZ *Człowiek wśród skorpionów*
75. Bernard SINGER *Od Witosa do Stawka*
76. Czesław MIŁOSZ *Król Popiel i inne wiersze*
77. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 2-gi)*
78. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*
79. Milovan ĐILAS *Rozmowy ze Stalinem*
80. (Jerzy MOND) *6 lat temu... (Kulisy polskiego Październi-
ka) (Seria „Dokumenty”. Zesz. 11)*
81. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
82. Józef WITTLIN *Orfeusz w piekle XX wieku*
83. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*
84. Marek HŁASKO *Opowiadania*

88. Maria CZAPSKA *Polacy w ZSSR (1939-1942)* Antologia
89. Witold JEDLIŃSKI *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty”.
Zesz. 12)
90. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 4-ty)
91. Abram TERC *Lubimow*
92. — *We własnych oczach*. Antologia współczes-
nej literatury sowieckiej.
93. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Drugie przyjście* oraz inne opowiadania i
szkice
94. Jan KOWALIK *Materiały do historii prasy polskiej na ob-
czyźnie 1939-1962.*
95. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 5-ty)
96. Marek HŁASKO *Wszyscy byli odwrócenii. — Brudne czyny*
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach* (Poezje)
98. Bogdan CZAYKOWSKI *Spór z granicami* (Poezje)
99. Wincenty WITOS *Moje Wspomnienia*. Tom I/III
100. Walter G. KRYWICKI . *Byłem agentem Stalina* (Seria „Archiwum
Rewolucji”)
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 6-ty)
104. Ignazio SILONE *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Re-
wolucji”)
105. Wiktor SUKIENNICKI . *Biała Księga* (Seria „Dokumenty” Zesz. 13)
106. Juliusz MIEROSZEWSKI *Ewolucjonizm*
107. Abram TERC *Myśli niespodziewane*
108. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-y)
109. Wacław IWANIUK *Wybór wierszy*
110. Michał K.
PAWLIKOWSKI *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Inny świat*
112. Witold GOMBROWICZ *Kosmos*
113. Borys LEWICKIJ *Terror i rewolucja* (Seria „Archiwum Re-
wolucji”)
114. Stanisław VINCENZ *Po stronie pamięci.*



ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 28 JUIN 1965
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 3^e trim. 1965

"Kullervo"
27 IX. 65.

W

Cena 15 F. (22/6; dol. 3,25)